

W miasteczku pełnym sekretów
prawda jest głęboko ukryta



PRZEDSIÖNEK PIEKŁA

„Wspaniała”
HARRIET TYCE

„Znakomita”
S.J. WATSON

„Cudownie niepokojąca”
JANE HARPER

„Porywająca”
PAULA HAWKINS

anna bailey

ALBATROS

anna bailey

**PRZEDSIONEK
PIEKŁA**

Z angielskiego przełożyła
MAŁGORZATA STEFANIUK

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

MROCZNY THRILLER LITERACKI O NIETOLERANCJI, POTRZEBIE MIŁOŚCI, POCZUCIU WINY I TRAUMIE.

To miejsce jest jak beczka prochu. Wystarczy jedna iskra – prawda o tym, co wydarzyło się tamtej nocy – by rozgorzała nienawiść i wybuchły wszystkie tłumione dotąd emocje.

Życie w małym miasteczku potrafi dać w kość.

Whistling Ridge, położone w Górach Skalistych w Kolorado, wydaje się malowniczym rajem. Ale to złudna fasada.

To małe amerykańskie miasteczko nie jest urokliwym miejscem, w którym uczynni mieszkańcy poklepią cię po ramieniu i wskażą drogę do najbliższego sklepiku z pamiątkami. Whistling Ridge jest bulgoczącym kotłem toksyczności. Przemoc domowa, korupcja, narkotyki, rasizm i homofobia nikogo tu nie bulwersują – to zwykła codzienność. Jak będzie trzeba, sąsiedzi zawsze odwrócą wzrok. O ile oczywiście wcześniej im nie podpadłeś.

Emma i jej przyjaciółka Abigail biorą udział w jednym z typowych spotkań nastolatków – imprezie w lesie przy ognisku. Są w ostatniej klasie liceum i już wkrótce świat stanie przed nimi otworem. Ale tej nocy wydarzy się wiele rzeczy i tylko Emma dotrze z powrotem do domu. Wiedziona poczuciem winy, zrobi wszystko, by ustalić, co naprawdę stało się z jej najlepszą przyjaciółką.

ANNA BAILEY

Urodziła się w Bristolu w 1995 roku. Marzyła o karierze dziennikarki, ale po studiach wyjechała do Kolorado, gdzie zatrudniła się w Starbucksie jako baristka. W 2018 roku wróciła do Wielkiej Brytanii i napisała powieść zainspirowaną życiem w małym amerykańskim miasteczku, a także serialami *Miasteczko Twin Peaks* i *Detektyw. Przedsiónek piekła* natychmiast po premierze trafił na listę bestsellerów „Sunday Timesa” i otrzymał wyróżnienia dla książki miesiąca między innymi od „Guardiana”, „Observera” i „Grazii”.

Tego autora

NIE MÓW NIKOMU
BEZ POŻEGNANIA
JEDYNA SZANSA
TYLKO JEDNO SPOJRZENIE
NIEWINNY
W GŁĘBI LASU
ZACHOWAJ SPOKÓJ
MISTYFIKACJA
NA GORĄCYM UCZYNKU
KLINIKA ŚMIERCI
ZOSTAŃ PRZY MNIE
SZEŚĆ LAT PÓŹNIEJ
TĘSKNIĘ ZA TOBĄ
NIEZNAJOMY
JUŻ MNIE NIE OSZUKASZ
NIE ODPUSZCZAJ
O KROK ZA DALEKO
CHŁOPIEC Z LASU

Myron Bolitar

BEZ SKRUPUŁÓW
KRÓTKA PIŁKA
BEZ ŚLADU
BŁĘKITNA KREW
JEDEN FAŁSZYWY RUCH
OSTATNI SZCZEGÓŁ
NAJCZARNIEJSZY STRACH
OBIECAJ MI
ZAGINIONA

WSZYSCY MAMY TAJEMNICE
W DOMU

Mickey Bolitar

SCHRONIENIE
KILKA SEKUND OD ŚMIERCI
ODNALEZIONY

Jako współautor

AŻ ŚMIERĆ NAS ROZŁĄCZY
NAJLEPSZE AMERYKAŃSKIE OPOWIADANIA KRYMINALNE 2011

Tytuł oryginału:

TALL BONES

Copyright © Anna Bailey 2021

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Małgorzata Stefaniuk 2022

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki: © Beci Kelly/TW

Zdjęcia na okładce: © Getty (front), Ioana Cristiana/Unsplash.com (tył i skrzydełka)

ISBN 978-83-8215-926-4



Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Rek

woblink

woblink.com

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51

Podziękowania

Mojej mamie Jane

1

Ryk płomieni ogniska trudno odróżnić od odgłosów wydawanych przez chłopców z osiedla przyczep i dziewczyn ze szkoły, którzy krzyczą i tańczą w cieniu Tall Bones. To taka małomiasteczkowa nocna impreza – ostatnia, jaką Whistling Ridge zobaczy przez wiele lat, choć nikt jeszcze o tym nie wie – w dziurze z rodzaju tych, gdzie kojoty żują porzucone pety, a bandy chłopaków chodzą wyć do księżyca.

Na skraju lasu Abigail Blake odwraca się i uśmiecha. Taki jej obraz pozostanie w pamięci Emmy na długo po tym, jak pozostali upiją się i wrócą do domu: smukła i blada jak promień księżyca, rozwiane rude włosy, lekko kręcące się w wilgotnym powietrzu, dłonie schowane głęboko w rękawach, stojąca na czubkach palców, jakby w każdej chwili miała rzucić się do ucieczki.

– Nic mi nie będzie – zapewnia. Ale oczy ją zdradzają, strzela nimi w stronę lasu. Jest dopiero początek września, lecz w górach jesień przychodzi szybciej i wczesny wieczór zdążył już zakraść się nad sosny; ich matowe cienie przełamuje tylko snop światła z latarki.

– Dobra, tylko jak wrócisz do domu? – pyta Emma i widzi, że na czole przyjaciółki pojawia się małe wgłębienie, dokładnie takiego kształtu i wielkości jak opuszka.

– Em. – Abigail wygląda tak, jakby musiała sobie przypomnieć, że powinna znowu się uśmiechnąć. – Po prostu wezwę taksówkę. Coś wymyślę. Serio, jest dobrze. – Ogląda się za siebie, na kołyszące się między drzewami światło i niewyraźną postać chłopaka.

Emma podąża za jej spojrzeniem, ale jest zbyt ciemno, żeby mogła cokolwiek zobaczyć wyraźnie.

– Myślę, że nie powinnaś iść – mówi.

Uśmiech jej przyjaciółki jest tak napięty, że musi boleć.

– To tylko zabawa, Em. Poważnie, nie masz się o co martwić.

Ale Emma się martwi. Nie jest wysoka jak Abigail, nie ma tej przerwy między udami, takiej, o jakiej marzą wszystkie nastolatki; jedyną rzeczą, jaką kiedykolwiek dał jej ojciec, jest jego latynoska cera, z powodu której była prześladowana przez całą szkołę; nie jest typem dziewczyny, którą chłopcy proszą, by poszła z nimi do lasu, więc co ona może o tym wiedzieć? Mimo to, patrząc w ciemność, kręci głową.

– Zaczekam tu na ciebie.

– Nie. – Abigail nabiera głęboko powietrza i znów się uśmiecha, stanowczo. Pachnie swoją truskawkową pomadką. – Wyluzuj, Em, daj mi trochę pożycz, dobra? Nic mi nie grozi. Przysięgam.

Abigail Blake ma siedemnaście lat i jak wszystkie dziewczęta w jej wieku wierzy, że będzie żyła wiecznie. W głębi serca Emma też w to wierzy i dlatego zostawia przyjaciółkę tam, gdzie podeptana trawa graniczy z drzewami, i przemykając chyłkiem obok Tall Bones, wraca do swojego samochodu. Ognisko w oddali wciąż buzuje, jego blask ślizga się po powierzchni wysokich białych skał; imprezowicze, wiwatując, zgniatają puszki po piwie i rzucają je do ogniska, a potem, gdy płomienie z głośnym sykiem wzbijają się w noc, wyją z zachwytu.

Emma nie ogląda się za siebie. Gdyby to zrobiła, może zobaczyłaby, że jej przyjaciółka się waha: stoi z wyciągniętą ręką, jakby nie spodziewała się, że Emma jednak odejdzie.

Z drugiej strony ogniska Abigail obserwuje młody mężczyzna. Ma lekko złowieszcze zawadiackie spojrzenie, które sprawia, że Emma czuje się, jakby drżała z zimna, mimo że tak nie jest. Widywała już tego chłopaka, ale zna go tylko z widzenia; kręci się na obrzeżach miasta od początku wiosny. Profil ma tak ostry,

że mógłby nim dzielić kokę, ciemne włosy ocierają się o kołnierz znoszonej skórzanej kurtki; w ruchu jego bioder, sposobie, w jaki wysuwa podbródek, jest coś, co nasuwa myśl, że w poprzednim wcieleniu mógł być rozbójnikiem. Wieczorny deszcz ograbił dzień z ciepła i teraz dym z papierosa, który ulatuje z ust chłopaka, unosi się w chłodnym powietrzu jak burzowe chmury wokół górskich szczytów. Ale kiedy Emma ponownie spogląda w jego stronę, już go nie ma.

• • •

– Gdzie byłeś? – Dolly Blake gasi papierosa, gdy jej starszy syn próbuje zamknąć za sobą cicho drzwi frontowe.

– Nigdzie.

Gdy chłopak wyłania się z mroku przedpokoju, Dolly na chwilę się spina, bo w szczupłej, smukłej sylwetce syna widzi męża. Z daleka często są ze sobą myleni – takie same ocieplane koszule w kratę, identyczny błysk rudych włosów, równie wysoko uniesione ramiona, jakby obawiali się, że ktoś może ponad nimi zobaczyć coś, czego nie powinien. Ale choć w wieku dwudziestu dwóch lat Noah jest już mężczyzną, to jego twarz zachowuje łagodne rysy młodości, które jego ojciec, Samuel Blake, dawno temu zamienił na krzaczastą brodę i zniszczoną od długich godzin przy zwózce drzewa skórę.

Dolly oddycha z ulgą.

– Masz szczęście, że ojciec wcześniej się położył – rzuca. – Co z twoimi dzinsami? Dlaczego są takie brudne?

– Nie twój interes.

Nad chłopakiem wisi na ścianie wysadzany ozdobnymi kamieniami duży krzyż, który prawie ćwierć wieku temu Dolly dostała od teściowej w prezencie ślubnym. Wie, że za krzyżem jest dziura, w miejscu, gdzie kiedyś Samuel przebił tynk pięścią.

– Tylko nie tym tonem, młody człowieku – obrusza się Dolly, nie patrzy jednak na syna, tylko na krzyż. – Nie obchodzi mnie, ile masz lat. Dopóki mieszkasz pod

tym dachem, masz być w domu na czas i zwracać się do matki z większym szacunkiem.

– Abigail nigdy tak nie maglujesz. – Syn obchodzi ją na tych swoich długich zabłoconych nogach i idąc na górę do swojego pokoju, wystukuje na schodach znajome twarde staccato.

Dolly wzdycha i wbija paznokcie w skórę głowy. Chciałaby, żeby syn nie był tym członkiem rodziny, przy którym traci panowanie nad sobą, ale wie, że czasami musi je tracić. W przeciwnym razie pewnego dnia mogłaby po prostu pęknąć.

• • •

Emma włącza w samochodzie radio, ale ponieważ jasnowidz, który właśnie ma nocną audycję, nie mówi nic o nadchodzących wydarzeniach, dziewczyna nie myśli więcej o Abigail i odjeżdża. Kałuże na drodze są żółte w blasku reflektorów, a wydobywający się z kratek wentylacyjnych zapach mokrego asfaltu przywodzi jej na myśl kredki woskowe. Emma dobrze zna tę trasę, nawet w nocy. Po obu stronach strome zbocza są porośnięte lasami iglastymi, pnącymi się aż po niewyraźne szczyty, gdzie drzewa karłowacieją, a wyżej zupełnie zanikają.

Jakieś półtora kilometra dalej ciągnąca się wzdłuż łuku drogi linia drzew urywa się. Tutejsze sosny zainfekował kornik drukarz i ogromne połacie lasu są teraz szare i wyłysiałe. W świetle dnia poprzez cienkie i martwe gałęzie można dostrzec poczerniałe szczątki starego domu Winslowów, ponad sto lat temu strawionego przez ogień. Zazwyczaj przez puste okna można zajrzeć aż na drugą stronę ruiny i choć Emma wie, że w ciemności nie będzie w stanie nic zobaczyć, gdy przejeżdża obok, z przyzwyczajenia zerka na dom.

I widzi jakieś światło.

Coś migocze za starą ramą okienną. Emma zwalnia, lecz snop światła pochyła się nagle, po czym gaśnie.

Kiedy w przyszłości w końcu będzie przesłuchiwana, opowie o tym policji, wyłuskując z pamięci te ostatnie cenne szczegóły dotyczące Abigail.

• • •

Ognisko wygasło i poczerniały krąg, który po nim został, wyglądała jak miejsce, gdzie mogło wylądować UFO. Tall Bones są milczącymi sylwetkami na tle nocnego nieba osrebrzonego blaskiem księżyca. Imprezowicze rozeszli się – jedni poszli szosą w kierunku osiedla przyczep należącego do Jerry’ego Maddoxa, inni powciskali się do samochodów przyjaciół i wrócili do domów przez las – w pobliżu nie ma więc nikogo, kto słyszałby wystrzał.

Nazajutrz jest niedziela i Blake’owie nie mogą sobie jeszcze wyobrazić, że w kościele będą siedzieć tam gdzie zawsze, w rzędzie składanych plastikowych krzeseł, bez Abigail. Nazajutrz jest niedziela i Emma ma rozjaśnić przyjaciółce włosy, bo Abigail ma już dość bycia rudą, choć wie, że rodzice powiedzą, że w blondzie wygląda tandetnie. Jutro jest niedziela, a Emma leży bezsennie i wsłuchując się w zawodzenie kojotów, myśli, że chciałaby być jednym z nich. Rano zajrzy do swojego telefonu i nie znajdzie w nim żadnej wiadomości od Abigail, potwierdzającej, że bezpiecznie dotarła do domu. Spojrzenie Emmy zatrzyma się na stojącym na komodzie nieotwartym opakowaniu farby do włosów i jakimś sposobem będzie wiedziała.

Pod koniec tygodnia twarz Abigail będzie się pusto uśmiechać z setek ulotek przyklejonych do słupów telefonicznych i kościelnych tablic ogłoszeniowych. Rogi ulotek, podrywane ciągnącym od Gór Skalistych wiatrem, będą głośno łopotać. Samuel Blake uda się z policją do lasu i pośród drzew będzie wykrzykiwać imię córki. Noah będzie spierał płamy ze spodni tak długo i tak energicznie, że zejdzie mu skóra z palców, a Emma schowa pod łóżko opakowanie z farbą do włosów. Dolly, ćmiąca papierosa za papierosem, będzie wpijać palce w łuszczącą się skórę głowy i wpatrywać się w zakrywający dziurę w ścianie wielki krzyż, bojąc się, że teraz wszystkie najgorsze rzeczy wyjdą na jaw.

2

– Nie ruszaj się, Jude. – Dolly chwyta młodszego syna za podbródek i nakłada korektor na siniaka wokół oka. Chłopiec krzywi się, ale ona tylko kręci głową i chwyta go mocniej; jej palec wskazujący i kciuk wbijają się głęboko w skórę Jude’a. – Możesz mieć pretensje jedynie do samego siebie. Wiesz, jaki jest ojciec, kiedy się go wcześniej obudzi.

Samuelowi nie spodoba się ten makijaż. Żaden mój syn nie będzie się malował, powie. W wieku sześćdziesięciu dwóch lat jest wystarczająco stary, by być jej ojcem, i może dlatego to, co mówi mąż, Dolly wykonuje bez pytania. Ale dzisiaj będzie inaczej. Makijaż nie będzie mu się podobał, lecz będzie wolał to, niż żeby wszyscy w kościele gapili się i szeptali zza swoich Biblii. Nic dziwnego, że to się stało w takim domu, będą mówili. Nic dziwnego, że ich córka nie żyje.

Nie żyje. Ostatnio Dolly usłyszała te słowa w Safewayu, wymamrotane w alejce z mrożonkami. Pan Wen ze sklepu monopolowego i Carla Patterson, która uczyła Abigail w drugiej klasie, wymawiali je cicho w szumie jarzeniówek i lodówek, w nadziei że może nikt ich nie usłyszy. Przynajmniej byli na tyle przyzwoici, że spieszyli się, kiedy ją zobaczyli, wyłaniając się zza sklepowego regału z pustym wózkiem na zakupy. Dolly nie odezwała się, jak zwykle zresztą, może dlatego, że nie była pewna, jak się po tym poczuje.

Nie żyje. Martwa. Brzmiało to jak kropka na końcu zdania. Wyobraziła sobie, że wysyła telegram i zastępuje wszystkie kropki słowem „martwa”. *Abigail nic się nie stało martwa Abigail wróci martwa...* Wtedy od zaginięcia córki minął zaledwie tydzień, ale dla Dolly czas był czymś dziwnym i długim, jakby ktoś

rozciągał go jak masę na ciagutki na maszynie, jakie czasami widuje się w witrynach sklepów ze słodyczami.

Teraz minęły dokładnie dwa tygodnie i prawie codziennie chodziła do Safeway, właściwie wyłącznie po to, by móc oprzeć się na rączce wózka i pozwolić mu ciągnąć się za sobą. Krążenie po alejkach daje jej jakieś zajęcie. Ma dzięki temu co robić. Nie chce być jak te kobiety z filmów, które szaleją, siedząc w domu i czekając na telefon. A czas wciąż płynie. To nie może się tak skończyć, myśli Dolly.

W łazience Jude wydyma dolną wargę, czego nauczył się od starszego brata, chociaż pod każdym innym względem są jak ogień i woda. Dzieli ich dziesięć lat, Jude jest drobny tam, gdzie Noah ma szerokie ramiona; ciemnowłosa i spokojny, dość schludny, podczas gdy jego bratu brud tego miasta wrósł w linie papilarne. No i oczywiście jest jeszcze noga Jude'a. Roztrzaskana kość, zniekształcona, uderzona zbyt mocno jak rozgrzany metal na kowadle kowala. Dwunastoletni chłopiec nie powinien chodzić o lasce.

Dolly nakłada kolejną warstwę korektora na opuchlizną wokół oka syna, ale unika jego wzroku. Biedny nieplanowany Jude, od którego próbowała uciec, przesiadując w wannie, aż gorąca woda robiła się zimna i brudna, i wypijając dwie trzecie butelki ginu z barku męża, zanim zwymiotowała. Okrutny żart Pana, myślała wtedy, że sprowadził kolejne dziecko do tego domu. Nadal się zastanawia, czy nie miała racji.

– I już – rzuca, cofając się o krok, by ocenić swoje dzieło. Opuchlizna będzie schodzić kilka dni, ale przynajmniej udało jej się zneutralizować rzucającą się w oczy czerwień pozostawioną przez rękę jej męża.

– Naprawdę muszę iść do kościoła? – Jude nachyla się do lustra w szarej ramce; jego palce krążą wokół oka, jakby koniecznie chciał dotknąć siniaka i upewnić się, że pod nim to wciąż on. – Nie chcę tam iść. Wszyscy będą się na nas patrzeć.

Oczywiście, że będą na nas patrzeć, myśli Dolly. Pozostali Blake'owie spędzili ostatnie dwie niedziele na wlewaniu w siebie lone stara, puszcza za puszcza, albo na

włóczeniu się po sklepowych alejkach, albo na leżeniu w łóżku w środku dnia i wsłuchiwaniu się w rytmiczne klikanie wiatraka sufitowego. (Dolly nie wie, co robił Noah, ale zauważyła, że częściej niż zwykle ogląda się przez ramię). Wczoraj jednak pastor Lewis przydybał ją w momencie, gdy udawała, że czyta składniki na torebce z krojonym pieczywem. Powiadomił ją, że Pierwszy Kościół Baptystów w Whistling Ridge w najbliższą niedzielę odprawi specjalne nabożeństwo, podczas którego członkowie wspólnoty będą mogli zadedykować swoje modlitwy Abigail i rodzinie Blake'ów, i wszyscy na pewno chętnie ich tam zobaczą. Dolly była zaskoczona, że pastorowi tak łatwo przychodziło stać przed nią i łączyć w żywe oczy, bo przecież oboje doskonale wiedzieli, co członkowie wspólnoty o nich myślą. Ale jego słowa nie były prośbą, niezależnie od tego, ile razy uśmiechał się i poklepywał ją po ramieniu.

Można się modlić lub być obiektem modlitw, myśli teraz Dolly. I być może właśnie to poczucie konieczności wyboru między aktywnością a pasywnością sprawia, że jest tak zdeterminowana, by pójść do kościoła. Próbuje wyjaśnić to Jude'owi, on jednak tylko przygryza dolną wargę i patrzy nadąsany w podłogę.

– Może Abi uciekła, bo nie chciała już chodzić do kościoła – odzywa się po chwili i jego głos ocieka taką pogardą, że matka czuje, że też mogłaby mu przyłożyć.

Dolly odwraca się i szuka w kieszeni papierosa. Ręce swędzą ją od chęci złamania czegoś – złam więc siebie, a nie Jude'a. W końcu, jeśli ktoś tu jest winien...

– Abigail nie uciekła – mówi i syn musi jej wierzyć, bo jest jego matką. Abigail nigdy by nie uciekła, nigdy by jej tak po prostu nie zostawiła, bez względu na to, co o tym myśli policja. Ale palce Dolly drżą, gdy powstrzymując się przed powiedzeniem czegoś więcej, wkłada papierosa do ust. Jeśli córka nie uciekła, to co się z nią stało? Słyszy to znowu, w monosylabycznym kliknięciu zapalniczki: *Martwa.*

• • •

To wszystko jej wina. Tak właśnie mówią w szkole. Korytarze śmierdzą linoleum i środkami czystości; Emma wciska się głęboko w kąt łazienki dla dziewcząt i próbując zagłuszyć echo ich głosów, wlewa w siebie whiskey z „małpek” trzymanyh przez jej matkę na wycieczki, na które nigdy się nie wybierają.

- Możesz uwierzyć, że Emma Alvarez tak po prostu ją tam zostawiła?
- O mój Boże, myślisz, że to dlatego Abigail została porwana?
- Nikt jej nie porwał. Uciekła z chłopakiem... z tym Cyganem.
- Z nim nie uciekła. W zeszłym tygodniu widziałam go w barze.
- Taaa... słyszałam, że pożarły ją kojoty.
- Nigdy nie zostawiłabym przyjaciółki, żeby pożarły ją kojoty.

Od tuszu do rzęs łyż Emmy stają się czarne; żeby nikt nie słyszał jej szlochu, wtyka sobie do ust knykcie palców.

Tydzień po imprezie przy Tall Bones dyrektor szkoły, Handel, organizuje w sali gimnastycznej specjalne zebranie, na którym prosi uczniów liceum i gimnazjum, aby zachowali Abigail w myślach i modlitwach i okazali wsparcie jej rodzinie oraz przyjaciołom. Mały Jude Blake przygryza dolną wargę i wciska głowę w kołnierzyk koszuli, jakby miał nadzieję, że dzięki temu nikt go nie zauważy. Emma przygląda się temu wszystkiemu przymrużonymi, zamglonymi oczami i myśli: No proszę, jesteśmy tu – rodzina Abigail i jej przyjaciółka. Poza nimi nie ma nikogo innego, kto pamięta widok plam z trawy na skarpetkach Abi, gdy latem przesiadywała na starej kanapie na podwórku Blake’ów; nikogo, kto pamięta odpisywanie od siebie nawzajem prac domowych i jedzenie cukierków, od których języki robiły się niebieskie. Nikogo, kto słyszał, jak trzynastoletnia Abigail oświadczyła: „Zostanę artystką”. Emma prychnęła na to i z drwiną zapytała: „Co, w Whistling Ridge?”. Abi odpowiedziała, że nie, nie ma mowy, złapie autobus do Denver i ani razu nie obejrzy się za siebie. W tamtym czasie wydawało się to bardzo imponujące. Abi była jak z jakiegoś filmu. A potem spojrzała na Emmę szeroko otwartymi oczami i dodała: „Pojedziesz ze mną, prawda?”.

Emma wychyla w łazience kolejną „małpkę” i po powrocie do domu wymiotuje.

•••

Tej nocy Emmie śni się wataha wyjących pośród drzew kojotów. Rozjeżdża je samochodem, ich krew oblepia opony. Potem rozjaśnia włosy Abigail; siedzą w oparach drażniącego nozdrza amoniaku i popijają bourbona z barku Samuela Blake’a. „Szczypie, szczypie”, powtarza Abigail, choć może mówi to bezgłośnie albo te słowa rozbrzmiewają tylko w głowie Emmy. Abi ją całuje, zalewając krwią jej usta, klatkę piersiową, ramiona, dłonie...

Kiedy Emma się budzi, dopiero świta. Góry są ciemne i parują po świeżym wrześnieowym deszczu, a ona czuje smród własnych zaschniętych wymiocin. Owija się kocem, przekrada cicho do łazienki i myje ręce, raz za razem, aż są tak zimne od wody, że prawie ich nie czuje. Matka musiała usłyszeć wodę płynącą z kranu, bo wchodzi i bez słowa otacza ją ramionami. Gdy w końcu Emma przestaje drzeć, idą do łóżka Melissy i ta głaszcze Emmę po włosach, aż obie zasypiają – matka i córka, wygięte jak dziwne runy na tle pościeli. Następnego dnia rano Melissa wylewa cały alkohol, jaki udaje jej się znaleźć, żadna jednak o tym nie wspomina. Babka Emmy mawiała, że ludzie mieszkający w szklanych domach nie powinni rzucać kamieniami, a Melissa przedwcześnie zestarzała się z powodu poczucia winy, że wyszła za mąż za mężczyznę, który nie potrafił kochać jej na tyle, by z nią zostać – a przynajmniej tak twierdzi.

Przed zniknięciem Abi, przed piciem, Emma nigdy nie zdawała sobie sprawy, jak wiele decyzji musi podejmować, by przebrnąć przez dzień. Czy ma zjeść śniadanie? Jechać do szkoły samochodem czy autobusem? Obok kogo usiąść w czasie lunchu? Kto będzie najmniej skłonny patrzeć na mnie tak, jakbym była gumą przyklejoną do spodu ławki? Ale rozpoczęcie dnia od drinka oznacza, że do podjęcia zostaje tylko jedna decyzja: Czy pić dalej? Potem wszystko inne układa się samo. Dziewczyna wie, że mama chce dobrze, lecz dobre intencje nie wystarczą, żeby Emma przestała płakać w łazience dla dziewcząt. Do przerwy

świętecznej jest jeszcze kilka miesięcy i nie jest pewna, czy zdoła do tego czasu podejmować te wszystkie decyzje, które będzie musiała podjąć.

Emma wie – po prostu wie – że najgorsze byłoby, jeśli Abigail by nie żyła. Ludzie w szkole mówią, że uciekła, i dodają, że nikt nie mógłby jej o to winić. Kiedy Emma to słyszy, czuje się tak, jakby ktoś dźgnął ją nożem w brzuch, robiąc wielką dziurę w jej wnętrznościach. Abi nie odeszłaby tak po prostu, nic nie mówiąc. Nie złapałaby autobusu do Denver, nie wspomniawszy o tym wcześniej ani słowem. Dziesięcioletniej przyjaźni nie porzuca się w ten sposób, nie i już. Ale czy w takim razie byłoby lepiej, gdyby Abigail nie żyła?

Rano, po wyjściu matki do przychodni, w której pracuje jako miejscowy lekarz rodzinny, Emma nie idzie do szkoły. Idzie do sklepu monopolowego pana Wena i pod kurtkę wpycha butelkę Jacka Danielsa. Już prawie z nią wychodzi, gdy widzi, że na parkingu stoi młody mężczyzna w skórzanej kurtce i szczyrzy do niej zębami, wszystkie równiutkie, jakby na śniadanie jadał noże. Coś w nim wygląda znajomo i to wrażenie wydaje się chwytać Emmę za kark. Dziewczyna prostuje się tak, że wyslizguje się jej butelka.

Pan Wen ma dobrotliwą twarz, pomarszczoną jak lampion z papieru, i mówi, że tym razem nie wniesie oskarżenia, chociaż każe jej zapłacić za stłuczony alkohol. Przygląda się jej, zauważa rozmazany tusz do rzęs, spuchnięte oczy, obgryzione paznokcie i mamrocze, że ma nadzieję, że Emma wkrótce poczuje się lepiej. Ona wie – pan Wen nie musi jej tego mówić – że ten człowiek rozumie, jak to jest być innym w tym kraju. Sama ta myśl – to poczucie kruchej solidarności – sprawia, że znowu chce się jej wybuchnąć płaczem, i aby uspokoić przyspieszony oddech, opiera się na parkingu o samochód.

– Hej, wszystko w porządku?

Spogląda w górę i odkrywa, że przygląda się jej ten koleś w skórzanej kurtce. Z przechyloną głową, włosami powiewającymi na wietrze jak pióra, wygląda jak wielka wrona. Emma przełyka ślinę i kiwając głową, stara się nie przewracać zbyt często oczami.

– Nie mam dowodu. – Nienawidzi tego, jak cicho brzmi jej głos, zagłuszany dodatkowo hukiem ruchu na głównej ulicy.

– Kupię ci – rzuca chłopak; jego akcent brzmi z lekka wschodnioeuropejsko. – Możemy wypić razem.

Emma przeczesuje dłonią włosy i tłusty nalot, który zostaje jej na palcach, przyprawia ją o mdłości. Za kilka lat koledzy ze studiów powiedzą jej, żeby nie przyjmowała darmowych drinków od nieznajomych mężczyzn. Nawet teraz w jej głowie pobrzmiwają stare powiedzenia: nic nigdy nie jest za darmo, wszystko ma swoją cenę. Ale w tej chwili nie ma dla niej nic piękniejszego od światła przefiltrowanego przez brązowe od whiskey szkło. Jeśli dostanie butelkę do ręki, może zapomni o tym uczuciu ze snu z ostatniej nocy.

Pociąga głośno nosem.

– Dobra, pewnie. – Wszystko ma swoją cenę, ale Emma nie potrafi jeszcze wyobrazić sobie prawdziwego kosztu tej jednej butelki whiskey. Żadne z nich nie potrafi.

3

Przedtem

Miesiąc przed jej zniknięciem Noah i Abigail jadą nad rzekę. Noah nie pamięta, żeby zapraszał siostrę na tę wyprawę, ale ona zabiera swoje wielkie okulary przeciwsłoneczne gwiazdy filmowej i bez słowa wychodzi za nim z domu.

Jadą wśród pól parnego sierpnia. W cieniu drzew odpoczywają zmęczeni turyści, obok dzieciaki tarzają się w trawie koloru zębów starego człowieka. Klimatyzacja w samochodzie jest zepsuta, przez co oboje mają wrażenie, że ich płuca wypełnia mokra wełna, boją się jednak otworzyć okna, bo do środka wpadłyby owady i skończyłoby się na drapaniu się do krwi. Abigail siedzi w milczeniu, jej twarz do połowy zasłaniają duże okulary. Noah nie może stwierdzić, czy siostra patrzy na niego, czy nie.

Wybiera odcinek rzeki poza miastem, po jego południowej stronie, gdzie zwykle nie ma turystów, bo malownicze widoki zasłaniają tam strome skalne ściany. Brat i siostra schodzą na brzeg, nie odzywając się do siebie; sosnowe igły wbijają się w ich gołe stopy, nisko wiszące gałęzie smagają im policzki. Upał wydaje się arogancki, jakby był tu tak długo, że nie wyobraża sobie, że może zostać wypchnięty przez jesień. Na płyciźnie Noah i Abigail leżą na plecach w pełni ubrani, tak jak kiedyś, gdy byli dziećmi, i błogo zimna od górskich strumieni woda prześlizguje się po ich ciałach. W górze w tę i we w tę szybują nasycone nektarem kolibry, gdzieś spomiędzy drzew dobiega skrzekliwe nawoływanie sójki błękitnej. W końcu Abigail przerywa ciszę.

– W tym roku skończyłbyś studia.

Noah wie, że siostra patrzy na niego, mimo to nadal wpatruje się w niebo przez gałęzie.

– Czy ty kiedykolwiek nam wybaczysz? – pyta dziewczyna.

Za bardzo przyzwyczałaś się do wybaczenia, ma ochotę odpowiedzieć jej brat. Nie jest Bogiem. Nie ma obowiązku wybaczać Abi tylko dlatego, że o to prosi.

– W przyszłym roku sama pójdziesz na studia – mówi. – Wtedy nie będzie cię obchodziło, co myślę. Znajdziesz nowych przyjaciół, poznasz nowe miejsca, zapomnisz, że kiedykolwiek byłem na ciebie zły.

Przez chwilę Abi milczy, ale Noah wie, co myśli: Nie znajdę nowych przyjaciół, my nie zawieramy nowych przyjaźni.

Kiedy w końcu siostra się odzywa, brzmi to tak, jakby zbierało jej się na śmiech.

– Jeszcze rok? Chyba zwariuję, jeśli będę musiała czekać kolejny rok. – To nie jest dobry rodzaj śmiechu.

Noaha przechodzi dreszcz i wie, że to nie tylko chłód rzeki.

– Nie – dodaje Abigail. – To oczywiste, że nadal jesteś wściekły. Też bym była, gdybym przez ciebie straciła szansę na urwanie się stąd. Pewnie bym cię za to zatłukła.

Noah wzdycha.

– Czego ty ode mnie chcesz, Abi?

– Tylko tego, żebyś coś zrobił. Przez cztery lata nie wspomniałeś o tym nawet jednym słowem, a ja już tak dłużej nie mogę. Jeśli nie zamierzasz mi wybaczyć, to może po prostu naprawdę powinieneś mnie stłuc.

– Abi...

Dziewczyna się podnosi. Jej letnia sukienka jest ciężka od wody i przylega do ciała. Noah unikał jej od tak dawna, że nie zauważył, że jego młodsza siostra stała się kobietą. Szybko odwraca wzrok, a ona się śmieje.

– Jestem jedyną kobietą, którą kiedykolwiek naprawdę widziałeś, co? Biedak.

Noah siada zbyt szybko i woda ześlizguje się z jego klatki piersiowej jak coś stałego. Przypomina mu to jego chrzest, gdy pastor Lewis zanurzył go w chrzcielnicy.

Abigail uśmiecha się szyderczo.

– Biedny, biedny Noah. Nie mógł namówić Chrissy Dukes, żeby przeszła z nim do pierwszej bazy, nie mógł namówić na bzykanko Sabriny McArthur, nawet Erin Broadstreet nie chciała trzymać cię za rękę podczas jasełek.

– Zamknij się.

Abi kopie wodę, pryskając mu nią w twarz.

– Tak jest, wyrzuc to z siebie. – Kilka ptaków, wystraszonych jej głosem, zrywa się z drzew; łopotanie ich skrzydeł brzmi jak odgłos kroków kogoś, kto ucieka. – Coś jest z tobą nie tak, prawda?

Woda z włosów spływa mu do oczu, nie widzi siostry, ale aż go swędzi, żeby uciszyć to szyderstwo w jej głosie.

– Ty i tak nie poszedłbyś nigdy na studia, bo dobrze wiesz, że coś jest z tobą nie tak. Pamiętam, Noah. To dlatego nie masz przyjaciół. To dlatego nie możesz utrzymać dziewczyny. To dlatego mama i tata cię nie kochają.

– Zamknij się!

Rzuca się na nią na oślep, uderzając kością policzkową w jej łokieć, ale nagły ból jest przyjemny. Wpadają z hukiem z powrotem do wody; Abigail walczy z nim, ale jest wyższy i silniejszy i trzyma ją nieruchomo w miejscu. Mijają sekundy. Rzeka bulgocze nad jej głową, jakby Abigail była tylko kolejnym kamieniem na dnie. Kojący szum wody pomaga mu ustabilizować oddech, pomaga zrozumieć, co zrobił. Trzyma Abigail za ramiona, jej głowa jest pod wodą. Siostra patrzy na niego i jej usta wyginają się w leciutkim uśmiechu, ale nie rusza się ani nie mruga.

Przez krótką chwilę Noah myśli, że może nie żyje, i jego umysł pędzi ku przyszłości, w której to jego buty zajmują całą podłogę w przedpokoju, to jego dyplom z uczelni wisi na ścianie zamiast prac plastycznych Abi z suchego makaronu. To jemu pierwszemu matka mówi „Dobranoc”, a ojciec nie ma wyboru:

musi trzymać jego dłoń, kiedy modlą się przed kolacją. To o jego dzień pytają, a na kanapie, zamiast czasopism Abi, leżą jego Steinbeck i Vonnegut, i to jego włosy zatykają odpływ w wannie. Oczywiście w głębi serca Noah wie, że nieobecność siostry niczego nie zmieni, że przestrzeń, którą rodzice stworzyli dla niej, a której nie mają dla synów, szybko wypełniłaby się ich smutkiem, a on znów musiałby rozpląnąć się w tle. Noah to wie i dlatego puszcza Abi, po czym podnosi rękę, jakby się poddawał, jakby się spodziewał, że zostanie zatrzymany.

Kiedy siostra siada, przeciera oczy i bierze głębokie oddechy, od których drży całe jej ciało, zalewa go uczucie ulgi. Abi patrzy na niego, on patrzy na nią i rozumie: to ona trzyma ich wszystkich razem.

W drodze do domu nie rozmawiają. Nie rozmawiają o tym dniu nigdy więcej. Po prostu siedzą, a na podłodze pick-upa tworzą się małe kałuże ze ściekającej z ich ciał wody chrzcielnej.

Teraz

Pierwszy Kościół Baptistyczny w Whistling Ridge z jego białą wieżyczką z włókna szklanego na szczycie przypomina ośrodek sportu i rekreacji. Noah wie, że tak wygląda większość kościołów w okolicy, ale wie też, że na Wschodnim Wybrzeżu są ogromne gotyckie kościoły zbudowane z ciężkiego kamienia, tak okazałe jak sam Bóg. Bóg, jeśli zrobiony jest z czegokolwiek, powinien być z kamienia, myśli. W tym kraju jednak robi się go ze styropianu, pachnie jak asfalt i smakuje jak frytki. Bóg to parking dla ciężarówek albo billboard. Ciosanie go z kamienia nie miałyby sensu, bo kamień jest stworzony do tego, by trwał, a tutaj Bóg jest kształtowany ciągle od nowa, tak by pasował.

Blake'owie, wjeżdżając na parking kościelny, mijają dużą tablicę ledową na froncie, na której – jak specjalna oferta w drive-through – jest wypisany plan nabożeństw. Noah opiera się o samochód i gapi na czarne nierówne litery, podczas gdy za nim matka pomaga Jude'owi wysiąść z tylnego siedzenia, a ojciec spluwa

na trawę. *Zwykłe nabożeństwo od 9 do 11 rano w każdą niedzielę. Czy ktoś jeszcze oddał życie za twoje grzechy?*

Noah zastanawia się nad tym.

Na parkingu zbiera się coraz więcej samochodów, ludzie wysiadają z nich bez pośpiechu, rzucając przeciągłe spojrzenia na Blake'ów. Na Samuela – figurkę GI Joe – z cieniami wietnamskiej dżungli w szarych oczach i przygarbionych plecach. Na Dolly z włosami o rozdwojonych końcówkach, poplamionymi nikotyną palcami i nierówno zdartymi obcasami w jej najlepszych butach, przez co wydaje się ciągle przechylać, niczym drzewo szarpane przez wiatr. I na Noaha, ubranego w dżinsowe i sztruksowe ciuchy, który mógłby być przystojny jak sam Marlon Brando, gdyby nie popękane usta i krzywy nos, i to samo zaszczute spojrzenie co u ojca. Jest tam też mały Jude ze starczym chodem i za długimi rękawami odziedziczonej po bracie flanelowej koszuli, skrywającymi tyle tajemnic. Ale gdzie jest Abigail? To jest właśnie to, co wszyscy chcą wiedzieć, i łudząc się, że może zdołają wyczytać z Blake'ów tę prawdę, kiedy mijają ich, wpatrują się w nich intensywnie.

Noah dobrze wie, że to właśnie dlatego większość z nich zostaje na parkingu. Kręcą się po nim, podają sobie ręce, wymieniają uściski, wirują po betonie jak muchy. Egzystują w dziwnym czyścicu, w którym wielki kryzys lat trzydziestych ubiegłego wieku jest czymś wcale nie tak odległym, za to teraźniejszość jak najbardziej. Zniknięcie jego siostry to dla nich jedynie świeża padlina.

Inercję i gnuśność tłumu rozbija nagły ryk motocykla. Noah spina się i wciska ręce w kieszenie. Po drugiej stronie ulicy, na parkingu restauracji Dairy Queen, Rat Lăcustă zdejmując kask i potrząsa dzikimi czarnymi włosami. Porusza się jak dziwka, której zbliża się termin zapłaty czynszu; wydaje się zupełnie nie przejmować tym, że gdy pochyla się nad motorem, jego kurtka podjeżdża w górę. W reakcji na odsłonięty skrawek jego ciała jest coś pierwotnego. Nastoletnie dziewczyny w odświętnych niedzielnych strojach zagryzają wargi i zerkają na matki, które ośmielają się patrzeć na chłopaka, bo wiedzą, że wkurzą tym mężów.

Nawet Dolly nie może się powstrzymać; przechyla głowę i pyta głosem ciągnącym się jak melasa:

– Czy to nie ten młody człowiek, który mieszka w przyczepie? Ten Cygan?

– On jest Rumunem, nie Romem – prostuje Noah, zajęty zeskrobywaniem o krawężnik zaschłego błota z podeszew swoich najlepszych butów. – I tak się składa, że mieszka w kamperze.

– I nie powinnaś używać słowa „Cygan” – wtrąca się Jude. – Jest obelżywe.

– Nie rozśmieszaj mnie, synu – prycha Samuel i trąca go łokciem, tak że chłopiec lekko się chwieje. – Ech... to młode pokolenie!

Dolly rzuca mężowi ostrzegawcze spojrzenie spod przymrużonych powiek, jakby chciała powiedzieć: „Nie przy ludziach”. Samuel tylko się uśmiecha i kopie żonę mocno w tył jej kostki. Noah widzi, jak matka się potyka i jej policzki zalewa rumieniec wstydu, gdy w obawie, że ktoś mógł to zauważyć, przeszukuje wzrokiem kościelny parking. Ale prawda jest taka, że wszyscy na chwilę zapomnieli o Blake’ach. Ci są przynajmniej z tego miasta, należą do tego kościoła, wyznają tę samą wiarę. Rat – w obcisłych dżinsach i z tym dziwnie brzmiącym nieznanym akcentem – to obcy. Jest jak pocisk, który wdarł się do miasta i nie pozostawił jeszcze rany wylotowej. Ludzie jeszcze nie zdecydowali, gdzie mają go umiejscowić i jak ustawić się wobec niego, jeśli w ogóle.

Noah mgliście rejestruje, że ojciec mówi: „Chodźcie, wchodzimy”, mimo to nie odrywa wzroku od drugiej strony ulicy. Czuje się, jakby został oblany benzyną i dostał od tego dreszczy z rodzaju tych sprawiających, że kręgosłup wygina się w łuk, a palce stóp podwijają. Rat wtyka sobie papierosa do ust, po czym uśmiecha się do niego, zupełnie jakby obaj wiedzieli coś, o czym nikt inny nie może mieć pojęcia.

4

Hunter Maddox zwalnia i mrużąc oczy, by zobaczyć coś przez strugi deszczu zalewające przednią szybę, wjeżdża na teren osiedla przyczep, którego właścicielem jest jego ojciec. Wieki temu, kiedy Maddoxowie przybyli do Kolorado, teren ten był miejscem pochówków. Teraz stoją tu rzędy obskurnych przyczep z brudnymi firankami w oknach i z dachami pokrytymi postrzępionymi plandekami. Przyczepy wydają się stale kurczyć, jakby gwałtowne górskie wiatry z roku na rok wbijały je coraz głębiej w miękką ziemię. W dni takie jak ten, gdy deszcz leje jak z cebra i podnosi się poziom górskich strumieni, ziemia wciąż potrafi wypluć z siebie stare kości i groty strzał. W takie dni jak ten ludzie z osiedla nie wystawiają nosów z przyczep.

Tym bardziej Hunter jest zdziwiony, gdy dostrzega znajomą postać przedzierającą się przez błoto.

– Znowu ona – mamrocze pod nosem, kręcąc głową.

Obok niego jego ojciec, Jerry, nie odrywa wzroku od telefonu.

– Znowu kto?

– Emma Alvarez. Znowu idzie do kampera tego Cygana.

Jej dzinsy są ochlapane błotem; dziewczyna ciągle się potyka. Możliwe, że z powodu deszczu jest ślisko, ale Hunter widział ją też w szkole, kiedy miała takie samo szkliste spojrzenie. Zbyt wiele popołudni spędził ujarany na ławkach trybun boiska, żeby nie rozpoznać zamroczenia. Czuje ukłucie wyrzutów sumienia i musi odwrócić wzrok.

– Cóż – rzuca jego ojciec. – Nie nasz interes, jak Melissa Alvarez-Jones jakaś tam chce wychowywać swojego mieszańca. – Jerry, który ma szerokie ramiona,

kwadratową szczękę i wojskową fryzurę, jest mężczyzną zajmującym dużo miejsca i nigdy za to nieprzepraszającym; dwa górne guziki jego koszuli są zawsze rozpięte.

Hunter wie, że ma w twarzy wiele z ojca, i jest w wieku, w którym nie jest już pewien, czy mu się to podoba.

– Rzuciłeś okiem na te najnowsze broszury, które zamówiła twoja matka? – pyta Jerry, w końcu na niego spoglądając.

Chłopak krzywi się, patrząc na wycieraczki przesuwające się po przedniej szybie.

– Taaa – kłamie.

– Wiesz, że studia już tuż za progiem. Mnóstwo dobrych miejsc do gry w koszykówkę. Patrzyłeś na Uniwersytet Karoliny Północnej?

– Pewnie. Jeden pies.

– Nie, nie jeden pies, młody człowieku. Jeśli szybko nie weźmiesz się w garść, zmarnujesz sobie życie, skończysz jak ten Rumun na takim śmietniku jak to tutaj.

– Jerry marszczy czoło. – Większość dzieciaków byłaby trochę bardziej wdzięczna... wiesz, za to, że ja i twoja matka nadal pomagamy ci po tym, co zrobiłeś.

Hunter zaciska ręce na kierownicy tak mocno, że bieleją mu knykcie. Obserwuje, jak po dotarciu do kampera Emma puka do drzwi, jak odgarnia z twarzy przemoczone deszczem włosy.

Po tym, co zrobiłem...

Przygryza dolną wargę.

– Tak, tato, jestem naprawdę wdzięczny – odpowiada i myśli: Nie masz pojęcia, co zrobiłem.

• • •

Rat siedzi na stercie wielobarwnych kołder i brzdąka na gitarze swojej babci. Przygnębiające szare światło wpadające przez okno kampera odbija się od wilczego

kła wpiętego w jego lewe ucho. Emma waha się w drzwiach, woda spływa po rękawach jej kurtki na podłogę z porysowanego PCV. Pałące się na blacie kuchennym kadzidełko rozsnuwa w powietrzu białawą mgiełkę.

– Wróciłaś.

Dziewczyna skubie brzeg kurtki.

– Nie masz nic przeciwko?

Rat z szacunkiem odkłada gitarę babci na bok.

– Cóż... nie stój tam tak, *drāgutā**. Zachlapujesz mi podłogę.

– Och. – Emma robi krok do środka. – Przepraszam. – Zdejmuje kurtkę; dzins jest ciężki od wilgoci, ale Emma nie wie, gdzie ją położyć ani co ze sobą zrobić, stoi więc i woda ścieka jej po szyi.

Chłopak kręci głową i posyła jej swój leniwy uśmiech uwodziciela.

– Kiepski poranek? – Podnosi się i idzie do aneksu kuchennego, żeby sięgnąć do szafki, w której, jak Emma wie, trzyma alkohol.

Emma przygląda się, jak jego T-shirt podsuwa się w górę, odsłaniając fragment tatuażu znikającego poniżej linii talii.

– Któregoś dnia załatwię dla ciebie przyzwoitą palinkę – obiecuje Rat. – Ale na razie musimy się zadowolić starym dobrym danielsem.

Dziewczyna nawet nie widzi butelki, czuje tylko, że Rat wciska ją jej do ręki. Odchyła głowę, by whiskey mogła spływać po języku, i przystawiając chłodny brzeg szkła do ust, myśli, że to jej najlepszy pocałunek w życiu.

– Chcesz porozmawiać o tym, co cię gryzie? – pyta Rat.

Nie. Bo to nie było nic wielkiego.

Emma bierze kolejny łyk danielsa.

Zwykła głupota, coś, co wydarzyło się rano – przypomniała sobie dowcip i bez zastanowienia sięgnęła po telefon, żeby napisać do Abigail. Kiedy zdała sobie sprawę, co robi, chwilę jej zajęło, zanim udało jej się wyciszyć odgłos własnego oddechu.

Tęskni za drobnymi włoskami na karku Abi, tymi, które nie trzymały się w kucyku, za szczególnym sposobem, w jaki zdierała podeszwy sportowych butów, za jej truskawkowym zapachem, i zastanawia się, kiedy te małe szczegóły scalą się w większe poczucie braku. Po prostu w tęsknotę za Abigail. Już teraz jej brak wydaje się znajomy, może dlatego, że Emma zaczęła tęsknić za przyjaciółką, jeszcze zanim ta odeszła. Ostatnio Abigail mówiła w czasie przyszłym – o miejscu, do którego Emma nawet teraz nie wie, jak się dostać.

Przynajmniej kiedy pije, wydaje jej się, że czas traci nad nią kontrolę. Gdy pije, czuje, że może mogłaby być o jeden dzień bliżej do... czego? Minęły już dwa tygodnie, a Abigail wciąż nie ma.

Daj mi trochę pożycz. To właśnie powiedziała Abigail.

Emma zwala się na gniazdo uwite z narzut i kołder. Strugi deszczu spływające po szybach wywołują wrażenie, jakby cały kamper się rozpływał. Rat siada obok niej i przekazują sobie butelkę tam i z powrotem. Głowa Emmy wydaje się duża i ciężka; dziewczyna zastanawia się, czy będzie ją jeszcze kiedyś w stanie podnieść albo czy to ją w ogóle obchodzi. Wpatruje się w sufit: w mozaikę eklektycznych nonsensów; Rat na niektóre z nich wskazuje, inne dyskretnie ignoruje. Są tam fragmenty map, głównie Europy; niektóre z nich mają miasta i miasteczka obwiedzione kolorowym pisakiem. Błysk w oczach jego babci i spadziste nachylenie czoła ojca są uwiecznione na zawsze na różnych fotografiach. Pocztówki z Koloseum, kamienne angielskie wioski, rumuńskie zamki z gotyckimi wieżyczkami przeplatają się z pożółkłymi stronami powieści klasycznych, wyrwanymi i przybitymi do sufitu jak martwe motyle.

– Kim ty jesteś? – pyta go Emma.

– Jestem taki jak ty, *drǎgutǎ* – odpowiada Rat, przeciągając palcem po obrzeżu szyjki butelki. – Jestem outsiderem.

Emma zastanawia się nad tym przez chwilę.

– Czy to dlatego pozwalasz mi ze sobą pić?

– Po co tyle pytań?

– Widziałam cię, wiesz. Tamtej nocy przy Tall Bones.

Rat jest tak blisko, że Emma czuje jego ciepło w powietrzu między nimi, wyczuwa lekki zapach dymu papierosowego i kadzidełka, który wniknął w jego ubrania. Tym, co najbardziej zapamiętała o ojcu, były jego nogi, kiedy obok niej przechodził; teraz, przytulona do zalatującego nieświeżością ciepłego ciała Rata, uzmysławia sobie, że to jak dotąd jej najbliższy kontakt fizyczny z mężczyzną. W ciszy słyszy bicie własnego serca, odmierzającego rytm bębnienia deszczu w metalowy dach.

– Wiem – odpowiada w końcu Rat.

Smak alkoholu na języku sprawia, że Emma nabiera odwagi.

– I co? Nie porozmawiamy o tym? Nie, bo nie?

Chłopak wzdycha i wyciąga z kieszeni dzinsów pogniecioną paczkę marlboro.

– Nie mnie o tym mówić.

– Co? – Emma patrzy, jak Rat zapala papierosa, jakby to była zwykła codzienna rozmowa. – Wiesz... – opiera się na łokciu i celuje w niego palcem – z tego, co mówią ludzie, nie masz żadnych bliskich, znajomych, pracy. Nikt nie wie o tobie nic poza tym, co usłyszał od kogoś innego. A ty masz dopiero... ile? Dwadzieścia pięć lat? Dwadzieścia sześć? Myślisz, że w takim miejscu jak to nikt nie zwróci na ciebie uwagi? Pojawiasz się tutaj i kilka miesięcy później znika moja najlepsza przyjaciółka. Naprawdę sądzisz, że ludzie nie będą zadawać pytań?

Rat zaciąga się leniwie papierosem, blask żaru odbija się w pierścionkach na jego palcach.

– Myślę – ciągnie Emma – że może powinieneś jednak przygotować sobie kilka odpowiedzi, na wypadek gdyby zrobiło się nieprzyjemnie.

– A tu zazwyczaj się tak robi?

– Widziałam, jak robiło się dla niektórych. – W tyle jej głowy znowu pojawia się obraz ojca, śniadych, krzepkich ramion, świeżych siniaków, krwi na rozbitym szkle. – Jest tak, jak powiedziałeś: jesteśmy outsiderami, jesteśmy tu obcy.

Chłopak wzdycha, odwraca się do niej twarzą i chwyta ją za ramiona obydwoma rękami. Przez jedną przerażającą chwilę Emma myśli, że zacznie nią potrząsać, ale on nachyla się i całuje ją w czoło.

Nie ma w tym nic romantycznego – pocałunek wydaje się niemal rodzicielski – ale Emmę zatyka.

– Lubię cię – oznajmia rzeczowo Rat. – Lecz coś sobie wyjaśnijmy: jeśli mamy to robić, jeśli zamierzasz tu przychodzić, to pytania muszą się skończyć. Musisz przestać albo cię pogonię, rozumiesz? Mam prawo mieć swoje sekrety, *drăgută*, tak jak ty masz swoje.

Emma patrzy, jak grdyka na jego bladej szyi porusza się, gdy chłopak pociąga długi łyk z butelki. Potem wyciera usta wierzchem dłoni i oddaje jej whiskey.

– Ja nie mam żadnych sekretów – rzuca Emma i myśli, że już samo napotkanie jego wzroku mogłoby ją skaleczyć.

– Owszem, masz.

Rat znowu sięga po gitarę babki, jakby czuł, że musi czymś wypełnić ciszę pozostałą po tym, czego nie powiedzieli.

* *Drăgută* (rum.) – słodka, śliczna.

5

Szeryf Gains wygląda, jakby został wyrzeźbiony z drewna, a potem pozostawiony na deszczu. Nie jest stary – Jude wie, że ma dopiero czterdzieści lat – ale pachnie jak las, żywicą sosnową i dymem drzewnym, i to jakoś sprawia, że wydaje się bardzo, bardzo stary. Stoi w salonie Blake’ów i przekłada zmasakrowaną przez potrzask na niedźwiedzie ręką strony w notatniku, rozdrapując strup na ranie zaginięcia Abigail.

– Poprzednim razem mówiliście, że nie wiedzieliście, że wybierała się pod Tall Bones. – Jego samogłoski mają nosową rozwlekłość charakterystyczną dla mieszkańców Kansas i Jude myśli, że może właśnie dlatego Bóg stworzył go takiego wysokiego. Żeby mógł stać pośrodku pola kukurydzy i nadal widzieć ponad łąkami. – Jesteście, chłopcy, absolutnie tego pewni?

Jude spogląda na starszego brata, a ten tylko wzrusza ramionami; dla zaznaczenia miejsca dwa palce trzyma między kartkami Thomasa Manna, jakby chciał mieć pewność, że w każdej chwili będzie mógł wrócić do tamtego świata. Noah w końcu kiwa głową, więc Jude robi to samo.

– Abigail zwykle nie chodzi na żadne imprezy – dodaje Noah.

Ich ojciec, siedzący na wytartym fotelu, głośno prychnął.

– Chyba już żeśmy o tym rozmawiali, szeryfie.

Twarz Gainsa nic nie zdradza; szeryf ignoruje Samuela i używając łagodnego tonu, ponownie zwraca się do jego synów.

– Wiem, że w zeszłym tygodniu wszyscy byliście w szoku, poza tym czasami trudno jest przypomnieć sobie szczegóły. My tylko sprawdzamy, w razie gdyby

w ostatnich dniach pojawiło się coś nowego. Na przykład... – przewraca kolejną stronę w notatniku – wiecie może, czy miała się na tej imprezie z kimś spotkać?

– Przyjaźni się z tą małą meksykańską dziewczuchą – wtrąca się Samuel. – Ona ciągle łązi za Abi. To ją powinniście przesłuchiwać, nie moich synów.

Jude obserwuje matkę, jak obgryza paznokcie, wpatrując się w oprawiony kwadrat makatki wiszący nad kominkiem, z wyhaftowanym napisem: *Księga Przysłów 14,25: Świadek prawdomówny ratuje ludzi, oszustwo rozszerza kłamstwa**.

– Chodzi o Emmę Alvarez, tak? – upewnia się Gains.

– A o kogo innego? W Whistling Ridge nie ma zbyt wielu Meksykanów.

Twarz Jude'a jest obolała. Minął dopiero dzień, a siniak wokół oka nie zaczął jeszcze blaknąć, mimo to chłopiec żałuje, że matka nie pozwoliła mu pójść do szkoły. Bo choć szkoła jest dla Jude'a Blake'a, syna pijaka, bardzo samotnym miejscem, to każde wydaje się lepsze niż ten dom.

Matka przed przybyciem szeryfa nie zdążyła pomalować go korektorem, ale jej pospieszne wyjaśnienie: „Spadł ze schodów, uwierzylibyście?” wydaje się wystarczające, mimo że to standardowa wymówka. Jeden z towarzyszących Gainsowi zastępców nawet się roześmiał; z drugiej strony, dlaczego miałby tego nie zrobić? Upadek ze schodów? Przecież takie rzeczy zdarzają się jedynie w kreskówkach.

– Rozmawiałem już z panną Alvarez – wyjaśnia szeryf. – Powiedziała, że Abigail poszła do lasu z chłopcem, nie jest jednak pewna, kto to był. Wiecie coś na ten temat? Wiecie, czy Abigail z kimś się spotykała?

Przesuwa wzrokiem po wszystkich po kolei: po siedzących na kanapie chłopcach, ich ojcu na fotelu i matce, która oparta o framugę drzwi, co chwila zerka w stronę przedpokoju i wielkiego wysadzanego kolorowymi kamieniami krzyża.

Jude słyszy nad głową skrzypienie desek podłogowych. Wie, że to zastępcy szeryfa, którzy po raz drugi przeszukują pokój Abigail, co jakiś czas jednak o tym

zapomina i wtedy jego serce przyspiesza w reakcji na znajomy odgłos kogoś poruszającego się w przestrzeni siostry. Potem sobie przypomina, ale jego paznokcie pozostawiają małe półksiężycy na skórze dłoni.

– Spotykała się z kimś? – Samuel siada prościej. – Nasza Abi? Już ja bym jej dał, do diabła.

Dolly marszczy brwi.

– Mąż chyba próbuje powiedzieć, że Abigail jest trochę za młoda, żeby mieć chłopaka.

– Wiem, co próbuję powiedzieć, kobieto. Abi to porządna dziewczyna, bogobojna, nie zadaje się z chłopakami.

– Panie Blake, pańska córka ma prawie osiemnaście lat – przypomina mu Gains.

– A co to ma do rzeczy? – Samuel mruży oczy, szeryf jednak przenosi uwagę na Dolly.

– Czy zaginęły jakieś rzeczy państwa córki? Wiem, że już raz oglądaliśmy jej pokój, ale przypuszczam, że pani ma lepsze wyczucie w kwestii jej rzeczy niż my. Czy zauważyła pani coś w ciągu ostatnich kilku tygodni? Może zniknęły jakieś jej ubrania?

– Ale jak to? Dlaczego? – Dolly wybałusza na Gainsa zdumione oczy. – Niby dlaczego ubrania Abigail miałyby zniknąć?

Jude przygląda się, jak szeryf pociera kikuty palców zdeformowanej dłoni.

– Cóż, w takich sytuacjach... w przypadku dzieci w tym wieku... No, istnieje ewentualność, że Abigail wyjechała z miasta z własnej woli.

– To absolutnie nie wchodzi w grę – rzuca ostro Samuel. – I mam cholerną nadzieję, Gains, że to nie wszystko, co masz.

Jude ma odwrotną nadzieję. Ma nadzieję, że jeśli już tak musi być, że Abi nie ma, to okaże się, że uciekła. Nieraz oglądał z siostrą na jej komputerze filmy dokumentalne o pracy policji, więc wie, co się mówi: po siedemdziesięciu dwóch godzinach szanse na znalezienie zaginionej osoby żywej znacząco maleją. Dwa

tygodnie to trzysta trzydzieści sześć godzin. Jude wie, bo to sprawdził. Sprawdził też, jak długo trwa rozkład zwłok. Na stronie, którą znalazł w internecie, była oś czasu i już wie, że po trzystu trzydziestu sześciu godzinach – jeśli siostra rzeczywiście nie żyje – organy wewnętrzne Abigail zaczęły już gnić, ciało się wzdęło, a z ust i nosa sączy się piana. Za kilka tygodni odpadną paznokcie i wypadną zęby. Za miesiąc narządy rozmiękną i przybiorą formę płynną. Jude bardzo chciałby wiedzieć, czy nie są to tylko brednie rozpowszechniane przez internet, nie ma jednak serca, by zapytać o to matkę.

Od schodów dochodzi odgłos kroków i wszyscy obecni w salonie wykorzystują to jako okazję do wypuszczenia z płuc długo wstrzymywanego powietrza. W drzwiach obok Dolly staje zastępca szeryfa z wielkim wąsem; w dłoniach w lateksowych rękawiczkach trzyma podniszczony notes.

– Znaleźliśmy pamiętnik dziewczyny, szefie – oznajmia.

Jude’owi nie podoba się cień uśmiechu błakający się pod wąsami ani ton, jakim zastępca wypowiedział słowo „dziewczyny”, jakby to wszystko było tylko jakąś grą, w której udało im się przechytryć Abi.

– Ale Abigail nie ma pamiętnika. – Oczy Dolly biegają od Gainsa do męża i z powrotem.

Krzywiąc się lekko, Jude podnosi się na lasce i kuśtyka do matki, żeby ją pocieszyć. Ta, choć na niego nie patrzy, chwyta go za rękę tak mocno, że chłopiec czuje ból. Samuel przewraca oczami i mamrocze coś pod nosem. Nie patrząc na nich, zastępca przechodzi obok i wręcza notes Gainsowi.

– Był wciśnięty między listwy w ramie łóżka – informuje go. – Myślałem, że to może jakiś stary, ale są tam daty z tego lata.

Kątem oka Jude widzi, jak zaciskają się szczęki brata.

Szeryf, który od razu zabrał się do wertowania stron z pozaginanymi rogami, kiwa głową. Jude nigdy wcześniej nie widział tego notesu.

– Niektóre kartki zostały stąd wyrwane – zauważa Gains. – O, i tu też. Wygląda na to, że byłyby to ostatnie wpisy. Wiecie coś o tym?

Samuel drapie się po policzku.

– Nastolatki wściekają się, ciągle coś niszczą – mówi.

– Jakiś powód, dla którego pańska córka mogła być ostatnio szczególnie zagniewana, panie Blake?

– Nie – odpowiada zamiast męża Dolly, a Jude czuje, że obrączka matki wyciska swój kształt na knykciach jego palców. – Abi zawsze była szczęśliwą dziewczynką.

Jude widzi, że matka znowu zerka na haft nad kominkiem. *Świadek prawdomówny ratuje ludzi, oszustwo...*

– No cóż, wobec tego... – Gains wtyka notes pod pachę. – Jeśli nie macie państwo nic przeciwko, na razie go zatrzymam. I dajcie, proszę, znać, jeśli te brakujące strony się odnajdą.

Samuel nie wstaje, by wyprowadzić szeryfa i jego zastępców, na szczęście Noah pamięta o uprzejmości i towarzyszy im w drodze do drzwi, a za nim idą Jude i matka. Być może, na swój nadęty sposób, Noah rozumie, że będzie lepiej dla nich wszystkich, jeśli przynajmniej będą udawać, że są normalną rodziną.

W połowie drogi do drzwi Gains się odwraca.

– Ostatnia rzecz, panie Blake. W pobliżu Tall Bones znaleźliśmy łuskę, dziewięćmilimetrową, najprawdopodobniej wystrzeloną z pistoletu półautomatycznego. – Robi pauzę, jakby czegoś oczekiwał.

Dolly sprawia wrażenie zdezorientowanej.

– Pistolet? – mamrocze. – Moja córka nie potrafi posługiwać się pistoletem. – Mówi to tak przekonująco, że Jude prawie jej wierzy.

– Nikt u państwa w domu nie ma broni krótkiej? Może mąż albo starszy syn? – Gains pokazuje na Noaha i ten znowu się spina.

– Nie, na pewno nie – odpowiada Dolly.

– Nasz tata ma stary karabin – wtrąca się Jude. – To pamiątka z Wietnamu, ale trzyma go pod kluczem.

– Bardzo mądrze. – Gains kiwa głową. – No cóż... Ja tylko zbieram wszystkie dane, pani Blake. – Zakłada kapelusz, który kształtem zbyt przypomina kowbojski, by Jude mógł traktować szeryfa poważnie. – Jak tylko coś usłyszymy, państwa powiadomimy w pierwszej kolejności.

Gdy tylko drzwi zamykają się za nim i jego zastępcami, Noah sięga po buty i grubą sztruksową kurtkę.

Dolly patrzy na niego ze zdumieniem.

– A ty dokąd?

– Wychodzę.

– Tak jak wtedy, gdy zniknęła twoja siostra? Gdzie ty tak ciągle uciekasz, Noah? Nie myśl, że tego nie widzimy.

– Mamo, mam dwadzieścia dwa lata, mogę wyjść, jeśli chcę.

Jude patrzy błagalnie na nich oboje; bardzo by chciał, żeby się nie kłócili. Nie teraz. Nie dzisiaj, kiedy Abigail mogą odpaść zęby i paznokcie.

– A tak w ogóle to po co chcesz, żebym został, mamo? – pyta Noah, sięgając do klamki przy drzwiach. – Jakie fajne zajęcia rodzinne zaplanowałaś?

Drobne ramiona matki opadają lekko w dół. Nie mów do niej w ten sposób, chce powiedzieć Jude. Nie mów do niej jak tata. Ale Jude'owi zależy, żeby Noah się z nim przyjaźnił, jak wtedy, gdy byli młodszy, jak przedtem, więc milczy.

– Pomyślałam, że moglibyśmy pomodlić się za Abi – odpowiada Dolly z nadzieją.

Noah spogląda na buty pod wieszakiem – kowbojki Abigail, sandały Abigail, brogisy Abigail z prawdziwej skóry, w których chodzi do kościoła. Im dłużej się w nie wpatruje, tym jego twarz staje się bardziej napięta, a Jude myśli, że brat wygląda teraz jak ich ojciec.

– Róbcie, co chcecie – rzuca wreszcie Noah i wychodząc, trzaska drzwiami.

Po powrocie do salonu matka wzdycha, opiera się o gzyms kominka i znów wbija wzrok w haftowaną makatkę. *Świadek prawdomówny ratuje ludzi...* Makatkę zrobiła Abi w szkółce niedzielnej. Jude siada z powrotem na kanapie i by odciąć się

od wyhaftowanych słów, zamyka oczy. On rzeczywiście był świadkiem czegoś.
Minie jednak wiele dni, zanim zrozumie znaczenie tego, co widział.

* Tu i w dalszej części książki cytaty z Biblii Tysiąclecia.

6

Przedtem

– Dlaczego nie pojedziesz do Meksyku jak twój ojciec?

W pewnym sensie to prawie ulga. Przez całą szkołę Emma próbowała się zmienić: goliła ciemne włosy na rękach, aż skóra stawała się podrażniona i pokryta strupami, używała o jeden odcień zbyt jasnego podkładu, wymiotowała po posiłkach, w nadziei że zrzuci dodatkowe kilogramy z ud, wszystko, aby tylko przekształcić się w dziewczynę, którą można by było uznać za bardziej akceptowalną, ale to nigdy nie skutkowało. Stojąc teraz w majowy wieczór w sukience balowej w zatłoczonej sali gimnastycznej, z włosami, które choć Abigail zakręciła jej wcześniej z niezwykłą dbałością, zupełnie się rozkręciły, słysząc, jak w końcu to mówią, Emma czuje się tak, jakby zaliczyła cios w brzuch, a jednocześnie tak, jakby zdjęto jej z ramion jakiś ciężar: to dlatego zawsze jej nienawidzili.

– Daltonie Lewis, co ty, do cholery, właśnie powiedziałeś? – Abigail staje przy niej i Emma ma wrażenie, że całą tę scenę obserwuje spoza własnego ciała. Skulona, próbująca sprawić, by jej ramiona wydawały się chudsze, musi wyglądać na bardzo małą, podczas gdy Abigail, wyprostowana i sztywna jak palec kaznodziei, góruje obok niej.

– Spokojnie, Ruda, nie mówiłem do ciebie. – Dalton Lewis, syn pastora, kołysząc się na piętach, odchyła się do tyłu i jego dużą twarz rozciąga grymas szyderczego uśmiechu, jakby ktoś wbił mu w kąciaki ust haczyki na ryby. – Okres macie, dziewczyny, czy co?

Stojący za nim Cole Weaver i Bryce Long wybuchają śmiechem.

Emma rozgląda się za nauczycielem lub opiekunem, ale sala gimnastyczna jest morzem spoconych twarzy i zgniecionych plastikowych kubków. Dostrzega bliźniaczki Orozco w jednakowych białych sukienkach, wyglądające w nich jak para kamiennych filarów, i błaga je wzrokiem: proszę, powiedzcie coś. Ale już wie, że bliźniaczki zadną nosy i wyszepczą coś po hiszpańsku, w języku, o którym wiedzą, że Emma go nie zna, bo matka nigdy nie nauczyła jej hiszpańskiego.

Jej sukienka jest już wilgotna pod pachami i Emma nagle zaczyna się martwić, że będzie to widać. Od uczucia lepkości robi jej się niedobrze. Kładzie rękę na ramieniu Abigail.

– Chodź, po prostu chodźmy stąd.

– Taaa, właśnie – prychna Dalton. – O której odjeżdża z miasta ostatni autobus? Może jeszcze zdążysz.

– Myślę, że o ósmej – odpowiada usłużnie z tępym uśmiechem Beau Dukes.

Dalton ignoruje go i pochyla się do Emmy.

– Mój tata wie różne ciekawe rzeczy o tym, co stało się z twoim tatuśkiem – szepcze.

Jego oddech śmierdzi jak rozgrzany asfalt i Emma myśli, że teraz już na pewno zwymiotuje. Musi to być widać na jej twarzy, bo Dalton prostuje się, a wianuszek jego kumpli zacieśnia się wokół niego.

– No, co jest, czekolada? – rzuca kpiąco i to wtedy Abigail chlusta mu napojem w twarz.

Nie czekając, aż któryś z nauczycieli to zauważy („Och, poncz owocowy – lamentuje Carla Paterson – twoja mama będzie się musiała napracować, zanim spierze te plamy, Dalton”), Emma i Abigail łapią się za ręce i uciekają korytarzem.

Są zdyszane od śmiechu i adrenaliny, i łez cisnących się tak bardzo, że gałki oczne prawie wyskakują im z orbit.

Na parking, oparte o zimny metal samochodu Emmy, stojąc blisko siebie, starają się odzyskać oddech. Emma myśli, że kocha Abigail bardziej niż cokolwiek na świecie. Nie dlatego, że przyjaciółka oblała ponczem Daltona Lewisa (choć

w nadchodzących dniach wielokrotnie będzie opowiadała tę historię matce), ale dlatego, że nawet tutaj, gdzie nie ma widzów, którym trzeba zaimponować, Abigail pozwala jej szlochać na swoim ramieniu. Nie oburza się, gdy tusz do rzęs Emmy zostawia brzydkie, wyglądające jak czarne żyłki ślady na jej sukni balowej. Tak jak nigdy przez tyle lat nie oburzała się, gdy Emma przychodziła do niej po pociechę. I teraz też gładzi jej odsłonięte ramiona i całuje w czubek głowy, zostawiając we włosach słodkie nuty truskawkowego balsamu.

– Hej – rzuca ktoś i Emma podrywa głowę, niemal uderzając Abigail w podbródek. Chłopak stojący przy samochodzie wygląda jak model z niemieckiego plakatu propagandowego z lat czterdziestych dwudziestego wieku. Jasnowłosa, szczeka jak cegła. Przez chwilę Emma boi się, że to jeden z kolegów Daltona, ale gdy chłopak podchodzi bliżej, rozpoznaje go, czuje zapach jointa, którego palił. Abigail obok niej sztywnieje.

– Szukasz czegoś, Hunter?

Chłopak wzrusza ramionami.

– Widziałem, jak wybiegałyście. Nic ci nie jest? – Pytanie kieruje do Abigail, która w mętym świetle latarni parkingowych też wygląda, jakby miała zwymiotować.

Emma, ściskając dłoń przyjaciółki, prychna.

– Nie, nic nam nie jest, prawda, Abi?

– Chodźmy – mówi nagle Abigail. – Chodź, Em, wynośmy się stąd. – Potem, jakby po namyśle, dodaje: – Jezu, Hunter, nie chcemy kupować żadnego zielska.

• • •

Jadą pod Tall Bones. Noc zapada teraz szybciej i w głębokim cieniu wysokich skał obie zsuwają buty i zanurzają stopy w zimnej trawie. Abigail puszcza z telefonu Fleetwood Mac i zaczynają tańczyć wokół skałek jak dwie czarownice, wyciągając szyje ku niebu, gdy każda z nich próbuje krzyknąć KURWA najgłośniej, jak potrafi.

– Tak naprawdę to nic o nich nie wiemy – odzywa się Emma, gdy leżą obok siebie między Tall Bones.

Jest ich w sumie sześć: krąg białych skał, wysokich na jakieś cztery metry, pokrytych graffiti wielu pokoleń nastolatków, poszczerbionych przez lód, pobrużdżonych w miejscach, gdzie łosie ścierają sobie o nie aksamit z poroża. Nikt nie ma pojęcia, kto je tu wkopał. O ile Emma wie, nikt nigdy nie wpadł na pomysł, aby się tego dowiedzieć. Często się zastanawia, jak daleko w dół sięgają, jak duża ich część ukrywa się pod ziemią. Kiedyś pomyśli, że pod tym względem Tall Bones przypominają jej trochę Abigail.

Abi rozkłada ręce w trawie, jakby się z kimś kochała.

– Może stare rodziny wiedzą – mówi. – Te, które były tu od zawsze.

– Jak Lewisowie czy Maddoxowie. – Emma przekręca się na bok i uśmiecha. – Powinnaś zapytać swojego przyjaciela Huntera.

– On nie jest moim przyjacielem. – Abigail zaczyna się drapać po ramieniu. – Ty jesteś moim przyjacielem. Jesteś jedyną dobrą osobą, Em.

– O czym ty mówisz? Chciałabym być taka jak ty... odtrącać chłopaków, chlustać im drinkami w twarz. Ty żyjesz.

Abigail drapie się mocniej.

– Nie chciałabyś być taka jak ja, Em. Uwierz mi.

Łatwo ci mówić, myśli Emma. Jej nikt nie wyzwał na szkolnym balu. Nikt nie kazał jej wyjechać z miasta. Abigail może nosić makijaż, który pasuje do odcienia jej skóry. Abigail zna chłopaków, którzy przechodzą przez cały parking, żeby zapytać, czy nic jej się nie stało. Jej ojciec jest miejscowym pijakiem, a mimo to ludzie szanują ją bardziej niż córkę lekarki. Nie mów mi, że nie chciałabym tego, myśli Emma. Założę się, że i tak wolałabyś być sobą niż mną.

• • •

Kiedy Abigail wchodzi do domu, zastaje starszego brata półleżącego na kanapie; kąt nachylenia jego ciała jest tak dziwny, że przez chwilę wyobraża sobie,

że stało się coś strasznego, że ojciec mu to zrobił. Ale potem Noah podnosi wzrok znad książki i patrząc na jej rozmazany makijaż, rzuca:

– Halloween jest dopiero w październiku.

Abigail oddycha z ulgą.

– Och, dobrze, że cię widzę. Coś ci przyniosłam. – Wyciąga rękę z torebki z wystawionym środkowym palcem.

Noah mruga, jakby nie rozumiał.

– Ale impreza rzeczywiście była dość ponura – przyznaje jego siostra, nie całkiem gotowa na to, by rozmowa z bratem tak szybko dobiegła końca.

– Wstrząsające.

– Za to widziałam twoją byłą dziewczynę. – Kiedy wyraz jego twarzy się nie zmienia, dodaje: – Sabrinę McArthur. Była jedną z opiekunek na balu.

– Ach – mamrocze Noah, jakby dopiero teraz przypomniał sobie jedną dziewczynę, z którą kiedykolwiek się umawiał. – Aż tak nisko upadła?

Abigail kiwa głową.

– Mama i tata jeszcze nie śpią?

– Tata położył się wcześniej, powiedział, że boli go głowa. Mama jest za domem, pali papierosa.

– A ty tak tu sobie czytasz, co?

– Ano czytam.

– *Żdźbła trawy* – odczytuje Abigail, przechyliwszy głowę, aby mogła zobaczyć okładkę. – Dobrze?

– Tak. Całkiem niezłe.

Abigail ponownie kiwa głową.

– No to cóż, to dobranoc.

– Dobranoc.

Dochodząc do drzwi, zatrzymuje się i ogląda przez ramię.

Noah powiedział jej „Dobranoc” po raz pierwszy od czterech lat. Abigail zostaje jeszcze przez chwilę w salonie, mając nadzieję, że brat znowu podniesie

głowę, a ona zobaczy na jego twarzy przebaczenie, a nie jedynie krzywy kształt złamanego nosa. W końcu jednak wychodzi i w drodze do schodów odwraca wzrok, by nie patrzeć na krzyż z ozdobnymi kamieniami na ścianie.

W swoim pokoju nie trzusi się i nie zapala światła, woli prywatność ciemności i to, jak powstrzymuje ją ona przed zobaczeniem swojego odbicia w lustrze, gdy się rozbiera. W lustro nie patrzy już od jakiegoś czasu. Od wtedy, kiedy to się stało.

Zdejmując sukienkę balową, czuje, że śmierdzi, i marszczy nos z obrzydzeniem, jest jednak zbyt zmęczona, żeby wziąć prysznic, zbyt zmęczona, by zrobić cokolwiek innego poza zagrzebaniem się w pościeli. Jej oczy nadal są obwiedzione czarnym eyelinerem, który w nocy się rozmaże i rano będzie wyglądała, jakby miała siniaki. Ziewa i przeciąga się; ostatnio dostrzega w tym ruchu coś dziwnego, jakby jej kości nie do końca wypełniały ciało tak jak kiedyś.

– Drogi Panie Jezu, wiem, że jestem grzesznicą, i proszę Cię o przebaczenie – recytuje mechanicznie w ciemności.

W szkółce niedzielnej uczyli ją, że należy się modlić o wsparcie, przebaczenie i opiekę i na koniec modlitwy skupiać się na chwale Bożej. Abigail nie przyznaje się do tego nikomu – może dlatego, że rodzice chcą, żeby myślała inaczej, a może dlatego, że wstydzi się, że tak bardzo się pomyliła – ale nie jest już pewna, czy naprawdę wierzy w Bożą chwałę. Bóg nie może być aż tak chwalebny, skoro siedział z założonymi rękami i patrzył na to, co się jej przydarza. Nie wie, co ma powiedzieć Bogu teraz. Nie ma sensu prosić go o wsparcie, przebaczenie czy opiekę. Teraz to za mało i za późno.

Z westchnieniem rezygnuje z modlitwy i przewraca się na bok, aby zajrzeć do telefonu: wiadomość od Emmy – *Kocham cię, dobranoc* – i jedna od mamy; matka ma nadzieję, że Abigail dobrze się bawi na balu. Mrużąc oczy przed blaskiem wyświetlacza komórki, dziewczyna nagle myśli, że jednak jest ktoś, kogo może poprosić o przebaczenie.

Hej. Dziwna noc.

Jej palce są ospałe, a ciało już bardzo pragnie snu, z trudem może utrzymać wzrok w skupieniu, w końcu udaje jej się jednak napisać mniej więcej to, co chce.

Serio, Hunter, przepraszam, że tak uciekłam. Po prostu myślę, że nie powinniśmy być teraz widywani razem. Rodzice by mnie zabili.

7

Teraz

Po zachodniej stronie miasta, tam gdzie kruszy się beton i wszędzie widać dziwaczne kształty przewróconych do góry nogami pustych wózków sklepowych, znajduje się stary bar dla kierowców tirów. Dla letnich turystów jest to Riverside Roadhouse, choć żadni turyści nigdy tu nie zachodzą. Płynącą niegdyś obok rzekę dawno temu przekierowano i teraz nawet budynek wygląda tak, jakby był wyschnięty na wiór; farba w kolorze skóry łuszczy się wokół brudnych okien. Na zewnątrz stoi tablica ogłoszeniowa, oblepiona szeleszczącymi jak zeschnięte liście ulotkami reklamującymi koncerty i wieczory z otwartą sceną sprzed dekady. Od dwóch tygodni między nimi wisi również twarz Abigail, z podpisem „WIDZIAŁEŚ MNIE?”.

Zdaniem Noaha bar wygląda jak wnętrze ust. Wydaje się składać wyłącznie z ciemnych kątów, w których mężczyźni we flanelowych koszulach i szerokich dżinsach, przeklinając, rozlewają swoje drinki, a kościste kobiety w palcach z doklejanymi sztucznymi paznokciami skręcają bibułki papierosów. Słychać brzęk kieliszków, z głośników w górze płynie melancholijne rzępolenie Merle’a Haggarda. Świadomy, że nie jest na swoim terenie, bojąc się zostawić tu jakikolwiek ślad po sobie, Noah ostrożnie kroczy w kierunku boksu na tyłach.

– Dlaczego wybrałeś dosłownie najgorsze miejsce w mieście? – pyta i opada na siedzenie, które cuchnie wieloletnim zatęchłym dymem papierosowym.

Po drugiej stronie stołu Rat Lăcustă trąca palcem tkwiący w jego uchu kolczyk z wilczym kłębem i szczyrzy się do niego.

– Napisałeś *incognito*... co, tak nawiasem, musiałem sprawdzić, więc dzięki ci za to. – Przyćmione światło odbija się od bursztynu w jednym z jego pierścionków, gdy leniwym gestem dłoni wskazuje na bar. – Nie znam nikogo z tych ludzi i zakładam, że żadne z nich nie uczęszcza na twoje kółko biblijne. – Wzrusza ramionami. – *Incognito*. Napijesz się czegoś?

– Nie...

– Na pewno? Mogę zamówić daiquiri.

Noah nie sądzi, by w takim miejscu jak to serwowali daiquiri.

– Powiesz mi, o co chodzi, Blake? – rzuca Rat, przyglądając się mu spod ciemnego wachlarza długich rzęs; stuka przy tym palcem w usta, jakby myślał o tym, żeby zapalić. – Nie zrozum mnie źle, uwielbiam nasze pogawędki, ale czeka na mnie przyjaciółka. – Kiedy się uśmiecha, z mroku jego wysokich kości policzkowych wydobywa się przytłumione światło.

Noah czuje się tak, jakby Rat śmiał się z niego potajemnie.

– Po prostu się zamknij i słuchaj, dobra? – Wpycha ręce do kieszeni i usiłuje skupić wzrok na słojach sklejki na oparciu siedzenia. – Byli u mnie w domu szeryf i jego zastępcy. Powiedzieli, że przy Tall Bones znaleźli łuskę. Z pistoletu.

– Tak, wiem, co to łuska, Blake.

– Nie słuchasz.

Rat opiera łokcie na stole i składa palce w wieżyczkę.

– Słucham, Blake, tylko zwyczajnie nie sądzę, że powinieneś się tym aż tak przejmować. Tamtej nocy przy Tall Bones było mnóstwo ludzi.

Noah dostrzega na odsłoniętej skórze nadgarstków Rata delikatne niebieskie żyły i jego wciśnięte w kieszenie dłonie zaciskają się w pięści.

– Ale mnie nie powinno tam być. Nie zostałem zaproszony na tę głupią imprezę Huntera Maddoxa. Jeśli policja dowie się, że tam byłem, wrócą z kolejnymi pytaniami, a jak dowiedzą się o tym moi rodzice...

– Wtedy coś wymyślisz. Jesteś dobrym kłamcą.

– Jezu, wiesz co...? Rób, kurwa, co chcesz. Chciałem cię tylko uprzedzić, ale skoro tak, to mam to gdzieś.

Rat śmieje się cicho.

– Wiesz, jaki jest twój problem, Blake? Masz zahamowania.

Noah czuje na karku falę ciepła. Bez ostrzeżenia powraca do niego obraz krzyża z kolorowymi kamieniami w przedpokoju, a za nim dziura w wykruszonym tynku, która równie dobrze mogłaby być dziurą w jego głowie.

– Nie mam zahamowań – odwarkuje.

– To nie twoja wina. Wszyscy Amerykanie tacy są.

Piasek w szwach kieszeni Noaha wbija mu się pod paznokcie. Żeby nie siedzieć na wprost Rata, przesuwa się trochę na siedzeniu.

– Posłuchaj mnie, ludzie szeryfa ewidentnie przeszukują las – mówi, zwracając się do ramienia Rata. – Nie boisz się, co jeszcze mogą tam znaleźć?

• • •

Popołudnie jest z rodzaju tych szarych, kiedy chmury wiszą tak nisko, że ma się wrażenie, jakby słońce zniknęło na zawsze. Po szkole Emma dołącza do Rata na dachu jego kampera, sączy taniego bourbona i słucha skrzypienia targanych wiatrem sosen. Panujący tu spokój przypomina jej trochę Abigail, ten dzień, kiedy ukradły bourbona jej ojca i całe popołudnie spędziły na podwórku u Emmy, jedna drugą podjudzając do wypicia jeszcze więcej. Abi alkohol wchodził wtedy lepiej, jakby miała więcej praktyki, i być może miała, będąc córką Samuela Blake'a. Ale teraz Emma uważa, że mogłaby pokonać przyjaciółkę. To było tej wiosny, ma jednak wrażenie, że przytrafiło się to innej osobie.

O czym wtedy rozmawiały, marszcząc nosy i śmiejąc się z goryczy w ustach? O czymś normalnym – o rodzicach, braciach, chłopakach, wszystkich tych rzeczach, których Abigail w porównaniu z Emmą zdawała się mieć pod dostatkiem i których szczegółami wtedy jeszcze chętnie się dzieliła. Od tamtego czasu Emma z nikim więcej nie przeprowadziła takiej rozmowy, nawet z Abi.

Jakby tę ostatnią myśl wypowiedziała na głos, Rat pyta:

– Lubisz chłopców, panno Alvarez?

Emma wolno kiwa głową.

– Pewnie.

Rat patrzy na nią spod półprzymkniętych powiek, z lekko otwartymi ustami, jakby wszystko, co robi, musiało zawsze krzyżeć: „Przeleć mnie!”. Emmie zaczyna wirować w głowie; nie jest pewna, czy upija się alkoholem, czy nim. Podejrzewa jednak, że Rat może sobie z niej żartować, śmieje się więc i pyta:

– A ty?

Chłopak wlewa w siebie kolejną porcję wild turkey.

– Kogo miałbym tu lubić? Ludzie stąd są zbyt zajęci obciążaniem Jezusowi. Albo ćpają tyle legalnych dopalaczy, jakby miało ich zaraz zabraknąć.

– Masz na myśli Huntera Maddoxa?

– Wiesz, że on sam osobiście odbiera ode mnie opłatę za czynsz? – Rat kręci głową i podaje jej butelkę. – Jakby razem z tatuśkiem nie wierzyli, że zapłacę. *Bulangiu**.

Emma pamięta, co poprzedniego dnia mówił o zadawaniu pytań, nie pyta więc, skąd ma pieniądze. Ale wie, że w tej samej szafce, w której trzyma alkohol, stoi stara puszka po ciastkach, i nieraz widziała, jak wyciąga z niej plik banknotów, pogniecionych i miękkich, pachnących słodko metadonem, zupełnie jak chłopcy z drużyny koszykówki.

Wiatr miejscami kładzie trawę, dźwięk jest taki, jakby napierało na nich coś stałego. Emma mocniej opatula się kurtką i wspiera swój senny ciężar na ramieniu Rata.

– I tak go nigdy nie lubiłam – rzuca. – Huntera, znaczy.

– Nie?

– Nie – mamrocze, trzymając usta tuż przy otworze szyjki butelki, i wypowiedziane słowo odbija się echem, jakby było uwięzione w środku. To samo słowo, które Abigail rzuciła do niej, zanim tamtej nocy weszła między drzewa. –

W pierwszej klasie handlował trawką. Zdobywał ją jakoś w aptece i sprzedawał w szkole z zyskiem. Wprawdzie nic mnie to nie obchodzi... ale potem urządzał te swoje imprezy w lesie, a ludzie mówili... – Emma mruży oczy i patrzy w kierunku drzew otaczających osiedle przyczep, potem nagle siada prosto. – To była jego impreza, tam przy Tall Bones. Tak właśnie wszyscy mówili: to była impreza Huntera.

– I co z tego?

– To, że ja go tam nie widziałam.

Rat, bawiąc się pierścionkami na palcach, też wpatruje się w drzewa; kąciki jego pięknych ust opadają.

– A czy ty przypadkiem nie mówiłaś, że twoja przyjaciółka poszła do lasu z jakimś chłopakiem?

Było ciemno, a twarz chłopaka zasłaniały gałęzie. To mógł być ktokolwiek, myśli Emma, ale to nie znaczy, że to nie mógł być Hunter.

– Powinniśmy tam wrócić.

– I zrobić co, Scooby Doo? Szukać śladów? – Rat śmieje się kpiąco.

On nic nie rozumie. To nie było tak, że chciała zostawić tam Abigail – Emma prawie nienawidzi przyjaciółki za to, że tamtej nocy nie wsiadła z nią do samochodu, że ją tak porzuciła – ale to wcale nie sprawia, że mniej za nią tęskni. To była moja wina, nawet jeśli nie była, myśli, ponownie sięgając po butelkę. Nie została po ojcu katoliczką, więc jeszcze nigdy nie prosiła o odpuszczenie grzechów, ale teraz to sobie wyobraża: znajduje wśród sosen jakiś dowód rzeczowy – pasmo włosów Huntera, niedopałek jointa – z wysoko podniesioną głową wchodzi do biura szeryfa i oświadcza: „Hunter Maddox wie, co się stało z Abi. To była jego wina”. I to wyobrażenie wydaje się lepsze od każdego Boga, od każdej whiskey.

– Nie wiem – odpowiada. – Może.

Rat już się nie śmieje. Sięga do niej, odbiera jej butelkę i odchyła głowę, by wlać do ust resztkę alkoholu. Może to sugestia siły w jego rękach albo wild turkey rozpalający jej żyły, lub zadziorny kształt grdyki Rata, ale Emma czuje w dole

żołądka coś w rodzaju pożądania. Nawet kiedy chłopak rzuca butelkę przez ramię i słyszą, jak rozbija się na ziemi poniżej, Emma się nie rusza, tylko pozwala Ratowi nachylić się do siebie. Na policzku czuje jego ciepły oddech, gdy mówi do niej:

– Trzymaj się od lasu z daleka, *drăgută*.

* *Bulangiu* (rum.) – palant, pedał.

8

Przedtem

Jest kwiecień, przed zniknięciem. Śnieg w końcu wycofuje się na zbocza gór, odsłaniając łany rześkich orlików niebieskich i nierówne plamy bezbarwnej trawy. Dni są łagodne, ale wieczorem w powietrzu unosi się cierpki zapach przyływający z głębi lasu jak ostrzeżenie. Wszyscy mówią, że pylenie sosen będzie w tym roku bardzo obfite, i ludzie gromadzą zapasy preparatów antyalergiczných i kropli do oczu, jakby przygotowywali się na wojnę biologiczną.

Hunter Maddox, idąc do miasta z treningu koszykówki, skręca za róg i widzi przed sobą dwie spowite w zielonym wiosennym świetle dziewczyny. Abigail Blake przesuwa czubkami palców po nisko rosnących gałązkach jarzębiny i strącone kwiaty, jak świeża warstwa śniegu, opadają na odsłonięte brązowe ramiona Emmy Alvarez. Hunter obserwuje, jak cicho chichocząc, szturchają jedna drugą. Idą tak blisko siebie, że wygląda to prawie tak, jakby trzymały się za ręce.

Podąża za nimi aż do Hickory Lane, nie zastanawiając się, dlaczego to robi. One idą i on też, jakby ciągnęły go za sobą na niewidzialnej nici.

Ze szczytu ulicy nie widzi domu Blake'ów, jedynie zarośnięty pusty teren wykupiony przez dewelopera, wznoszący się łagodnie. W nadchodzących miesiącach Abigail powie mu, że nienawidzi swojego domu, że czasami czuje się tak, jakby członkowie jej rodziny byli jedynymi ludźmi na świecie.

Dziewczyny ściskają się na pożegnanie i rozchodzą: Emma kieruje się w stronę skupiska nowoczesnych domów po północno-zachodniej stronie miasta, Abigail rusza powoli wzdłuż torów w kierunku swojego samotnie stojącego domu. Hunter tkwi u wylotu uliczki, ukryty za rzędem porastających poboczne wiązowców,

i patrzy, jak Abigail, zwiększając dystans między nimi, staje się coraz mniejsza i mniejsza. Chłopak z westchnieniem odwraca się, by odejść, ale jej nagły ruch przykuwa jego uwagę. Zeszła ze ścieżki i pochyła się w trawie; zarys jej ciała wygląda jak jakaś dziwna blada litera wypisana na ciemnym krajobrazie. Hunter patrzy, jak dziewczyna zdejmuje buty i każdą nogą, jedną po drugiej, robi w powietrzu duży łuk, jakby sprawdzała, czy wolno jej zająć przestrzeń przed sobą. Chłopak nabiera głęboko powietrza, ponieważ nigdy nie sądził, że coś tak prostego – tak niezamierzenie podniecającego – może sprawić, że poczuje się w ten sposób.

Potem, bez ostrzeżenia, Abigail rusza przed siebie; biegnie sprintem po nierównym terenie i jej długie włosy ciągną się za nią jak ogon proroczej komety. Gdy nadejdzie jesień, kiedy Abigail zniknie, Hunter znów zatrzyma się u wylotu Hickory Lane i będzie się zastanawiał, czy Abigail przez cały czas nie planowała ucieczki.

Teraz

Maddoxowie mieszkają w dużym drewnianym domu tuż przy Elkstone Bend, gęsto otoczonym drzewami, parę kilometrów od Tall Bones. Andie Maddox pochodzi ze wschodniego Teksasu: szeryf Gains słyszy to w sposobie, w jaki wypowiada słowo „ja”.

– Może podać mrożoną herbatę? – proponuje Andie, gdy on i jego zastępca, Saidi, zajmują miejsce naprzeciwko jej męża i syna.

– Nie, dziękujemy, proszę pani.

– Jakieś wieści o tej biednej dziewczynie? – pyta Jerry.

– Biedna dziewczyna – rzuca jego żona. – Jak się trzyma jej rodzina?

Cóż, dobre pytanie.

– Bardzo się niepokoją, oczywiście – odpowiada Gains, bo tego się od niego oczekuje, tak jak oczekiwane było pytanie zadane przez Andie. – Bardzo.

Na ścianie za nim wisi telewizor długości męskiego ramienia i młody Maddox wyciąga szyję, by ponad barkiem Gainsa kontynuować oglądanie wyciszonego meczu Broncos.

– Więc... no tak, w czym ci możemy pomóc, Eli? – Jerry też od czasu do czasu zerka na telewizor.

– Czy trzyma pan w domu jakąś broń, panie Maddox? – Jerry już dawno temu przestał prosić o to, by zwracano się do niego po imieniu.

– Hm? Och, broń, oczywiście. Mamy weatherby, finnligha, kilka rugerów i... Andie, mamy wciąż jeszcze tego starego marlina twojego taty? W każdym razie była to broń do polowania na jelenie.

Saidi wydaje cichy gwizd.

– Mój stary miał takiego w dawnych czasach. Zastrzeliłem z niego swoją pierwszą łanię. Piękna maszyna. Nie robią już dzisiaj takich.

Gains wie, że to nieprawda – ojciec Farida Saidiego był strażnikiem więziennym w Algierii, a jedyne, do czego mógł strzelać jego syn, to kielichy – ale milczy, pozwala zastępcy snuć swoją opowieść. Tego rodzaju rzeczy są ważne dla ludzi takich jak Jerry Maddox.

– Amen – przytakuje Jerry. – Mówię wam, ten finnligh jest tak gorący, że można na nim jajka smażyć.

Szeryf pochyla się do przodu.

– A co z dziewięciomilimetrowym półautomatycznym pistoletem, panie Maddox? Ma pan taki?

Jerry drapie się w tył głowy.

– Ach – odzywa się w końcu. – Nie, nic takiego nie mam.

Hunter nie patrzy już w telewizor. Gains próbuje przechwycić jego wzrok, ale chłopak wpatruje się sztywno w okno.

– A ty, Hunter? – pyta szeryf. – Widziałeś kiedyś taką broń?

– No co ty, Eli. – Jerry zerka szybko na syna. – O co tu w ogóle chodzi?

– Znaleźliśmy dziś rano łuskę – wyjaśnia Saidi. – Dziewięćmilimetrowy pocisk został wystrzelony z pistoletu półautomatycznego.

Jerry unosi brwi.

– Myślicie, że ta łuska ma coś wspólnego z zaginioną dziewczyną?

– Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, o której godzinie padł strzał – odpowiada Gains. – Ale wiemy na pewno, że ktoś go oddał w tym samym rejonie lasu, w którym zaginęła ta nastolatka... w lesie, który graniczy z Tall Bones i z waszą posesją. Byłoby bardzo pomocne dla naszego śledztwa, gdybyście pan i pańska rodzina sięgnęli pamięcią wstecz i spróbowali przypomnieć sobie, czy widzieliście lub słyszeliście coś, co mogłoby nam pomóc w ustaleniu dokładnego czasu oddania strzału.

– Hm... oczywiście, Eli – rzuca Jerry. – Zastanowimy się, ale jestem pewien, że gdyby któreś z nas widziało lub słyszało, że ktoś strzela, na pewno byśmy to zapamiętali, prawda, kochanie?

– Zdecydowanie – potwierdza Andie. – Zapamiętalibyśmy coś takiego. Ale wie pan, szeryfie, w tych lasach przez większą część roku używa się najróżniejszej broni, są przecież polowania. Czy to nie mogło być po prostu coś takiego?

– Dziewięćmilimetrowa broń nie nadaje się do polowania na jelenie, kochanie. To pewnie jakieś dzieciaki się wygłupiają. – Jerry znowu spogląda na syna, po czym zwraca się do szeryfa: – Chcesz wiedzieć, Eli, co myślę? Myślę, że ta dziewczyna prawdopodobnie wskoczyła do autobusu i dała drapak. Wiesz, jaka jest jej rodzina.

Gains wraca myślami do Blake'ów w ich zimnym salonie, do walających się wszędzie kubków i szklanek po whiskey czy starej puszki po farbie używanych jako popielniczki, do wydartych stron z pamiętnika Abigail.

– Pewnie ma pan rację – odzywa się po chwili. Nie dziwiłby się wcale, gdyby dziewczyna chciała się wyrwać z takiego miejsca. – Po prostu sprawdzam wszystko, co się da.

• • •

Po wyjściu szeryfa Hunter zostaje poddany sztywnemu uściskowi matki, która wbijając podbródek w jego ramię, mówi:

– Nie podobało mi się to, Jerry. W ogóle mi się to nie podobało.

– Wiem, kochanie. – Jej mąż wydaje świszczący dźwięk, jakie słyszy się w starych szkolnych autobusach, gdy zatrzymują się na przystanku. – I od kiedy to Eli trzyma w biurze szeryfa muzułmanów? Ten kraj naprawdę scho...

– Och, wiem, kochanie, ale dałeś radę. Przynajmniej pytali tylko o broń.

Hunter odsuwa od siebie matkę i idzie do drzwi.

– Nie odpychaj mnie z takim wyrazem twarzy, młody człowieku! – woła za nim Andie. – Nie po tym, przez co przeszliśmy przez ciebie w tym roku. Nikt inny, tylko ty będziesz miał kłopoty, jeśli szeryf zacznie tu węszyć.

Hunter odnosi wrażenie, że po słowach matki jego ojcu robi się go żal.

– Tu chodzi o twoją przyszłość, Hunter – mówi Jerry. – Tylko ona się liczy, czyli rozgrywki stanowe, studia, nowe perspektywy. Ta zaginiona dziewczyna to tragedia, oczywiście, ale koniec końców nazywała się Blake. Czego się po takiej można spodziewać? Coś jest nie tak w tej rodzinie. Choćby stary Blake nie wiem jak głośno krzyczał w kościele „Amen”, to w tych jego dzieciakach jest coś nieczystego. Twój mały... problem nie powinien być w to wciągnięty.

Andie kiwa głową na znak, że zgadza się z mężem, a Hunter musi zacisnąć zęby, by nie powiedzieć jej, co widział tamtej nocy – jak stojąc na skraju drogi, przy starych ruinach domu Winslowów, zobaczył własnego ojca skradającego się między drzewami.

9

Przedtem

Pastor Lewis ogłasza, że będzie mówił o homoseksualistach. Noah ma tylko siedem lat i nie wie, kim są homoseksualiści, ale to oczywiste, że pastor ich nie lubi, bo nazywa ich „aroganckimi” i „bez serca”, a co najgorsze, „nienawidzącymi Boga”.

Lewis nie jest zbyt wysokim mężczyzną, a wygląda na takiego, który powinien być, ale Bogu w połowie dzieła znudziło się robienie go, pastor ma więc wydłużony tors na dwóch krótkich nogach. Mimo to Noahowi zawsze wydawał się ogromny. Kazania wygłasza z podium i teraz, wchodząc na nie i wymachując czerwoną Nową Biblią króla Jakuba, już zaczyna drzeć z podniecenia, że przykuje uwagę wszystkich. Noah słucha uważnie, mając nadzieję, że dowie się, co ci homoseksualiści zrobili, że tak wszystkich wkurzyli, ale im dłużej pastor mówi, tym chłopiec mniej rozumie.

– Liberalne społeczeństwo, w którym żyjemy, głosi, że nie ma nic złego w związkach między osobami tej samej płci. Wasze dzieci i wnuki są tego uczone w telewizji, a ja muszę zapytać, moi bracia, jak do tego doszliśmy? Odpowiedź brzmi: większość chrześcijan nie rozumie, jak Bóg postrzega homoseksualizm, a nawet jeśli rozumieją, brakuje im kręgosłupa moralnego, by spojrzeć prawdzie w oczy i okazać miłość Pana osobom zmagającym się z takim problemem.

Noah słucha z rękami w kieszeniach i myśli, że słowa pastora są bardzo dziwne. Kręgosłup moralny to coś, o czym często mówi jego ojciec, a przecież Noah dobrze wie, że bardzo trudno jest kochać ojca. Zdaniem Samuela Blake’a

Noah nie ma zbyt mocnego kręgosłupa moralnego. Chłopiec zastanawia się więc, czy to dlatego tak trudno jest mu kochać Boga.

Pastor Lewis ma wiele do powiedzenia na temat homoseksualistów. Każdy musi zajrzeć do kilku cytatów z Listu do Rzymian i Księgi Kapłańskiej, które skserowała dla nich pani Lewis. Samuel Blake podkreśla kilka rzeczy, więc Noah robi to samo. Pastor odczytuje im również fragment z Księgi Rodzaju o Sodomie i Gomorze. Noahowi ten kawałek podoba się bardziej, bo Bóg wysadza w powietrze całe miasto, co jest w pewnym sensie ekscytujące; mimo to wciąż nie jest pewien, co to ma wspólnego z czymkolwiek. Więc Sodoma była miastem pełnym chłopców, wielka sprawa. Noah wolałby mieszkać z chłopcami niż z jęczącą Abigail albo matką z jej papierosowym smrodem, od którego robi mu się niedobrze. Chłopcy pachną słono, jak sól, która sprawia, że usta puchną, jeśli zje się zbyt wiele chipsów, i pewnie dlatego Noah zawsze czuje się tak świadomy swoich ust, gdy jest w towarzystwie chłopców.

– Widzicie teraz – pastor Lewis macha gorączkowo Biblią – dlaczego ktoś mógłby pomyśleć, że Bóg aprobuje ludzi prowadzących taki styl życia? Styl, który jest tak wyraźnie niezgodny z jego naukami. Mamy więc akceptować cudzołóżników w naszych kościołach? A co ze złodziejami i pijakami? Co z mordercami? Jednakże z powodu presji wywieranej na społeczeństwo przez tę szczególną grupę świat uważa, że homoseksualistów należy akceptować. Bo sprzeciwić się im to zostać nazwanym homofobem lub gorzej, a my, och, nie znieśliśmy, że ktoś patrzy na nas krzywo, dlatego że mieliśmy odwagę stanąć w obronie Pana! Nie potrafilibyśmy znieść wyśmiewania przez nasze dzieci czy wyszydzania nas przez zupełnie nieznanych nam ludzi z telewizji! I przez to tchórzostwo pozwoliliśmy, by ludzkość z butą mówiła Bogu, jak ten świat powinien funkcjonować.

W tym momencie pastor jest już całkiem czerwony na twarzy, a kostki jego palców są białe jak ściana od mocnego ściskania Biblii. Bierze łyk wody ze stojącej obok podium plastikowej butelki, niczym gwiazda rocka robiąca sobie przerwę między piosenkami.

– Ale jest nadzieja. Ta nadzieja to pokuta i zwrócenie się do Jezusa Chrystusa z prośbami o oczyszczenie. Naszym zadaniem, jako chrześcijan, nie jest potępienie, lecz modlitwa za dusze tych zbłąkanych jednostek. Naszym obowiązkiem jest wskazanie im drogi do przebaczenia i wybawienia, które jest w Jezusie Chrystusie. Czy mamy odwagę podjąć tę odpowiedzialność? Bracia moi, siostry moje, czy mamy odwagę? – Ostatnie trzy słowa puentuje wycelowaniem palca w wiernych. Następnie uśmiecha się, kiwa głową i kończy: – Dziękuję wam bardzo, panie i panowie.

Pewnego dnia Noah przeczyta na jakiejś kolorowej stronie internetowej, że ukrywanie swojego homoseksualizmu to jak pozwalanie komuś, żeby cię nieustannie klepał po ramieniu. Na początku jest tylko irytujące. Potem staje się nieznośne. A w końcu nie możesz myśleć o niczym innym. Przez resztę życia Noah będzie wspominał tamtą niedzielę jako właśnie takie pierwsze klepienie.

Kiedy wychodzą z kościoła, Samuel uderza go w tył głowy i mówi:

– Mam nadzieję, że uważałeś.

Noah czeka, aż ojciec pójdzie przodem, i wystawia język. Oczywiście, że uważał. Zawsze uważa. Za kilka lat zobaczy coś, co wcale nie będzie przeznaczone dla jego uwagi, ale tak jak z kazaniem pastora Lewisa, znaczenie tego, co zobaczył, zrozumie dopiero wtedy, kiedy będzie już za późno.

Teraz

– Dolly, jeśli powiedziałem raz, to jakbym powiedział sto razy...

Stojąca w pokoju Abigail Dolly słyszy, że mąż wchodzi po schodach. Czuje się osaczona dźwiękiem jego głosu, nie jest jednak w stanie odejść od tych wszystkich rzeczy, których dotykała jej córka. Jeszcze nie.

– Patelni nie myje się w zmywarce! Powłoka z nich schodzi! Nie kupię nowych. Nie będę wyrzucał pieniędzy w błoto!

Dlaczego więc choć raz sam nie pozmywasz naczyń? – myśli Dolly i przesuwa dłońią po powierzchni biurka Abigail; z niepokojem stwierdza, że jest pokryta kurzem. Już wszystko zaczyna się zmieniać.

– Co z tobą, Dolly, że nie potrafisz tego zapamiętać, hej? Dolly?! Hej, jesteś tu na górze?!

Nie odpowiada. Klęka przy łóżku Abigail, gdzie kształt jej córki jest nadal delikatnie odciśnięty w pościeli, kilka jej rudych włosów wciąż klei się do kołdry. To dziwna imitacja modlitwy – to jej klęczenie tam ze złożonymi dłońmi, z rajstopami elektryzującymi się od szorstkiego dywanu. Czy to moja kara? Podnosi oczy na sufit, czując się jak dziecko, które wciąż wierzy, że Bóg mieszka w niebie. Karzesz mnie za to, że nie rozmawiamy jak dawniej?

– Co ty tu robisz, Dolly?!

Wzdryga się na dźwięk głosu Samuela i kiedy się odwraca, widzi, że mąż, schylając się, wtacza się do środka. Nagle wydaje się jej, że w pokoju nie ma wystarczająco dużo miejsca dla nich obojga.

– Modlisz się? – Mąż opiera się o biurko; jego suche, popękane dłonie przewracają kubek pełen ołówków, które z grzechotem spadają na podłogę.

Dolly przełyka ślinę. Nie potrafi tego wyjaśnić, ale z jakiegoś powodu czuje, że jeśli zostawią ten pokój w takim stanie, w jakim jest, mogą obudzić się pewnego dnia i zastać Abigail wciąż śpiącą pod kołdrą, wypełniającą w łóżku kształt, który do niej należy.

Nie pamięta ostatnich słów, które powiedziała do córki, ani nawet kiedy ostatni raz naprawdę ją widziała. Przypomina sobie tylko niejasną obecność Abigail idącej na dół po schodach i wychodzącej z domu na przejażdżkę z Emmą Alvarez. Dolly musiała wtedy powiedzieć coś w stylu: „Nie wracaj później niż o dziewiątej” albo „Miej włączony telefon”. Na pewno nie było to: „Kocham cię”.

– Modlisz się za małą Abi? – pyta Samuel, a Dolly zastanawia się, dlaczego kiedykolwiek lubiła niskie brzmienie jego luizjańskiego zaśpiewu. – Czy za siebie?

Dolly prostuje szyję, rozluźniając napięcie, po czym dźwiga się na nogi.

– Po prostu się modlę, Sam. To nic takiego.

– Modlitwa nigdy nie jest niczym. Ze wszystkich kobiet na świecie Pan znalazł czas właśnie dla ciebie, znalazł czas, by cię wysłuchać, nawet po tym wszystkim, co zrobiłaś. To nie jest nic.

– Więc dobrze. Może modliłam się za Abi. Co w tym złego?

– Nic w tym złego. – Samuel kręci głową i zaciskając i rozwierając dłonie, uśmiecha się lekko do swoich knykci. – Cicho tu bez niej, nie sądzisz? Zawsze śpiewała, nuciła to czy tamto. Brakuje mi tego.

Dolly nie wie, co na to odpowiedzieć. Wyciąga rękę, by dotknąć ramienia męża, bo myśli, że to jest to, czego od niej oczekuje, ale on łapie ją za dłoń i ściska jej palce tak mocno, że Dolly boi się, czy ich nie zmiążdży.

– Może powinnaś się modlić o odrobinę kręgosłupa, Dolly. – Jego głos jest spokojny. – Módl się o kręgosłup, byś miała siłę zrobić to, co musi być zrobione. Rozmawiałem z Panem i wiem, dlaczego zabrał nam Abigail. Pozwoliliśmy na grzech w tym domu. Zetrzyj to skomlące spojrzenie ze swojej twarzy... wiesz dokładnie, o czym mówię. – Ściska jej rękę jeszcze mocniej, a ona musi przygryźć język, żeby nie wydać żadnego dźwięku. – Ten chłopak, z tym jego całym wymykaniem się... Wiem, co on knuje. Znowu to robi, Dolly. Zaniedbaliśmy nasze obowiązki. Musimy pokazać mu drogę do nawrócenia przez Jezusa Chrystusa. Usuń grzech, a wtedy Bóg zwróci nam Abi.

Po wyjściu męża Dolly ponownie kuca przy łóżku córki i opiera policzek na kołdrze. Tkanina jest chłodna, chyba nawet lekko wilgotna, ale wciąż pachnie Abi, jej lakierem do włosów, sztucznymi truskawkami i czymś jeszcze, co zawsze kojarzyło jej się ze świeżo upieczonym chlebem. Na dole słychać grzechotanie, gdy mąż zamyka zmywarę. Dolly pociera obolałą rękę i myśli: Jeśli Bóg naprawdę zabrał moją dziewczynkę, to dlatego, że wie, że wszędzie jest lepiej niż tutaj.

10

Whistling Ridge dopiero się budzi, przecierając oczy. W jadłodajni Aurora, na rogu Siedemnastej i Main, Emma i jej matka bez pośpiechu piją drugą kawę, patrząc na główną ulicę miasteczka. Sezon turystyczny wreszcie dobiegł końca i ostatni z letnich przedsiębiorców po tym, jak wyssali z miasta tyle, ile się dało, zamykają swoje kramiki. Zwały suchych liści zalegają na poboczach dróg poprzecinanych słupami telefonicznymi i zniszczonymi ławkami. A ponad tym wszystkim wznoszą się góry, masywne i białe, wystrzające wiatr spływający po zboczach do miasta. To ten sam widok, w który Emma wpatruje się, odkąd pamięta, tyle że teraz wyczuwa się w nim coś nowego, innego, coś nieuchwytnego, jak podczas rozmowy z dawno niewidzianymi przyjaciółmi, gdy nie da się już załapać pewnych niuansów w ich żartach.

– Sądzę, że trochę czasu poza szkołą dobrze ci zrobi – mówi Melissa, ale cicho, tak by nikt jej nie usłyszał. – Trochę czasu z dala od tego całego dramatu, tylko kilka tygodni. Co o tym myślisz?

Emma kiwa głową i bierze łyk kawy. Tak naprawdę to nie wie, co myśli. Kiedy matka znalazła ją klęczącą nad toaletą, zwracającą ostatnią porcję wild turkey, w końcu zaczęły rozmawiać o jej picciu.

Melissa, przytrzymując włosy córki, łagodnie przekonywała ją, że wszystko będzie dobrze, ale potem Emma stała na półpiętrze i słuchała, jak matka głęboko oddycha, jakby starała się powstrzymać płacz. Nie miała zamiaru słuchać tak długo, ale wiedziała, że jeśli się poruszy, zdradzi ją skrzypienie podłogi, a nie chciała zawstydzić matki.

Nienawidziła jej za to, że płacze. Przecież nie upiła się po to, żeby ją zranić. Tu nie chodziło o nią, lecz o kontrolę. Jedyne, co Emma może kontrolować, to swoje własne przepełnione gniewem małe ciało, i takie przeczołganie go daje jej choć chwilowe poczucie władzy, jak szalonemu królowi, który wyrzyna swój lud w pień tylko po to, by udowodnić, że może.

„Możesz uwierzyć”, że Emma Alvarez tak po prostu ją tam zostawiła?

Nie powiedziała matce o tym, że zaprzyjaźniła się z Ratem, dorosłym chłopakiem, który pozwala jej pić swoją whisky. Wymyśliła historyjkę o dziewczynie ze szkoły z fałszywym dowodem, która na jakiś czas odwróci uwagę Melissy. Rat należy tylko do niej i na razie do nikogo innego. Emma czasem czuje się tak, jakby istniał tylko tam, na osiedlu przyczep, a ona była jedyną osobą, która może go widzieć. Śmiał się z niej, kiedy powiedziała, że chce przeszukać las, ale może chodziło tylko o to, że się o nią troszczy. Chyba wreszcie to zrozumiała. A Rat, kiedy następnym razem będzie z nim rozmawiać, zrozumie, dlaczego ona musi to zrobić. Wspólnie udowodnią, że Hunter Maddox był wtedy w lesie i Emma nie będzie musiała już nigdy więcej pić taniego bourbona.

Uśmiecha się do swojej kawy, co matka prawdopodobnie bierze za dobry znak.

– Oszczędzałam dni urlopowe. Pomyślałam, że mogłabym wziąć trochę wolnego i pojechałybyśmy razem do parku narodowego. Jeździłyśmy tam często, kiedy byłaś mała, pamiętasz?

Emma ma tylko mgliste wspomnienie długiej podróży pod błękitnym niebem, bieli z każdej strony drogi, ale wtedy w tych wycieczkach tak naprawdę nie chodziło o nią. Były po to, by jej rodzice mogli siedzieć razem z przodu samochodu i podczas podziwiania przemykającej za oknami dzikiej przyrody pławić się w poczuciu „my przeciwko całemu światu”, które trzymało ich razem do czasu... dopóki nie przestało trzymać.

Ale Emma wie, że matka nie będzie chciała tego słuchać. Melissa nie chce rozmawiać o Miguelu Alvarezie, tak samo jak o picciu córki. Te tematy przypominają jej o decyzjach, których nie podjęła, i poczuciu winy z powodu

wyborów, których dokonała. Emma już wie, co to jest poczucie winy, rozpoznaje je w wyschniętej skórze na dłoniach matki, w sflaczałym kształcie jej ciała leżącego w łóżku po dzwonku budzika, w szlochu, który tak bardzo stara się ukryć przed córką.

– Tak, mam, brzmi całkiem nieźle – odpowiada.

Z okna widać, że na parking wjeżdża radiowóz. Wysiadający z niego szeryf Gains podnosi kołnierz kurtki, a drugą ręką przytrzymuje stetsona na głowie, gdy atakuje go wiatr.

Melissa siada trochę prościej i mówi cicho, wpatrując się w swój kubek z kawą.

– No proszę, patrzcie, kto przyjechał.

Szczęka Gainsa jest ciemna od zarostu, ale Emma pamięta, że gdy tydzień temu ją przesłuchiwał, był starannie ogolony. Położył rękę na jej ramieniu – tę, w której brakuje trzech palców – i powiedział: „Wiem, że to musi być dla ciebie cholernie ciężki okres”.

Teraz, stojąc na parkingu, między te same kikuty wtyka papierosa, a drugiej ręki używa do osłonięcia go przed wiatrem. Pali szybko, łapczywie, jakby to była kwestia potrzeby, a nie estetyki (nie jak Rat). Taki właśnie powinien być mężczyzna, myśli Emma.

Jej matka odstawia kubek i zaczyna owijać szyję szalikiem.

– Chodź. Możemy wyjść drugimi drzwiami.

– Unikasz szeryfa?

Melissa, wkładając obszerną parkę, prychnie cicho.

– Oczywiście, że nie. – Zatrzymuje się, z jedną ręką uniesioną, gotową do włożenia do rękawa. – Po prostu nie sądzę, żeby on... Och, Em, utknęłam. Pomóż mi z tym, proszę.

Emma pomaga jej się ubrać, wciąż jednak nie rozumie, czym matka tak się denerwuje. W pewien sposób obawia się Gainsa – tak jak młode kobiety boją się starszych mężczyzn, a kolorowe policji, choć przecież szeryf jest raczej ślamazarny i łagodny, trochę jak rzeka. Jego duże ciemne oczy przypominają Emmie oczy osła,

a osły zawsze mają takie smutne pyski. Widok kikutów jego palców otwiera w niej jakąś głęboką studnię sympatii, co nie do końca rozumie. Ale niepokój matki jest namacalny, unosi się w powietrzu i Emma jest zmuszona go wdychać; odkrywa, że sama też rzuca pospieszne spojrzenia przez okno, gdy Gains kończy papierosa i odrzuca niedopałek.

– Mamo, dlaczego nie lubisz szeryfa?

Melissa wsuwa gęste blond włosy o żółtym odcieniu pod czapkę.

– Ani go lubię, ani nie lubię. Nie mam o nim zdania.

– Chyba się z nim... no wiesz... nie bzyknęłaś? – Emma marszczy nos. – Mamo, to obrzydliwe.

– Nie tak głośno, Em. – Melissa rozgląda się, ale bar jest prawie pusty. Tylko wielki Mo Dukes liczy drobne przy kontuarze, a jego córka Chrissy ściera stoliki koło tego, przy którym siedzi para w wiatrówkach i butach turystycznych.

W chwilowym przyływie poczucia godności Melissa prostuje ramiona.

– Nie, Em. Zdecydowanie nie. Po prostu mu nie ufam, to wszystko.

Kierują się do drugich drzwi, tych, które prowadzą na wąską brukowaną promenadę biegnącą wzdłuż rzeki.

– Dlaczego? – pyta Emma.

– Dlaczego co?

– Dlaczego mu nie ufasz?

Skrecają w stronę, z której wieje wiatr, i Melissa szczelniej otula się połami kurtki.

– Tajemnica lekarska. Zapomnij, że cokolwiek o tym mówiłam.

Przedtem

Pewnego lipcowego dnia, rok przed zniknięciem Abigail, Melissa, chcąc się nieco ochłodzić wpadającą do środka bryzą, siedzi przy otwartym oknie pokoju socjalnego przychodni i obserwuje główną ulicę. Sklep z odzieżą w stylu bohemy

na rogu ma wyprzedaż – mnóstwo podróbek biżuterii rdzennych Amerykanów i koszulki z nadrukowaną na wielkim liściu marihuany wysokością, na której znajduje się Whistling Ridge, i hasłem *To miasto jest całe na haju*. Od jednego z banerów reklamowych oderwały się żółte paski i toczą się ulicą jak jaskrawy tuman kurzu. Melissa wzdycha. Lato jest nużące i dłuży się – myśli – ale to i tak lepsze niż jesień, kiedy dzieci przynoszą z lasu kości zwierząt, a cała dolina przypomina wypełnione krwią i wodą deszczową usta, gotowe do zadania pytania, na które ona nie potrafi odpowiedzieć: Co ty tu jeszcze robisz?

Do skrzyżowania podjeżdża wielka ciężarówka załadowana wysoko balami z tartaku. Ponad opuszczoną szybą widać owłosione ramię kierowcy; jego palce stukają machinalnie w drzwi w rytm płynącej z radia piosenki, w której wszyscy są zakochani.

W portfelu Melissy, pomiędzy kartami lojalnościowymi i zmiętymi banknotami, jest uśmiechnięta twarz jej męża – uśmiechnięta, bo to był dzień ucieczki, dzień ich ślubu, kiedy wszystko wydawało się takie proste. Wystarczyło spakować walizkę i ruszyć w drogę. Całnocna jazda, a potem świt, wciąż z księżycem w tle, i nagle jesteś w innym mieście, w innym świecie, gdzie rodzice nie mogą cię znaleźć i wyrwać z ramion miłości twojego życia. Och, Miguel... Ból w jej klatce piersiowej jest zbyt znajomy. Czy kiedykolwiek będziemy mogli sobie wybaczyć?

Melissa z powrotem związuje włosy w koński ogon, ściągając go mocno, by skupić się na bólu, nie na myślach. Już ma się odwrócić od okna, gdy coś przyciąga jej wzrok. Abigail Blake, idąca chodnikiem z pustym wyrazem twarzy, schyla się, by podnieść kłęb żółtych serpentyn z ulicy. Gdy to robi, prosto na nią wpada szeryf. Melissa przygląda się, jak oboje poruszają ustami, jak się śmieją i wymieniają przeprosiny, a kiedy dziewczyna odwraca się, by odejść, Gains kładzie rękę nisko na jej plecach.

Teraz

Noah myśli, że gdyby spotkali się zimą, wszystko mogłoby być inaczej. Zimą już przy pierwszych śniegach wszyscy, wyziębieni wiatrem i zmęczeni, zaczynają się rozsypywać. Trudno jest myśleć o kimś erotycznie, gdy jest się okutanym warstwami szalików, bielizny termicznej i bluz z polaru. Jak myśleć o sobie w jakikolwiek sposób, gdy ubrania są na wskroś przesiąknięte roztopionym śniegiem, a dłonie czerwone i popękane do żywego mięsa? W zimie ludzie po prostu zwieszają głowy i starają się przetrwać do wiosny. Noah jest pewien, że gdyby była zima, nie doszłoby do tego.

Ale letnie noce są zmysłowe. Leniwe i beztroskie, i tak bardzo intymne. Można dać upust pożądaniu wśród drzew, za stodołami, w mroku i będą na to patrzeć tylko gwiazdy. Noc jest stworzona dla niewypowiedzianych tęsknot. Noc jest stworzona nie do mówienia, lecz do rzucania ukradkowych spojrzeń spod latarni ulicznych na zakurzonych bocznych drogach, dla zapachu włosów kochanka, dla palców muskających w ciemności inne palce.

Rat i Noah stoją w ruinach starego domu Winslowów i grzebiąc w kłębowiskach paproci i w obrośniętym mchem gruzie, próbują cofnąć lato.

Noah wrzuca do worka na śmieci mieszankę najróżniejszych świeczek, które stopiły się ze sobą i stworzyły trudny do określenia kolor. Potem przystaje na chwilę, by rozetrzeć krzyż. Dom Winslowów to takie miejsce, które sprawia wrażenie, jakby zawsze było w ruinie. Burze i bluszcz przedarły się przez szkieletowy dach i oderwały wielkie kawały ścian. Poczerniałe belki podtrzymujące konstrukcję, zapadnięte na skutek pożaru do środka, sterczą

skierowane ku otwartemu niebu, a u podstawy domu, przy której kiedyś dziewiętnastowieczna gospodyni mogła hodować róże, pomiędzy cegieł z wykruszoną zaprawą wyrastają polne kwiaty.

Rat, znudzony wypuszczaniem powietrza ze starego dmuchanego materaca, również się prostuje.

– To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek robiłem.

– Wątpię – rzuca Noah i wzdycha, odgarniając włosy z oczu.

– Masz rację. Pewnego razu, kiedy mieszkałem w Anglii, nasikałem w szkole do kratki wentylacyjnych, żeby odegrać się na nauczycielu wychowania fizycznego. Pozbycie się smrodu zajęło im cały tydzień. – Rat uśmiecha się i z kieszeni kurtki wyciąga paczkę marlboro. – Ale to jest całkiem bliskie tamtego.

– Mówiłem ci, że w lesie kręcą się gliny. Nie możemy tu zostawić całego tego szajsu. – Noah wyciąga ręce nad głowę tak wysoko, że strzela mu w barkach. – A co się stało, że tak się wkurzyłeś na tego wuefistę?

– Chciał, żebym ściał włosy. Zagroził, że jeśli tego nie zrobię, zmusi mnie do grania w siatkówkę z dziewczynami.

– To nie takie złe.

– Jasne, mistrzu licealnej drużyny koszykówki.

Przez chwilę wszystko jest prawie jak dawniej i Noah nawet lekko się uśmiecha.

– Byłem w drużynie tylko rok, potem mnie wywalili – mówi. – Ale miałem iść na anglistykę. Na Uniwersytecie Kalifornijskim. Przyznaj, że nawet na tobie robi to wrażenie.

– Pewnie, że robi. Nie wiedziałem tylko, że Biblia zalicza się do literatury. Ale co w takim razie robisz jeszcze w tej dziurze?

Jakby na zawołanie słońce chowa się za ścianą gęstych białych chmur i w ruinach domu Winslowów robi się nagle ponuro. Noah odchrząkuje.

– Problemy rodzinne.

Rat opiera się o zwęgloną ścianę, zapala papierosa i długo i powoli się zaciąga.

– Myślisz, że dalej byśmy tu przychodzili, gdyby twoja siostra nie zaginęła?

Noah marszczy brwi, lecz Rat macha do niego lekceważąco ręką.

– Możesz przestać udawać, Blake. Powiedziałeś mi, że znaleźli łuskę w lesie, ale twoją pierwszą myślą było to, że ktoś może się dowiedzieć, że się pieprzymy, a nie to, że twoja siostra mogła zostać zastrzelona.

– To nieprawda. – Noah odczuwa nieobecność siostry tak, jakby w klatce piersiowej miał kamień, jakby wszystkie rzeczy, których nigdy jej nie powiedział, piętrzyły się teraz w jego wnętrzu. Ciągle wraca myślami do tamtego dnia nad rzeką – jak wsiadając z powrotem do pick-upa, Abi położyła mu rękę na ramieniu, a on jej na to pozwolił. Co mogliby sobie powiedzieć, gdyby jazda do domu była trochę dłuższa? Teraz najprawdopodobniej już tego nie odrobiją.

Pociąga nosem i kuca, żeby zeszkrobać paznokciami stary wosk z nakrapianego porostami paleniska. Stara się uspokoić oddech, ale powietrze jest gęste od zapachu dymu z papierosa.

– Skoro tak twierdzisz – rzuca Rat. – Tyle tylko, że wydawałeś się bardziej przejęty tymi cholernymi świeczkami niż siostrą.

– Nie znasz tego miasta tak jak ja. Jeśli ludzie się o nas dowiedzą, ty też na tym ucierpisz.

Kończą pakować lato w ciszy, aż do momentu, gdy niebo zaczyna połyskiwać pierwszymi oznakami zachodu słońca. Wieczór jest wonny i parny od zapowiedzi deszczu; Noah zauważa, że włosy Rata zaczynają się kręcić od wilgoci w powietrzu.

– To chyba by było na tyle. – Rat rozgląda się, kiwając głową.

– Chyba tak. – Noah opiera się o stary komin i zagryza wargę. – W takim razie do zobaczenia.

Stoją i patrzą na siebie w surowym wieczornym świetle, tylko częściowo słuchając trzeszczenia topól i krakania wron nad głowami. Oczywiście Rata błędzą po twarzy Noaha, jakby próbowały go zapamiętać.

– W Europie pocałowałbym cię w policzek na pożegnanie.

– Nie rób tego. – Noah pociera nos, czując pod palcami jego zakrzywienie. – To nie jest tego warte.

– Może dla mnie jest.

Noah chce dotknąć miejsc, w których na Rata pada światło – jego włosów, kości policzkowych, czubków uszu – ale odległość jest zbyt duża i dzieli ich znacznie więcej niż tylko poskręcane paprocie i zwęglone deski domu Winslowów. Czuje to znowu, to klepanie w ramię, i chce coś powiedzieć, naprawdę chce, lecz czuje też miejsca, gdzie były siniaki, słyszy w głowie głos ojca, widzi dziurę w ścianie za krzyżem. Kiedy dzieją się złe rzeczy, ludzie podnoszą głowy ku niebu i pytają: Dlaczego? Dlaczego? On jednak już zna odpowiedź. Tamtej nocy, gdy ojciec wybił dziurę w tynku, jego ręka była prawicą Boga. Bóg przemówił do Noaha słowami: „Nie wychowałem cię na ciotę”.

– Blake, wszystko w porządku?

Gdy Rat robi krok w jego stronę, Noah uderza ręką w omszały kamień za sobą i coś wypada z komina.

• • •

Później, kiedy Blake’owie trzymają się za ręce przy stole, dziękując Wszechmogącemu za odgrzane w mikrofalówce resztki lasagne, Dolly otwiera jedno oko i zerka na starszego syna. Być może po to, by upewnić się, że chłopak wciąż tam jest. W pewnym momencie w ciągu ostatnich dziesięciu lat jego rysy zmieniły się i powstała ta nowa twarz, którą Dolly teraz widzi i zdaje sobie sprawę, że spóźniła się z zauważeniem tego. Syn już od jakiegoś czasu jest innym człowiekiem, tylko ona tego nie dostrzegła.

Teraz zauważa jednak jeszcze coś i ma wrażenie, że mała twarda kula nagle opadła z jej piersi do żołądka, gdy uświadamia sobie, że to, co widzi na twarzy syna, jest strachem. I tej samej nocy, kiedy Emma Alvarez leży bezsennie, słuchając wycia kojotów i tęskniąc za smakiem whiskey, Jude śni o rozkładających się zwłokach siostry, a Samuel wspomina, jak kiedyś pośród czarnych drzew

i głosów żołnierzy kołysał w ramionach martwą kobietę, Dolly Blake leży w łóżku, czując się przytłoczona ciężarem własnej winy.

Po drugiej stronie miasta Rat Lăcustă brzdąka na gitarze babci i wpatruje się w torbę, która wypadła z komina Winslowów.

12

– Oni jednak zawsze byli dziwni – mówi Ann Traxler, przycinając Debbie Weaver rozdwojone końcówki. – A teraz ta dziewczyna zniknęła... Hm... trudno się nie zastanawiać...

Emma udaje, że jest pochłonięta czytaniem czasopisma, ale kątem oka widzi ich odbicie w lustrze; jak dotąd kobiety nie pomyślały, żeby ze względu na nią zniżyć głos.

Eleanor Lewis, siedząca z zafoliowanymi pasemkami pod lampą, kiwa głową z miną mędrca.

– Z nimi od zawsze było coś nie tak. Poczynając od ojca... Och, Debbie, opowiedz nam o tym okropnym przyjęciu urodzinowym.

Debbie, której młodszy syn Cole nazwał kiedyś Emmę „córką brudnego Meksykańca”, zakłada jedną masywną nogę na drugą, szykując się do dłuższej przemowy. Uśmiecha się do odbicia dwóch pozostałych kobiet w lustrze, szczęśliwa, że dano jej szansę zabrać głos przy żonie pastora.

– To było wtedy, kiedy Luke grał w szkolnej drużynie z synem Blake’ów... Jak on ma na imię? Noah?

– No, ten to już w ogóle! – rzuca z obrzydzeniem Eleanor.

– No więc zaprosił Luke’a na przyjęcie urodzinowe w ich domu... Ale to było przed... no wiecie. Skąd więc miałam wiedzieć?

– Jasne.

– Więc pod koniec popołudnia idę odebrać Luke’a, a on zaczyna mi płakać w samochodzie. Mówi, że Samuel Blake opowiadał im, jak pewnego razu strzelił jakiejś kobiecie w plecy, gdy ta uciekała.

– Żartujesz – nie może uwierzyć Ann.

– To było w jakimś Sơn Tinh czy jakoś tak. W Wietnamie. A on ją zwyczajnie zastrzelił. Oczywiście Luke nie chciał tam już nigdy więcej chodzić.

Emma słyszała plotki, jak to w małym mieście, poza tym Abigail często opowiadała, jak ojciec odstraszał przyjaciół dzieci, nigdy jednak nie wspominała o martwej kobiecie.

Wizyta u fryzjera była pomysłem Melissy. „Dobrze jest sobie tak czasem dogodzić”, powiedziała. Lecz potem musiała gnać z powrotem do przychodni i zostawiła Emmę w pelerynie i z ręcznikiem na ramionach, kompletnie na peryferiach uwagi Ann Traxler. Emmie to jednak odpowiada, zwłaszcza teraz, gdy kobiety naprawdę przechodzą do sedna. Nawet matka unika wspomnienia o Abigail w obecności Emmy i w końcu dziewczyna zaczęła czuć się tak, jakby Abi była tylko jednym długim snem w sypialce jej młodości. Ale te kobiety po prostu zupełnie nie przejmują się jej uczuciami, więc dobrze jest usłyszeć znajome imiona wypowiedane na głos.

– No właśnie, właśnie – rzuca Ann. – Trudno się nie zastanawiać, dlaczego w ogóle Dolly za niego wyszła... za tego Samuela. W końcu jest od niej o wiele starszy i ma przeszłość.

– Była w ciąży, tak słyszałam – wtrąca Debbie.

Ann unosi brwi.

– Myślisz, że się pobrali, bo zrobił jej dzieciaka?

– Nie, nie Dolly. Kobieta, którą zastrzelił, była w ciąży. Tak mówił Luke.

Eleanor Lewis unosi brwi.

– Ten Samuel to naprawdę straszny człowiek. Przychodzi do kościoła śmierdzący piwkiem i myśli, że tylko dlatego, że najgłośniej krzyczy „Amen”, wszystko jest w porządku. Poza tym – zniża głos – widziałam kolana jego dzieci, poobcierane aż do krwi. A młodszy syn mówił mi kiedyś, że czasami podobno każe im do modlitwy klękać na żwirze na ich podjeździe. – Eleanor kręci głową. – Cóż,

jestem chrześcijanką i tego rodzaju rzeczy to ich sprawa, ale uważam, że to zła forma pobożności.

Emma nie przejmuje się zbytnio tym, co te kobiety myślą o Samuelu Blake’u. Ani nawet o Dolly, przez którą Emma czuje się jeszcze gorzej. Pewnego dnia wpadła na nią z matką w Safewayu. Pochylona nad wózkiem Dolly raczej się za nim wlokła, niż go pchała, i przez cały czas gapiła się na Emmę, jakby w ogóle nie widziała Melissy. Emma była pewna, że wyobrażała sobie, że obok niej stoi Abigail.

– Nie, niestety, nie mam zbyt wielkiego współczucia dla Dolly Blake – ciągnie Eleanor. – Kobiety takie jak ona lubią robić z siebie widowisko. Była kiedyś w komitecie kościelnym i widać było jej nieudolne próby ukrycia śladów na rękach i twarzy. Wszyscy czuli się przez to bardzo niezręcznie.

Ann przewraca oczami.

– To przez ten cały internet, to tam propagują takie szkodliwe wzorce. Ludzie myślą, że muszą się wszystkim dzielić.

– Otóż to. – Eleanor celuje palcem w Ann. – A przecież gdyby naprawdę było aż tak źle, to po prostu by go zostawiła.

– Czy to dlatego pozwoliłaś jej w końcu odejść z komitetu? – pyta Debbie. – Podobały mi się pieśni, które wybierała. Wnosiły trochę klimatu ze Wschodniego Wybrzeża.

– Patrzyła na nas z góry, ot co – prycha Ann.

– Pozwoliłam jej odejść, bo przestała się pokazywać – odpowiada Eleanor. – Po tej dziwnej sprawie sprzed kilku lat... Pamiętacie?

– O tak – potwierdza Debbie. – Tej z jej synem. To rzeczywiście było dziwne.

– Właśnie – rzuca Ann. – No a teraz, kiedy jej córka zniknęła, trudno się nie zastanawiać. – Spogląda w dół na włosy Debbie i kiedy to robi, przechwytuje w lustrze spojrzenie Emmy. – Och, dać ci może szklanekę wody, kochanie?

Eleanor zerka na Emmę ponad ramieniem Debbie i jej małe jak pączek róży usta marszczą się w typowy dla niej sposób, gdy wykrzywia je w dezaprobachie.

Debbie mruga i macha pulchną ręką w stronę Emmy.

– Po prostu nas ignoruj, kochanie – mówi i z jej ust, niczym uwięziony wiatr, wydobywa się wymuszony lekki chichot. – To tylko takie gdakanie starych kwok o wszystkim i o niczym.

• • •

W drodze do domu Emma pyta matkę, czy mogą przejechać obok domu Blake'ów. Melissa wyciąga do niej rękę i głaszcze ją po ramieniu, po czym skręca w Hickory Lane.

Z bladymi zasłonami zaciągniętymi w każdym oknie dom wygląda jak ślepiec. A jednak z ganku patrzy Jezus; z plastikową twarzą nadtopioną upałami lata lamentuje bezgłośnie nad ich grzechami. Przycupnięty między ocierającymi się o dom gałęziami świerku anioł ma ręce sklezione w modlitwie. A czaszka łosia na paliku ogrodzenia, z jednym złamanym porożem, wpatruje się pustym wzrokiem w Emmę i jej matkę. Dziewczyna ma wrażenie, że gdyby ta czaszka mogła mówić, powiedziała by im, żeby zawróciły i odjechały.

Na podjeździe nie stoi żaden z samochodów rodziny – ani zardzewiały pick-up Samuela, ani mały hatchback Dolly, ani furgonetka Noaha z silnikiem jak piła do kości. *Każę im się modlić na żwirze...* Usuwanie małych kamyczków z ran na kolanach Abigail, wcieranie w nie maści antybakteryjnej, by nie wdała się infekcja, przytulanie przyjaciółki, gdy mamrotała coś o niegodziwości – Emma pamięta to tak samo dobrze jak wygotowywanie jelenich kości, by nadawały się do projektów plastycznych, jak noszenie takich samych sukienek czy jak sprint przez podwórko Emmy z oblepionymi trawą stopami, gdy drżące z zimna i śmierdzące chlorem uciekały z basenu sąsiada.

– Jezu... – jęczy Melissa. – Zapomniałam, jaka to nora.

Emma kiwa głową.

– Tak, jeśli chcesz, możemy już jechać. Sama nie wiem... po prostu chciałam to zobaczyć.

– Oczywiście. – Melissa ogląda się przez ramię, gdy wrzuca wsteczny bieg. – Nie mogę uwierzyć, że pozwalałam ci tu przychodzić. Wydaje mi się, że to było wieki temu.

Do Emmy w tym momencie powracają słowa Eleanor Lewis. *Po tej dziwnej sprawie sprzed kilku lat... Pamiętacie?* Cztery lata, myśli Emma. Tyle czasu minęło, odkąd ostatni raz była w domu Blake'ów.

O tak. Tej z jej synem. To rzeczywiście było dziwne.

Noah przez wiele dni nie zjawiał się w szkole. Chrissy Dukes mówiła, że do pracy w barze Aurora też nie przychodził, i nikt go nie widział w kościele, chociaż kilka osób zauważyło Dolly płaczącą na parkingu. Na początku Abigail mówiła, że brat zranił się, grając w koszykówkę, ale Noah wyleciał z drużyny w drugiej klasie, a to się działo, gdy był w ostatniej. Abi robiła się dziwna i płoszyła się, kiedy Emma próbowała drążyć temat. Potem, podczas napiętego spotkania w alejce z chipsami i dipami w Safewayu, Dolly pospiesznie wytłumaczyła Melissie, że Noah był przygnębiony, bo nie dostał się na żadną z wybranych uczelni, i bez wątpienia tę historię rozpowszechniała również w kościele. Ale Emma była jedyną osobą spośród kolegów i koleżanek dzieci Blake'ów, której Samuelowi nie udało się odstraszyć. Znała rodziców Noaha: nie wierzyli, że dzieci mogą mieć depresję. Twierdzili, że to wszystko jest tylko spiskiem, żeby koncerty farmaceutyczne zarabiała na faszerowaniu dzieciaków lekami, których nie potrzebują. Więc pewnego dnia wpadła do Abigail i zobaczyła Noaha ze zmasakrowaną twarzą. Potem nie wolno jej już było przychodzić do tego domu. Nikomu nie wolno było – aż do dnia cztery lata później, kiedy szeryf Gains przyjechał, by powiadomić Blake'ów, że ich córka zaginęła.

Emma przygląda się w lusterku wstecznym, jak dom staje się coraz mniejszy; myśli o Noahu z fioletowo-siną twarzą, o Abi ze źwirem w kolanach i o tych wszystkich sekretach, które ludzie kryją przed światem, i słyszy Ann Traxler: *Trudno się nad tym nie zastanawiać.*

13

Problem z Abigail polega na tym, że jest artystką (Jude nie pozwala sobie myśleć o siostrze inaczej niż w czasie teraźniejszym, nawet jeśli zaginęła już czterysta trzydzieści dwie godziny temu). Rozmyśla o tym już od jakiegoś czasu, a teraz, opierając się o wózek na zakupy, podczas gdy brat zastanawia się nad wyborem przypraw do fajity, wydaje mu się, że w końcu to rozgryzł. Abigail ma duszę artystki i dlatego Noah zawsze jej nienawidził. Nienawidził jej nawet przed tym.

Ich matka była artystką, dawno temu. Jude ma mgliste wspomnienie o tym, że kiedy byli młodszy, pokazywała im, jak się robi figurki z modeliny, a wysiłki Abigail chwaliła najbardziej. Trudno sobie wyobrazić, by matka była kreatywna teraz, ale może dlatego zawsze chyba najwięcej uwagi poświęcała córce.

– Hej, kulasie, chcesz wędzony grill czy pieczony pomidor?

Jude cieszy się, że brat go o coś pyta, nawet jeśli chodzi tylko o przyprawę.

– Grill – odpowiada i Noah wrzuca przyprawę do wózka.

Abi jest dobra w rysunku ołówkiem i węglem, ale poza tym nie jest w szkole w niczym zbyt dobra, więc matka przerabia stare wypracowania Noaha z angielskiego, żeby córka mogła je oddać jako własną pracę domową. „Nie patrz tak, Noah. To nikogo nie krzywdzi, prawda?”, mówi. Potem, kiedy oceny Abi idą w górę, ojciec chwali ją – „Zuch z tej mojej dziewczyny” – i przykleja jej świadectwo na lodówce. O Noahu nigdy takich rzeczy nie mówi, więc Jude dochodzi do wniosku, że nawet jeśli to, co się wydarzyło – czy naprawdę minęły już od tego czasu cztery lata? – wcale by się nie wydarzyło, brat i tak nienawidziłby siostry.

Samuel Blake o młodszym synu też nigdy nie mówi „Zuch chłopak”, ale Jude wcale tego nie oczekuje. Wie, że jest znakiem interpunkcyjnym na końcu listy z imionami rodzeństwa: Noah, Abigail, Jude. Nieistotne imię, mówiące mu, ile miejsca wolno mu zajmować. „Wpadka”, tak nazwał go kiedyś ojciec, a matka nie zaprzeczyła. Więc Jude mówi cicho, trzyma łokcie blisko ciała i daje z siebie wszystko, co może, tak jak nauczył go Jezus. Jego rodzice są jak łosie, które czasami schodzą z gór i podjadają jagody na ich podwórku – jeśli ma się cierpliwość, to w końcu, czasami, pozwolą ci pogłaskać się po pyskach. Rodzice zapewne nie połasiliby się na jagody, ale Jude może się zdobyć wobec nich na cierpliwość. Będzie ją okazywał, dopóki nie odda z siebie tyle, że zmniejszy się do takich rozmiarów, że zmieści się wreszcie w ich życiu.

A co z Noahem? Czego potrzebuje jego starszy brat?

– Hej, zaczekasz tu chwilę z wózkiem? – Tak naprawdę nie jest to pytanie i Noah znika za rogiem alejki z przyprawami, zanim Jude zdąży odpowiedzieć.

Powoli, wspierając się na rączce wózka, kuśtyka na koniec alejki i wygląda zza przedwczesnej wystawy dekoracji na Halloween. Noah rozmawia z chłopakiem z Rumunii, który w wózku ma sześć puszek ravioli i nic więcej, więc Jude’owi trudno jest nie współczuć trochę temu chłopakowi. Ruchy Noaha są bardzo nerwowe, odskakuje, gdy Rumun próbuje go dotknąć. W końcu Noah mówi, na tyle głośno, że Jude to słyszy:

– Powiedziałem, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nie chcę mieć nic wspólnego z tobą.

– Kasa, Blake! Mógłbyś się w końcu stąd wyrwać, moglibyśmy...

– Po prostu trzymaj się ode mnie z daleka.

Noah odchodzi; nie zwalnia, nawet kiedy jego rękaw zahacza o tabliczkę z opisem oferty i na podłogę leci połowa wystawy, nie widzi więc tego, co widzi Jude: Rumuna stojącego z rękami skrzyżowanymi na piersi i wpatrującego się w miejsce, które przed chwilą opuścił Noah.

Jude wycofuje się z powrotem do alejki z przyprawami i myśli: Tylko nie znowu to, Noah. Nie znowu to.

• • •

Emma wpatruje się w torebkę: małą przezroczystą strunową torebkę z białym proszkiem, utkniętą w podartej foliowej jednorazówce z Safewaya.

– Musisz to zanieść na policję – mówi. – Skąd ty to w ogóle masz, do cholery jasnej?!

– Wypadło z komina – odpowiada Rat. – W ruinie Winslowów.

– W tym strasznym miejscu przy Tall Bones?

– Nie pójdę na żadną policję. – Rat opiera się o zlew i uśmiecha się do niej zawadiacko. – Nie, jak jest szansa na taki interes.

– Ale to jest kokaina, Rat. Prawdziwa kokaina.

– Dwadzieścia gramów. Mniej więcej.

– Więc co, jesteś dilerem narkotyków? O to chodzi?

Emma myśli o puszcze z gotówką w szafce – gotówką, którą bez wątpienia płacił za ich alkohol – i nagle ogarnia ją rozpaczliwa potrzeba znalezienia się w uścisku matki, jak najdalej stąd, z dala od torebki z koką i od ostrych rysów twarzy Rata. To uczucie nachodzi ją tak gwałtownie, że zaczyna płakać.

Na zewnątrz chmury robią się ciemne, ale tylko lekko mży, jak przeciek z nieba, stukający słabo w metalowy dach.

– Hej – rzuca łagodnie Rat. – No, nie bój się. No proszę, nie.

Dziewczyna zbyt późno przypomina sobie o makijażu i wyciera oczy wierzchem dłoni. Gdy stoi przed Ratem, z tuszem do rzęs rozmazanym na policzkach, chce jej się po prostu znowu rozplakać.

– Nie zajmuję się dilerką. – Przez sekundę chłopak przygryza dolną wargę w sposób, który przypomina jej Noaha Blake’a. – Odkąd przyjechałem do Ameryki.

– I to ma niby sprawić, że poczuję się lepiej? To dlatego nie chciałeś, żebym się tu kręciła, prawda?

– Mówiłem ci przecież, że znalazłem to w domu Winslowów.

Emma nabiera powietrza i długo je wypuszcza. To, co mówi Rat, może być prawdą. Boże, jak ona tęskni za tym, żeby wszystko znów było proste, by sama była prosta, tak jak wtedy, kiedy popijała z Abigail bourbona jej ojca, tłumiąc chichot, jakby to była najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiły.

– Ale... – Emma znowu wyciera oczy, brudząc sobie tuszem czubki palców. – Mimo wszystko chcesz to sprzedać, tak?

– Możemy zarobić trochę kasy, *drăgută*, ty i ja. Kupię ci, cokolwiek zechcesz... jacka danielsa, russian standard, pieprzonego francuskiego szampana... co tylko każesz.

– My? Co masz na myśli, mówiąc „my”? Mnie w to nie mieszaj.

Rat drapie się po dolnej szczęce.

– Pomogę ci z Hunterem Maddoxem.

Jest to tak oczywiste przekupstwo, że Emma odbiera to jako obrazę. Chce być zła na Rata, chciałaby go spoliczkować dla zasady, ale pragnie udowodnić, że Hunter był zamieszany w zniknięcie Abigail. Bardziej jednak zależy jej na tym, by dowiedzieć się, co stało się z jedyną prawdziwą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miała, i gdzieś w tle tego wszystkiego chce, żeby to nie była jej wina, i Boże, Jezu... *Możecie uwierzyć, że Emma Alvarez po prostu ją tam zostawiła? Możecie w to uwierzyć?* Emma wie, że to nie jest prawdziwe, ale słyszy, jak kojoty znowu wyją, i wokół jej głowy tłoczy się zbyt wiele obrazów: Abi w sukience ze szkolnego balu tańcząca przy Tall Bones, Abi w świetle księżyca, która zaraz zniknie między drzewami, Abi z trawą na stopach, z krwią na kolanach, z uśmiechem na twarzy, drapiąca się nieustannie... Emma czuje ciężar ich spędzonych razem lat, ciężar miłości, nudy i szaleństwa, przygniatający ją, jakby została pogrzebana żywcem i jej płuca wypełniały się ziemią.

– Emma...

Następną rzeczą, jaką rejestruje, jest to, że leży na podłodze i wstrząsają nią spazmy szlochu tak strasznego i pustego, że Rat bierze ją w objęcia i trzyma, dopóki nie przestanie się trząść. A ona, tuląc twarz do jego ciepłej i przesiąkniętej zapachem kadzidełka szyi, wydaje z siebie przepełnione bezgranicznym smutkiem dziwne dźwięki. A kiedy później to sobie przypomina, myśli, że być może miała nadzieję, że Rat będzie pachniał jak jej ojciec.

– Nigdy nie pozwolę, żeby coś ci się stało – obiecuje chłopak, jakby nie uważał siebie za zagrożenie.

14

Znaczna część jego przeszłości wydaje się teraz mglistą ciemną plamą gdzieś w odległych zakamarkach umysłu. Samuel pił wystarczająco długo, by do tego doszło. Ale czasami wciąż czuje kuchenne linoleum w domu rodziców, twarde i zimne pod kolanami, gdy z kosza na śmieci wyciągał pozostałe z kolacji resztki indyka.

– Uważasz, że to, co gotuję, to śmieci?! – krzychała jego matka. – W takim razie możesz jeść ze śmieci!

Mięso było letnie i oblepione resztkami psiego żarcia z poprzedniego dnia. Nawet teraz na samą myśl o tym ściska mu się gardło.

Skóra na grzbiecie jego prawej dłoni jest napięta i blada, a on chętnie pozwala innym myśleć, że to po tym, co wydarzyło się podczas wojny. Wolałby, by nie wiedzieli, że kiedy miał jedenaście lat, matka nakryła go, jak się dotykał, i przypaliła mu rękę żelazkiem.

– Nigdy więcej tego nie rób – powiedziała. – Bóg się bardzo gniewa, gdy to robisz.

Kiedy się rozpłakał, pchnęła go na kredens i poszła zażyć diazepam w swojej sypialni z zasuniętymi zasłonami. Nie umknęło jego uwadze, nawet jako dziecku, że rzeczy, które gniewały Boga, zazwyczaj wkurzały też jego matkę.

To była pierwsza lekcja, jakiej udzieliła mu Constance Blake: jak łatwo można zatrzeć granicę między życzeniami Pana a własnymi. Druga lekcja dotyczyła seksu. Constance nie aprobowała seksu, więc Bóg też nie, co utrudniało Samuelowi sprawę, bo chciał go uprawiać.

Georgia Lafitte była córką gospodyni i miała szesnaście lat, gdy stanął na progu męskości. Wciąż to pamięta: na werandzie starego rozpadającego się domu Blake'ów na plantacji, chór cykad w tle, jej ciche jęki, zachodzące za drzewami słońce i mech hiszpański kołyszący się w chłodnym powietrzu. Nie zdawał sobie sprawy, że matka jest w domu, dopóki nie wyszła, żeby zawołać go na kolację.

Nie pozwoliła nawet Georgii zebrać ubrań. Samuel pamięta, jak dziewczyna biegła przez trawnik półnaga, ze splątanymi włosami w miejscu, gdzie Constance chwyciła ją, żeby ją od niego oderwać. Pani Lafitte została zwolniona następnego dnia, a Samuela poinformowano, że jego postawa wymaga korekty. Dwa tygodnie później znalazł się na statku marynarki wojennej płynącym do Da Nang.

Na początku nie wydawało się to zbyt wielką karą. W szkole nie miał wielu przyjaciół, a tu nagle stał się częścią bractwa, a co więcej, znajdował się tysiące kilometrów od matki. Mimo potu, deszczu i niebezpieczeństwa czającego się w każdym cieniu czuł się tak, jakby wreszcie pozwolono mu odetchnąć pełną piersią.

Teraz jednak myśli: To dziwne, do jakich rzeczy zwracamy się w naszych najczarniejszych chwilach. Bo kiedy czołgał się po ciałach, trzymał dłoń martwego człowieka, patrzył na głowę z twarzą odartą ze skóry do kości, płynącą w strumieniu błota, zdarzało mu się żałować, że nie jest w domu z matką.

• • •

Poczucie winy to zwłoki, które trudno jest zakopać, nawet jeśli wciąż będziesz sobie powtarzał, że Bóg ci wybaczył. Jeżeli pozwalasz niektórym rzeczom rościć wystarczająco długo, w końcu wyrosną im kły i pazury i wypełzną z powrotem na powierzchnię.

Samuel ma czasami ataki. Jego ramiona wystrzeliwują do przodu i wydaje ten gwałtowny dziwny dźwięk, jakby ktoś zaszedł go niespodziewanie od tyłu i wbił mu palce w krzyż. Wtedy Dolly wzdycha – „Och, Sam” – a ludzie myślą, że to wyraz współczucia.

Pamięta, że zdarzyło się to raz w kościele, w samym środku kazania pastora Lewisa, a potem Dolly przeprosiła za męża. Mały Dalton Lewis, wyglądając zza nóg ojca, chciał wiedzieć, dlaczego Samuel tak krzyknął, co takiego mu się stało. „Był na wojnie”, odpowiedziała mu Dolly i chłopiec pomyślał, że chodziło jej o drugą wojnę światową. Dzieciaki w tych czasach nawet nie wiedzą, a jeśli wiedzą, to nic ich to nie obchodzi, myśli Samuel. Wszystko im jedno; wpatrzone w telefony, ignorują cały świat.

Czego nie może znieść, to strachu w ich oczach. Ilekroć ludzie patrzą na niego z lękiem, widzi inną twarz, tę, o której wolałby zapomnieć. „Dolly – mawia do żony – wszystko, co robisz, sprawia tylko, że czuję się jak śmieć”. I za pomocą podstępów i niespodziewanych napaści uczy ją utrzymywać pokerową twarz, trzymać strach na wodzy. Zbyt wiele się go naoglądał w oczach kobiet.

Z wyjątkiem Abigail.

Abigail patrzy mu prosto w oczy – już od urodzenia – nie tak jak starszy czy młodszy syn. Kiedy Samuel wydaje te dziwne odgłosy, córka tylko na niego patrzy i mówi: „Tatusiu, podaj majonez, proszę” albo „Tak czy inaczej, jak już mówiłam...”, jak gdyby nigdy nic.

Abigail była jego darem od Boga, podczas gdy Noah – ze spoconymi rękami, przygryzający wargi mól książkowy – był próbą. Kiedy zaczął chodzić, matka Samuela dzwoniła dwa razy w tygodniu z pytaniem, kiedy będzie mogła przyjechać do Kolorado, żeby poznać swojego pierwszego wnuka. Jej mąż, ojciec Samuela, zmarł rok wcześniej, co jak twierdziła, było dla niej pewnego rodzaju wezwaniem do przebudzenia. Zaczęła się lepiej odżywiać, spędzać więcej czasu z kobietami z sąsiedztwa i brać nowy lek, który pomagał jej stabilizować nastrój. Samuel nie chciał jednak o tym słyszeć. Diazepam, który łykała, gdy dorastał, nigdy nie wychodził jej na dobre, więc dlaczego te tabletki miałyby być inne? To było wszystko to samo gówno, tylko z inną etykietką. Poza tym Noah tylko by ją rozczarował, a to postawiłoby w złym świetle Samuela.

Pamięta, jak kiedyś powiedział: „On zemdłał, Dolly. Nie ma na to innego określenia. Dostał piłką, przygryzł sobie język i zemdłał. Nie potrafił nawet znieść

smaku krwi w ustach. Co z niego będzie za mężczyzna?”.

A Dolly tylko spojrzała na niego i odparła: „Ma trzy lata”, jakby to wystarczało.

Później Samuel zarzucił synowi: „Zawodzisz Boga”.

Ale Abi... Naprawdę modlił się o Abi. Nie spodziewał się córki, lecz kiedy raz zabrał ją ze sobą i z odległości dwudziestu kroków zestrzeliła z jego starego karabinu M16 rząd pustych puszek po lone starze, a kule, połyskujące jak świetliki, świszczwały w nagrzanym powietrzu, zrozumiał, że to jest to dziecko, które ma być stworzone na jego podobieństwo. Dostał szansę, by tym razem zrobić wszystko jak należy.

Po strzelaniu Abi zebrała łuski i Samuel zrobił z nich dla niej bransoletkę. Przez lata zrobił dla córki całe mnóstwo biżuterii, choć Dolly nie pozwalała jej nosić tych rzeczy w szkole. Mówiła, że są w złym guście. Ale teraz, kiedy Samuel idzie do pokoju Abigail, przegania Dolly, bo zasmradza go tą swoją wstrętną papierosową wonią, siada na narzucie łóżka i otoczony łagodną ciszą, którą tak często zapewniała mu córka, znajduje pod jej poduszką jedną z łusek.

Samuel ma świadomość, że czasami przemawia przez niego matka. Boże, wybacz mi, zdarza mu się myśleć, tyle że to nie jest prośba, tylko raczej stwierdzenie. Ma nadzieję, że jeśli będzie powtarzał je wystarczająco często, wszyscy w końcu uwierzą, że Bóg mu kiedyś wybaczy. Ale Abigail, gdziekolwiek teraz jest... Abigail postanowiła zachować tę małą pamiątkę z ich wspólnie spędzonych chwil, jakby przynajmniej ona już mu wybaczyła.

• • •

Jude podnosi wzrok znad pracy domowej i widzi ojca stojącego w drzwiach jego pokoju.

– Wkładaj buty – rzuca Samuel. – Wychodzimy się modlić.

Nocne powietrze pachnie zimą, dymem i wilgocią. Na podjeździe Jude owija ciaśniej szalik wokół szyi i patrząc w czyste niebo, myśli, że jeśli gwiazdy byłyby

ziarenkami soli, to z Ziemi wyglądałoby to tak, jakby Bóg przewrócił solniczkę.

Matka pomaga mu przyklęknąć na jedno kolano. Druga noga, która już zaczyna boleć od zimna, sterczy za nim sztywno i chłopiec, żeby się nie przewrócić, musi podeprzeć się laską. Potem matka i Noah klękają po jego obu stronach i czekają, aż Samuel zrobi to samo. Żwir wbija się Jude'owi w goleń przez dzinsy i kiedy chłopiec zerka na matkę i starszego brata, słabo oświetlonych pomarańczowym blaskiem wpadającym zza zasłon, widzi, że oni też zaciskają usta, żeby się nie krzywić. Minęło już trochę czasu, odkąd ojciec kazał im to robić. Jude zastanawia się więc, dlaczego wybrał akurat ten wieczór.

Biblia ojca to duże wydanie Biblii króla Jakuba, oprawione w czarną skórę, ze złotym obramowaniem stron i postrzępioną niebieską tasiemką, której ojciec używa do zaznaczania miejsc. Nawet teraz Jude dostrzega jej koniuszek powiewający na chłodnym wietrze, ale tego wieczoru pomiędzy stronami jest też kilka skrawków papieru i Jude przełyka ślinę. Najwyraźniej dziś wieczorem Bóg i jego ojciec będą mieli wiele do powiedzenia.

– Psalm piąty, werset szósty: *Nieprawi nie ostoją się przed Tobą. Nienawidzisz wszystkich złoczyńców...* – Głos Samuela brzmi, jakby był przeciągany przez wyschnięte koryto rzeki. – Powiedziano nam wyraźnie, że nasz Pan nienawidzi tych, którzy stają przed nim pełni arogancji.

Dolly zaciska i rozwiera dłonie, raz, dwa, trzy razy. Jude domyśla się, że prawdopodobnie chce jej się zapalić, ale chodzi chyba o coś jeszcze: matka ciągle zaciska wargi i przesuwa nerwowo wzrokiem, od Noaha, przez ziemię, do męża. Myślałam, że to będzie o Abi, myśli pewnie.

– Jak napisano w Księdze Objawienia, wszyscy ludzie niemoralni zostaną wrzuceni do jeziora płonącego ogniem i siarką. – Samuel spogląda na każdego z nich po kolei i jego wzrok zatrzymuje się na każdym odrobinę dłużej, niżby tego chcieli.

Jude podejmuje świadomy wysiłek, żeby się nie wzdrygnąć; od ostrych kamieni wbijających się w jego kolana zaczynają mu łzawić oczy. Głowę trzyma

spuszczoną nisko i ma tylko nadzieję, że ojciec nie pomyśli, że płacze.

– Powiem wam, co czeka tych niemoralnych ludzi: jezioro ogniste, w którym na wieki wieków za towarzystwo będą mieli jedynie samego diabła. Wszyscy jesteście grzesznikami, o tak, zaprawdę wszyscy jesteście przyobleczeni w szaty grzesznika, ale znaleźliśmy odkupienie poprzez miłość Jezusa Chrystusa. Amen! – Ostatnie dwie sylaby wykrzykuje, a rodzina wtóruje mu echem niskiego mamrotania. – A jednak są tacy, którzy odwracają się od miłości Pana, którzy nadal stoją przed nim pełni pychy i arogancji, mimo groźby bólu i męki. I to właśnie ci niemoralni ludzie są największą zniewagą dla Boga, ponieważ odrzucają jego ofertę odkupienia.

Ojciec nabiera głęboko powietrza przez nos i wydycha je przez usta w postaci obłoku pary, jakby zamiast Samuela Blake'a na podjeździe klęczał z nimi jakiś demon.

Potem wolno dźwiga się na nogi i zaczyna wokół nich krążyć.

– Nie sprawia mi żadnej radości, że muszę was poinformować, że ktoś taki jest w tej rodzinie i że za jego niegodziwość wszyscy jesteście karani.

Jude czuje ukłucie na karku, gdy ojciec przechodzi za jego plecami.

– Fałszywi prorocy z biura szeryfa chcieliby nam wmówić, że Abigail uciekła – ciągnie Samuel. – Ale prawda jest taka, że zabrał ją sam Bóg, by pod czujną opieką jego aniołów zaczekała, aż wypędzimy grzech z tego domu. Wtedy, i tylko wtedy, Pan odeśle ją do nas.

Nagle wskazuje palcem na Dolly.

– Chcesz odzyskać córkę?

Patrząc na matkę, Jude widzi, że jej twarz błyszczy od łez, a przecież nie słyszał, żeby płakała. Nigdy nie słyszy. Dolly kiwa głową i robi to tak, jakby męczyła ją nawet tak prosta czynność.

– Ty – rzuca Samuel i Jude z niepokojem stwierdza, że wskazuje teraz na niego.

– Chcesz odzyskać siostrę?

Chłopiec waha się, ale ciężkie spojrzenie ojca wciska go mocniej w kamienie i w końcu Jude również przytakuje.

Ojciec znowu sięga po Biblię, staje za Noahem i czyta powoli:

– Księga Kapłańska, rozdział osiemnasty, werset dwudziesty drugi: *Nie będziesz obcował z mężczyzną, tak jak się obcuje z kobietą. To jest obrzydliwość!*

Przy tych słowach kopie Noaha w plecy i powala go na ziemię, po czym staje jedną nogą na głowie syna, wciskając bok jego twarzy w żwir. Dolly zasłania usta rękami, łka za nimi, ale nie rusza się z miejsca. Jude próbuje wstać, traci jednak równowagę i aby utrzymać się w pionie, musi chwycić się laski. Noah drapie paznokciami kamienie wokół siebie, krztusząc się ziemią.

– Sam to na siebie sprowadziłeś, chłopcze – mówi Samuel głosem ostrym jak scyzoryk, nie przestając wdeptywać głowy syna w ziemię. – Drogi, których cię uczę, są drogami Pana, a mimo to wciąż je odrzucasz. – Nabiera gwałtownie powietrza i zwilża wargi, patrząc, jak Noah szamocze się pod jego butem. – Przysięgnij na Pana, Boga naszego, że wyrzekniesz się tego niemoralnego stylu życia i będziesz szukał odkupienia i przebaczenia w Jezusie Chrystusie.

Jude wie, że powinien coś zrobić, ale to wszystko wydaje się zbyt znajome, a ból w nodze mówi mu: Nie odzywaj się albo złamię ci drugą.

Dolly przesuwa się, jakby miała zamiar wstać.

– Sam...

– Zostań na kolanach, kobieto, albo poczujesz moją dłoń. Tu się odbywa dzieło Boże. – Samuel mocniej wwierca but w policzek Noaha. – Powiedziałem: przysięgnij.

Noah jęczy z ustami w połowie wypełnionymi żwirem.

– Przysięgnij!

Powoli, z bólem, Noah kiwa głową.

Jude patrzy, jak na twarz ojca wypływa uśmiech.

– List do Koryntian, rozdział szósty, werset dziewiąty i jedenasty – mówi i triumf w jego głosie nadaje złotą obwódkę jego słowom. – *Czyż nie wiecie, że*

niesprawiedliwi nie posiadą królestwa Bożego? Nie łudźcie się! Ani rozpustnicy, ani bałwochwalcy, ani cudzołożnicy, ani rozwieżli, ani mężczyźni współżyjący z sobą... – Wyciąga piersiówkę i wylewa jej zawartość na syna. – A takimi byli niektórzy z was. Lecz zostaliście obmyci, uświęceni i usprawiedliwieni w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa i przez Ducha Boga naszego. Amen.

Następnie, nadal się uśmiechając, Samuel rzuca piersiówkę na ziemię obok głowy starszego syna i nawet nie spojrzawszy na młodszego i żonę, odwraca się i idzie do domu.

15

– Dokąd idziesz? Robi się ciemno.

Melissa dociera do podnóża schodów i widzi, że córka, z telefonem w jednej ręce i kurtką w drugiej, wkłada sportowe buty.

Emma kręci głową.

– Mamo, jest dopiero siódma. – Ma na ustach szminkę w odcieniu, jakiego matka nigdy wcześniej u niej nie widziała.

– Umówiłaś się z kimś? Em, chyba nie z tą koleżanką... z tą, która ostatnio kupiła ci alkohol?

Dziewczyna przez chwilę mruga i jej twarz jest całkowicie pozbawiona wyrazu.

– Och, nie – rzuca w końcu. – Już się z nią nie przyjaźnię.

Co robić, gdy nastolatka albo nastolatek cię okłamuje? Melissa wyszukała tę stronę internetową w nocy, kiedy znalazła Emmę wymiotującą nad toaletą, i teraz ponownie przebiega w myślach najważniejsze wskazówki. *Po pierwsze, zachowaj spokój.* Cóż, jasne, ale może coś praktycznego? *Po drugie, daj jej albo jemu znać, że może zawsze na ciebie liczyć.* Wczoraj zabrała Emmę do fryzjera, potem poszły na pączki i lemoniadę do Aurory i w drodze powrotnej Melissa kupiła córce brokatowy lakier do paznokci. Zabrała ją ze szkoły i unikała konfrontacji, chociaż wie, że im obu pękają serca, ale Emma tylko się ciągle do niej uśmiecha tym pustym uśmiechem, mówi: „Brzmi nieźle, mamo” i pachnie miętowym odświeżaczem do ust i zbyt dużą ilością dezodorantu.

Po trzecie, zachowaj perspektywę – tu nie chodzi o ciebie.

– Hm... to dobrze, Em, ale wiesz... naprawdę nie czuję się komfortowo, że wychodzisz o tej porze, zwłaszcza kiedy policja nadal nie... No, wiesz.

– Słuchaj, mamó, nie wychodzę na długo i wyślę ci esemesa. Ale naprawdę nie masz się o co martwić. Idę się tylko z kimś spotkać.

Melissa znów spogląda na jej pomalowane usta.

– Och.

Dziewczyna spuszcza wzrok na swoje stopy, być może mając nadzieję, że matka nie zauważy jej uśmiešku. Widok ten wywołuje w sercu Melissy współczucie dla tej słodkiej dziewczyny, której nieprzetestowana młodość wciąż jest tak pełna nadziei.

– Jaki on jest? Bo zakładam, że to on. – Melissa odchrząkuje, żeby oczyścić gardło.

Jej córka nadal uśmiecha się do butów.

– Jest naprawdę miły, mamó.

Melissa rozumie, że zbliża się czas, kiedy będzie musiała powiedzieć jej prawdę: że w głębi duszy wszyscy mężczyźni to miernoty. Tak naprawdę większość ludzi taka jest, ale mężczyznom pozwala się dorastać z przeświadczeniem, że świat stoi przed nimi otworem, na pewno bardziej niż przed kobietami. Potem dobiegają czterdziestki i zastanawiają się, dlaczego jeszcze nie osiągnęli sukcesu, a jeśli na ich drodze stanie kobieta... cóż... może jej być trudno.

– Po prostu bądź ostrożna, dobrze? Czasami chłopcy potrafią... No... zawsze chcą zrzucić winę na kogoś innego.

– Czy to właśnie zrobił tata? – pyta Emma.

Po czwarte, wyrabiaj jej albo jego uczciwość, dając przykład własnym zachowaniem.

– Nie, Em. Twój tata musiał odejść, bo... – Melissa wzdycha.

Dziewczyna spogląda przez ramię na szybę w drzwiach; tak naprawdę nie chce znać odpowiedzi na to pytanie teraz, bo się spieszy. Ale przed wyjściem wyciąga rękę i głaszczcze ramię matki.

– Już dobrze, mamó – mówi. – Wiem.

A Melissa ściska dłoń córki, myśląc: Nie, nie wiesz. Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz wiedziała.

• • •

Emma znowu patrzy na ekran komórki.

– Spóźnia się – rzuca.

Rat opiera się plecami o chłodną płaszczyznę jednej ze skał i zapala papierosa. Za nimi księżyc wyłania się spomiędzy szczytów drzew, szamocząc się z plątaniną nagich gałęzi, czepiających się jego skraju.

– Przyjdzie.

Kiedy poprzedniej nocy zadzwoniła do Rata, by zapytać, jaki jest jego wielki plan, odpowiedział:

– Nic wielkiego, *drǎgutǎ*. Ja mam dwadzieścia gramów koki do opchnięcia, ty masz pytania do zadania, więc... – Prawie słyszała, jak w przerwie wzrusza ramionami, jakby powiedział coś zupełnie oczywistego, coś, co ludzie mówią codziennie. – Upieczemy dwie pieczenie przy jednym ogniu. Sama mówiłaś, że Hunter Maddox zajmuje się kupnem i sprzedażą, więc uderzymy do niego i damy mu znać, że jest interes do zrobienia. Zabierzemy go w jakieś ustronne miejsce, zainkasujemy kasę, a potem zapytamy, co wie.

– To straszne. Po prostu go zapytamy?

– Prawdziwe życie nie jest jak serial *CSI*, *drǎgutǎ*. Jedyne, co prawdopodobnie znaleźlibyśmy w lesie, gdybyśmy poszli go przeszukiwać, to kości ptaków i igły sosnowe. Czasami najlepszym rozwiązaniem jest to najprostsze.

– A jeśli on nie będzie chciał mówić?

– Wtedy przypomnimy mu – w głosie Rata wyraźnie słychać zniecierpliwienie – że wszedł w posiadanie nielegalnej substancji i jeśli nie będzie współpracował, biuro szeryfa w Whistling Ridge dostanie anonimowy cynk. W porządku? Po prostu mi zaufaj, Emma. Wiem, co robię.

Las szeleści pod wpływem powiewu silnego wiatru. Kiedy Emma była dzieckiem, las zawsze wydawał jej się taki pełen obietnic, w powietrzu wyczuwało się smak przygody. Gdy były młodsze, ona i Abigail uciekały do lasu, sporządzały mikstury z pyłku sosnowego i skryształowanego soku; naśladując ryk łosi, darły się wniebogłosy, by odstraszyć duchy, a potem wracały do domu z bosymi stopami poplamionymi na czerwono od ściółki i żwiru. Teraz jednak Emma jest starsza i kiedy patrzy na las, myśli o kłach kojotów, ich ostrych pazurach i zastanawia się, czy na tym właśnie polega dorastanie. Że człowiek zaczyna rozumieć, że czary i duchy nie istnieją, a prawdziwym zagrożeniem w tych wszystkich bajkach zawsze były rzeczy istniejące, jak wilki i ten las.

Nie. Zagrożeniem zawsze byli ludzie.

– Hej – rzuca Rat, wpatrujący się w swojego papierosa. – Co wiesz o Noahu Blake’u?

– O Noahu? – Emma wzrusza ramionami.

Noah to starszy brat Abi, więc zna go od lat, ale z drugiej strony, zawsze był zbyt dorosły, żeby się z nim zadawać. Najlepsze płyty Creedence Clearwater Revival, czarna kawa, ubłocone buty, to jest to, co pamięta o Noahu, który woli czytać o fikcyjnych ludziach, niż spędzać czas z prawdziwymi.

– Jest trochę dziwny – mówi Emma.

– Ale co to za jeden? Jaka jest jego historia?

– A co cię to obchodzi?

– Może chcę się z nim zaprzyjaźnić, *drăgută*. Nie możesz trzymać mnie tylko dla siebie.

Emma uśmiecha się.

– A kto powiedział, że chcę?

Wiatr znów się wzmacnia i wstrząsa nią dreszcz. Rat ściąga kurtkę i zarzuca na jej ramiona. Jest podszyta jego ciepłem i Emma wtula się w nią, starając się nie myśleć o tym, co właśnie usłyszała. Widzi, że chłopak przygląda się jej z uśmiechem.

Znowu sięga po telefon.

– Ma już dwadzieścia minut spóźnienia. A jeśli się zorientował, że to podstęp?

Ryk silnika sprawia, że odwracają się w porę, by zobaczyć reflektory liżące drzewa, gdy samochód wjeżdża na skraj polany. Od strony kierowcy wyłania się barczysta sylwetka i Hunter Maddox rusza po trawie w ich kierunku.

– O wilku mowa – mamrocze Rat.

– Co ona tu robi? – pyta Hunter, patrząc na Emmę tak, że dziewczyna się kuli. – Nic nie mówiłeś o innych ludziach.

– Przyniosłeś pieniądze? – rzuca Rat.

Hunter przygląda się Emmie jeszcze przez chwilę; w blasku latarki wygląda, jakby był namalowany ostrzejszym pociągnięciem pędzla.

– Taaa – odpowiada w końcu. – Mam gotówkę, tak jak chciałeś.

Rat kiwa głową.

– *Drăgută*.

Emma odchrząkuje i nie patrzy na żadnego z nich, gdy sięga pod sweter, by wyciągnąć spod niego starą torebkę z Safewaya pełną koki. Wcześniej Rat zasugerował, by wsadziła ją za stanik, i wtedy myśl o tym, że zobaczy jej piersi, tak ją podnieciła, że postanowiła to zrobić. Tylko że Rat nic nie zobaczył, bo odwrócił się i patrzył na jakiś wiersz przypięty do ściany. Teraz, wręczając Hunterowi torebkę z kokainą, która przez cały wieczór była wciśnięta między jej cycki, czuje się jak ofiara żartu wszystkich chłopaków na całym świecie.

Hunter unosi brwi.

– Więc to dlatego ją tu przyprowadziłeś, co?

Rat nie odpowiada, a Emma marzy o tym, by ziemia się rozstała i ją pochłonęła. Przed opuszczeniem kampera ona i Rat strzelili sobie po lufce wódki, ale alkohol przestał już działać i nawet w kurtce Rata jest jej teraz zimno.

– Załatwmy to wreszcie – mówi ostro. – Bierzesz ten towar czy nie?

– Dobra, dobra, już się tak nie spinaj. – Hunter rozwija torebkę, ale potem tylko stoi i mruga w świetle latarki. – Hej, chwila, a co to, do cholery, jest?

Rat wydmuchuje w chłodną noc smużkę dymu.

– Dwadzieścia gramów proszku, przyjacielu. Tak jak rozmawialiśmy.

– Tak, ale to jest... Skąd to macie?

– To już nie twoja sprawa.

– Ale jak...?

– To kokaina, Maddox. – W głosie Rata słychać znudzenie. – Nie zamierzam ci powiedzieć, jak ją zdobyłem. Chcesz ją, to świetnie. Weźmiemy kasę i sobie pójdziemy. Jeśli nie, możesz przestać marnować mój czas.

Emma, obserwując Huntera, gdy ten wsuwa palec do torebki ze strunowym zapięciem, a następnie wkłada go do ust i wciera proszek w dziąsła, odnosi wrażenie, że chłopak jest dziwnie przybity.

– Nie, chcę, chcę. Masz. – Wyciąga z kieszeni sportowej kurtki kopertę i podaje Ratowi.

– Pięćset. Zuch chłopak.

Hunter zamyka torebkę i wtyka zawiniątko ostrożnie do wewnętrznej kieszeni kurtki.

– Hej, Maddox, ale jeszcze nam nie znikaj. Moja przyjaciółka chce zamienić z tobą słówko.

Nagle brzęczenie sprawia, że wszyscy się wzdrygają. Rat krzywi się i wyciąga telefon z tylnej kieszeni.

– Porozmawiajcie sami, dobra? – Wtyka telefon między brodę a ramię i odwraca się. – Hej, hej, zwolnij, nie mogę... Zrobili co? Nic ci nie jest?... Tak, wiem. Możesz prowadzić? Uhm. Dobrze... Nie, nie tam, jest za zimno. Po prostu spotkajmy się u mnie. Ja już tam jadę.

– Hej – syczy Emma. – Co to znaczy, że już gdzieś jedziesz? Nie możesz mnie zostawić.

Rat emanuje jakąś nerwową energią, której nigdy wcześniej u niego nie widziała, jakimś kinetycznym wrzieniem.

– Słuchaj, mój przyjaciel potrzebuje pomocy, muszę się zmywać.

– Jaki przyjaciel?

– Po prostu przyjaciel.

– Nie możesz mnie z nim zostawić. – Emma pokazuje na Huntera, który stoi z boku i wydaje się pochłonięty kopaniem ziemi czubkiem sportowego buta. – Co z nakłonieniem go do mówienia?

– Ach. – Rat wyraźnie nie jest w stanie ustać w miejscu, jego ciało przechyla się w kierunku sosen, gdzie wcześniej zaparkowali jego motocykl. – Boże... ale fenomenalne zgranie w czasie – mówi pod nosem, zamykając na chwilę oczy.

– Nie zostawisz mnie tutaj. Dlaczego nie możesz mnie odwieźć?

– Słuchaj, nic ci się nie stanie. Wszystko będzie dobrze – zapewnia, ponownie zerkając w stronę motocykla. Brzmi to jednak bardziej tak, jakby próbował przekonać przede wszystkim samego siebie. – Zresztą Maddox to zbyt wielki cykor, żeby samemu kogoś zamordować.

– Ty tak serio? – nie może uwierzyć Emma.

– Posłuchaj, on wie, że ja wiem, że cię z nim zostawiam. Gdyby coś zrobił, to byłoby zbyt oczywiste. Będzie dobrze, obiecuję. Zadzwoń do ciebie, dobrze? – Rat wyrzuca niedopałek i ciemność natychmiast pochłania wszelkie ślady małego światełka. – Możesz zatrzymać kurtkę.

– Ale...

– Przepraszam, Emma, naprawdę muszę iść.

Dziewczyna czuje gęsią skórę na rękach i ramionach, gdy patrzy, jak Rat odchodzi szybko połąką w stronę motocykla. Przez chwilę to nie jest on, tylko Abigail Blake znikająca między drzewami.

– Jak mam wrócić do domu? – pyta Emma.

Gdzieś w ciemności słyszy szum rzeki, przerywany rytmicznym kumkaniem żab. Potem nagle z głębi lasu, z innego kierunku, dobiega skowyt kojota. Wstrząsa nią dreszcz.

Hunter Maddox kieruje na nią snop światła z latarki i ruchem głowy wskazuje swój samochód.

– Hej, *señorita*, potrzebujesz podwózki?

• • •

Nawet mimo tego, że Dalton Lewis, syn pastora, trzyma rękę na ciężkich piersiach Beth Farmer na tylnym siedzeniu jej dusznego samochodu, nie może nie zauważyć trzech postaci stojących w cieniu Tall Bones. Z tej odległości trudno powiedzieć, kim są. Mają tylko jedną latarkę i ktokolwiek ją trzyma, nie kieruje jej światła na twarz swoją czy pozostałej dwójki.

Jedna z tych osób podaje coś tej z latarką. Ta przyświeca sobie, żeby przyjrzeć się temu, co dostała – sięga do tego, po czym wkłada palec do ust, a Dalton myśli: Och. Potem ten ktoś daje coś trzeciej osobie.

Beth Farmer jęczy mu do ucha, a on myśli, że może brzmi to trochę tak, jakby udawała, jest jednak zbyt zajęty obserwowaniem tej dziwnej transakcji, by się tym przejmować.

Jedna z postaci odbiera połączenie telefoniczne – widać światło ekranu – po czym oddala się od dwóch pozostałych. Dopiero kiedy słyszy warkot motocykla, Dalton zdaje sobie sprawę, kto to był.

Przedtem

W motelu w Longmont w Kolorado, osiemnaście lat przed tym, jak jej córka wejdzie do lasu i już nigdy z niego nie wyjdzie, Dolly patrzy na wschodzące słońce nad górami na horyzoncie. Zarysy Gór Skalistych wyglądają jak wielka fala wznosząca się nad krajobrazem i Dolly nie jest w stanie oprzeć się wrażeniu, że ta fala może w każdej chwili zwalić się w dół i ją pochłonąć. Ale już wcześniej podjęła decyzję, że to jest to, na co zasługuje.

Śniadanie jest dziwnie kwaskowate w smaku, a w prysznicu jest tak niskie ciśnienie wody, że Dolly czuje się tak, jakby ktoś ją obsikiwał. Po wszystkim wsiada do samochodu i rozpoczyna długą jazdę w góry, z powrotem do Whistling Ridge.

Stoi przez chwilę zupełnie sama na zwirowym podejździe przy Hickory Lane, z walizką w ręce, przygotowując się. Jest jeszcze na tyle wcześnie, że z trawy unosi się mgła wyglądająca jak duchy przechadzające się po podwórku. Deszcz ostatniej nocy wydobył na powierzchnię wszystkie możliwe zapachy i teraz w powietrzu czuć żelazową woń ziemi, chłodną zapowiedź śniegu i odór starych strzępów mięsa na szkielecie jelenia, który Samuel suszy w szopie. Czy to Bóg? – zastanawia się Dolly, bo w tamtym czasie ma jeszcze swoje własne wyobrażenie wiary. Czy w ten sposób Bóg do nas przemawia? Myśl, że Pan z nią jest, pozwala jej otworzyć drzwi frontowe i wejść.

W środku dom śmierdzi jak kawałek starego masła pożółkniętego na brzegach. Stęchlizna w powietrzu mówi jej, że od czasu jej wyjścia wczoraj po południu nic nie było myte, łącznie z mieszkającymi tu ludźmi. Zostawia walizkę w przedpokoju

i porusza się ostrożnie, jakby odwiedzała miejsce zbrodni. Na kanapie w salonie leży puste pudełko po pizzy z ciemnymi plamami tłuszczu, na podłodze wala się kilka zgniecionych puszek po piwie. Plama na dywanie w rogu zalatuje lekko moczem.

– Samuel? – Staje na schodach i słucha. – Noah?

Mocz czuć również w pokoju syna, a kiedy Dolly woła ponownie, słyszy stłumione uderzenie dochodzące z wnętrza szafy.

– O Boże, Noah.

Ktoś zastawił drzwi krzesłem, tak że szafy nie da się otworzyć od środka. Dolly odsuwa krzesło i widzi, że małe rączki synka są czerwone i spuchnięte. Nie chce sobie wyobrazić, jak długo musiał walić w te drzwi. W klatce piersiowej czuje kłucie, jakby starała się wchłonąć ból syna, i zaskakuje ją nagłe pragnienie, by wziąć go w objęcia. Ale syn cuchnie moczem – własnym, jak potem odkryje Dolly – więc odwraca się, odmawiając mu pociechy swojego ciała. A Noah, zaledwie czteroletni, po prostu tam stoi, w tym samym ubraniu, które mu włożyła poprzedniego dnia.

– Co się stało? – Dolly klęka przed synem. – Gdzie tata?

Chłopczyk wpatruje się w swoje czerwone rączki i zaczyna ssać dolną wargę.

– Hej, spójrz na mnie. Czy to tata cię tam wsadził?

– Za głośno płakałem.

– I gdzie on teraz jest?

Noah wzdycha, jakby to było oczywiste.

– Tata wyszedł. Tak jak ty.

Dolly czuła się winna, odkąd obudziła się rano w taniej bawełnianej pościeli. Czuła się winna w czasie godzinnej jazdy powrotnej do domu szosą z milczącymi lasami po obu stronach, a teraz to poczucie winy zamieniło się w tępy ból z tyłu głowy. Ale obwinianie siebie to jedno, a uzmysłowienie sobie, że syn też ją wini, co tylko potwierdza, że to wszystko jest naprawdę jej winą, sprawia, że czuje się

jak skorupka jajka, na którą ktoś mocno nadepnął. I jak to często bywa w jej przypadku, nie potrafi się zmierzyć z tymi myślami.

Wstaje i kiedy patrzy z góry na swojego małego synka, w zasikany ubraniu, z drżącymi rączkami, jedyne, co jest w stanie powiedzieć, to:

– Chodź, lepiej cię umyjemy, okropnie cuchniesz.

Teraz

Noah czeka w pick-upie, ze zgaszonym silnikiem i wyłączonymi światłami, i unika przechwycenia swojego odbicia w lusterku wstecznym. Nie chce widzieć, jak wygląda. Jeśli choć w przybliżeniu tak źle, jak się czuje, to widok własnej twarzy tylko pogorszyłby sprawę.

Osiedle przyczep jest luźną mozaiką pomarańczowych i żółtych kwadracików – świateł późnej nocy na czarnym tle górskiego zbocza. Noah obserwuje starszą kobietę w najbliższym oknie: wąskie usta zaciskają się wokół papierosa i przy wypuszczaniu dymu jej ramiona opadają w dół. Noah zastanawia się, czy jest tu sama, czy zawsze była sama. Czy są gdzieś jakieś dzieci i czy za nią tęsknią? Czy ona za nimi tęskni? Czy stałaby i patrzyła, jak ich ojciec wpycha ich twarze w ziemię?

Warkot motocykla Rata sprawia, że Noah siada prosto. Wyciera oczy i nos rękawem, po czym wyślizguje się cicho z pick-upa i idzie po trawie do kampera. Uderzony silniejszym podmuchem wiatru, potyka się. Chce mu się płakać, że jest taki słaby, i kiedy Rat bierze go w objęcia i zamyka za nimi drzwi, Noah myśli, że pod wpływem dotyku rozpadnie się zaraz jak zgniła brzoskwinia.

– Nie wiedziałem, do kogo innego mógłbym zadzwonić.

– *Dragul meu* – szepcze Rat przy jego szyi, głaszcząc go po plecach kolistymi ruchami. Noah nie chce pytać, co znaczą te słowa. Coś w sposobie, w jaki Rat je wypowiada... tak czule... wskazuje na to, że mógłby tego nie znieść.

Przez krótką chwilę pozwala, by Rat go po prostu tulił. Jest niższy od niego o dobre kilka centymetrów i Noah musi się schylić, ale warto narazić się na ból, byle tylko móc przyciskać twarz do jego włosów, wdychać zapach, który przypomina lato, kółka dymu z papierosa, ciasno skręcone paprocie i pocałunki w miejscach, o których nie wiedział, że ludzie się w nie całują.

Rat siada na stercie kołder i przemywa skaleczenia na jego twarzy ciepłą wodą i czystą wódką. Noah krzywi się z bólu, ale to dobry rodzaj bólu, to coś jak mały egzorcyzm. Chwilami Rat mówi po angielsku, a potem w swoim ojczystym języku. Chwilami w ogóle się nie odzywa, ale jego dłonie są cały czas delikatne, metal pierścieni na palcach wydaje się chłodny w zetknięciu ze skórą Noaha w miejscach, gdzie jest gorąca i opuchnięta. To właśnie ta delikatność powoduje, że Noah zaczyna płakać, jakby do tej pory zapomniał, jak to jest być dotykany bez przemocy.

– Hej – mówi Rat łagodnie. – Już dobrze.

– Tak, tylko chodzi o... o moją matkę, człowieku, nawet nie o ojca. – Noah wyciera wściekle oczy wnętrzem dłoni. – Nie wiem, co jest z nią nie tak. To znaczy... o co w tym biega. To tak, jakby mnie za coś obwiniała, i dlatego pozwala ojcu robić, co chce. Ale potem jakby mnie za to nienawidziła, za to, że przeze mnie czuje się winna, więc... więc po prostu... No, kurwa.

Spogląda na Rata, łapiąc powietrze małymi porcjami, jak gdyby próbował wyssać je całe z kampera.

– I wiesz, co jest najgorsze? Ja jej nawet nie nienawidzę. Byłoby o wiele łatwiej, gdybym mógł ją nienawidzić, tak jak nienawidzę ojca, ale... Boże, to jest tak, jakby mimo wszystko wciąż gdzieś we mnie tkwiła ta młoda, pełna nadziei głupia część mnie, która wciąż wyciąga ręce do mamusi, z nadzieją że ona tam będzie. Tylko że jej nigdy nie ma. Nigdy jej nie ma. Czasami chciałbym czuć, że mogę ją poprosić, żeby mnie po prostu objęła czy przytuliła. Chciałbym, żeby to było normalne, że ją o to proszę. Ale patrzę na nią i wtedy mam wrażenie, że siedzę przed domem, w którym palą się wszystkie światła, i wiem, że już tam nie mieszkam.

Bierze kolejny drżący oddech. Jego gardło nadal pulsuje, jak po wymiotach, ale dotyk ręki Rata na plecach uspokaja go.

– Wiesz, że to wszystko to brednie, prawda? – pyta Rat. – To, co mówił twój ojciec.

Noah prycha. Nie żyje przecież w próżni. Ma internet; wie, jak wygląda świat w dzisiejszych czasach. Nawet nie jest tak, że chce dalej wierzyć w Boga. Ale czasami wydaje mu się, że go widzi, jakąś wydłużoną sylwetkę, przemykającą od drzewa do drzewa lub stojącą w drzwiach jego pokoju na peryferiach wzroku. I jeśli Bóg tam jest, a on nie może przestać w niego wierzyć, to czy nie powinien wierzyć również w całą tę resztę, o której mówi kaznodzieja?

Mruga gwałtownie, starając się nie pozwolić, by oczy znów wypełniły się łzami.

– Przepraszam – mówi szeptem. Jest zbyt wyczerpany, by zdobyć się na więcej. – Nawet nie wiem, co gadam. Wybacz. Pewnie nie chcesz tego wszystkiego słuchać, nie jesteś... Jestem tylko jakimś kolesiem, którego...

Rat pochyla się i całuje go; ich nosy są pod złym kątem, usta Noaha są spuchnięte i słone, ich zęby zderzają się ze sobą, rozcinają miękkie wargi, tak że sączy się z nich krew, i wszystko smakuje jak rdza, ale kruchość tej chwili wymaga pewności żelaza, twardego kontaktu, i tak, myśli Noah, to mój najlepszy pocałunek w życiu.

• • •

Ciepło wytwarzane przez tak wielu dorosłych mężczyzn zebranych w jednym pomieszczeniu sprawia, że okna i laminowane blaty stołów szkółki niedzielnej pokrywają się cienką warstwą skondensowanej pary. Pastor Lewis przegląda papiery przed sobą, po czym odchyła się na oparcie fotela u szczytu stołu i pociera nasadę nosa.

– Zatem już ostatni punkt zebrania. Kilka pań uważa, że powinien być jakiś rodzaj godziny policyjnej dla dzieci, dopóki ta nieprzyjemna sprawa z zaginioną

córką Blake'ów nie zostanie wyjaśniona.

Jerry Maddox, siedzący po prawej ręce pastora, patrzy, jak pozostali mężczyźni wiercą się na plastikowych krzesłach. W pokoju jest zbyt ciepło i sennie, członkowie męskiego komitetu kościelnego w Whistling Ridge, którzy jak zawsze nie wiedzą, czego chcą, wydają się grać na zwłokę, dopóki Jerry lub pastor im tego nie powiedzą.

– Myślę, że to świetny pomysł, Ed – przyznaje Jerry. – Nikt poniżej osiemnastu lat po zmroku, co wy na to? Możemy powiedzieć to Gainsowi.

Jednooki Bill Tucker przytakuje, grubas Drew Farmer prycha i opiera podgardle na dłoniach, ale Mo Dukes, który w jadalni Aurora całe dni stoi przy kuchni i jego koszula poznaczona jest świeżymi plamami tłuszczu, składa czubki palców razem i marszczy czoło.

– To może i niektórym pasować, ale mój Beau w każdy poniedziałek i środę chodzi na korepetycje. Będzie zatrzymywany przez policję tylko za to, że wraca do domu? I co z treningami koszykówki? Muszą się przecież przygotowywać do stanowych play-offów.

– Play-offy są ważne dla wszystkich – zgadza się z nim Jerry. – Mój syn jest obrońcą. Wiem, o co toczy się gra. – On wie, chociaż czasami zastanawia się, czy Hunter ma o tym jakiegokolwiek pojęcie. Chłopak zacięcia do nauki raczej nie przejawia i jego domniemane zainteresowanie sportem będzie musiało być kartą przetargową w każdym z podań na studia. Jerry zwraca się do Mo: – Twój syn nie będzie mógł grać, jeśli będzie leżał martwy w jakimś rowie, chyba się zgodzisz?

Co miesiąc to samo, myśli. Do czego to miasto zmierza, jeśli nawet mężczyźni trzeba prowadzić za rękę przy najprostszych decyzjach?

Pastor Lewis wzdycha; jeśli jest zmęczony, to prawdopodobnie dlatego, że przez ostatnią godzinę musiał się użerać z tymi ludźmi.

– Możemy poprosić w szkole, żeby przenieśli treningi na czas lunchu – proponuje. – A co do twojego syna, Mo, to może powinieneś rozważyć korepetycje w domu.

– Lepiej zadbać o bezpieczeństwo, niż żałować, Mo – dodaje Jerry, a pastor kiwa głową z aprobatą.

Mo Duker rzuca obu wściekłe spojrzenie i nie zostaje, żeby po zebraniu uścisnąć im dłonie.

– A tak à propos tej całej nieszczęsnej sytuacji – wtrąca Bill Tucker, podnosząc rękę, żeby się przeciągnąć. – Coś już wiadomo o tym, co się stało z córką Blake'ów?

W salce zostali już tylko on, Drew Farmer i Jerry. Reszta uciekła pospiesznie w chłód nocy. Drew i Bill to porządni, dojrzały faceci, myśli Jerry, ten rodzaj oparcia, jakiego to miasto potrzebuje w dzisiejszym zagmatwanym świecie.

– Wiecie co? Nie winiłbym tej dziewczyny, gdyby się okazało, że po prostu uciekła od rodziny. Taka mała ślicznotka jak ona znajdzie pracę wszędzie... jeśli wiecie, co mam na myśli.

Bill Tucker kręci głową, ale uśmiecha się na tyle szeroko, że Jerry widzi jego ciemne metalowe plomby. Drew Farmer rechocze tak, że trzęsie mu się podgardle.

– Lepiej uważaj, Jer, bo za chwilę będą gadać, że nie jesteś poprawny politycznie.

– Mówię tylko, że te dzisiejsze dziewczyny wyglądają na osiemnastolatki. Dam sobie rękę uciąć, że ona pewnie już gdzieś w Denver ciągnie komuś druta.

Na kościelnym parkingu zegnają się machnięciami dłoni. Gdzieś w oddali w samochodowym stereo gra muzyka, cichnąca wraz z oddalaniem się auta, ale jej rytm sprawia, że Jerry zatrzymuje się w drodze do swojego pick-upa.

Tamtej nocy w powietrzu unosiła się muzyka. Ciepła czerwcową noc, delikatna ciemność rozjaśniona łańcuchem świetlnym rozwieszonym między przyczepami i Abigail Blake, która odwróciła się i spojrzała na niego. Trochę dalej ten Rumun brzdąkał na gitarze, ale ona podniosła głowę, tak że Jerry mógł zobaczyć piegi rozsiane na jej nosie. Pachniała truskawkami i tanim alkoholem i powiedziała cicho: „Dziękuję”.

17

Nie odmówiła. Nie uważała, że powinna. Noc ma swój własny rodzaj topografii, gdzie zasady dnia nie zawsze znajdują zastosowanie, a Emma czytała wystarczająco wiele nagłówków prasowych, słyszała wystarczająco wiele przerażających historii, by wiedzieć, co się dzieje z samotnymi dziewczynami w nocy, gdy odrzucają propozycje takich chłopaków jak Hunter Maddox. Więc kiedy ją zaprasza, wsiada do jego samochodu.

Przez chwilę jadą, nie rozmawiając, jakby rozumieli się bez słów; Hunter cicho nuci. Nigdy nie myślała o nim jako o kimś, kto nuci podczas jazdy.

– Masz jakieś plany na studia? – pyta ją w końcu.

Emma wpatruje się w swoje ciemne odbicie w szybie i przeczesując dłonią włosy, zastanawia się, kiedy ostatnio brała porządny prysznic. W dużej mierze polegała na dezodorancie, spryskiwała się nim, żeby zamaskować zapach whiskey, teraz jednak przychodzi jej na myśl, że się zaniedbywała, że od dłuższego czasu jedzie na rezerwie. Ale może Hunter nie będzie mną zainteresowany, skoro jestem taka brudna i śmierdzą papierosami Rata, myśli.

– Moim starym zależy, żebyś wybrał uczelnię poza stanem. – Hunter zerka na nią. – Powiedziałem im, że jasne, Kalifornia czy coś takiego... no wiesz. Ale oni nie chcą, żebyś jechał do stanu, w którym mają zalegalizowaną trawkę. Twierdzą, że to mnie zniszczy. Jakby to miasto już się o to wystarczająco nie postarało.

Emma wpatruje się w punkt na drodze, tam gdzie nie dociera światło reflektorów, i wyobraża sobie, że wjeżdżają do ogromnej czarnej gardzieli.

Hunter puka palcami w kierownicę.

– Więc o co chodzi z tym twoim zadawaniem się z Ratem Lăcustą?

– A co cię to obchodzi?

– Och, ona mówi! – Chłopak uśmiecha się do niej. – Nie wiem, po prostu wydajesz się miłą dziewczyną. Zbyt miłą dla takiego cwaniaka.

– Rat nie jest cwaniakiem, to mój przyjaciel.

– Jasne. – Hunter się śmieje. – Mogę ci zagwarantować, że nie jest.

Nikt taki jak Hunter Maddox nie nazwał jej nigdy miłą dziewczyną. Emma nie może go rozgryźć. Zgodziła się z nim pojechać, bo nie miała wyjścia, ale jest w nim coś – może sposób, w jaki mówi o rodzicach, albo jego marzenia o wyjeździe – co przypomina jej trochę Abigail. Co z kolei przypomina jej, dlaczego chciała z nim rozmawiać. Abi jej potrzebuje i skoro Rat nie chce jej pomóc, chyba po prostu musi zrobić to sama.

Spogląda na Huntera, bawiąc się suwakiem kurtki.

– Muszę skorzystać z łazienki.

– Och, w porządku... Chcesz wpaść do mnie? To dwie minuty stąd.

– Jasne, jeśli proponujesz. – Emma stara się nie brzmieć zbyt entuzjastycznie. Cokolwiek zaszło między nimi, coś z Abi wciąż do niego przywiera i Emma chce to odzyskać.

• • •

W oknach na dole świecą się światła, ale Emma nie widzi nikogo, gdy Hunter prowadzi ją cicho przez przedpokój w jego domu.

– Będziesz musiała skorzystać z łazienki na górze. – Chłopak wskazuje schody.

– Mama tę na dole przerabia na coś w rodzaju małej pracowni artystycznej. – Emma krzywi się, a Hunter kiwa głową. – Taaa, wiem. Drugie drzwi po prawej.

W łazience Emma celowo głośno zamyka drzwi i odkręca kran. Potem powoli, żeby nie poruszyć zawiasów, odblokowuje zamek i wyslizguje się na korytarz. Jeśli Hunter trzyma coś, co mogłoby ją doprowadzić do Abigail, jego pokój wydaje się najlepszym miejscem do poszukiwań. Emma zagląda do gabinetu, do garderoby,

nieuporządkowanego pokoju gościnnego przesiąkniętego zapachem chłodu, aż w końcu znajduje to, czego szuka.

W pokoju Huntera czuć lekki zapach wypalonych zapalek, na podłodze pośród sztywnych skarpetek, części stroju do koszykówki i kabli USB leżą bibułki papierosowe i filtry. Emma nie odważa się zapalić górnego światła, ale włącza latarkę w telefonie i wtedy dostrzega zdjęcia z polaroida. Ściany, gołe drewno w tradycyjnym stylu domu letniskowego, są pokryte małymi twarzami. Rozpoznaje niektóre z nich ze szkoły – Bryce Long i Beau Dukes z drużyny koszykówki, z papierosami zwisającymi z ust, królowa piękności z osiedla przyczep, Shana Tyson, potrząsająca swoim wielkim afro, Beth Farmer szczerząca się obok niej, na masce samochodu, tyczkowaci bracia Weaverowie z zakrwawionymi knykciami. Zatyka ją, gdy widzi Rata. Zdjęcie polaroidowe nie oddaje sprawiedliwości jego kościom policzkowym, ale to na pewno on. Sfotografowany z boku, z kwiatami we włosach, wydmuchujący mgliste obłoczki dymu w noc... z pistoletem leżącym na jego kolanach.

Hałas dobiegający z dołu sprawia, że Emma podskakuje; odczekuje chwilę, by uspokoić oddech. Zdjęcie Rata nie ma znaczenia, mówi sobie. Rat nie ma znaczenia, nie w tej chwili. To nie po jego sekrety tu przyszła.

Przebiega wzrokiem po pozostałych zdjęciach w poszukiwaniu śladów Abigail. Rozpoznałabym jej ramię, jej rękę, zarys dolnej szczęki, myśli Emma, ale nie może znaleźć nawet skrawka, a kolejne dźwięki z parteru powodują, że jej serce zaczyna bić szybciej; w końcu jest pewna, że czuje pulsowanie nawet w koniuszkach palców. Zagląda do telefonu: jest na górze już sześć minut, a jeśli się na kogoś czeka, czas się dłuży. Hunter może w każdej chwili postanowić przyjść jej szukać. Emma bierze głęboki oddech, potem drugi i ścisza nadgarstek, jakby mogła zatrzymać bicie serca tylko przez samo przytrzymanie pulsu.

Odwraca się od zdjęć i świeci latarką na szafę z wylewającymi się z niej ciuchami, na zagracone biurko, kołdrę zwiniętą w kłębek, która wygląda jak jakieś zwierzę śpiące na łóżku. Nie jest pewna, czego dokładnie szuka, ale trzyma się nadziei, że będzie wiedziała, kiedy to zobaczy. Księżyc rzuca dziwne cienie przez

żaluzje, malując pokój w pasma czerni i błękitu, i prowadzi jej wzrok przez podłogę ku małej szafce obok łóżka.

To właśnie tutaj, na kolanach, wśród chusteczek i okruchów tytoniu, otwiera szufladę i widzi uśmiechającą się do niej polaroidową twarz Abigail.

• • •

Emma właśnie schodzi na dół, kiedy do domu wchodzi rodzice Huntera.

– Nie powiedziałaś nam, że przyprowadzisz dziewczynę – mówi matka i zaraz milknie, gdy jej mąż wskazuje bezwstydnie na Emmę.

– Co tu robisz, młoda damo? – Jerry Maddox wysuwa wielki podbródek, patrząc na Emmę, a jego syn myśli: Boże, nie, nie rób tego tutaj, nie teraz, nie wobec niej.

– Chciała tylko skorzystać z łazienki – wyjaśnia. – Powiedziałem, że może.

– Myślałam, że jesteś mądrzejszy, Hunter. Wpuszczać obcą osobę... – Andie Maddox taksuje dziewczynę od góry do dołu, zwracając uwagę na odcień szminki, nie do końca pasujący do jej karnacji, na to, jaka wydaje się mała w męskiej kurtce, którą ma na sobie. – Musisz bardzo uważać, kogo przyprowadzasz do domu, synu.

– Mamo.

Emma wpatruje się intensywnie w puste miejsce na podłodze pomiędzy Hunterem a jego rodzicami.

– Czy ona w ogóle mówi po angielsku? – rzuca sarkastycznie Jerry.

– Tak – odpowiada Emma, a Hunter słyszy drzenie w jej głosie, gdy zwraca się do niego: – Dzięki, że pozwoliłeś mi się odlać w swoim domu. – Potem szybko schodzi po kilku ostatnich stopniach, przecina hol i bez słowa wychodzi.

Andie na dźwięk trzaskających drzwi przyciska dłoń do czoła i głośno wzdycha.

– Hunter, kochanie, proszę, nie patrz na mnie w ten sposób.

– Jezu Chryste, mamo.

– Nie mów takim tonem do matki. – Jerry strzela go ręką w tył głowy. – Po tym numerze, który wykręciłeś tego lata, nie masz prawa być rozczarowany rodzicami.

– Czy wy mi to kiedykolwiek zapomnicie?

– Narkotyki, Hunter! – Jego matka macha rękami, jakby próbowała zilustrować, co to oznacza. – Marihuana to jedno, ale tego lata przyniosłeś do tego domu kokainę. Kokainę! Daliśmy z siebie tyle, ile tylko mogliśmy, żeby dobrze cię wychować, przygotować cię do studiów, do życia, a ty potem, ot tak, rzucasz nam to wszystko w twarz, przynosząc do domu twarde narkotyki, jakby to, co dla ciebie robiliśmy, w ogóle się nie liczyło. Nasza rodzina musi dbać o reputację, Hunter, więc przykro mi, jeśli zraniliśmy twoje uczucia, bo nie spodobała nam się twoja mała meksykańska przyjaciółka, ale to, co teraz czujesz, jest niczym... niczym... w porównaniu z tym, przez co my przeszliśmy przez ciebie.

Chłopak przygryza wewnętrzną stronę policzka.

– Tato – mówi – co zrobiłeś z koką?

– Co takiego?!

– Powiedziałeś mi, że się jej pozbyłeś. Co z nią zrobiłeś?

Jego ojciec prychnął.

– Żebyś poszedł i wykopał to jeszcze raz? O nie.

– Ktoś już ją znalazł, więc najwyraźniej nie zakopałeś jej wystarczająco głęboko.

– Ktoś ją znalazł? – Andie odgarnia włosy do tyłu i pociąga za nie mocno, jakby chciała je wyrwać razem z cebulkami. – Jezu, Jerry.

Jej mąż wzrusza ramionami.

– On zmyśla, Andie. Nie słuchaj go. To nie jest możliwe.

– Och... bo tak dobrze ją ukryłeś? Wiesz, tato, może jeśli nie chciałeś, żeby ktoś ją znalazł, nie trzeba było chować jej w miejscu, do którego Rat Lăcustă chodzi się pieprzyć.

Matka się wzdryga.

– Co za język, Hunter! Na litość boską...

– Skąd wiesz, gdzie ja...? – Jerry wpatruje się w syna, ale nie wygląda już na rozgniewanego.

To tylko niewielka pociecha – zdać sobie sprawę, że właśnie to robił ojciec, zakopywał kokę, kiedy Hunter zauważył go tamtej nocy między drzewami. Jeśli teraz wpadnie na to, że go wtedy widziałem, będzie wiedział, że ja też byłem w lesie, i będzie chciał wiedzieć dlaczego, myśli chłopak.

– Synu, nie odcinaj się od nas teraz, musimy o tym porozmawiać. – Wielka twarz jego ojca wydaje się nagle łagodniejsza, pozbawiona typowego dla niej napięcia. – Masz przed sobą świetlaną przyszłość. Nie ma potrzeby tracić jej przez taki błąd jak narkotyki. Ale jeśli jest coś innego, możemy ci pomóc. Musisz tylko z nami porozmawiać.

Chłopak widzi, że ojciec próbuje wykorzystać tę delikatną chwilę; ma nadzieję, że syn naprawi to, co zepsuł tego lata, ale Hunter wie – wiedział od momentu, gdy przekroczył próg domu tamtej nocy, kiedy Abigail Blake zniknęła – że nie ma nic, co mógłby powiedzieć, by naprawić to, co zrobił.

18

Pewnego razu w szkole Emma musiała obejrzeć kilka zdjęć, na których było pokazane, jak różne rodzaje łoż wyglądają pod mikroskopem. Większość z nich przypominała dziwaczne ameby, ale łoż smutku były jak widok z lotu ptaka na zbombardowane miasto. Opustoszały surowy krajobraz. Emma myśli, że tak właśnie się teraz czuje.

Przy szosie prowadzącej od posesji Maddoxów do miasta nie ma chodnika, trzyma się więc granicy lasu i oświetla sobie drogę latarką z telefonu. Ma do przejścia ponad dwadzieścia kilometrów i wie, że w końcu będzie musiała zadzwonić do matki i prosić, żeby po nią przyjechała, ale na razie chce po prostu iść, czując wiatr we włosach i zdecydowane zimno na skórze.

Jest tak, jakby musiała rozłożyć przed sobą to wszystko, co się dzisiaj wydarzyło, przetrwać każdy epizod fizycznie, by zyskać poczucie kształtu i wagi każdego niuansu, zanim będzie mogła zdecydować, jak się z tym czuje. Najpierw był Rat, porzucający ją jak kiepską partnerkę na szkolnym balu, a potem pojawiający się ponownie na zdjęciu z polaroida na ścianie Huntera. Jedyne, co Emma może teraz o nim powiedzieć, to to, że nie jest żadną z wersji człowieka, które mu dotąd przypisywała, że jest jedynie czymś między nimi.

I to drugie zdjęcie: Abigail z długimi włosami powiewającymi na wietrze, z jaskrawymi zieleniami i żółciami lata migoczącymi w tle, ze stokrotką wetkniętą za ucho. Hunter trzyma to zdjęcie w szufladzie przy łóżku. Śpi obok niego. Czy Abi o tym wiedziała? I co to oznacza?

Gdzieś w górze pohukuje sowa; Emma zerka przez ramię na czarną drogę ciągnącą się za nią. Przed nią jest tak samo. Stoi przez chwilę, słuchając

trzeszczenia ocierających się o siebie poruszanych wiatrem topoli, i myśli, że chciałyby zamienić się w drzewo, chciałyby stać tu i krzyczeć w niebo jak one.

A tak w ogóle to chciałyby cofnąć czas i krzyczeć nie w niebo, ale na Maddoxów. Ale może to zrobić teraz, może się wściec, odtwarzając południowy akcent Andie Maddox i sarkastyczne „Czy ona w ogóle mówi po angielsku?” jej męża, wypowiedziane tak niedbale, jakby wyrzucał niedopałek papierosa. Może tę całą furię wyzwolić teraz, aż będzie czuła, że za chwilę wybuchnie jej głowa. Chce walnąć pięścią w pień drzewa, tylko po to, by wyrzucić z siebie gniew. Ale tam, w przedpokoju Maddoxów, czuła jedynie znużenie. Owładnął ją jakiś głęboki rodzaj wyczerpania, tak że spoglądanie na własne życie było jak patrzenie na tę długą czarną szosę – ten sam mętny, ponury widok, czy patrzyła w tył, czy przed siebie.

Właściwie, jeśli miałyby sobie czegoś życzyć, to chciałyby mieć teraz pełną butelkę danielsa.

Idzie już około godziny, gdy nagle słyszy niski warkot samochodu i odwraca się. Mrużąc oczy, wpatruje się w światło reflektorów; policyjna syrena odzywa się na krótko, lampa na dachu na chwilę maluje Emmę na czerwono i niebiesko.

Z samochodu wysiada szeryf Gains; latarkę ma spuszczoną, żeby nie świecić jej w twarz. Jego oddech zamienia się w mgiełkę w powietrzu, gdy mówi:

– Emmo Alvarez, to ty? Co ty robisz tak daleko od miasta?

• • •

Hej. Dziwna noc.

A potem:

Serio, Hunter, przepraszam, że tak uciekłam. Po prostu myślę, że nie powinniśmy być teraz widywani razem. Rodzice by mnie zabili.

Leżąc w chłodnym mroku swojego pokoju, Hunter, mrużąc oczy, patrzy w wyświetlacz telefonu. To nie są ostatnie wiadomości, które wysłała mu Abigail, ale na te ostatnie nie chce teraz patrzeć. Bo to były te, przez które zrobił coś

głupiego, coś, z czym by się dziś prawie zdradził, gdyby rodzice nie zaaferowali się tak koką.

Wydaje się, że pod nieobecność Abigail wszystko zwolniło. Jest tak, jakby miasteczko czekało na jej powrót i nikt nie był w stanie robić nic wartościowego, kiedy jej nie ma. Ale na przełomie wiosny i lata, tej pełnej obietnic granicy między porami roku, wszystko wyglądało inaczej. W maju Hunter i każdy, kto się dla niego liczył, kończyli swój przedostatni rok nauki w szkole. To był okres przejściowy, okres zawieszenia, wypełniony lewymi dowodami osobistymi, leniwą muzyką i wzajemnym poznawaniem smaku swojej śliny. Mieli wkrótce kończyć osiemnaście lat i wszyscy chcieli być kochankami.

Szkolny bal, kiedy Abigail spławiła go na parkingu. Pojechał wtedy w góry z pudełkiem ciasteczek z marychą i bandą dzieciaków z należącego do jego ojca osiedla przyczep; byli zbyt nawaleni, żeby chciało im się odstawiać na szkolną potańcówkę. Siedzieli na drzewach, z gołymi nogami dyndającymi w powietrzu, z twarzami ukrytymi za gałęziami, patrząc na światła miasta w dolinie poniżej. To była ta noc, kiedy patrzył, jak Rat Lăcustă, w białych kowbojskich butach z frędzlami, zestrzeliwuje butelkę budweysera z gałęzi drzewa. Szkło trzasnęło wściekle, rozległy się brawa, a Hunter poczuł nagle, że w środku robi mu się gorąco. Shana Tyson zrobiła Ratowi wianek z polnych kwiatów, Hunter zrobił mu zdjęcie, o którym później zapomniał. Potem dostał esemesa od Abi.

– Co cię gryzie, Maddox? – zapytał Rat.

Hunter, najarany jak smok, odpowiedział, że jest zakochany.

– Aaa, kapuję. Chcesz się przejechać?

W domu Winslowów paliły się świece. Pamięta, że się z tego śmiał. „Świeczki w lesie? Co to, jakieś czary?”, pytał. I tak było... trochę. Rat miał kwiaty we włosach i kwiaty wytatuowane na biodrze – rumuńskie dzikie róże, powiedział, żeby przypominały mu o domu – i Hunter wodził niezdarnie palcem po ich obrysie, podczas gdy Rat wsuwał mu rękę w spodnie.

Teraz, w łóżku, przekręca się na bok i chowa głowę pod poduszkę. To naprawdę nic wielkiego, myśli. Wszyscy są trochę tacy w dzisiejszych czasach, no nie? Po prostu był zły na Abi, a Rat na kogoś innego, tyle było jasne, sądząc po strzelaniu do butelki i szybkich ostrych ruchach jego dłoni. I najwyraźniej dla niego to też nie było nic wielkiego: ledwo na niego spojrział, kiedy ich palce się zetknęły, gdy Hunter wręczał mu pieniądze za kokę. To tylko pieprzony zbieg okoliczności, że ojciec ukrył tę kokę w zgliszczach domu Winslowów i że to Rat ją znalazł.

– Boże – szepcze na głos i ma nadzieję, że nikt mu nie odpowie.

Być może Rat był tak nawalony tamtej nocy, że zapomniał. Najwyraźniej nie pamięta, co stało się później. Nie wie, co Hunter ukradł.

Wzdycha, znowu się przekręca i wbija wzrok w niewyraźne słoje drewna na suficie. Trudno, trzeba coś z tym zrobić, myśli.

Podnosi się z łóżka, wkłada spodnie dresowe, sportowe buty i bierze latarkę z biurka. W szafie leży stara torba, obciążona z jednej strony czymś, czego, jak mu Bóg miły, wolałby nigdy nie oglądać na oczy. Zarzuca jej pasek na ramię i wychodzi w noc.

Z jego domu do ruin Winslowów jest jakieś dwadzieścia minut piechotą. Nie ma odwagi ryzykować, że rodzice usłyszą samochód, ale to żaden problem; wystarczy, że pójdzie wzdłuż rzeki, która płynie prawie w linii prostej między obiema posesjami. Delikatny deszcz stuka rytmicznie w gęste listowie, gdy Hunter przedziera się między drzewami, sosnowe igły chrzęszczą pod stopami, torba obja mu się o plecy. Kokainę wyrzuca do rzeki, zarówno przez wzgląd na rodziców, jak i na siebie samego. Nigdy nie powinien był jej kupować, nie powinien był po nią jechać aż do Boulder, ale jego priorytety były wtedy inne. Kiedy Emma podała mu torebkę i zobaczył, co jest w środku, stanęło mu serce, nie miał jednak wyboru, musiał odkupić tę kokę. Ale przynajmniej znów panuje nad sytuacją. Każdy najmniejszy kryształek dowodu musi zniknąć.

Teraz czas na zajęcie się tą drugą sprawą.

Ruiny domu Winslowów wyglądają gorzej nocą – poszarpany cień, z którego tylko światło jego latarki wyławia osmolone, pokruszone resztki murów. Wspinając się na parapet okna i zeskakując na kępy mokrych paproci w środku, zauważa, że świece zniknęły. Miejsce jest kompletnie opustoszałe i to akurat dobrze. Nie patrząc tam, gdzie Rat oparł go o kamienną ścianę, Hunter podnosi ciężki kamień i zaczyna nim rozkopywać twardą ziemię. Zahacza palcami o gałęzie i gruz, brud zbiera mu się pod paznokciami, ale nie przestaje kopać, dopóki dziura nie jest wystarczająco głęboka. Niebo przysłaniają deszczowe chmury i nie ma księżyca, który oświetliłby to, co wrzuca do dołu i co zasypuje. Potem Hunter ubija ziemię stopami, by wyglądała tak samo jak wokół.

Nad jego głową po gałęzi wspina się szop, jego czarne ślepia migoczą chwilę w blasku latarki – jedyny świadek tego, jak Hunter zarzuca pasek pustej torby na ramię i odchodzi, by wrócić do domu.

• • •

Odbicie reflektorów na ścianie sypialni wygląda jak para ogromnych oczu; Melissa słyszy, że na zewnątrz z powolnym warkotem gaśnie silnik samochodu. Przeczłołguje się po łóżku i odsuwa zasłonę. Tylko trochę. Jest prawie wpół do dziesiątej i choć Melissa rozumie, że ma pełne prawo zastanawiać się, z czyjego powodu jej córka wraca do domu tak późno, i to w takim czasie, to jednak nie bardzo uśmiecha jej się myśl, że mogłaby zostać przyłapana na szpiegowaniu. Ale już po chwili jest zadowolona z własnej ostrożności, bo przekonuje się, że na ulicy przed domem stoi radiowóz.

Punkt piąty na stronie internetowej *Co robić, gdy nastolatka albo nastolatek Cię okłamuje?* mówił o uczciwej konfrontacji z dzieckiem, zamiast prób przyłapywania go na kłamstwie, bo to samo w sobie jest nieuczciwe i może być zachętą do podobnego zachowania. Melissa uważa, że autor tych słów – kimkolwiek jest – najwyraźniej nie miał do czynienia z nastolatkami. Prawdopodobnie nie jest nawet rodzicem, bo inaczej wykazałby większe zrozumienie, nie pisałby tak protekcjonalnie. Wyobraża sobie, że kiedy jutro będzie siedziała naprzeciwko córki

przy śniadaniu i Emma skłamała na temat swojego powrotu do domu, ona będzie wiedziała, że to kłamstwo, i mimo frustracji będzie się w duchu trochę śmiała.

W końcu Emma wysiada z samochodu, a wraz z nią szeryf. Stoją razem jeszcze przez chwilę pod latarnią; ich ciężkie oddechy unoszą się obłoczkami w zimnym powietrzu. W końcu Gains kładzie dziewczynie rękę na plecach i kieruje ją w stronę podjazdu.

Melissa odruchowo odsuwa się od okna. Wie, że nie mogą usłyszeć jej z ulicy, mimo to zaciska dłoń na ustach, by nie powiedzieć: „Tylko nie także moja córka”.

19

Nawet teraz – a może zwłaszcza teraz – Dolly często myśli o tym, jak postanowiła zostawić Samuela już w dniu ślubu. Po pierwsze, zepsuł ceremonię. Wciąż wzdryga się na wspomnienie tego, jak stała przed przyjaciółmi i rodziną, a on nazwał ją Darlene, jakby to w jakikolwiek sposób mogło być zdrobnieniem od Dolly. Nawet wyrzuciła mu to potem, przekonana o słuszności swojego i pewna, że ją przeprosi. On jednak tylko jęknął i powiedział: „Mam nadzieję, że nie tak będzie wyglądała reszta naszego małżeństwa”.

Oczywiście zostawienie go zaraz po ślubie nie było możliwe. Wszyscy kręciliby głowami i powtarzali: „A nie mówiłem?”, jakby byli tacy mądrzy, bo komentują coś, co ona wiedziała od zawsze: że Samuel Blake będzie kiepskim mężem. Gdyby wybrała go z nadzieją na dobrego partnera życiowego, mogłaby być bardziej rozczarowana, ale młoda Dolly Hopkins wyszła za mąż, by dowieść swego, udowodnić, że potrafi podejmować własne decyzje. Kiedy tylko rodzice zaczęliby ją traktować jak dorosłą, wymyśliłaby jakąś wymówkę i odeszłaby. Taki przynajmniej był plan.

Czasami w nocy, kiedy słyszy, jak samochód Samuela wjeżdża na podjazd, a potem mąż przeklina, upuszczając kluczyki, gdy widzi go upojonego bourbonem, toczącego się do drzwi wejściowych, żałuje, że nie wziął po drodze zbyt ostro zakrętu. Wyobraża sobie, jak hamuje, kręci kierownicą, ale bezskutecznie: samochód wpada w poślizg i uderza w skałę. Innym razem, jak wtedy, gdy wymierza jej kopniaka w tył kostki, żałuje, że ci z Wietkongu nie zatłukli go na śmierć kolbami karabinów.

Tego parnego lata w 1992 roku, kiedy poznała Samuela, była świeżo po college'u i odwiedzała przyjaciółkę w Shreveport; on miał już trzydzieści osiem lat. Tandetność jego samotnego życia ekscytowała ją. Miał własne mieszkanie w dzielnicy Riverfront, w którym mu się oddawała, myśląc pot z podnieceniem. Po ślubie jednak zmusił ją do przeprowadzki do domu jego rodziców pod pretekstem, że będą tam mieli więcej miejsca. Dolly wiedziała, że w rzeczywistości przenieśli się, bo tak zarządziła jego matka, Constance Blake.

Constance zawsze krytykowała ją za sposób, w jaki robiła pranie. „Musisz strzepywać ubrania, zanim je złożysz – mówiła. – Trzeba je naprawdę porządnie strzepnąć, inaczej znowu się pogniotą w szufladach”. Dolly nie obchodziło, czy ubrania Samuela się pogniotą, ale jej teściową tak. Constance bardzo troszczyła się o syna i Dolly wiedziała, że Samuel też bardzo troszczy się o matkę (której zahukany mąż, Jason, był prawie niewidzialny i nie spał już z żoną w jednej sypialni), mimo to matka i syn nie potrafili powiedzieć do siebie dwóch miłych słów.

Pewnej niedzieli po kościele – był to kościół baptystów, który Dolly, wychowanej w duchu anglikańskim, wydawał się sentymentalny i zarazem zbyt surowy – Constance zapytała:

– Czy on cię kiedyś uderzył?

Dolly była zaskoczona, choć nie tyle treścią pytania, ile faktem, że teściowa zapytała o coś, co dotyczyło jej.

– Nie – odpowiedziała grzecznie. – Samuel nigdy mnie nie uderzył.

Ale teściowa tylko prychnęła i mocno strzepnę koszulę, którą miała złożyć.

Tego dnia wieczorem, po wypiciu większej niż kiedykolwiek ilości sangrii, Constance powiedziała:

– To jest tak, jakby się stało na plaży, a na morzu tworzyła się wielka fala. Widzisz, że się zbliża, że jest coraz większa i głośniejsza, i wiesz, że wessie cię na sam dół, ale nie możesz odwrócić wzroku. Tak właśnie jest z Samuelem. Odkąd wrócił.

Teraz Dolly żałuje, że nie poświęciła słowom teściowej większej uwagi. W tamtym czasie nie lubiła jej z zasady: przez nią Samuel był jeszcze bardziej nerwowy niż zwykle, a uspokajanie go Constance zawsze pozostawiała Dolly. A przecież wzajemna nieufność między matką a synem powinna być sygnałem ostrzegawczym, gdyby tylko Dolly chciała to dostrzec. W tamtych czasach wydawało się jej, że wszystko rozumie. Słyszała o kobietach bitych przez mężów i przysięgała sobie, że nigdy nie pozwoli, by coś takiego przytrafiło się jej. Głupia dziewczyna, myśli teraz, wciskając twarz w poduszkę – tak jakby kobiety kiedykolwiek na coś takiego pozwalały.

Kilka miesięcy po ślubie zdecydowała się zrealizować swój plan. Parę dni wcześniej dostała list od matki, w którym ta pisała, że zadzwoni do niej pod koniec tygodnia, aby coś obgadać. Dolly z radością wyobraziła sobie, jak matka mówi do niej: „Przepraszam, że wcześniej nie traktowaliśmy cię poważnie, Dolores. Jeśli chcesz zostać rzeźbiarką, to oczywiście będziemy cię wspierać. Proszę, wróć do domu”. Oczywiście trochę by się opierała, żeby rodzice poczuli wdzięczność, kiedy w końcu zgodziłaby się na powrót, ale pojechałaby. Pojechałaby.

Ale kiedy pani Hopkins zadzwoniła, chciała wiedzieć, kiedy córka zamierza przyjechać na Święto Dziękczynienia.

– Nie możemy być u was w poniedziałek, mamó – odparła Dolly. – Sam pracuje.

– Och, cóż, kochanie, nie myślałam o Samuelu. Myśleliśmy, że przyjedziesz tylko ty. Będę musiała porozmawiać o tym z ojcem.

– Sam jest moim mężem, mamó. – Dolly wypełniła łącze między Luizjaną a New Hampshire swoim dobitnym syczącym „s”. – Nie możecie zaprosić mnie, a jego nie. – To nie było w porządku. Jej matka obraziłaby się, gdyby ktoś ją zaprosił, ale zastrzegł, że ma się zjawić bez ojca. – Przyjedziemy oboje albo nie przyjedziemy w ogóle. – Dolly trzasnęła słuchawką tak mocno, że pękł plastik. Nie chodziło nawet o to, że chciała, by Samuel spędził święta z jej rodziną. Był wybredny w kwestii jedzenia, nigdy nie nawiązywał rozmowy i zawsze bolała go głowa. Ale wyszła za niego za męża i ludzie powinni to uszanować. To właśnie brak

szacunku tak ją denerwował; nienawidziła czuć, że musi się o niego dopominać, jakby była tylko tupiącym w gniewie rozwyrzonym dzieckiem.

Wtedy głęboko w piersi nosiła ze sobą – gdziekolwiek poszła – rozgrzaną do białości małą kulę furii, o której wiedziała, że w każdej chwili może wybuchnąć. Teraz zastanawia się, co się stało z tą kulą gniewu. Roztopiła się, rozpadła, tracąc kształt, jak te figurki, które lepiała z bezbarwnego wosku dentystycznego, zapominane w letnim upale przez matkę, zdeptywane przez ojca.

Tak, kiedy rzuciła słuchawką, przez moment czuła się dobrze ze swoim gniewem. Ale później, gdy w jej życiu zaczęły pojawiać się pęknięcia, nie miała żadnego planu ucieczki. Nie mogła wrócić do rodziców na kolanach. Co by o niej pomyśleli po tym, jak narobiła takiego zamieszania? Nigdy więcej nie potraktowaliby jej poważnie.

Była mężatką zaledwie rok, kiedy odkryła, że jest w ciąży. Samuel nie powiedział zbyt wiele, gdy go o tym powiadomiła, ale kilka dni później poinformował ją, że podjął nową pracę przy wyrębie lasu w Kolorado i że będzie lepiej płatna.

To, jak powiedziała przyjaciółkom, był jego sposób na pokazanie, że mu zależy. Wtedy ostatni raz rozmawiała z którąkolwiek z nich.

Whistling Ridge* zawdzięczało nazwę wiatrom, które schodziły z gór, i zdaniem Dolly brzmiało to bardzo romantycznie. Być może właśnie to pomogło jej wcielić się w rolę współczesnej żony z takim zapalem. Przez tę zbyt krótką chwilę rozkoszowała się wykonywaniem obowiązków domowych, gotowaniem obiadów, nakrywaniem do stołu czy robieniem prania dla męża. Takimi rzeczami kobieta się zajmuje, gdy ma rodzinę. I Dolly właśnie kształtowała tę rodzinę; w swoim dumnym okrągłym brzuchu rzeźbiła nowego małego człowieka, jakby był jedną z jej woskowych figur – zapominając przy tym, że nie wyrzeźbiła niczego własnego, odkąd wyszła za mąż.

Przyznawała, że może Samuel mógł trochę więcej pomagać w domu. Może mógłby raz na jakiś czas zrobić zakupy, zamiast po powrocie z pracy, rozwalony na

kanapie z żeberkami na tacy na kolanach, mówić: „Och, skończył się nam sos barbecue. Skocz do sklepu i kup nowy, co?”.

Raz – była wtedy w ciąży zaledwie od kilku miesięcy – poczuła w klatce piersiowej znajomą kulę gniewu i warknęła: „Dlaczego sam nie skoczysz? Nigdy nic dla mnie nie robisz”. Samuel w pierwszej chwili nie odpowiedział, ale jego powieki zaczęły drgać, podniósł ręce, z palcami zakrzywionymi jak szpony, i otworzył usta tak szeroko, że myślała, że rozerwą mu twarz na pół. Powietrze w salonie nagle wypełniło się napięciem; Dolly poczuła, że wspina się na palce, jakby jakiś pierwotny instynkt kazał jej przyszykować się do ucieczki. Potem Samuel zaczął krzyczeć. Nie przypominało to niczego, co kiedykolwiek słyszała z ust człowieka. Przewrócił się na bok i spadł z kanapy. Zanim zdążyła go powstrzymać, był już na czworakach i wył jak zwierzę trawione ogniem. Po tym już zawsze robiła to, co jej kazał.

• • •

Czasami, w tych krótkich chwilach bezbronności tuż przed świtem, gdy jeszcze nie do końca się obudził i pozwalał jej, by go przytuliła, mamrotał coś o Wietnamie. O rzekach błota i czołganiu się po ciałach mężczyzn, których znał. Dolly współczuła wtedy Samuelowi, choć teraz rozumie, że myliła to uczucie z miłością. Miała jednak niejasną pewność, że krzyki męża nie były jedynie czymś, co przywiózł ze sobą z wojny. Stawał się niespokojny, ilekroć dzwoniła jego matka, i kiedy Dolly kłamała, mówiąc teściowej, że jej syn jest w pracy, szedł do sypialni i strącał rzeczy z półek. Dolly trzymała się wtedy za brzuch i wznosiła bezgłośnie modły do Boga: Proszę, nie pozwól, żeby moje dziecko było takie jak on.

Kiedy urodził się Noah Isaac Blake, nie przestawał płakać. Była przekonana, że to nienormalne, nawet w przypadku dziecka. Próbowала wszystkiego, co sugerowały książki, lecz Noah dalej krzyczał – a ona czuła, z pewnością, której nie mogła w pełni pojąć, że w szczególności krzyczy na nią. Samuel zaczął pić i potem on też na nią krzyczał.

– Nie możesz zamknąć tego małego bachora na jedną minutę?! – darł się i uderzał płasko dłonią w stół, aż wylewał się sos z jego talerza. – Pracuję cały dzień, a potem mam wracać do czegoś takiego? Nie znoszę tego wycia, Dolly, naprawdę nie znoszę.

A ja po prostu je uwielbiam, myślała wtedy z przekąsem.

Najgorsze było to, że naprawdę chciała pokochać syna. W chwili gdy położyła Noaha w jej ramionach, a on spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami, jakby nie mógł się doczekać rozpoczęcia życia, pomyślała, że oto wreszcie zyskała przyjaciela. Sojusznika. Będą się sobą opiekowali. Ty i ja przeciwko światu, dzieciaku. On jednak tylko płakał i wymiotował, i robił te wszystkie irytujące rzeczy, które robią dzieci, co tylko jeszcze bardziej wkurzało Samuela – jakby to była jej wina, że jego syn nie wyszedł z łona matki od razu duży i w pełni po amerykańsku ukształtowany, tak by Samuel mógł go zabierać na polowania i strzelać z nim do puszek po piwie. Za każdym razem, gdy patrzyła na wrzeszczącego synka, ogarniało ją nieopisane poczucie straty. Zaczęła palić, żeby mieć co robić z rękami, które powinny trzymać dziecko.

I oczywiście wszelkie plany ucieczki poszły wtedy w zapomnienie. Wszystko się zmieniło. Miała dziecko. Co mogła zrobić? Zapakować je do walizki? Pewnego razu – to było wtedy, kiedy Samuel po raz pierwszy kopnął ją w kostkę, żeby szybciej wychodziła z nabożeństwa w kościele, które musieli opuścić, bo Noah nie przestawał płakać – Dolly zamknęła się w łazience i wepchnęła sobie ręcznik do ust, żeby nie powiedzieć: „Żałuję, że urodziłam to przeklęte dziecko”. Gdyby nie Noah, byłabym teraz tysiące kilometrów od Samuela Blake’a, myślała.

To wtedy zaczęła sobie wyobrażać, że mąż upija się na umór i ma wypadek na drodze. Albo że zostaje przygnieciony przez drzewo w pracy. Albo w łazience rano, gdy używa maszynki do golenia, razi go prąd. Leżąc w chłodnym indygo przedświt, z masywnym kształtem chrapiącego męża obok, wpatrywała się w mrok i obiecywała sobie: Pewnego dnia cię zostawię. Zrobię to. Zrobię.

• • •

Próbowała. Kilka razy zaczynała się pakować, kiedy Samuel był w pracy. Którejś nocy, gdy Noah był jeszcze mały, udało jej się nawet dotrzeć aż do Longmont i zameldować się w motelu, zanim w pełni zdała sobie sprawę z powagi sytuacji. „Jak to się robi? – zapytała mężczyznę przy barze, który zwierzył się jej, że odchodzi od żony. – Jak się decyduje, które części życia chce się zachować, a które zostawić za sobą na zawsze?” Odpowiedział, że kiedy robi się naprawdę źle, po prostu zabiera się wszystko, czego nie można zastąpić. Dolly pomyślała o płaczącym Noahu i o Samuelu, który podkreca głośność w telewizorze, żeby nie słyszeć syna, i następnego dnia rano wróciła do domu.

Sprzedawała Samuelowi zmyśloną historyjkę o Debbie Weaver, która miała załamanie nerwowe, i to z tego powodu nie było jej całą noc. Nie okazał dużej wyrozumiałości.

Potem, gdy tylko znów narastała w niej chęć ucieczki, osuwała się na kolana i próbowała przegadać to z Bogiem. Zawsze dochodziła do tego samego wniosku: zachowuje się nierozsądnie. Samuel miał swoje demony, ale kto by ich nie miał po tym wszystkim, co on przeszedł? Chociaż nie była do końca pewna, przez co przeszedł – jedyną wiedzę czerpała z jego sporadycznego mamrotania i mglistego pojęcia o wojnie w Wietnamie, utrwalonej w narodowej świadomości jako coś mrocznego i odrażającego. Niemniej jednak dobra żona byłaby bardziej wspierająca. A zresztą na co właściwie mogła narzekać? Jasne, Samuel czasami krzyczał, trochę szalał, pił na umór, policzek tu i tam, kopniak w kostkę, ale przynajmniej nigdy nie pobił jej do nieprzytomności. To już coś, prawda? Niektóre kobiety miały gorzej. Mąż nigdy nie uderzył żadnego z nich, aż do tej nocy, kiedy wbił pięść w ścianę i wszystko poszło nie tak.

Dolly wie, że każde z nich wciąż nosi w sobie okruchy tamtej nocy, i Abigail, choć często nuciła w domu, nie była wyjątkiem.

A teraz zniknęła. Może zrobiła tę jedyną rzecz, na którą Dolly nigdy nie potrafiła się zdobyć.

* Whistling Ridge (ang.) – świszcząca grań.

20

Od zaginięcia Abigail Blake minęły trzy tygodnie. Zastępcy szeryfa brodzą w czarnej wodzie, przeczesując koryto rzeki. Zaledwie kilka dni wcześniej, jakieś półtora kilometra w górę, gdzie brzegi są bardziej strome, a woda płynie szybciej, znaleźli łuskę pocisku. Teraz nawoływania wron gniazdujących w sosnach brzmią jak ludzkie głosy i zastępcy co chwila zerkają na siebie, niepewni, czy to kolega, czy coś innego. Starają się nie tracić koncentracji i wlokąc rękawami po porośniętych mchem kamieniach, rozdzielają kępy wyschniętego sitowia. W końcu jedno z nich wyciąga rękę w górę i woła:

– Hej, szefie, chyba coś mamy!

Gains schodzi na brzeg z zastępcą Saidim, podążającym krok za nim. Zastępczyni szeryfa Moore, zanurzona w wodzie po kolana, wyciąga coś poplamionego i bezkształtnego.

– Myślę, że to sweter, szefie – mówi, wrzucając przedmiot do wręczonej jej przez Saidiego torby na dowody.

Szeryf kiwa głową. Nasiąknięta wodą wełna jest miejscami jasna, co sugeruje pierwotny kolor, ale w przeważającej części jest wygnieciona i podarta, pokryta brązową czerwienią. Trudno powiedzieć, jak długo ten sweter leżał w wodzie, zalatuje jednak nutą miedzi, co sprawia, że Gains zgrzyta zębami.

– Chodźmy – rzuca i rusza z powrotem do samochodu. – Lepiej jedźmy im powiedzieć.

• • •

– Tak. – Dolly Blake sięga po torbę na dowody i wygładza kciukami zagniecenia w przezroczystym plastiku. – To sweter Abigail. Jestem pewna.

– Czy to krew? – pyta Samuel, wskazując na sweter. Jest piątkowy poranek, a on jest w domu, a nie w tartaku.

Gains nie komentuje tego, ale zauważa zgniecione puste puszki po piwie Lone Star leżące przy fotelu, na którym siedzi Blake.

– Będziemy musieli wysłać go do laboratorium w Denver, żeby się upewnić – odpowiada. – Ale jest to możliwe, biorąc pod uwagę, że znaleźliśmy go niedaleko miejsca, gdzie leżała łuska po pocisku.

– Więc co chcecie przez to powiedzieć? – Dolly spogląda na niego surowo. – Chce nam pan powiedzieć, że... Czy ona nie żyje? O to chodzi?

– Nie jestem w stanie tego teraz potwierdzić ani temu zaprzeczyć, pani Blake. Przykro mi.

Dolly tym razem nie odprowadza go do drzwi. Gains jest zaskoczony, gdy widzi, że idzie za nim Samuel.

– Eli – rzuca niskim głosem. – Jeśli to... – Przeciąga dłonią po twarzy. – Jeśli to krew Abigail... to znaczy... Myślisz, że jest jakaś szansa, że mogła przeżyć?

Gains pociera kikuty palców. Nie ma nic przeciwko temu, że jest przyciskany do muru przez tego twardego mężczyznę.

– Myślę to, co powiedziałem wcześniej. Bez ciała spekulacje na nic się nam nie zdadzą na tym etapie.

– Daj spokój, Eli, mówimy o mojej córce. Muszę wiedzieć.

– Przykro mi, Samuel, ale w grę wchodzi wiele czynników: gdzie ją trafiono, czy zna zasady udzielania pierwszej pomocy, czy strzelec za nią poszedł. A to wszystko przy założeniu, że to w ogóle jej krew. To znaczy... wiadomo – Gains podnosi ręce, jakby próbował objąć nimi coś dużego – jeśli to rzeczywiście jej krew, ale postrzał byłby tylko powierzchowny i gdyby wiedziała, jak zastosować ucisk i oczyścić ranę, to jest możliwe, że mogła wyjść z tego cało. Tylko że to

nastolatka... jeżeli ktoś ją postrzelił, bardziej prawdopodobne wydaje się, że po prostu spanikowała.

Samuel powoli kiwa głową.

– W porządku – odzywa się w końcu i odwraca się w stronę drzwi do salonu. – Wolałbym jednak, żebyś w przyszłości nie zawracał głowy mojej żonie tego rodzaju sprawami, dopóki nie będziesz pewny. Ona ma problemy z... – Robi palcami kółko przy skroni. – Jeśli Abigail naprawdę nie żyje, po prostu nam to powiedz. A ty robisz zamieszanie, przychodząc tu z niesprawdzonymi informacjami.

Eli Gains nigdy wcześniej nie musiał nikomu mówić, że jego dziecko nie żyje, ale wieczorem będzie to ćwiczył przed lustrem w łazience.

• • •

– Tylko gdzie, do diabła, byłaś wczoraj wieczorem? – Melissa kręci głową, patrząc na córkę, która oparta leniwie o kuchenny blat, je suche płatki prosto z pudełka. – Nie możesz się tak wymykać, nie mówiąc mi, dokąd idziesz i kiedy wrócisz. Zaginęła dziewczyna. Takie wychodzenie nie jest teraz bezpieczne.

Przez myśl przelatuje jej obraz męża, z rozciętą wargą, z oczami sinymi i spuchniętymi jak przejrzałe śliwki. Niemal go słyszy, gdy plując krwią, mówi: „A czy tu kiedykolwiek było bezpiecznie?”.

– Przykro mi, mamo. – Emma brzmi, jakby była zmęczona. Tak też wygląda, z nieuczesanymi włosami i wczorajszym eyelinerem nadal rozmazanym wokół oczu.

Melissa chce ją objąć, chce wierzyć, że córce naprawdę jest przykro, ale może to zawsze był problem, z Emmą, z mężem, nawet z Bogiem – nigdy nie może się zmusić, by uwierzyć do końca.

– Nie chcę cię więcej widzieć w radiowozie szeryfa. – Podnosi rękę, aby uciszyć córkę, zanim ta zdąży otworzyć usta. – Nie oczekuję, że mi powiesz,

dłaczego wczoraj odwoził cię do domu, ale chcę, żebyś mi obiecała, że w przyszłości nie dopuścisz do sytuacji, w której będziesz z nim sam na sam.

– Ten, kto miał mnie podwieźć, dał ciała. Szeryf był tylko uprzejmy. Jaki w tym problem?

– Em, powinien być przy mnie ktoś, kto pomógłby mi pokierować cię w odpowiednią stronę, ale nie ma, jestem tylko ja, więc kiedy mówię, że chcę, żebyś coś zrobiła, musisz ze mną współpracować, rozumiesz?

– Mamo, zachowujesz się dziwnie. Co ty masz do szeryfa? – Dziewczyna odkłada pudełko z płatkami. – Czy on... coś ci zrobił?

– Nie. – Melissa pociera ramiona, czując na nich gęsią skórę. – Nie mnie.

– Mamo? O czym ty mówisz? Czy ty coś wiesz? Chodzi o Abi?

Melissa na chwilę zamyka oczy. Dlaczego to powiedziała? Po prostu się jej wymyknęło, ale przecież nie może sobie pozwalać, żeby coś się jej tak wymykało, nie teraz.

– To nic takiego, Em. Zapomnij, że cokolwiek powiedziałam.

– To nie jest nic takiego. Widać, że jesteś zdenerwowana, więc co się stało? Czy szeryf zrobił coś Abi? Musisz mi powiedzieć.

– Mówiłam, że to nic takiego, Em. Daj już spokój. – Melissa odchrząkuje. – Widziałaś te książki, które zostawiłam na stole? Spytałam dyrektora Handela, co w tym roku przerabia z angielskiego najstarsza klasa. Wiem, że masz teraz trochę wolnego, ale musisz nadążyć z lekturami, jeśli chcesz zdać maturę w terminie.

Nie jest pewna, czy córka naprawdę ją słyszy, gdy przygląda się jej z drugiego końca kuchni oczami z rozmazanym tuszem. Ona wie, że ja coś wiem, myśli Melissa. Chociaż „wie” to być może zbyt mocno powiedziane. Ale pamięta Abigail stojącą w drzwiach przychodni, nakręcającą pukiel długich rudych włosów na palec, z potem błyszczącym na bladym czole. To był początek kwietnia i na ziemi wciąż leżały plamy śniegu. Przez dziurę w sportowym bucie Abigail widać było skarpetkę. „Proszę, Melisso – powiedziała dziewczyna, której policzki były

zaróżowione od zimna, ale jeden wyglądał, jakby był rozjątrzony, jakby ktoś ją spoliczkował. – Jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc”.

Melissę dręczyło wtedy, że nie była pewna. Ale potem nadszedł lipiec i zobaczyła, jak Gains położył rękę na dole pleców Abigail. A teraz wersja o tym, co stało się z tą biedną dziewczyną, zmienia się z tygodnia na tydzień, w zależności od tego, co powie szeryf.

• • •

Jude musi się wyrwać, chociaż na chwilę. Kuśtyka więc na przystanek autobusowy i łapie autobus wożący turystów do Parku Narodowego Gór Skalistych. O tej porze roku jak zwykle jest prawie pusty i nawet jeśli ktoś coś mówi, Jude tak naprawdę tego nie słyszy. Wygląda przez okno i myśli o matce, o tym, jak wrócił ze szkoły i zastał ją siedzącą w pokoju córki, zapinającą guziki w jednym ze starych swetrów Abigail. Chłopiec wbija paznokcie w dłonie, próbując powstrzymać to trzęsące się coś, co zaczyna w nim rosnąć. Nagle czuje, że wpada w panikę, i prosi kierowcę, żeby go wypuścił.

Autobusem jechał jakieś dwadzieścia minut i pamięta, że chwilę temu widział drogowskaz do osiedla przyczep należącego do Maddoxa, więc postanawia ruszyć w tamtym kierunku i zrobić skrót przez las. Potem będzie musiał zadzwonić do matki, żeby po niego przyjechała, ale mówi sobie, że to nic złego. Pójdę pieszo do osiedla i zanim tam dotrę, mama już zdąży dojechać do siebie, myśli.

Idzie ze spuszczoną głową, zwracając uwagę na to, gdzie stawia laskę, żeby nie wbiła się zbyt głęboko w miękką ziemię. Kiedy w końcu podnosi wzrok, widzi przed sobą ruiny domu Winslowów. Wydaje krótkie westchnienie ulgi, zadowolony, że szedł jednak w dobrym kierunku, ale potem zatrzymuje się nagle na dźwięk głosów dochodzących z wnętrza zniszczonych czarnych murów.

Albo ukradkiem w jakimś lesie na próbę, lub za skałą na otwartej przestrzeni... czy może po prostu na wysokim wzgórzu...

To głos jego brata, chociaż Jude nigdy wcześniej nie słyszał, żeby Noah mówił w ten sposób.

Albo żeglując z tobą po morzu, lub na plaży czy na jakiejś cichej wyspie, to tutaj złożyć twoje usta na moich... pozwalam ci.*

Kuśtykając, podchodzi do boku domu i zagląda przez paprocie i brakujące cegły. Widzi chłopaka z Rumunii, opierającego się o kamienną ścianę, wygiętego tak, że wygląda jak gigantyczny znak zapytania. I jest tam też jego brat, z pokiereszowaną twarzą i zmierzwionymi włosami, trzymający przy piersi książkę z pozaginanymi rogami. Ale sposób, w jaki stoi, wyprostowany, z podniesionym podbródkiem, przypomina Jude'owi Noaha sprzed lat, sprzed dziury w ścianie. To, jak teraz stoi, wydaje się swoistym aktem buntu. Noah jest niemal dumny. A potem obejmuje Rumuna w pasie, jakby był właścicielem przestrzeni między nimi, i Jude myśli, że już dawno nie widział u brata tego rodzaju pewności siebie.

Nie patrzy na nich, patrzy tylko na Noaha, szybko jednak uświadamia sobie, że nie powinien robić ani jednego, ani drugiego. Ten rumuński chłopak pada na kolana. Jude czuje, że pot oblewa go tak obficie, że ma go w najdziwniejszych miejscach, na przykład pod kolanami. Chwyta mocniej główkę laski, szykując się do odepchnięcia się od ściany, ale wtedy coś przykuwa jego uwagę i nie może odwrócić wzroku.

Noah odpina pasek i wysuwa go ze szlufek dzinsów jednym szybkim, gwałtownym ruchem. Jude'owi robi się niedobrze; widział już, jak ktoś tak ściągał pasek.

Potem jego brat wygina plecy w łuk i wydaje dziwny zwierzęcy dźwięk. Taki dźwięk też już kiedyś Jude słyszał.

* Wiersz Walta Whitmana *Whoever You Are Holding Me Now in Hand* z tomu *Żdźbła trawy*.

Przedtem

Pod koniec sierpnia, kiedy grzechotniki wciąż jeszcze urządzają sobie kąpiele słoneczne na rozgrzanym asfalcie, Noah pracuje w barze Aurora. W pewnej chwili do środka wchodzi czterech dryblasów, których widok cofa go natychmiast do czasów jego kariery w drużynie koszykówki w liceum Whistling Ridge.

Ethan McArthur wygląda dobrze w mundurze polowym, teraz już nieco wytartym, wciąż jednak emanuje tą aurą mola książkowego, którą Noah zawsze lubił. Macha do Noaha, podczas gdy reszta wciska się do najbliższego boksu – chudy Luke Weaver, który zrezygnował ze stypendium sportowego w Arizonie, Jaden Tucker z ramionami, którymi mógłby wycisnąć człowiekowi mózg z głowy jak balsam z tubki, i Austin Traxler, któremu wreszcie udało się zapuścić brodę.

– Hej, stary, kopę lat. – Ethan uśmiecha się, gdy Noah podchodzi do stolika, by przyjąć zamówienie. Jego zęby są bardzo białe, jakby coś z nimi zrobił. Noah odwzajemnia uśmiech, ale z zamkniętymi ustami. – Nie wiedziałem, że jeszcze tu pracujesz, inaczej byśmy cię zaprosili.

Nie, nie zaprosilibyście, myśli Noah.

Austin Traxler poprawia swoje hipsterskie okulary w grubych oprawkach i zagląda do menu.

– Co byś nam polecił, mój dobry kelnerze? – wygłupia się.

– Gofry są całkiem niezłe.

Pozostali parskają, a Noah zagryza dolną wargę.

– Po tak gorącej rekomendacji nie mogę odmówić! – deklaruje Austin z udawanym akcentem transatlantyckim. – Zatem niechże będą gofry, mój dobry człowieku. Gofry dla wszystkich.

Noah nie spieszy się, rozkładając dla nich sztucce. Stara się być tak niewidzialny, jak tylko może, ale trzyma się blisko. Choć wmawia sobie, że to go nie obchodzi, że to bez znaczenia, bo co się stało, to się nie odstanie, niczym masochista chce słyszeć, jak rozmawiają o studiach.

– I jak tam w Denver? – pyta Ethan.

– Och, wiesz – rzuca Jaden. – Zastanawiam się, czy tam nie zostać.

– Jessica i ja szukamy współlokatora – oznajmia Austin. – Jeśli nie masz nic przeciwko Boulder.

Luke prycha.

– Boulder jest dla hipisów i mięczaków.

– A więc nie planujesz wrócić do domu?

– Do diabła, nie. – Jaden zerka na Noaha. – Nie chciałbym tu utknąć do końca życia.

Noah wycofuje się za bar, opiera brodę na dłoniach i obserwuje nastolatków na zewnątrz, rozwalonych na ławkach jak jaszczurki w upale. Za tydzień rozpoczną nowy rok szkolny albo spakują się i wyjadą na studia, a on nadal będzie tutaj, w tej knajpie. Bo tak jest najprościej, myśli.

Odzywa się dzwonek nad drzwiami i następuje namacalna zmiana energii, gdy do środka wchodzi Rat, ze skórzaną kurtką przewieszoną przez jedno ramię i z papierosem za uchem. Chrissy Dukes, która uzupełnia dozownik z serwetkami, posyła mu pożądlive spojrzenie i kiedy myśli, że nikt nie patrzy, obciąga bluzkę trochę niżej, aby dekolt był większy. Chłopaki w boksie obserwują Rata z wilczą nieufnością, niepewni, jak powinni zareagować na jego arogancki sposób poruszania się.

– Cześć, Blake – rzuca Rat, opierając łokcie na barze. – Ty wiesz, czego chcę.

Noah wybałusza na niego oczy; jego serce szamocze się w piersi jak uwięziona mała ptaszyna.

Rat wyszczerza zęby.

– Karmelowe frappuccino. Jak zwykle.

– Och. – Noah zastanawia się, jak on może nosić tak obcisłe dzinsy w taką pogodę.

Nienawidzi robić niczego z karmelem, bo zawsze zalewa sobie syropem całe ręce. Mówił o tym Ratowi, ale ten nadal przychodzi co tydzień i zamawia tę samą cholerną kawę.

„Nie znoszę tego, jak wymawiasz słowo »karmel« – odpowiedział mu kiedyś. – Ale za to lubię, gdy go zlizujesz z palców. Od razu przychodzi mi chęć na poczytanie ci poezji”.

Teraz Noah chowa się za ekspresem do kawy i ma nadzieję – modli się – że Rat nie powie czegoś takiego przy byłych zawodnikach szkolnej drużyny koszykówki. Może jestem głupi, ale przynajmniej mam instynkt samozachowawczy, myśli.

– Słowo wam daję – odzywa się Luke Weaver na tyle głośno, że słyhać go przy barze – że na tym osiedlu przyczep pełno jest Cyganów i pedałów.

Jaden Tucker wzdycha ciężko.

– Człowieku, cały ten kraj jest pełen Cyganów i pedałów.

Noah znów czuje to klepanie w ramię. Wie, że powinien coś powiedzieć – chce coś powiedzieć, bo te chłopaki to nie jego ojciec, mimo wszystko – ale czuje się jak oszust. Jakby może tylko udawał, że jest gejem. A poza tym, czy nie byłoby głupio, gdyby zrobił teraz wielkie zamieszanie tylko po to, by później się z tego otrząsnąć? Nie warto, nie w takim mieście jak to.

Kiedy ponownie spogląda za bar, Rata już nie ma.

Luke stuka paznokciami w plastikowy blat, gdy Noah stawia przed nim talerz z goframi.

– Hej, chłopaki, powiedzieć wam żart? Wiecie, co oznacza skrót LGBT? Lepiej, gdyby Bóg takich... spalił. Łapiecie? Opowiedział mi go w Phoenix taki

jeden kaznodzieja.

Jaden prycha, a Austin szczyrzy się do swojego drinka. Noah znów przygryza dolną wargę.

– Daj spokój, stary – rzuca Ethan. – To jest po prostu głupie.

– Och, wybacz, czy ja cię obraziłem?

Ethan przewraca oczami.

– Myślałem, że na studiach się mądrzeje.

Noah przełyka ślinę i myśli o obrzydliwym frappuccino Rata, zastygającym w samotnej filiżance na barze. Chciałby nie śmierdzieć mlekiem i bekonowym tłuszczem. Patrzy na tych czterech chłopaków, których kiedyś znał, i czuje się tak, jakby nie mył się od wielu dni.

– To był tylko żart. – Luke spogląda na kolegów, prosząc ich wzrokiem, żeby się zlitowali. – Wszyscy w tych czasach są tacy przewrażliwieni.

• • •

Noah mówi Chrissy, że boli go głowa, i wychodzi wcześniej z pracy. Już dawno nie był sam w domu po południu i dlatego czuje się tu dziwnie, nawet trochę strasznie. Podkręca klimatyzację i kładzie się na kanapie z okładem z lodu na twarzy.

Światło słoneczne sprawia, że wszystko za jego powiekami jest blade i jasne. Kiedyś nie czuł się tak jak teraz. Cztery lata temu miał trochę kręgosłupa, jak powiedziała by ojciec. Przed tą nocą, gdy Samuel Blake wybił dziurę w ścianie, Noah mógłby powiedzieć coś tamtym chłopakom w barze. Ale jeśli wątpliwości dręczą cię wystarczająco długo, kończy się na tym, że zacznasz myśleć w ten sposób: że bycie nieszczęśliwym to choroba śmiertelna. Może uda ci się przetrwać kolejny rok, kolejne pięć, dziesięć lat. Ale w końcu wszystko stanie się zbyt ciężkie i połkniesz kilka tabletek przeciwbólowych, nożyczkami z łazienki rozetniesz sobie tętnicę i leżąc na plecach w wannie, będziesz słuchać szumu płynącej wody. Coś w tym stylu. Poddasz się temu jak rakowi. A wcześniej będziesz się stale

zastanawiał: Jaki to ma sens? Po co oszczędzać, po co wyprowadzać się od rodziców, iść na studia? I tak umrzesz.

Coś stuka w okno, Noah wzdryga się, otwiera oczy i widzi, że o szybę ocierają się poruszone leniwą letnią bryzą gałęzie świerku. Przycupnięty między nimi anioł, którego kiedyś zrobił na zajęciach technicznych, kołysze się wraz z poruszającym się drzewem, ale jego oczy pozostają wpatrzone w Noaha. I wtedy, nie wiadomo dlaczego, ogarnia go przecucie, że gdyby teraz spojrzeć w górę, w drzwiach zobaczyćby sylwetkę Boga, który mu się przygląda.

Nagle przypląwa do niego wspomnienie. Dotąd starał się nigdy nie myśleć o tym pierwszym razie, ale sam wysiłek włożony w to, żeby tego nie robić, sprawia, że teraz wspomnienie wydaje się jeszcze słodsze, jakby głodował i w końcu został nakarmiony. To była ostatnia niedziela kwietnia, gdy Noah zobaczył go pierwszy raz, parkującego motocykl przed restauracją Dairy Queen, po drugiej stronie ulicy. „Hej, ministrant, dokąd tak idziesz?!”, zawołał Rat i uśmiechając się, wetknął język między zęby. Był tam też w następną niedzielę i w następną, a Noah zawsze trzymał głowę spuszczoną, kiedy przygarbiony, przecinał kościelny parking, i spojrzeć w górę pozwalał sobie dopiero wtedy, gdy już siedział w swoim pick-upie, a rodzice w bezpiecznej odległości w swoim. Potem pewnego ranka znalazł podniszczony egzemplarz *Źdźbeł trawy* Walta Whitmana wsunięty za wycieraczki. Rata nie było, ale Noah w jakiś sposób wiedział, że to on go tam wsadził. „Ty nawet nie lubisz Whitmana”, zarzucił mu wiele tygodni później. A Rat odpowiedział: „Ale wiedziałeś, co to oznaczało”.

Anioł kołysze się na drzewie. Kiedy Noah w końcu się odwraca, żeby spojrzeć na drzwi, nikt tam nie stoi, słyszy jednak kroki w korytarzu.

Podnosi się cicho z kanapy, podchodzi do drzwi salonu i zagląda w szczelinę między drewnem a zawiasami. Myślał, że ojciec jest nadal w tartaku, lecz Samuel Blake zdejmuje ze ściany duży krzyż i kładzie go ostrożnie na podłodze; jego ręce dotykają kolorowych kamieni z taką czułością, że patrzenie na to aż boli.

Dziura w ścianie wydaje się większa, niż Noah ją zapamiętał. Czując w ustach wspomnienie smaku krwi, przygląda się, jak ojciec wyjmuje coś z kieszeni

i wkłada delikatnie do dziury, a następnie zakrywa ją krzyżem.

Teraz

Samuel wjeżdża na podjazd z krwią na oponach – na drodze z Boulder leżało bezkształtne martwe zwierzę, rozjechane już tyle razy, że nie był w stanie określić, co to było. Widzi światło, które wcześniej zostawił zapalone w pokoju Abigail. Przez chwilę chce tylko siedzieć i udawać, ale potem słyszy, że Dolly upuszcza coś w kuchni, prawdopodobnie rysując linoleum, i aż podskakuje na ten nagły dźwięk.

Spotkania grupy wsparcia, na które jeździ do Boulder, są do niczego. Może to sobie wreszcie powiedzieć teraz, gdy Abi już tu nie ma. Przez ostatnie cztery lata stawała się coraz bardziej taka jak jej brat, nie szanowała go, nie patrzyła na niego, kiedy do niej mówił, wciąż wściekła o tę dziurę w ścianie. On jednak mimo to był skłonny podjąć dla niej ten wysiłek.

Na początku nie było nawet tak źle. Jasne, grupy weteranów to głównie „ja”, „ja”, „ja”; ludzie chcą mówić tylko o sobie i nie cierpią momentów, kiedy muszą się zamknąć i pozwolić, żeby ktoś inny zajął ich miejsce. Ale on to, że nie musiał mówić, przyjmował czasami wręcz z ulgą. To, że przez chwilę mógł zapomnieć o sobie i wczuć się w cierpienie innych, przynosiło mu niejaką pociechę, lecz przede wszystkim chodziło w tym o uwierzytelnienie.

Jeden z mężczyzn z grupy wsparcia, ten, którego skóra po jednej stronie twarzy i szyi była cała błyszcząca od poparzonej tkanki, powiedział któregoś razu: „Tam, w dżungli, robiliśmy, co musieliśmy. Robiliśmy, co musieliśmy, żeby przez to przebrnąć”. Ale zdaniem Samuela gość się jednak mylił. Mówiąc, że przez to przebrnęli, sugerował, że wyszli z tego bez szwanku, a tak przecież nie było.

• • •

Miała na imię Hoa i mieszkała nad czymś, co – jak sądził w Sơn Tịnh – uchodziło za bar. Na początku płacił jej za to, że zabierała go na górę do swojego małego parnego pokoju i ujeżdżała dziko na szorstkim materacu, jednak za trzecim razem powiedziała, że nie chce jego pieniędzy. Chciała jedynie jego.

Oczywiście nie była to do końca prawda. Chciała Ameryki, ale on i tak by jej ją dał... wtedy. Żadna kobieta nie mówiła do niego nigdy tak jak ona. Gdyby tylko nie mówiła aż tak dużo. Gdyby tylko nie powiedziała mu – tej nocy, kiedy opierali się o ciepły metal jeepa, podczas gdy w barze nieopodal mężczyźni tręcali się kieliszkami i wyklinali – że nosi jego dziecko.

Było tak, jakby nagle tam, w dżungli, znalazła się z nimi Constance Blake. Coś na kształt strachu chwyciło go za ramiona i mocno nim potrząsnęło, i pamięta jedynie to, że pomyślał: Co, do cholery, powie na to matka?

Ostatecznie Constance nigdy się o tym nie dowiedziała. Nikt się nie dowiedział – poza garstką małych chłopców na ósmych urodzinach Noaha, którzy mieli to nieszczęście, że znaleźli się obok Samuela, gdy ten, pijany i otoczony dziećmi, nagle z powodu ich obecności przypomniał sobie o dziecku, które mógł mieć. Większość kolegów z jego oddziału, którzy widzieli, jak to się stało – jak Hoa uciekała w stronę drzew, gdy wyciągnął broń – najprawdopodobniej już nie żyła.

Kiedyś powiedziała mu, że jej imię znaczy „jak kwiat”, i czasami zastanawia się, czy tam, w miejscu, gdzie upadła, rosną jakieś kwiaty.

• • •

Samuel nigdy nie mówi o Hoa czy o Sơn Tịnh na spotkaniach grupy weteranów. Ludzie na tych spotkaniach opowiadają o równie strasznych grzechach, ale on nigdy nie może zmusić się do wyznania swoich na głos. Nie podoba mu się myśl, jak ci mężczyźni mogliby potem na niego patrzeć. Niekoniecznie z potępieniem; przecież sam niektórym z nich współczuje, żal mu ich z powodu tego, przez co musieli przejść, i nie chce, żeby nad nim też się użalano.

W styczniu myślał o tym, żeby zrezygnować z chodzenia na spotkania grupy wsparcia – jazda do Boulder po oblodzonych drogach była męczarnią – ale Abi znowu zaczęła dawać mu w kość, więc kupił nowy zestaw łańcuchów śniegowych. Był wtedy niemal dumny z siebie, czuł, że zmienia się dla swojej małej dziewczynki, potem jednak facet prowadzący grupę skoczył z mostu St Vrain. Samuel mógł się z tego tylko śmiać: lider grupy wsparcia i skoczył. Tylko że później na jego miejsce znaleźli jakiegoś młodego kolesia. Odsłużył dwie tury w Iraku, wielkie mi halo! Przyprowadził całą masę nowych członków i to wtedy zaczęło się psuć.

Te dzieciaki – z innej wojny, z innych czasów – nie były jego braćmi. Mieli obce twarze; używając niezrozumiałych dla niego terminów, mówili o miejscach, których nie znał, a oni z kolei nie wiedzieli, czym był Wietnam. Jasne, słyszeli o nim, niektórzy nawet uczyli się o Wietnamie w szkole na lekcjach historii... Historii! Jakby chodziło o cholerny starożytny Rzym czy coś takiego. Ale dla nich Wietnam to było tylko coś, co wydarzyło się w innym czasie, innym ludziom. W końcu, z jakiegoś powodu, którego nie potrafił nazwać, Samuel ich znienawidził.

Więcej nie będę chodził na te spotkania, mówi sobie teraz, siedząc w samochodzie w ciemności. Nawet jeśli w pokoju Abigail świeci się światło, to jej tam nie ma, więc kogo to obchodzi, czy nadal będzie jeździł do Boulder, czy nie? Dolly ma to gdzieś. Pewnie i tak myśli, że w każdy piątek zaszywa się w jakimś barze.

• • •

– Ojczy, cierpimy z powodu pustego miejsca przy naszym stole. Nie opuszczaj tej, bez której musimy się dzisiaj obejść, i pomóż nam zaufać Twojemu wyczuciu czasu, Twojemu planowi i wielkiej miłości, jaką nas wszystkich obdarzasz. Modlimy się o Twoją opiekę nad Abigail Blake do czasu, gdy do nas wróci. A do tej pory niech ten pokarm będzie błogosławieństwem dla naszych ciał i niech da nam siłę przetrwać to, co nas czeka. W imię Jezusa Chrystusa, Amen.

Samuel puszcza rękę starszego syna i wyciera dłoń w nogawkę spodni.

– To naprawdę smaczne, mamó – chwali Jude.

Dolly, nabijając kawałek zapiekanki na widelec, kiwa głową.

– Nie moje. Melissa przyniosła.

Samuel odchrząkuje i otwiera puszkę z piwem. Dla niego Melissa Alvarez-Jones należy do tego rodzaju osób, które na pogrzebach mówią „Przykro mi z powodu waszej straty” i dodają: „Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem”.

– Wiesz, że nie lubię tej rodziny – zwraca się do żony, myśląc: Z mieszania ras nigdy nic dobrego nie wynika.

Twarz Dolly jest blada i sflaczała.

– Chciała tylko być miła.

Przykro mi z powodu waszej straty.

Samuel jest zbyt zmęczony, żeby się kłócić, przechodzi więc do tematu, który nie grozi tym, że ktoś mu będzie odpyskiwał.

– Twoja twarz wygląda lepiej, Noah. Matka ci ją tak oczyściła?

Syn dziobie zapiekankę i na nikogo nie patrzy, chociaż Jude rzuca bratu dziwne spojrzenia z ukosa.

– Sam to zrobiłeś? – Jeśli Samuel brzmi, jakby był pod wrażeniem, to dlatego, że tak jest... trochę. Od zeszłego wieczoru opuchlizna znacząco się zmniejszyła, a rany ładnie się zablizniają. Jeśli chłopak potrafi opatrzeć sobie twarz, to może nie jest do końca stracony.

Noah głośno przełyka ślinę.

– Kto ci to zrobił? – pyta Samuel. – No dalej, kto cię opatrzył?

Starszy syn dotyka policzka opuszkami palców i Samuelowi wydaje się, że dostrzega na jego twarzy przelotny uśmiezek. Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, lecz akurat wtedy Jude odstawia szklankę – zbyt głośno, zbyt gwałtownie – i Samuel wzdryga się, łokciem przewracając puszkę.

Słychać gul, gul, gul, gdy piwo wycieka na obrus. Dolly wzdycha – „Och, Sam” – a on czuje się jak stary dziad, który zmoczył się przy ludziach.

• • •

Emma otacza kubek dłońmi. Kawa jest jeszcze bardzo gorąca, ale jej palce są tak zmarznięte, że nie przeszkadza jej, że trochę się poparzy. Jak na sobotni poranek jadalnia Aurora świeci zaskakującymi pustkami, mimo to jak zwykle pachnie tu mocno kawą i tym tłustym osadem, który Emma czuje nawet na podniebieniu. Przy ladzie Noah Blake kiwa głową na znak, że widzi ją i Melisę, siedzące przy stoliku przy oknie. Cała prawa strona jego twarzy jest pokryta małymi rankami, takimi, jakimi kiedyś były pokryte kolana Abigail.

Abigail. Emma wzmacnia uścisk na kubku, mimo że teraz już naprawdę zaczyna ją parzyć. Jej matka wie coś o Abigail, zna jakiś sekret, do którego nawet teraz Emma nie może być dopuszczona. Abi znała wszystkie jej tajemnice, ale wygląda na to, że ukrywała coś o sobie. Coś, o czym najwyraźniej mogła powiedzieć jej mamie, ale nie jej.

– To nawet miłe, wiesz, że nie chodzisz do szkoły – odzywa się Melissa. – Ostatnio rzadko miałyśmy czas dla siebie, nie uważasz? Nawet w wakacje. Ja w przychodni miałam straszne zamieszanie, a ty ciągle spotykałaś się z Abi.

Właściwie to nie było do końca tak, myśli Emma. W lecie prawie nie widywała Abi; większość czasu spędzała na oglądaniu seriali i na samotnych spacerach po lesie. Ale było jedno popołudnie, kiedy ona i Abigail pojechały do Parku Narodowego Gór Skalistych i wędrowały po jednym z krótszych szlaków okalających Wild Basin.

– Byłam po prostu ostatnio bardzo zmęczona, to wszystko – powiedziała wtedy Abi, która rzeczywiście wyglądała na zmęczoną; oczy miała podpuchnięte, a warstwa stwardniałego pudru nie pokrywała zbyt wielu pryszczki na podbródku.

– Ojciec znowu nie daje wam spać? – spytała Emma. Zatrzymały się, żeby odpocząć na ogromnym głazie obok leniwego strumyka, zdjęły buty, by ulżyć odciskom, i wyciągnęły się na nagrzanym słońcem kamieniu.

– Nie chcę o nim rozmawiać. – Abigail znowu podrapała się po ramieniu. – Moi rodzice niczego nie rozumieją. Są tak głupi, że czasami doprowadza mnie to

do szau.

Emma przyglądała się jej, jak wbija paznokcie w skórę.

– Wszystko z tobą w porządku?

– Taaa, to tylko chandra, Em. Mam dość moich durnych starych. Nie są jak twoja mama. Ona cię rozumie.

Wtedy Emmie nie przyszło do głowy, by zapytać, co takiego dokładnie rozumie jej matka. Była zbyt zajęta cieszeniem się tym, że Abigail uważa jej mamę za fajną, bo to oznaczało, że – pośrednio – ona też taka jest. Zeszła do strumienia, nabrała w dłonie zimnej wody i chlapnęła nią w przyjaciółkę. Abi przestała się drapać, roześmiała się i po zejściu do strumienia zaczęła chlapać na Emmę. Nie wracały już do rozmowy o rodzicach Abi, znowu były po prostu młodymi dziewczynami. Ale teraz wraca to do Emmy, jakby znów stała w strumieniu, a kiedy słyszy, jak matka mówi: *Ja w przychodni miałam straszne zamieszanie, coś w głowie dziewczyny zaskakuje.*

– Mamo, ta sprawa, o której wczoraj wspominałaś... ta z Abi. Czy chodziło o coś medycznego?

Melissa marszczy czoło.

– Nie mówiłam nic o Abi. Myślałam, że uzgodniłyśmy, że zostawimy to w spokoju.

– Czy ona przyszła do ciebie do przychodni? Miała jakiś problem?

– Em, daj spokój. Wiesz, że nie mogę ci tego powiedzieć.

– A więc była u ciebie?

Matka patrzy w swój kubek z kawą, jakby to tam zamierzała znaleźć odpowiedź.

– Nic takiego nie mówiłam.

Emma pochyla się nad stołem i pyta cicho:.

– Czy to ma coś wspólnego z szeryfem Gainssem? – Gdy tylko kończy mówić, czuje zimny dreszcz. – Och, mamo. Czy on ją skrzywdził? – Wypatruje na twarzy

matki potwierdzenia, ale Melissa patrzy przez okno na przysadzisty ceglany budynek przychodni po drugiej stronie ulicy.

– Był wobec niej nachalny – odzywa się w końcu. – To wszystko, co wiem. Raz widziałam, jak z nią rozmawiał i zachowywał się niestosownie.

– Jezu, mamó. Musisz komuś to powiedzieć, jeśli naprawdę tak myślisz.

Melissa kręci głową.

– Komu miałabym powiedzieć? Zresztą ja już sama nie wiem, co myślę. Po prostu dziwnie się zachowywał, to wszystko. – Szybko ogląda się przez ramię, na Noaha Blake’a wycierającego blat baru. – Tylko nikomu tego nie powtarzaj.

Emmę ogarniają wyrzuty sumienia, że złościła się na Abigail. Och, Abi, dlaczego nic nie mówiłaś? Matka nie zaprzeczyła, nie powiedziała: „Nie, Abi przyszła do mnie z innego powodu”. Ale szeryf Gains? Może to przez te jego smutne, ośle oczy. Mimo wszystko Emma jakoś nie może w to uwierzyć. Abi nie interesowali starsi mężczyźni, zresztą nawet chłopakami specjalnie się nie interesowała. Rodzice zgotowaliby jej piekło, więc nie kręciłaby się nigdy koło mężczyzny takiego jak Gains, próbując zwrócić na siebie jego uwagę.

Nie. Emma tupie nogą pod stołem. Jeśli ktoś skrzywdził Abigail, to czy nie jest bardziej prawdopodobne, że zrobił to chłopak, który każdej nocy śpi obok jej zdjęcia? Słyszy się o takich typach, koleśkach z obsesją na punkcie dziewczyn, których nie mogą mieć, którzy tak się nakręcają, że pewnego dnia pojawiają się w szkole i strzelają do nich. W dzisiejszych czasach takie rzeczy są na porządku dziennym. Emma wciąż nie może o tym zapomnieć – Hunter śpiący obok zdjęcia z polaroida. Przyprawia ją to o dreszcze. Ale gdyby zmusił Abigail do czegoś siłą... Boże, jeśli to zrobił, bałby się, że ona może komuś o tym powiedzieć, prawda? A gdyby się dowiedział, że poszła do lekarki, zdecydowanie mogłoby go to wystraszyć. Może aż tak, że chciałby ją uciszyć na dobre?

Do baru wchodzi szeryf, ale tylnym wejściem, tym, którego kiedyś użyła Melissa, żeby przed nim uciec, więc teraz nie ma jak tego powtórzyć. Klucząc

między stolikami, idzie w ich stronę, a Emma, mimo podejrzeń wobec Huntera, patrząc, jak Gains się zbliża, ściska razem nogi.

– Obie panie Alvarez. – Szeryf zdejmuje z głowy stetsona i wtyka go pod pachę. – Ja to mam szczęście.

Melissę znów ogarnia fascynacja zawartością jej kubka z kawą.

– Potrzebujesz czegoś?

Emma czuje, że pod stołem noga matki podryguje.

– Właściwie, Emmo, to miałem nadzieję porozmawiać z tobą. – Z kieszeni na piersi szeryf wyciąga notatnik i kartkuje go kciukiem. – O tu... Podczas pierwszego przesłuchania kilka tygodni temu wspominałaś jednemu z moich zastępców o tym, że w lesie widziałaś dziwne światło. Pamiętasz, że tak mówiłaś?

– Pewnie. To było przy ruinach Winslowów. Kiedy wracałam do domu.

– Masz jakiś pomysł, co to mogło być?

– Wyglądało trochę jak latarka. – Odpowiada Emma i po sekundzie dodaje: – I świeciło bardziej w kierunku miejsca, gdzie mieszkają Maddoxowie, niż w stronę Tall Bones. – Przesuwa się nieznacznie na krześle, jakby mogła usiąść na wspomnieniu domu Maddoxów i je zgnieść. Kątem oka widzi, że matka spogląda na nią.

Gains wolno kiwa głową.

– Czy chodzi o to, co wydarzyło się w czwartek wieczorem między tobą a Maddoxami? – pyta.

Emma stuka paznokciami w uchwyt kubka i zaprzecza ruchem głowy.

– Nie. Ale czy są jakieś wieści? O śledztwie?

Szeryf pociera kikuty palców.

– Wiesz przecież, że nie mogę o tym mówić.

– Ale coś macie – wtrąca się Melissa, patrząc na jego dłonie, które lekko drżą. – To oczywiste, że coś odkryliście. Emma ma prawo wiedzieć. Abigail jest jej najlepszą przyjaciółką.

Gains przygląda się im obu uważnie, po czym zwiesza ramiona.

– Posłuchajcie, to nie jest nic, co by o czymkolwiek przesądzało, ale jeden z moich zastępców znalazł w rzece w pobliżu Tall Bones sweter. Dolly Blake twierdzi, że należy do jej córki, ale krew...

– Krew? – Emma czuje, jak jej ręce stają się lepkie. – Jaka krew? Krew Abi?

– Nadal czekamy na odpowiedź.

– O mój Boże...

– Nie powinniśmy jednak wyciągać pochopnych wniosków.

– Ale ona może tam wciąż być... Dlaczego marnuje pan czas tutaj? Minęły trzy tygodnie! Powinniście być w lesie i jej tam szukać.

– Em. – Melissa sięga ponad stołem i delikatnie dotyka ramienia córki.

Rodzina siedząca dwa stoliki dalej zaczyna się im przyglądać.

Szeryf kręci głową.

– Szukaliśmy – mówi. – Przez ostatnie trzy tygodnie przeczesał każdy centymetr tego lasu. Teraz możemy tylko czekać na wyniki DNA z Denver i w tym czasie sprawdzać każdy możliwy trop. – Wzdycha ciężko. – Posłuchaj, Emmo, sam zajmę się tą sprawą z domem Winslowów. Nie chcę, żebyś tam chodziła i próbowała rozwikływać to na własną rękę. Melisso, byłbym wdzięczny, gdybyś dopilnowała, żeby twoja córka trzymała się z dala od lasu. Komitet kościelny prosi mnie nawet o wprowadzenie czegoś w rodzaju godziny policyjnej i przypuszczam, że w tym przypadku mają rację. Musimy mieć oko na nasze dzieci, dopóki nie dowiemy się, co się stało z tą biedną dziewczyną.

Emmie nie podoba się to, że szeryf mówi o Abi, używając czasu przeszłego. Dzieli się tym spostrzeżeniem z matką, ale Melissa wydaje się pochłonięta odprowadzaniem wzrokiem Gainsa, gdy ten wychodzi tylnymi drzwiami.

– Zaczekaj tu chwilę, Em – rzuca.

• • •

Na zewnątrz, na małej promenadzie za barem, z rzeką wzburzoną od niedawnego deszczu, Melissa, żeby być usłyszana, musi podnieść głos.

– Co ty sobie wyobrażasz?! Co chciałeś osiągnąć?!

Gains zatrzymuje się i ma czelność wyglądać, jakby był naprawdę zdezorientowany.

– Coś się stało, pani Alvarez?

– Znam takich ludzi jak ty, zbyt się spoufalających z nastoletnimi dziewczętami, ale od mojej Emmy trzymaj się z daleka.

– Hej. – Gains podnosi rękę, jakby był winny albo jakby z niej szydził, udając, że jest. – Muszę przesłuchiwać wszystkich świadków. Nie mogę nie wykonywać swojej pracy.

– Dobrze wiesz, że nie o tym mówię. Dlaczego odwiozłeś Emmę w nocy do domu? Powinieneś być do mnie zadzwonić. Przyjechałabym i ją zabrała.

– Chciałem tylko pomóc twojej córce.

– Tak samo jak pomogłeś mojemu mężowi?

Gains prychnął i kręcił głową.

– Cóż, może moglibyśmy coś z tym zrobić, gdyby tylko Miguel dotrwał do zeznań. Dziwne, że tak po prostu zniknął, nie sądzisz?

Melissa wybałusza oczy. Strach objawia się u niej bólem pod mostkiem, dlatego gdy Gains uchyla kapelusza i rzuca „Do zobaczenia, pani Alvarez”, Melissa nie idzie za nim.

23

Przedtem

Tej samej nocy, kiedy Samuel Blake wybił dziurę w ścianie, zrzucił Jude'a ze schodów. Chłopiec miał wtedy tylko osiem lat, ale pamięta to wszystko bardzo wyraźnie. Takich rzeczy się nie zapomina.

Noah właśnie wszedł do domu. To była parna noc w środku lata, w powietrzu wisiała groźba burzy, a on wrócił ze spotkania ze swoją dziewczyną, Sabriną McArthur (po tym, jak z nią zerwał, o czym jego młodszy brat dowie się później). Jude był dzieckiem i wydawało mu się, że stojący u podnóża schodów Noah wygląda bardzo dorośle. Zwłaszcza kiedy spojrzał ojcu w oczy i oznajmił: „Zamierzam studiować anglistykę na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles”. I mimo że tego nie powiedział, Jude usłyszał: *I nie zamierzam wracać.*

Noah oczywiście nie był wtedy jeszcze dorosły. Miał tylko osiemnaście lat, a jego nos wciąż był prosty.

To wszystko miało związek – i nadal ma – z Abigail. Pod nieobecność starszego brata poszła do jego pokoju, żeby skorzystać z komputera, i zobaczyła zdjęcia, których nie powinna była widzieć. Potem, kiedy Noah prawie się do nich nie odzywał i mieli tylko siebie nawzajem, opowiadała Jude'owi o tych zdjęciach. „Nigdy nie widziałam, żeby facetowi aż tak stał”, wyznała.

Jude musiał przyznać, że on też nie, i poczuł, że siostra, wtedy trzynastolatka, też jest bardzo dorosła, bo wie o chłopcach coś, czego on nie wiedział.

Wstrząsnęły nią te zdjęcia i wyjaśniła to później Jude'owi. Chcąc szybko opuścić pokój Noaha, w pośpiechu przewróciła krzesło przy biurku, co obudziło ich ojca, odsypiającego w sypialni obok zgrzewkę lone starów, i nie dało się tego

przed nim ukryć. Przez chwilę nie mówił nic; stanął na szczycie schodów i wpatrywał się w drzwi wejściowe.

Kiedy Noah wszedł i z pogardliwą miną oznajmił, że wybiera się na Uniwersytet Kalifornijski w Los Angeles, ojciec odpowiedział:

– Mowy nie ma. Już ja wiem, co się tam wyprawia w tej cholernej Kalifornii. I powiem ci jedno, synu: to nie jest wolność, o której myślałem, kiedy walczyłem...

– Och, pieprzyć te twoje historie wojenne, tato! Pieprzyć Wietnam! To było milion lat temu, nikogo to już nie obchodzi.

Ojciec wycelował w niego palec.

– Powiedz to jeszcze raz, ty mała cioto, a...

– Nikogo. To. Do cholery. Nie. Obchodzi.

Dolly stała na półpiętrze, jednym ramieniem obejmując Abigail. Jude stał obok i patrzył, jak matka kładzie rękę na ustach, gdy Noah mówił te rzeczy, jakby skądś wiedziała, że to, co nastąpi, będzie tak samo złe. Tej nocy Jude pierwszy raz widział, żeby matka próbowała powstrzymać ojca, i prawdę mówiąc, był to również ostatni raz.

Ojciec zrobił się bardzo spokojny. Niezwykle spokojny, podczas gdy żyły na jego rękach i szyi nabrzmiewały i nabrzmiewały, a potem nagle zaczął krzyczeć.

Jude od tamtej pory trzyma się tego dźwięku. Kiedy dzieje się coś złego, rozpakowuje go w swojej głowie i odtwarza, tylko po to, żeby przypomnieć sobie, że przeszedł już przez coś gorszego. Oni wszyscy przeszli. To, co pchnęło matkę na poręcz, to, co podniosło Jude'a za koszulę i zrzuciło ze schodów, to coś nie było ich ojcem. Jude – jedyny z nich, który będzie wierny Bogu aż do samego końca – myśli, że to coś wyjące na schodach tamtej nocy było samym diabłem.

Abigail nie płakała. Nigdy nie płakała z powodu rzeczy, które ich ojciec mówił lub robił, a gdy zrzucił Jude'a ze schodów, tylko przycisnęła się do ściany, jakby chciała stać się tak mała, jak to tylko możliwe. Jude natomiast nie mógł przestać płakać, nie w sytuacji, kiedy jego kość goleniowa wystawała przez nogawkę

spodni, ostra i zakrwawiona. Ojciec zbiegł wielkimi susami ze schodów, jak jakiś ogromny stwór, i prawdopodobnie roztrzaskałby jego głowę o ścianę, gdyby nie Noah, który go zatrzymał.

Jude lubi sobie wyobrazać, że brat powiedział coś bohaterskiego w stylu: „Nie waż się go tknąć!”. Czuliiby się lepiej, on i Abi, w następnych latach, jeśli mogliby udawać, że Noah nadal ich wtedy lubił. Ale Jude wie, że brat prawdopodobnie niczego takiego nie powiedział, że w ogóle nic nie mówił.

Dał z siebie tyle, ile dostał tamtej nocy, biedny Noah... no, prawie. Ale też Samuel Blake nigdy wcześniej nie bił ich z taką wściekłością, zupełnie jakby oszczędzał ją od dnia, kiedy wyrzucili go z Sajgonu. Twarz Noaha zamienił w miazgę i pewnie ojciec by go zabił, gdyby Abigail nie krzyknęła, żeby przestał. „Tato, nie! Proszę, nie!”

Więc przebił się pięścią przez ścianę tuż obok głowy Noaha.

Po tym wydarzeniu przez jakiś czas nikt z miasta nie widział jej starszego brata – z wyjątkiem Emmy Alvarez, której mignął na schodach, czarny od siniaków, z nosem pozaklejany plasterkami. Po wszystkim powiedział ludziom, że złamał go, grając w koszykówkę. Emma nie miała już więcej wstępu do ich domu.

Matka mocno się umalowała i w karetce w drodze do szpitala w Estes Park trzymała młodszego syna za rękę, ale nic nie mówiła, oprócz tego, że lekarzom powiedziała, że Jude spadł ze świerku na ich podwórku. Długo potrwało, zanim odezwała się do któregośkolwiek z nich.

Kilka dni później wyciągnęła krzyż wysadzany ozdobnymi kamieniami, który babcia podarowała jej w dniu ślubu, i zakryła nim dziurę w ścianie. „Zabiorą cię, jeśli ktoś się dowie”, powiedziała Jude’owi. Miał tylko mgliste pojęcie, kim są ci, którzy mieliby go zabrać, wiedział jednak, że nie chce, żeby to zrobili.

Później dowiedział się, że rodzice na jego leczenie wydali wszystkie oszczędności. Noah musiał napisać do UCLA, że nie przyjmie ich oferty. Z *przyczyn finansowych*.

Jude pamięta, jak stał z siostrą w drzwiach pokoju brata, gdy ten, wysyłając mail, wciskał klawisz *Enter*. Oczy Abigail były czerwone i wypełnione łzami, gdy powtarzała: „Przepraszam, Noah, przepraszam, nie sądziłam, że...”.

Ich brat wstał i bez słowa zamknął jej drzwi przed nosem.

24

Dolly nie spała przez trzy noce, próbując wymyślić, co, do cholery, powinna robić dalej. Trzy noce, odkąd Samuel złamał nogę synowi i wbił pięść w ścianę. Codziennie jeździła do szpitala odwiedzać Jude'a. Nie dlatego, że chciała, ale dlatego, że długa jazda z Whistling Ridge do Estes Park, drogami zapchanymi ruchem turystycznym, była w jej odczuciu czymś w rodzaju pokuty. Podobnie jak okropny antyseptyczny zapach oddziału dziecięcego i duszny upał w samochodzie, gdy czekała, aż zacznie działać klimatyzacja.

Trzecią noc spędziła skulona w kłębek, jak zdychający owad, z zaciśniętymi oczami błagając Boga, by powiedział jej, co ma dalej robić. Obiecała mu wszystko, co miała do zaoferowania: że będzie się zgłaszać na więcej wyjazdów misyjnych, że zaangażuje dzieci w program pomocy potrzebującym, spróbuje pomóc Noahowi z jego seksualnym zagubieniem, rzuci palenie, zadzwoni do rodziców, przestanie nosić koronkowe majtki... Całą noc modliła się i zastanawiała, czy Jego odpowiedź objawi się jej jako głos w głowie, czy raczej pod postacią białego światła lub anioła o wielu oczach i z płonącym mieczem, przemawiającego do niej w nieznanym jej języku, który ona i tak zrozumie. Czekala, sztywna od leżenia w tej samej pozycji przez tyle godzin, z podbitym przez Samuela okiem, które nadal ją bolało. W końcu, wyczerpana długim bezsennym czuwaniem, zupełnie pusta w środku, poczuła się tak, jakby to Bóg ją pobił, a nie mąż.

• • •

– Dolly. – Pastor Lewis wstał, gdy ją zobaczył. – Co mogę dla ciebie zrobić? – Obdarzył ją promiennym uśmiechem, a ona pomyślała: Dziękuję Ci, Panie. Wszystko będzie dobrze. Ten człowiek mi pomoże.

– Chodzi o... hm... chodzi o Samuela.

– Usiądź, zapraszam. – Zrobił dla niej miejsce na małej kanapie. – I opowiedz mi o wszystkim.

Złożyła skromnie ręce na kolanach, mając nadzieję, że pastor nie zauważy plam od nikotyny na jej paznokciach.

– On bije naszych synów. – Musiała zrobić pauzę, zaskoczona, że naprawdę to powiedziała. Jakoś nie sądziła, że będzie w stanie, nie po tylu latach.

– Kontynuuj – zachęcił ją pastor.

– On... – Odchrząknęła, bo zaschło jej w ustach. – Trzy dni temu w nocy po prostu oszalał. Chcę powiedzieć, Ed, że naprawdę nigdy czegoś takiego nie widziałeś. To było... – Postukała się w czoło. – Jude jest w szpitalu, Samuel zepchnął go ze schodów. A Noah... to znaczy, wiem, że nie powinien był... Ale to niczego nie usprawiedliwia. – Przetarła oczy nasadą dłoni.

– To bardzo niepokojące, co słyszę, Dolly. Biblia jasno mówi, że kiedy mężczyzna karze swoje dzieci, powinien to czynić jedynie w celu dania im nauki i dla wpojenia szacunku. – Pastor uniósł ręce, jak gdyby oczekiwał, że coś otrzyma. – *A [wy], ojcowie, nie pobudzajcie do gniewu waszych dzieci, lecz wychowujcie je stosując karcenie i napominanie Pańskie!* – zacytował Biblię. – List do Efezjan, rozdział szósty, werset czwarty – dodał. – Dla mnie brzmi to tak, jakby Samuel stracił z oczu obowiązek, który nałożył na niego Pan. Zalecałbym, abyś skierowała go do mnie, żebym mógł przedyskutować z nim tę sprawę.

– No tak, ale co powinnam zrobić? Czy mam zawiadomić policję?

Lewis podrapał się po małym wgłębieniu w podbródku.

– Prawo stanowe chroni prawo mężczyzny do karania dzieci w sposób, jaki uzna za słuszny.

– Tak, ale...

– Dolly, naprawdę myślę, że powinnaś przysłać męża do mnie. Może się pogubił, co nie jest zaskakujące w przypadku kogoś, kogo wiara była wystawiana na próbę w taki sposób jak wiara Samuela. Najlepsze, co możesz dla niego zrobić,

to modlić się, by odnalazł drogę powrotu na właściwą ścieżkę. Resztę zostaw mnie i temu gościowi na górze.

Dolly nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. On zrzucił mojego syna ze schodów! Wściekle potarła nasadę nosa, ścierając z niego tuszujący siniaka podkład.

– To nie byli tylko chłopcy. Najpierw uderzył mnie – oznajmiła.

– Ach, a to już zupełnie inna sprawa, i to taka, którą z pewnością zdołamy rozwiązać.

– Tak. – Wzięła głęboki, pełen wdzięczności oddech. – Dziękuję.

– Pomyśl teraz do tyłu i zastanów się, co zrobiłaś, że Samuel tak się zdenerwował?

Pytanie było jak cios zadany jej prosto w serce.

– Co proszę?

– No wiesz... co zrobiłaś, że aż tak go to rozjuszyło?

– Nic nie zrobiłam. Po prostu wpadł w szal, jak już mówiłam.

– Dolly. – Pastor przechylił głowę i dziwnie się do niej uśmiechnął. – Moim zdaniem powinnaś teraz wrócić do domu i pomodlić się o rozeznanie. A kiedy już dojdiesz do tego, od czego zaczęła się kłótnia, będziesz wiedziała, jak unikać podobnych w przyszłości. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Ale... – Popatrzyła na pastora szeroko otwartymi oczami. – Ale on mnie uderzył.

– Twój mąż wiele przeszedł. Rzeczy, których ty i ja nawet nie możemy sobie wyobrazić. Jestem pewien, że wiedziałaś o tym, kiedy za niego wychodziłaś. Musiałaś wiedzieć, że zdarzą się chwile, gdy będzie potrzebował twojej pomocy, by mógł być takim, jakim miał być w zamierzeniach Pana. Jak Samuel ma przewodzić waszemu stadłu bez wsparcia żony? Czasem nie wiem, gdzie ja bym był bez Eleanor. Pomódl się w tej intencji, Dolly. Kiedy zrozumiesz, co zrobiłaś, zrozumiesz, dlaczego mąż cię uderzył.

• • •

Eleanor Lewis, ustawiając statyw do mikrofonu na niedzielne kazanie, obserwowała Dolly Blake wychodzącą z biura jej męża. Dolly szła wolno i przy ścianie, jakby bez podpórki nie dałaby rady ustać na nogach. Wyraźnie nieświadoma, że jest obserwowana, usiadła, nagle i ciężko, na krześle w odległym kącie i zaczęła płakać – głośno i nieładnie, tak jak płaczą ludzie tylko wtedy, gdy myślą, że nikt ich nie słyszy.

Eleanor przewróciła oczami i nieco bardziej wysunęła trzonek statywu. Dolly Blake nie jest pierwszą kobietą, która przestała kochać męża, pomyślała. Nie musi obnosić się z tym w aż tak dramatyczny sposób. Co by było, gdyby wszyscy tak robili? Niektóre rzeczy trzeba znieść, tak jak Chrystus znosił swój krzyż.

Teraz

Osiedle przyczep sprawia wrażenie opustoszałego. W niedzielny poranek większość ludzi jest w kościele, ale między zardzewiałymi huśtawkami i jedną z przyczep stoi szczupły mężczyzna ubrany tylko w farmerki. Jeśli jest mu zimno, nie okazuje tego, lecz jego widok sprawia, że Emma szczelniej owija się kurtką.

– Szukam Shany Tyson – mówi.

Jego twarz pozostaje bez wyrazu, lecz zawieszając karmnik dla ptaków na daszku przyczepy, mężczyzna nie odrywa od Emmy wzroku. Nie jest pewna, jakiego rodzaju ptaki ten człowiek spodziewa się tu karmić. Nigdy nie widziała tu żadnych dzikich zwierząt, może z wyjątkiem wron gromadzących się na drutach telefonicznych albo martwych, które ludzie przynoszą czasem do domu, żeby je zjeść.

– Shana! – woła nagle mężczyzna i z przyczepy wychyla głowę ładna dziewczyna.

– Co się stało, tato?

– Ktoś do ciebie przyszedł.

Emma odchrząkuje, kołysząc się lekko na piętach, jakby zamierzała odwrócić się i odejść. Przyjście tutaj było głupim pomysłem. Chyba.

Ale Shana Tyson uśmiecha się do niej.

– Emma, prawda? Znam cię, jesteś przyjaciółką Rata.

– Czasami.

Shana się śmieje.

– Taaa, on jest typem faceta od „czasami”. – Pokazuje kciukiem na drzwi. – Chcesz wejść? Może, prawda, tato?

Ojciec dziewczyny mruga powoli.

– Cokolwiek sobie życzysz, księżniczko.

Zanim wejdą do środka, Shana całuje ojca w policzek, a nim zamknie drzwi, Emmie wydaje się, że widzi, że mężczyzna się uśmiecha.

Wnętrze przyczepy Tysonów w niczym nie przypomina kampera Rata. Mają porządną kanapę, choć małą, zegar z kukułką na ścianie i naczynia stołowe, od kompletu, stojące na sztorc w suszarce. To są prawdziwi ludzie, myśli Emma, prawdziwy dom, a nie tylko zbiór rupieci. Unosząc brwi, spogląda przez okno na kamper Rata po drugiej stronie osiedla.

– Przepraszam, jeśli mój tata cię przestraszył.

Emma podnosi wzrok.

– Nie, nie przestraszył, nie musisz za nic przeproszać.

Shana pochyła się obok niej przy oknie i przeciągając ręką po gęstych włosach, przygląda się zgarbionej sylwetce ojca, teraz wyrywającego chwasty z rabatki na granicy działki.

– Nie jest taki sam, odkąd wrócił. Był w Iraku, wiesz.

Emma nie wiedziała. W ogóle niewiele wie o ludziach z osiedla.

– Tu jest kilku takich jak on – dodaje Shana. – Mama nazywa ich ludźmi duchami. Nie robią nic, tylko się błakają, jakby nie wiedzieli już, kim są. Mówi się, że należy szanować żołnierzy, ale chyba tylko wtedy, gdy za nas umierają. Bo ci, co

przeżyli, chyba są za to karani. – Shana wzdycha i prostuje się. – Szukasz Rata? Zdaje się, że wyszedł. Nie ma jego motocykla.

– Właściwie to szukałam ciebie. – Emma pamięta twarz Shany promieniejącą z jednego ze zdjęć na ścianie Huntera. – Chciałam cię o coś zapytać... jeśli nie masz nic przeciwko.

– Jasne, że nie. O co chodzi?

– O Huntera Maddoxa. Znasz go?

– Ach, ten. – Shana się śmieje. – Hm... koleś wie, jak urządzić imprezę, trzeba mu to przyznać, ale jest lekko szurnięty. – Udaje, że pali jointa. – O wiele tego za dużo, jeśli wiesz, co mam na myśli. Dziwne, że jeszcze nie wyrzucili go z drużyny koszykówki.

Emma uśmiecha się. Ta dziewczyna jest fajna, myśli.

– Dlaczego o niego pytasz?

– Wydaje mi się, że mógł znać moją przyjaciółkę.

Shana pochmurnieje.

– Czekaj... Córkę Blake'ów? Myślisz, że Hunter może coś o niej wiedzieć?

– Możliwe. Nie jestem pewna. Czy on... no wiesz... był kiedykolwiek w stosunku do ciebie agresywny? Mam na myśli... seksualnie?

– Neeee, nie Hunter. Niektórzy z tych chłopaków z drużyny nie potrafią czasami trzymać łąsk przy sobie, ale on taki nie jest. On jest dla dziewczyn naprawdę miły.

– O!

– Za to ten jego tatusiek... Przychodzi tu czasem, ten wielki Jerry, twierdzi, że tylko sprawdza, co się dzieje, ale gada naprawdę dziwne rzeczy. Na przykład w zeszłym tygodniu powiedział, że jestem „zaokrąglona we wszystkich właściwych miejscach”. Wiesz, tego typu brednie. Tata go nie znosi, nikt jednak nic nie mówi Jerry'emu Maddoxowi, bo do niego należy to osiedle. Poza tym przyjaźni się z pastorem.

Shana nagle kładzie rękę na ramieniu Emmy.

– Przykro mi z powodu twojej przyjaciółki. Abigail była miłą dziewczyną. Trochę dziwną, wiesz, ale była w porządku.

Emma przełyka ślinę. Dlaczego ludzie ciągle mówią o Abi w czasie przeszłym, jakby już postawili na niej krzyżyk?

– Ją też znałaś? – pyta.

Shana wzrusza ramionami.

– Nie za dobrze, ale czasami przychodziła na imprezy Huntera. Tutaj, w lesie. I brała, co tylko ktoś jej dał, piguły i wszystko inne. Zawsze było mi jej żal. Widuje się takich ludzi, którzy ciągle próbują od czegoś uciec.

Słowo „piguły” działa na Emmę jak kubeł zimnej wody.

– Nie, Abi nie bierze narkotyków. Ona nie jest taka.

Shana ściska jej ramię i przez chwilę milczy.

– Och, kochanie – odzywa się w końcu.

– Nie, Abi to moja najlepsza przyjaciółka, znam ją.

– Czyżby?

25

– Ameryka jest w trakcie wojny – oświadcza pastor Lewis. – Ten kraj toczy wojnę z narkotykami, a my, moi dobrzy bracia i siostry, stoimy na linii frontu.

W kościele jest zimno. Grzejniki, choć charczą, jakby próbowały się zmobilizować, nie działają, więc członkowie wspólnoty siedzą w kurtkach i płaszczach, sprawiając wrażenie raczej żalosnej małej zbieraniny, gdy tulą się do siebie pod spojrzeniem patrzącego na nich z góry pastora. Noah przeciera oczy, wzdrygając się, gdy jego knykcie zbyt mocno naciskają na wciąż obolałe kości policzkowe. Obok niego matka obgryza paznokcie dłoni osłoniętej mitynką. Co jakiś czas odwraca głowę, by przeskanować tłum, jakby kogoś szukała albo może jakby niepokoiła się, że ktoś na nią patrzy. Lekki nacisk na jego prawe ramię mówi mu, że Jude szuka ciepła, a ponieważ Noahowi też jest zimno, nie odpycha brata.

– Problem naszego społeczeństwa z narkotykami jest tak stary jak sama cywilizacja. Narkotyki czynią zażywających niewolnikami doznań, ale to fałszywi prorocy, chemiczna religia.

Lewis ma na sobie biały szalik; Noah domyśla się, że musiał być drogi, bo jego właściciel zadaje sobie trud, by utrzymywać go w czystości. Pastor schodzi z podium i zaczyna przechadzać się przed zgromadzonymi powolnymi, odmierzonymi krokami, nie spuszcza jednak z wiernych wzroku, wydaje się, że nawet nie mruga.

– Rzeczą, która mnie najbardziej szokuje, moi bracia, moje siostry, rzeczą najbardziej mnie szokującą jest to, że nasiona uzależnienia można zasiać już u bardzo młodych ludzi. Przeglądałem kilka z tych stron internetowych, które są teraz ogólnie dostępne, i czytałem o trzynastolatkach, a nawet o dwunastolatkach.

Wyczytałem również, że uzależnione matki rodzą uzależnione dzieci. Od heroiny. Noworodki! Cóż, to mi dało do myślenia. Możemy kierować nasz gniew na dilerów i handlarzy, ale nie na uzależnionych. Im należy się nasze współczucie. Co wam od zawsze powtarzam? Kochaj grzesznika, potępiaj grzech! Ci, którzy w chwili słabości dali się nakłonić do zażywania substancji uzależniających, potrzebują bardziej naszej miłości niż potępienia.

Noah widzi, jak kilka rzędów przed nim Andie Maddox otacza ręką syna i ściska jego ramię.

– Mnie to mówi tylko jedno. A mianowicie że ci młodzi ludzie, którzy tak łatwo ulegają wpływowi narkotyków, mają w swoim życiu jakąś niezaspokojoną potrzebę. Potrzebę duchową. Muszą mieć coś, w co mogą wierzyć, coś, do czego mogą się zwrócić. Najgorsza rzecz, jaka może się przydarzyć człowiekowi, to brak wiary w cokolwiek. Istotą problemu narkotykowego w tym kraju jest próżnia duchowa. Oczywiście to naturalne, że pragniemy kogoś obwinić za ten horror w naszym społeczeństwie. To całkiem zrozumiałe, że chcemy mieć coś, na co moglibyśmy skierować gniew. Wszyscy znamy stare słowa o Panu i Jego niezbadanych ścieżkach, ale uwierzcie mi, gdy mówię, że ścieżki szatana zawsze są oczywiste. I jeśli chcecie obarczać winą kogoś tutaj i teraz, to w tym mieście jest ktoś taki, kto służy diabłu i szerzy jego dzieło.

Hunter Maddox prostuje się na krześle, ramię jego matki zsuwa się z jego pleców.

– Mój syn przekazał mi w czwartek niepokojące wieści. Powiedział mi, że był świadkiem sprzedaży narkotyków, która miała miejsce właśnie tutaj, w Whistling Ridge. I kto za tym stał, jak nie ten młody butny Cygan?

W gardle Noaha coś się przekręca. Kątem oka widzi, że Jude patrzy na niego. Ludzie wokół wiercą się, krzyżują nogi, mamrocą jak wiatr szemrzący w trawie.

– Bracia moi, pytam was, jakie prawo ma ten obcy do tego, by sprowadziwszy się do naszego miasta, odurzać nasze dzieci?

– Otóż to, otóż to! – woła Jerry Maddox.

Noah nagle czuje się zbyt wysoki pośród potakujących głów, osuwa się więc na siedzeniu; zaciska i rozwiera pięści, aż w końcu Jude bierze go za rękę. Po raz pierwszy od dłuższego czasu Noah mu na to pozwala.

– W Ewangelii Jana, w rozdziale ósmym, wersecie siódmym, Jezus mówi: *Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci na nią kamień*, a grzesznikami jesteśmy wszyscy i w gniewie nie wolno nam o tym zapomnieć. To Pan karze grzeszników, ale naszym zadaniem jest rozpoznać, kiedy Bóg chce działać poprzez nasze działanie. W takich przypadkach jak ten, moi bracia, Biblia wyraża się jasno. Co zrobił Jezus, gdy zastał lichwiarzy w świątyni? Kiedy w domu swojego Ojca, w domu Bożym, ujrzał ludzi handlujących i targujących się, jakby to święte miejsce nie było niczym więcej niż zwykłym targowiskiem? Co, moi bracia i siostry, co zrobił wtedy nasz Pan? Powiem wam co. Wszedł do jaskini złodziei i wyrócił im stoły, porzrzucał ich monety! Zadał cios za tych, którzy przedkładają życie duchowe nad ziemskie zyski. I my też, tak jak Jezus, nie możemy bać się wystąpić przeciw bezbożności, gdy jesteśmy jej świadkami.

Pastor Lewis wspina się z powrotem na małe podium i w oczach, jeśli nie na ustach, ma uśmiech, kiedy mówi:

– To są niepewne czasy, moi bracia i siostry, ale jedno wam mogę zagwarantować: ci, którzy deprawują niewinnych, zostaną ukarani krwią i ogniem.

• • •

– Nigdy nie lubiłem tego miejsca – mówi zastępca szeryfa, Saidi. – Przeraza mnie.

Stojąc w ruinach starego domu Winslowów z mchem zwisającym z nadwęglonych belek dachowych i z wiatrem gwiżdżącym w pęknięciach w murze, Gains musi się zgodzić z podwładnym.

– Naprawdę myśli szef, że coś tu jest? – pyta Saidi, rozgrzebując gąszcz paproci rękami w lateksowych rękawiczkach.

Szeryf zahacza kciuki o szlufki paska spodni i zaciska szczękę. Trudno mu sobie wyobrazić, by w tym miejscu mogło cokolwiek być.

– Przy pierwszym przesłuchaniu Emma Alvarez wspomniała, że tamtej nocy widziała, że coś się tu działo, ale wtedy tego nie sprawdziliśmy. Więc teraz to naprawiamy. Dla zasady.

– Przynajmniej mamy się czym zająć, zanim dostaniemy wyniki badań tego swetra. – Saidi wzdycha i przechyla się na jedną stronę, żeby się rozciągnąć. – A szef dzisiaj nie w kościele?

– Jak sam widzisz. Nie mogę powiedzieć, że bym był jakoś specjalnie praktykujący... A ty?

Saidi prycha.

– A myśli szef, że w Whistling Ridge są meczety?

Nad ich głowami niebo jest ciężkim kocem bieli zapowiadającym śnieg, który wraz z przejściem września w październik zdążył już osiąść wyżej w górach. Gains uświadamia sobie, że to już dokładnie trzy tygodnie, odkąd zgłoszono zaginięcie Abigail. Naprawdę chciał, by okazało się, że dziewczyna po prostu uciekła, czemu zresztą, patrząc na jej rodzinę, wcale by się nie dziwił. Ale odkąd wyciągnęli z rzeki sweter, walczył z rosnącym poczuciem, że się mylił i że teraz nie mają już szans na jej odnalezienie.

– Hej, szefie! – woła Saidi, nagle przykucając. – Czy ta ziemia nie wydaje się szefowi trochę nierówna?

• • •

Noah odpina pasy i wyskakuje z samochodu, zanim jeszcze wyłączy silnik, po czym nie zważając na rozbryzgujące się błoto ochlapujące jego najlepsze wyjściowe buty, biegnie przez osiedle przyczep.

– Hej, Rat, otwieraj!

Powietrze przesycone jest ciężką zapowiedzią zbliżającej się burzy i Noah mocniej ściąga marynarkę jedną ręką, zdecydowany poharatać knykcie drugiej do

krwi, dopóki nie doczeka się odpowiedzi.

Kiedy Rat otwiera, włosy z przodu ma nawinięte na wałek, a w jego ustach tkwi papieros. Wygląda jak panienka z rozkładówki.

– Nie wejdiesz tu w tych zabłoconych buciorach – ostrzega i z uśmiechem pstryka w gościa niedopałkiem.

– Dobra, nieważne. – Noah przeciąga dłonią przez włosy, które u nasady są wilgotne od potu. – Słuchaj, musisz się stąd ewakuować, masz kłopoty.

– Kłopoty to moja specjalność, maleńki.

– Serio, możesz dać sobie z tym spokój na sekundę? Ten gnojek Dalton Lewis widział cię którejś nocy przy Tall Bones. Powiedział swojemu ojcu, że handlowałeś narkotykami, i teraz całe miasto wpadło w szal z tego powodu.

Rat wychyla się za drzwi i rozgląda.

– Okej, może jednak powinienes wejść.

Noah zawsze lubił ten kamper, który wydaje się emanacją Rata, a to jest ważne. Pamięta, jak wszedł tu pewnego parnego letniego popołudnia i zobaczył przyczepione do ściany strony z wierszami, i nagle to, że Rat lubi Bukowskiego, wydało mu się o wiele bardziej podniecające niż to, że zaraz mieli uprawiać seks.

– Przypuszczam, że nie będzie ci trudno zniknąć – mówi. – Możesz po prostu odjechać tym czymś.

Rat się krzywi.

– A skąd pomyśl, że się gdziekolwiek wybieram? Nie boję się bandy wymachujących Biblią górali.

– A powinienes. Jednym z nich jest mój ojciec.

Noah dopiero teraz zauważa, że Rat ma na sobie jego flanelową koszulę, którą zostawił tu miesiąc temu, a jego stopy są gołe. Czuje, że miękną mu nogi.

– Jeśli zostaniesz, raczej nie będę mógł cię ochronić. Nie przed moim ojcem.

– Nie potrzebuję, żebyś mnie ochraniał, Blake. Poradzę sobie świetnie sam. Zawsze tak było, ale... – Rat delikatnie dotyka pokaleczonego przez żwir policzka Noaha. – Jeśli odejdę, pojedziesz ze mną?

Głośne walenie do drzwi odrywa ich od siebie. Rat idzie otworzyć, nadal z wałkiem we włosach, nadal bez skarpetek, i nagle przy stojących w progu Jerrym Maddoxie i szeryfie wydaje się straszliwie drobny.

– Rat Lăcustă? – pyta Gains, choć tak naprawdę nie jest to pytanie.

Noah nie wie, gdzie ma się podziać, gdy obaj mężczyźni zaglądną do środka.

Rat krzyżuje ręce na piersi.

– W czym mogę pomóc?

– To jego – mówi Jerry. – Wszyscy wynajmujący mają obowiązek okazać mi pozwolenie na broń i dobrze pamiętam jego pozwolenie... na dziewięćmilimetrowy półautomat. Cholerny cygański kryminalista.

Noah przygryza wargę i staje za Ratem.

– Hej, o co tu chodzi? – pyta.

– To pana nie dotyczy, panie Blake. – Gains podnosi przezroczystą torbę z pistoletem w środku. – Panie Lăcustă, czy to pańska broń?

Po raz pierwszy od miesiący, od kiedy Noah go zna, Rat nie ma nic do powiedzenia. Wpatruje się jedynie w broń i dziwnie kiwa głową, jakby nie była prawidłowo połączona z resztą ciała.

– Hej, Rat, o czym oni mówią? Przecież ty nie masz broni.

W przerwie między ramionami szeryfa i Jerry'ego Noah jest w stanie dostrzec chmury burzowe zbierające się na linii horyzontu.

– Panie Lăcustă, będzie pan musiał pójść z nami – rzuca Gains.

26

Pada lekki zimny deszcz, kiedy po wyjściu od Tysonów Emma rusza przez osiedle do kampera. Na zewnątrz jest wiele śladów, zastanawia się więc, kto tu był. Nawet mimo swetra, kurtki i szalika przechodzi ją dreszcz na widok drzwi, które są uchylone. Puka, ale wie, że Rat nie odpowie, a wchodzenie do środka pod jego nieobecność wydaje się jej niestosowne.

– Emma?

Ku jej zaskoczeniu osobą, która otwiera drzwi szerzej, jest Noah Blake. Pcha je powoli, jakby się bał, kogo może zastać po drugiej stronie. Ale on zawsze czegoś się boi, przechodzi jej przez myśl.

– Gdzie Rat? – pyta. Czułaby się dziwnie, gdyby się z nim nie zobaczyła, choć była na osiedlu. Nie podoba jej się ta zła atmosfera między nimi, utrzymująca się jak te czarne chmury na horyzoncie, i postanowiła zajrzeć do niego, spróbować naprawić to, co pękło, kiedy uciekł tamtej nocy.

Noah wzrusza ramionami, burząc ten swój schludny, wyprasowany wygląd ze szkółki niedzielnej, który nadaje mu odświętna koszula. Jego rude włosy wyglądają jak ślad po policzku wymierzonym brudnej bieli kampera i same są policzkiem przez to, jak bardzo przypominają jej Abigail.

– Gdzie on jest? – pyta Emma.

– Rata nie ma – odpowiada Noah. – Policja go zgarnęła.

Opowiada jej o tym, co Dalton Lewis widział przy Tall Bones, o kazaniu i o tym, jak ludzie w kościele byli wzburzeni. Kiedy wspomina o broni i łusce znalezionych w lesie, przypomina jej się zdjęcie na ścianie Huntera – Rata z kwiatami we włosach i pistoletem na kolanach.

– Myślą, że zastrzelił Abi? Myślą, że on to zrobił? – nie może uwierzyć Emma.

Czuje się źle w kamperze, w którym nie ma Rata. Na zewnątrz deszcz pada teraz mocniej, spływa po oknach ciężkimi bębniącymi strugami; błysk pioruna rozświetla niebo setkami żyłek. Na blacie stoi otwarta butelka. Noah pociąga z niej porządny łyk, najwyraźniej nie pierwszy, i krzywi się.

– Likier brzoskwiniowy – stęka. – Kto pije takie gówno?

Emma wpatruje się w butelkę w jego ręce.

– Chcesz? – rzuca Noah.

– Nie powinnam...

– Pij, mnie to wisi. – Wciska jej butelkę w ręce. – Przynajmniej nie będę pił sam.

Dziewczyna odchyła głowę i z wdzięcznością bierze długi łyk. Och, jak za tym tęskniła: za ciepłem rozchodzącym się po całym ciele, jakby objęło ją wiele rąk, jakby te ręce mówiły: „Już wszystko dobrze, trzymamy cię”. Szybko jednak czuje wywołujący mdłości posmak.

– Likier brzoskwiniowy, akurat! Nigdy nie jadłam brzoskwini, która tak smakuje.

– On tego nie zrobił, wiesz – odzywa się nagle Noah. – Tego, co powiedziałaś... Rat nie zastrzelił Abi.

Emma nie wie, co ma na to odpowiedzieć. Siada ciężko na stosie kołder Rata i bierze kolejny długi łyk, potem wyciera usta dłonią, tak jak robią to chłopaki; gdzieś tam w głębi wciąż jest pod wrażeniem Noaha Blake'a, starszego brata przyjaciółki, wciąż pamięta, jak bardzo Abi pragnęła mu zaimponować.

– Posłuchaj – mówi. – Cokolwiek sądzisz o Racie, on nie jest takim człowiekiem, jak myślisz. Odkąd go znam, nie usłyszałam od niego ani jednej jasnej odpowiedzi.

– Czyli często tu bywasz i pijesz jego likier, co?

– Czasami bywam. – Emma patrzy na odklejającą się etykietę na butelce. – Ale nie za często.

– On tego nie zrobił. – Noah wpatruje się intensywnie w deszcz zalewający szyby. – Nie jest taki, jak wszyscy mówią. To dobry człowiek.

– Który handluje narkotykami, kupuje alkohol nieletnim i trzyma broń, o której nigdy nam nie powiedział, jasne. Był przy Tall Bones w noc zaginięcia Abi. Powiedział ci to?

– Może jednak przestaniesz mówić o nim z taką pogardą, skoro zamierzasz dalej pić to, za co zapłacił?

– Ten facet mógł zabić twoją siostrę, Noah. Dlaczego go, do cholery, bronisz?

– Bo tego nie zrobił.

Emma uświadamia sobie, że nie tak dawno temu podobną rozmowę miała z Hunterem Maddoxem, tej nocy, kiedy była w jego domu. „On jest moim przyjacielem”, powiedziała wtedy, a Hunter roześmiał się, jakby było mu jej żal.

– Mówisz, jakbyś był bardzo tego pewien – zauważa, ale bez złośliwości, bo jej też jest trochę żal Noaha.

Chłopak krzyżuje ręce na piersi.

– Tak... hm... byłem z nim, więc wiem.

– To znaczy... z nim, jako no... z nim?

– Och, daj spokój! Nie udawaj, że Abi ci nie powiedziała.

Sposób, w jaki na nią patrzy, sprawia, że Emma widzi go takiego, jaki był cztery lata temu – stojącego na schodach z poranioną i posiniaczoną twarzą, spuchniętą tak, że wyglądał jak jakiś surrealistyczny obraz – i słyszy Abigail mówiącą: „Tata powiedział, że nie możesz już do nas więcej przychodzić”.

– O rany... Noah... Nie miałam pojęcia.

– Hm... kurde... Najwyraźniej musiała być tak samo dumna z tego, co się stało, jak ja. – Noah znów pociąga z butelki. – Ale mimo wszystko trudno mi uwierzyć, że ci nie powiedziała.

Wygląda na to, że Abi nie mówiła jej o wielu rzeczach.

• • •

W tartaku w niedzielę panuje cisza. Powietrze nadal jest przesiąknięte mocną wonią drewna, ale bez dymu wydobywającego się z komina, bez szumu poruszających się ciał czy ciągłego warkotu maszyn to miejsce wydaje się Hunterowi obce.

Gdy staje w drzwiach biura, ojciec na jego widok szybko zamyka górną szufladę biurka.

– Co ty tu robisz? – pyta.

– Przyszedłem zobaczyć króla w jego królestwie.

Jerry wstaje, jedną rękę wciąż trzymając na krawędzi szuflady.

– Powinieneś być w domu. Nadal masz szlaban do jutra.

– Czy aresztowanie Rata Lăcusty to twoja sprawka?

– Z tym tu przyszedłeś? Nie mam czasu na gadanie o tym śmieciu. Wierz mi lub nie, Hunter, ale niektórzy muszą pracować i nie mają czasu na bzdury.

– Rat nic nie zrobił.

– Ed Lewis twierdzi co innego, a ja szybciej uwierzę słudze Bożemu niż jakiemuś przekłętemu Cyganowi. Poza tym, co twoim zdaniem jego broń robiła w lesie? Myślisz, że ją tam zgubił przez przypadek i nie wrócił, żeby ją odnaleźć?

Hunter wkłada ręce do kieszeni sportowej kurtki.

– Ktoś mógł mu ją ukraść.

– Byłoby to dla niego bardzo wygodne, na pewno, ale to naprawdę niczego nie zmienia. Raczej mało prawdopodobne, żeby któryś z tych nędznych dzieciaków z przyczep przyznał się, żeby go ratować. – Jerry zaczyna układać papiery na biurku. – Co z broszurami, które dostała twoja matka? Zaglądałeś do nich? Czas ucieka, wiesz o tym.

– Jak w ogóle możesz myśleć o takich rzeczach, kiedy zaginęła dziewczyna?

– Synu, masz przed sobą świetlaną przyszłość. Nie ma żadnego powodu, dla którego miałbyś nie dostać się na porządną uczelnię, jeśli tylko dasz sobie spokój z narkotykami. Twoja mama i ja... nie chcemy, żebyś skończył jak Noah Blake, kelnerując do końca życia, bo rzuciłeś naukę. – Jerry drapie się w tył głowy. –

Blake'owie to tego rodzaju ludzie, synu. Widziałem, jak ta dziewczyna kręciła się po tym osiedlu biedoty. Najlepiej zrobisz, jeśli przestaniesz o niej myśleć. Sama prosiła się o kłopoty.

Hunter nienawidzi ojca, nienawidzi jego wielkiej postury i tego, że zajmuje tyle miejsca w tym małym biurze, w tym małym mieście.

– A jeśli to ja ukradłem ten pistolet?

– Co?!

– Gdybym to ja ukradł broń Rata? Powinienem się do tego przyznać?

– O czym ty, do cholery, mówisz?! Powiedz, że nie ukradłeś tego pistoletu.

– Co powinienem zrobić, tato? Co w takiej sytuacji zrobiłby porządny chrześcijanin?

Jerry chwyta syna za ramię, wypycha go z biura i prowadzi przez halę do swojego samochodu.

– Wsiadaj – rozkazuje, popychając Huntera tak, że ten się potyka. – Powiedziałem: wsiadaj. Zabieram cię do domu. Co jest z tobą nie tak, do diabła? Jaka uczelnia cię przyjmie, jeśli będziesz kradł ludziom broń? I co ze mną i twoją matką? Pomyślałeś, jak przez to będziemy wyglądać? Nie pozwolę ci zaprzepaścić przyszłości przez jakiegoś kryminalistę, słyszysz mnie?! Nie spuszczę cię z oka, dopóki ten chłopak nie zostanie oskarżony, możesz być tego pewny. Słyszałeś, co Ed Lewis powiedział dziś rano. Jesteśmy gotowi wypędzić zło z tego miasta. Krwią i ogniem. Możesz postawić na to wszystko, co masz.

• • •

Gains opiera się o biurko i krzyżuje ręce na piersi.

– Świetnie znasz angielski, Lăcustă. W Ameryce się tak nauczyłeś?

Ten dzieciak jest dziwny, myśli. Szczerzy się jak piła tarczowa, mimo że naprzeciwko niego leży torba pełna dowodów, i nawet nie ma butów na nogach.

– W Rumunii odbieraliśmy w telewizji Cartoon Network – odpowiada Rat z taką miną, jakby ssał coś kwaśnego.

– Doprawdy? I nauczyłeś się tak języka, oglądając *Atomówki*? Imponujące.

– Jakie to ma znaczenie, gdzie nauczyłem się angielskiego? Myślałem, że chodzi wam o broń.

– Synu, w Whistling Ridge nie osiedla się zbyt wielu obcych, a tej wiosny ty przyjeżdżasz do miasta i chwilę później okazuje się, że twój pistolet pasuje do łuski, którą znaleźliśmy na miejscu zaginięcia młodej dziewczyny. Nikt nic o tobie nie wie. Więc ludzie się denerwują, rozumiesz? Znajdą coś, co można na ciebie zwalić, w ten czy inny sposób. Tak już po prostu tutaj jest. Ale widzisz, ja nie sądzę, żebyś miał motyw, żeby zastrzelić Abigail Blake, nawet jeśli ta broń należy do ciebie, i jestem skłonny się na tym oprzeć, więc mi pomóż. Kim ty jesteś, dzieciaku? I co tutaj robisz?

Rat bawi się nieświadomie wilczym kłębem zwisającym z jego ucha.

– Moi rodzice żyli pod rządami Ceașescu. Może pan odgrywać dobrego glinę, ile pan tylko chce, ale znam się na policji.

Gains wzdycha.

– No, to chyba jakiś początek.

Palce Rata przenoszą się na blat stołu, bębnią w niego w niespokojny sposób, który szeryf rozpoznaje.

– Słuchaj, dzieciaku, im szybciej zaczniesz być ze mną szczery, tym szybciej będziesz mógł stąd wyjść i obaj będziemy mogli zapalić.

Rat czuje się w tym pokoju, jakby był cały ściśnięty bandażem, więc perspektywa zapalenia wydaje się strzałem w dziesiątkę.

– Nauczyłem się angielskiego w Anglii. – Rat nie patrzy na Gainsa, tylko wpatruje się w słoje drewna na stole, wodząc po nich obgryzionym paznokciem. – Mieszkałem tam. Przez jakiś czas.

– Jak wylądowałeś w Ameryce?

– Po prostu się stało, *la naiba**. Tylko o tym słyszeliśmy, gdy dorastaliśmy... Ameryka to, Ameryka tamto. Pomyślałem, że warto jej się przyjrzeć, sprawdzić, czy nie jest przereklamowana.

– I co, jest?

– Jest mniej więcej taka, jak się spodziewałem. Pełna małych ludzików, którym się wydaje, że są ważniakami, bo mówią powyżej pewnego poziomu decybeli i noszą broń. – Rat spogląda na Gainsa spod rzęs. – Ale krajobraz nie jest zły.

– A ty nosisz broń, Lăcustă?

– O, przechodzimy do rzeczy. Próbuję się tylko dopasować, wtopić w tło.

– Opowiedz mi o tej broni. – Szeryf okrąża biurko, tak by mógł usiąść naprzeciwko Rata. – Kiedy cię zatrzymaliśmy, powiedziałaś, że została ci ukradziona. Jeśli tak, dlaczego nie zgłosiłeś jej zaginięcia?

– Nie wiem, coś mi wyskoczyło i zapomniałem. Sporo tu rzeczy, które człowieka rozprasza. I jak już mówiłem, nie darzę stróżów prawa szczególną miłością.

– Masz jakiś pomysł, kto mógł ją ukraść?

Rat wzrusza ramionami.

– Prawdopodobnie któreś z dzieciaków z osiedla. To było dawno temu, w maju. Wtedy często razem imprezowaliśmy, strzelaliśmy do butelek, ćpaliśmy i takie tam. Niech pan posłucha... – Wbija paznokcie w blat. – Nie zastrzeliłem Abigail Blake. Nawet jej nie znałem.

– Ale znasz jej brata. Był w twoim kamperze, kiedy po ciebie przyjechaliśmy.

Rat tylko wpatruje się w Gainsa tymi swoimi oczami jak z rżniętego szkła i pod jego spojrzeniem szeryf czuje się tak, jakby ktoś lał mu po plecach zimną wodę.

– W takim razie posłuchaj. – Pociera kikut jednego z palców. – Czy możesz przynajmniej powiedzieć, gdzie byłeś w noc zniknięcia Abigail Blake, w noc tamtej konkretnej imprezy?

– Nie.

– Jezu, dzieciaku! W miasteczku temperatura robi się naprawdę gorąca... Ludzie mają wiele pytań na temat tego, co stało się z tą dziewczyną, i dla nich jesteś tak samo dobrą odpowiedzią jak każda inna. Zrób sobie przysługę i bądź ze mną szczery.

– Jestem szczerzy. Nie mogę panu powiedzieć, gdzie byłem.

– Oj, dajże już spokój! Co to znaczy, że nie możesz?

Rat rozpiera się na krześle, podnosi jedną rękę i odchyła za siebie, a następnie wzrusza ramionami.

– To nie moja tajemnica, żebym mógł ją zdradzać.

• • •

Na początku Jude myśli, że pokój Abigail wygląda tak samo. Panuje w nim lekki bałagan, ale taki, który wydaje się znajomy, jakby siostra wciąż mogła w każdej chwili wejść i podnieść gumkę do włosów z podłogi lub rzucić sweter na oparcie krzesła. Im dłużej jednak siedzi na łóżku, tym bardziej dostrzega, jak wszystko zaczęło się zmieniać. Abi nie ma od trzech tygodni, to pięćset cztery godziny. Do tej pory mogły jej już wypaść zęby. Jej pokój też stopniowo się rozpada. Ołówki stoczyły się z biurka i zniknęły, książki pokrył kurz, wszystko jest zimne i lekko lepkie w dotyku. Jude nie może tego znieść.

Wie, w co wierzy matka: że jeśli zostawią ten pokój tak, jak jest, to Abigail będzie nadal z nimi. Ale pokój potrzebuje życia albo kurz będzie osiadał i osiadał, aż całkowicie pogrzebie siostrę Jude'a. Dlatego przesuwa jej szczotkę do włosów, ubija poduszkę, przewiesza ubrania w szafie. To niewiele, lecz wystarcza, by poczuł, że Abigail wciąż żyje, że być może później przejdzie obok jej otwartych drzwi, zobaczy te wszystkie małe zmiany i pomyśli: Abi jest w domu.

Nadal nie jest pewien tego, co widział w lesie, tego, co zaszło między jego bratem a tym rumuńskim chłopcem. Albo raczej, Jude wie, co widział, tylko nie jest pewien, co to znaczy. Ten dźwięk, jaki wydał Noah, sposób, w jaki zdjął pasek... to przypomniało mu coś innego, coś sprzed miesiący, co wtedy nie wydawało się takie dziwne, ale teraz... Nie wie zbyt wiele o seksie, więc nie ma pojęcia, jak to wytłumaczyć, ale to prawdopodobnie jedna z tych rzeczy, o które zapytałby matkę... gdyby miał normalną matkę. Zamiast tego będzie szukał znaku, postanawia. Tak jak powiedział pastor Lewis: *naszym zadaniem jest rozpoznać, kiedy Bóg chce działać poprzez nasze działanie*. Jeśli to, co widział, naprawdę było

tym, czym myśli, że było, to Bóg znajdzie sposób, żeby mu to powiedzieć. Bóg użyczy mu słów, którymi on będzie mógł opowiedzieć o tym matce.

Na dnie szafy Abigail leży pudełko po butach i Jude już wie, że je otworzy, nawet gdy mówi sobie, żeby tego nie robić. Dziewczyna ze zdjęcia z polaroida wygląda jak jego siostra – ma takie same jasnorude włosy, taki sam spiczasty podbródek, takie same długie nogi – ale nigdy nie widział, żeby siostra tak się śmiała, nigdy nie widział, żeby wyglądała tak dziko. Przegląda zdjęcia z Abigail tańczącą z głową odrzuconą do tyłu i z rękami w górze, zdjęcia jej ramion obejmujących dzieciaki z osiedla przyczep, jej gołych nóg rozbryzgujących wodę w rzece, podczas gdy ona zerka w stronę fotografa.

A potem, na spodzie stosu... też ona, z papierosem w ustach, w zielono-czarnej sportowej kurtce, której rękawy są dla niej za długie. Obok stoi Rumun i obejmuje ją ramieniem.

* *La naiba* (rum.) – cholera.

27

Dolly Blake, stojąc w holu biura szeryfa, nie może sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jej mąż chciał ją trzymać za rękę. Ale tego popołudnia powiedział: „Dolly, mówią, że zatrzymano tego chłopaka, mają tego Cygana, który zabrał nam Abi”. I teraz są tutaj, on pociera kciukiem jej knykcie, jakby to było coś, co zawsze robił, a ona czeka, aż przestanie.

– Chcemy go zobaczyć – mówi Samuel do recepcjonistki. Jest to młoda kobieta, ma dość surową twarz, która najwyraźniej nie pasuje do jej temperamentu, bo kobieta kurczy się, gdy Samuel pochyla się w jej stronę. – Chcemy zobaczyć sukinsyna, który zastrzelił naszą córkę.

– Proszę pana, nikt nie został oficjalnie oskarżony. Nikt nie został nawet aresztowany.

– No to na co czekacie? Do dzieła! Chcemy zobaczyć chłopaka, którego przetrzymujecie, prawda, Dolly?

Jego żona kiwa głową, chociaż tak naprawdę nie bardzo wie, co czuje. Powiedzieli jej, że Abigail zaginęła, a teraz mówią, że została zastrzelona. Dolly chce tylko kimś potrząsać, dopóki nie udzieli jej odpowiedzi – tej właściwej: Czy jej córka żyje, czy nie? Czy to już na pewno niezaprzeczalny koniec?

Słyszy otwierające się drzwi w korytarzu za rogiem, a zbliżające się kroki brzmią dla niej zdecydowanie o wiele głośnie. Nie paliła cały dzień, bo „to znowu doprowadzi mnie do bólu głowy, kobieto”, ścisła więc dłoń męża, ponieważ jej palce są niespokojne. Samuel najwyraźniej źle to interpretuje i mówi:

– Moja żona chce zobaczyć, kto zabił jej dziecko. – Nazywa ją swoją żoną, jakby był z tego dumny.

– Proszę pana, przykro mi – odpowiada kobieta w recepcji. – Ale my nie...

Dolly nie słyszy reszty i Samuel pewnie też nie, bo zza rogu wyłania się szeryf, lekko czerwony na twarzy, z Rumunem, który ma we włosach wałek i jest bez butów. Między nimi, ze skulonymi ramionami, przygryzając dolną wargę, idzie Noah.

– A co to ma znaczyć, do cholery jasnej?! – Samuel natychmiast puszcza rękę Dolly, a ona, choć nie potrafi powiedzieć dlaczego, odnosi wrażenie, że mąż jest zakłopotany, że syn widział ten intymny gest między nimi. – Gains, wypuszczasz tego małego Cygana? Co tu się, na Boga, dzieje?

Szeryf unosi brwi, jakby to, co myśli na temat tego, co się dzieje, było zbyt skomplikowane, by mógł się temu odpowiednio przyjrzeć.

– Nie mam żadnego powodu dłużej przetrzymywać pana Lăcusty.

– Ja słyszałem co innego. – Samuel przygryza wnętrze policzka, co sprawia, że jedna strona jego twarzy wydaje się szczególnie koścista. – Od samego Jerry’ego Maddoxa. Ten dzieciak wykończył moją córeczkę.

– Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan mówić ciszej, panie Blake.

Kiedy Gains prostuje plecy, Dolly ma ochotę go uderzyć. Bardzo to piękne, że odgrywasz tu ważniaka, myśli, ale to ja będę musiała radzić sobie z konsekwencjami tego, że wkurzyłeś mojego męża.

– Mówić ci... A co to ma, do cholery, za znaczenie? Pozwalasz chłopakowi, który zabił mi córkę, po prostu stąd wyjść!

Dolly zerka na męża, któremu gwałtowne oddychanie rozdyma nozdrza, potem próbuje przechwycić spojrzenie Noaha, ale syn ma wzrok wbity w podłogę. W przeciwieństwie do Rumuna. Dolly uzmysławia sobie, że ten chłopak ani na chwilę nie odrywa oczu od jej syna. Niemal boli ją, gdy to widzi. Nikt nigdy nie patrzył na nią w ten sposób.

Gdy Gains odpowiada: „Proszę pana, pański syn zapewnił mu alibi”, Dolly ma dziwne przeczucie, że chyba wie, o czym szeryf może mówić.

• • •

Do czasu powrotu Rata Emma wypija prawie całą zawartość butelki. Obserwuje go z okna, jak idzie bosy, przecinając cienie rzucane przez zachodzące słońce. Po burzy wszystko wydaje się brudne, zszargane, a rewelacje o Noahu Blake’u jeszcze to wrażenie pogłębiają.

– A więc z nim sypiasz – bełkocze Emma, połykając samogłoski.

Rat zamyka drzwi i opiera się o stół jak statek nabierający wody.

– Prawdziwy z ciebie sukinsyn.

– Drăgută...

– Nie. – Emma kręci głową. – Nie nazywaj mnie tak, nie zachowuj się, jakbym coś dla ciebie znaczyła. To był on, prawda? Tej nocy, kiedy zostawiłeś mnie przy Tall Bones z Hunterem... poszedłeś spotkać się z nim?

– Widziałaś, jaką miazgę ojciec zrobił mu z twarzy. Musiałem iść.

– Taaa... a Maddoxowie zrobili miazgę ze mnie.

– Emma...

– Miałeś mi pomóc się dowiedzieć, co stało się z Abigail. Być może ona nic dla ciebie nie znaczy, ale to moja jedyna przyjaciółka, na której naprawdę mi zależy, więc jej nie lekceważ, jakby nie była warta twojego czasu.

Twarz chłopaka tężeje i Emma przez chwilę wyraźnie widzi różnicę wieku między nimi.

– Wiesz, ucieszyłem się, kiedy zobaczyłem twój samochód na drodze. Chciałem ci podziękować. Noah powiedział mi, że to ty namówiłaś go, żeby złożył zeznania i mnie stamtąd wyciągnął.

– To było, zanim dokończyłam tę butelkę, kiedy jeszcze cię kochałam.

W kamperze nie pali się kadzidełko i nagle Emma mocno odczuwa brak tego zapachu; czuje tylko chłód zmieszany ze sztuczną wonią brzoskwiń i ziemistą wonią błota, która przywarła do bosych stóp Rata.

Chłopak opada na krzesło przy stole.

– Nigdy nie prosiłem cię, żebyś mnie kochała.

Przez okno Emma widzi grupę ludzi zbierających się na zewnątrz, mieszankę postrzępionych flaneli, wyblakłych dżinsów, pogniecionych koszul i marynarek. Rozmawiają na tyle głośno, że słyszy ogólny szum ich głosów, ale nie może wyłowić żadnego konkretnego słowa. Rozpoznaje jednego z mężczyzn, jest nim wyrażony w środku, wygasty ojciec Shany Tyson.

– Chyba już pójdę – rzuca Emma, ciężko dźwigając się na nogi. – Chciałabym wrócić do domu.

– Nie sądzę, że powinnaś prowadzić, *drāgutā*. Zbyt wiele...

– Powiedziałaś, żebyś mnie tak nie nazywał. Jezu, myślisz, że wszystko może ci ująć na sucho, bo jesteś taki śliczny, a najgorsze, że tak właśnie jest. Z tej całej hecy wyszedłeś bez jednego zadrapania.

Zatacza się, gdy próbuje go minąć, a on wyciąga rękę, żeby pomóc jej zachować równowagę, ale metaliczny stukot czegoś uderzającego w bok w kampera sprawia, że ją cofa.

Na zewnątrz robi się coraz głośniej. Rat zerka przez okno, po czym gwałtownie się schyla, dając znak Emmie, by zrobiła to samo. W tym samym momencie kamień rozbija szybę i na podłogę lecą odłamki szkła.

– Ty sukinsynu, ty cholerny skurwielu! – krzyczy ktoś z zewnątrz.

– Sprzedajesz narkotyki naszym dzieciom, zamordowałeś tę dziewczynę!

– Wyłaź, ty cygański bękarcie!

Coś roztrzaskuje się po drugiej stronie drzwi i Emma czuje, że zaraz zacznie krzyczeć, lecz Rat zatyka jej usta ręką i wciąga ją pod stół.

– Już dobrze, mam cię. Wszystko będzie dobrze.

Trzyma Emmę w objęciach, dopóki ta nie przestanie się trząść, a potem leżą wtuleni w siebie w zbierającej się ciemności, podczas gdy mieszkańcy Whistling Ridge obrzucają kamper kamieniami.

28

Gdy Noah podjeżdża pod dom, ojciec czeka na niego na podjeździe. Chłopak gasi silnik i przez chwilę tylko na siebie patrzy; Noahowi wydaje się, że widzi, jak z Samuela sypią się iskry, jakby był kawałkiem zerwanego kabla elektrycznego. Ma świadomość, że im dłużej będzie zwlekał, tym bardziej będzie to nieuniknione. Mówi sobie jednak, że będzie jak z prostowaniem zeszytniałych palców: nieprzyjemnie, ale najlepiej mieć to już za sobą.

Ostatecznie wcale tak nie jest. Samuel uderza go grzbietem dłoni, zostawiając mu na szczęce odcisk obrączki. Noah lekko zatacza się w tył, zaciskając pięści, by nie wydać z siebie żadnego dźwięku.

Ojciec kręci głową.

– Mam nadzieję, że wiesz, że upokorzyłeś tę rodzinę.

Później Noah kręci się niepewnie po domu, wsłuchując się w szelest toreb, kiedy matka wypakowuje na dole zakupy, w monotonny stukot, jaki towarzyszy rąbaniu drewna przez ojca na podwórzu, w słaby odgłos muzyki docierającej ze słuchawek Jude'a, w niezmaconą ciszę pustego pokoju Abigail. Zajmują całą przestrzeń, a on nie jest pewien, gdzie ma umieścić siebie.

W jego pokoju nachodzi go znajome uczucie: że Bóg zagląda mu przez ramię.

Mam nadzieję, że wiesz, że upokorzyłeś tę rodzinę.

Noah ma ochotę odwrócić głowę i warknąć: „Ty dupku, myślisz, że nie próbowałem?”.

Kiedy miał piętnaście lat, wymyślił sobie żonę. W Biblii żona Noaha* była bezimienna, ale w szkółce niedzielnej powiedziano mu, że nazywała się Naama, więc tak nazwał tę wyimaginowaną kobietę. W jego wyobraźni wyglądała trochę

jak matka z *Waltonów*, bo rodzice w tamtym czasie często oglądali ten serial. Naama była bardzo miła, zawsze mówiła do niego „kochanie”, tak jak robili to telewizyjni bohaterowie. Czasami, gdy miał ciężki dzień w szkole, rozmawiał z żoną. „Kochanie, nie uwierzysz, jaki miałem dzień”, mówił i wyobrażał sobie, że ona odpowiada: „Kochanie, radzisz sobie wspaniale”. Utrzymał Naamę przy życiu przez trzy miesiące, podlewając ją jak kwiat wszystkim, czego nauczył się o małżeństwie, obserwując rodziców. Ale oczywiście pewnego dnia od niego odeszła.

Potem już tylko się modlił. Gdy przechodził okres „zezwierżenia”, udawał się do jego zdaniem sekretnych zakamarków internetu, by oglądać zdjęcia mężczyzn, a potem modlił się tak żarliwie, jakby był przywiązany do masztu w czasie burzy, uwięziony w każdej modlitwie, walący pięściami o jej ściany. Modlił się aż do zalania krwią. W wieku szesnastu lat rozplakał się w kościele, gdy pastor Lewis – akurat on! – dotknął delikatnie gołej skóry jego odsłoniętego przedramienia. Pastor uznał jego reakcję za oznakę jakiegoś cudu. Noah, stojąc tam i lejąc łzy w dłonie, był przerażony, że wszyscy domyślą się, że jest oszustem.

– Co powinienem być zrobić? – pyta teraz, wpatrując się w Boga. – Po prostu skłamać? Czy chciałeś, żebym skłamał i pozwolił im aresztować niewinnego człowieka za coś, czego nie zrobił? To też jest grzech. To gorszy grzech niż miłość.

• • •

Stojąc na szczycie schodów, matka mówi do niego, że musi dziś zjeść kolację w swoim pokoju.

– Ojciec nie chce cię przy stole – dodaje.

– Mamo.

– Przykro mi...

„Nie, nie jest ci przykro”, ma na końcu języka Noah.

– Bądź wdzięczny, że nie... – Matka wchodzi do pokoju i wyciąga rękę, jakby chciała dotknąć jego szczęki, wciąż zaczerwienionej i obolałej, a on pochyła się

w stronę jej dłoni; jakaś młodsza część Noaha ma nadzieję, że może tym razem go przytuli. Ale w ostatniej chwili matka się odsuwa. – Po prostu bądź wdzięczny.

Po jej wyjściu w drzwiach pojawia się Jude.

– Hej, Noah.

– Czego? Ty też przyszedłeś naszczać mi w twarz?

Jego brat trzyma w dłoni zdjęcie z polaroida.

– Muszę ci coś pokazać.

– Daruj sobie. – Noah wyrzuca brata z pokoju, nie zatrzymując się nawet wtedy, gdy słyszy, że Jude potyka się o laskę.

Zatrząskuje drzwi i gdy brat w nie puka, błagając: „Proszę, musisz to zobaczyć”, Noah zakrywa głowę poduszką i myśli: Naama, kochanie, nie uwierzysz, jaki miałem dzień.

Przedtem

Jest pierwszy wieczór czerwca, ta dziwna granica między porami roku, kiedy świat zdaje się na krótko ożywać przed długim letnim letargiem. Słońce wisi na horyzoncie przez ponad godzinę, jakby żałowało, że w ogóle musi zachodzić, ale kiedy zapada już zmrok, zaczyna się muzyka i zapalają się łańcuchy świetlne, jasne pajęczyny rozwieszone między przyczepami.

Ojciec Shany pojechał do miasta na jakąś uroczystość kościelną, więc dziś wieczorem wszyscy tłoczą się w przyczepie Tysonów. Shana miesza koktajle z tanim sokiem i jeszcze tańszą wódką przyniesioną przez Rata, który na gitarze babci gra akustyczny cover *Sympathy For The Devil*. Bracia Weaverowie ciągną Beth Farmer za włosy, a Bryce Long wciąga ze stolika do kawy długą kreskę metadonu.

– Dobra, stary, spokojnie – rzuca Hunter, szturchając Bryce’a w ramię. – Zwolnij, bo się skończy, zanim wieczór na dobre się rozkręci. – Spogląda na

Abigail, siedzącą na krawędzi kanapy i przyciskającą kolana do piersi. – Wszystko w porządku?

Dziewczyna zaciska usta i kiwa głową.

Jakąś godzinę później Hunter zastaje ją i Bryce'a w maleńkiej łazience Tysonów, wciągających kreskę z brzegu umywalki.

– Hej, no weź, stary. Wykańczasz mi całe zapasy.

– Bez nerwów, Hunter. – Bryce odsyła go machnięciem ręki. – Zapłacę ci. Możesz być spokojny.

– Tak, ale... – Hunter spogląda na Abigail i widzi, że dziewczyna twarz ma czerwoną i spuchniętą, jakby płakała.

Za jego plecami pojawia się Rat i mrużąc oczy, patrzy na Bryce'a.

– Nie powinieneś jej tego dawać, pizdo. Nie widzisz, że jest pijana?

Bryce prycha kpiąco.

– Wyluzuj, towarzyszu, nic jej nie jest. – Zwraca się do Abigail: – Nic ci nie jest, prawda?

Dziewczyna uśmiecha się, ale zbyt szeroko i zbyt dziwnie, a kiedy próbuje wstać, chwieje się i przewraca. Rat jest przy niej w jednej sekundzie, chce ją podnieść, lecz ona szamocze się i go odpycha.

– Zabieraj łapy – bełkocze. – Nawet nie chcę myśleć, gdzie je trzymałeś.

Gdy Rat odrywa od niej ręce, Abigail zatacza się na umywalkę.

– Wiesz – głos Rata brzmi nagle twardo – twój brat ma rację. Potrafisz być prawdziwą suką.

Abigail otwiera usta, ale nie jest w stanie zareagować inaczej, niż tylko wytrzeszczając na niego oczy. Potem odtrąca Bryce'a i Huntera z drogi i idzie szybko przez salon do drzwi.

Bryce przeciąga dłońmi po twarzy.

– Jezu, ale wy, chłopaki, potraficie popsuć atmosferę. – Przepycha się obok nich.

Hunter chce pójść za nim, lecz ktoś go zatrzymuje, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Hej, Maddox. – Rat ma ponurą minę. W jego głosie słycać nutę znużenia i jakąś obojętność; uleciał z niego cały ogień. – Chcesz się może pieprzyć?

– Nie! Zwariowałeś, człowieku? Czegoś się naćpał? I mów ciszej, dobra?

Rat wzdycha i opiera głowę o ścianę za sobą; Hunter widzi, że wokół nozdrzy ma zeskorpiałą obwódkę z białego proszku.

– Nie powinna była tego mówić, wiesz. O mnie. I jak ona na mnie spojrzała... Nie powinna była tego robić.

– Taaa, wiem, stary, wiem. Pójdę z nią pogadać. – Hunter klepie Rata niezręcznie po ramieniu. To w końcu przecież całkiem heteroseksualny gest. – Napij się trochę wody, okej?

Rat wzrusza ramionami i nadal mrużąc oczy, wpatruje się w plamy na linoleum.

– Hej, Hunter!

– Tak?

– Ludzie stąd dostaną, co im się należy. Zobaczysz.

• • •

Powietrze jest rześkie, gdy Hunter wychodzi z przyczepy w noc. Girlanda świetlna Shany oblewa otoczenie mglistą poświatą. Hunter zatrzymuje się na chwilę, żeby wziąć głęboki oddech, chłonie zapach sosen i taniego alkoholu, bryza chłodzi mu spoconą twarz. Od cichych dźwięków muzyki horyzont wydaje się szerszy. Tam daleko, poza tym wszystkim, jest coś jeszcze: są ludzie, którzy potrafią się cieszyć swoim towarzystwem.

Nagle do terażniejszości sprowadza go dźwięk głosu ojca.

– Lepiej na siebie uważać – mówi Jerry. – Niektóre z tych dzieciaków z przyczep mogą być dość brutalne.

Ojciec używa łagodniejszego tonu niż ten, do którego jego syn jest przyzwyczajony, więc Hunter od razu orientuje się, że nie mówi do niego.

Podkrada się do rogu przyczepy Tysonów, pod skarpetkami czując wilgotną ziemię; przyciska się do desek elewacji i wygląda. Stoją ledwie dwa kroki od

siebie, ojciec z ręką na ramieniu Abigail, ona z przezroczystym plastikowym kubkiem z wodą w dłoni. Uśmiechając się – tym razem szczerze – Abigail rzuca:

– Dziękuję, panie Maddox.

– Nie ma za co, kochanie – odpowiada Jerry. – Nie chciałbym, żeby coś się stało takiej miłej dziewczynie jak ty.

* Noe (hebr. נֹחַ Noah).

Teraz

Słońce wyłania się na krótką chwilę zza nisko wiszących mlecznych chmur, kiedy Emma skręca w Elkstone Bend, w kierunku domu Maddoxów.

Wczoraj wieczorem było bardzo źle. Kiedy wróciła do domu, myślała, że matka jest pijana, ale okazało się, że istnieje taki stan, w który ludzie mogą wpaść, kiedy są naprawdę wkurzeni, i jest równie podły jak bycie pijanym. Melissa nigdy wcześniej nie krzyczała na córkę, na pewno nie w ten sposób.

– Nie możesz ciągle znikać, Emma! Byłam tak blisko od zadzwonienia na policję!

– Poszłam się tylko spotkać z przyjaciółką.

– Och, z którą przyjaciółką? Z którą? Bo to pewne jak cholera, że nie była to Abi. I, Chryste, czy ty naprawdę jesteś znowu pijana? Po tym wszystkim, o czym rozmawiałyśmy? Niszczysz swoje ciało. Rujnujesz je. Kiedy będziesz starsza i będziesz miała uszkodzoną wątrobę, trzęsące się ręce i zepsute zęby, będziesz siebie nienawidziła za to, co sobie zrobiłaś!

A jakie to będzie miało znaczenie? – pomyślała Emma. Już się nienawidzę.

– Czy ty mnie próbujesz karać za brak ojca? – rzuciła Melissa. – Nie masz pojęcia, jak ciężko czasami jest być twoją matką.

Potem mówiły sobie rzeczy, których nie miały na myśli. Ale też takie, które miały na myśli. Kiedy było po wszystkim, Emma długo nasłuchiwała znajomych odgłosów dobiegających z pokoju matki, lecz rano, kiedy wymykała się z domu, minęła ją skuloną na kanapie, wciąż z makijażem z poprzedniego dnia.

Hunter siedzi na zewnątrz na schodach i zeskrobuje błoto ze sportowych butów, w których ma iść do szkoły, kiedy Emma podjeżdża. Wciąż jest wściekła po kłótni z matką, gniew złagodził jednak uczucie krańcowego nieszczęścia po wczorajszym picciu i teraz czuje się walecznie i konstruktywnie.

– Dawalesz Abigail narkotyki?

Chłopak pstryknięciem strzepuje z podeszwy buta grudkę zaschniętej ziemi.

– A skąd takie przypuszczenie?

– Zabierałeś ją na imprezy. Tutaj, w lesie. Dawalesz jej narkotyki.

– Bardzo się mylisz.

– Shana Tyson mi powiedziała.

– Och! Na co więc czekasz? – Wyciąga nadgarstki. – Skuj mnie.

– Traktujesz to jak żart?

– Nie, to ty zachowujesz się idiotycznie. Nigdy nie zrobiłbym nic, co mogłoby skrzywdzić Abi. – Hunter zdrapuje paznokciem kolejny kawałek błota. – Przyjaźniliśmy się.

– Przyjaźniliście? Ona z tobą?

– Jasne. A czemu cię to dziwi? Nie byłeś jedyną osobą, której wolno było ją znać.

Ty jej nie znałeś, myśli Emma. Ani ona, ani Abigail nie miały wielu przyjaciół: Abi nigdy nie byłaby taką egoistką, żeby ukrywać kogoś przed Emmą lub, co gorsza, kimś ją zastąpić.

– Nie wierzę ci.

– Wierz, w co chcesz, nie obchodzi mnie to. Ale ja nie dawałem jej narkotyków. Ona po prostu... czasami je brała. Od innych.

– Nie robiłaby tego.

Hunter patrzy na nią w ten sam sposób, w jaki patrzyła Shana Tyson. *Och, kochanie*. Liście topoli szeleszczą, gdy wzmaga się wiatr, lecz Emma i tak się poci w zimowej kurtce.

– Nie, to ty... ty jej coś zrobiłeś. A potem dowiedziałeś się, że powiedziała o tym mojej mamie, więc zwabiłeś ją do lasu i...

– Jezu... Naprawdę masz o mnie takie zdanie?

– Ja nie... nie, ja... – Ostatnio myślała o tym nieustannie, więc nie rozumie, dlaczego teraz trudno jej to powiedzieć. – Ale dlaczego zabrałeś ją do lasu tamtej nocy przy Tall Bones? Wiem, że to byłeś ty.

– Nigdzie jej nie zabierałem. Po prostu ze mną poszła. – Chłopak patrzy w dół na swoje buty. – Chciała, żebym dał jej trochę koki. Wolą, żebyś tego nie widziała.

– Nie, Abi nie była taka, znam ją całe swoje życie.

– Nie była zbyt szczęśliwa. Przykro mi. Ale mówiła o tobie bez przerwy. Kochała cię, dziewczyno, tylko nie chciała, żebyś widziała tę jej stronę.

Emma wbija sobie nasady dłoni w oczy i próbuje się skoncentrować na nacisku, zamiast na pytaniach mnożących się w jej głowie: Abigail, Abi, kim ty, do cholery, jesteś? Co aż tak złego się działo, że nie mogłaś mi powiedzieć? Co próbowałaś ukryć?

– Hej, wszystko gra? – pyta Hunter. – Może powinnaś usiąść.

Dziewczyna siada, bo nie wie, co innego mogłaby zrobić. Kamień pod nią jest chłodny, ozięwiający.

Abigail widziała rozstępy na udach Emmy, była świadkiem, jak dzieciaki w szkole obnażają jej wszystkie kompleksy, jak komentują jej wzrost, wagę czy pochodzenie, wysłuchiwała jej szlochów przez telefon o tym, jaka jest samotna. Abigail chciała wiedzieć o Emmie wszystko; wyciągała to z niej jak luźne nitki i był czas, gdy sama również trochę o sobie opowiadała. Emma pozwoliła, żeby przyjaciółka ją poznała. Bo czy nie na tym polega miłość? Ale czy naprawdę tak słabo rozumiała Abi? Teraz to do niej dociera: zdystansowanie Abi przez całe lato, to jej ciągłe drapanie się, to, że przez cały czas wyglądała na zmęczoną, niemal przyjazne zachowanie Huntera wobec niej tamtej nocy na balu szkolnym. Boże, jak mogła tego nie zauważyć?

Hunter wyciąga papierosa z kieszeni.

– Nie będzie ci przeszkadzało?

Emma kręci głową.

– Rodzice by mnie zabili, gdyby wiedzieli, że palę. Rozgrywki stanowe, studia, bla, bla, bla.

Czasami Emma żałuje, że nie umie palić. Może robiłaby to zamiast pić.

– Hej, a mogę zapytać, jak to się w ogóle stało, że rozmawiałaś z Shaną? Nie wiedziałem, że się przyjaźnicie.

– Nie przyjaźnimy się. – Emma wpatruje się w porosty na kamiennych ścianach. Miałam tylko jedną przyjaciółkę, a teraz nawet nie wiem już, kim ona jest, myśli. – Pytałam ją o ciebie.

Hunter parska śmiechem.

– I co stara dobra Shana miała o mnie do powiedzenia?

– Nie uwierzyła mi, kiedy powiedziałam, że moim zdaniem zrobiłeś Abi krzywdę. Mówiła, że jesteś miły... nie taki jak twój ojciec. Nie lubi go za bardzo.

– Hm... może dołączyć do klubu. Sukinsynowi wydaje się, że wszystko mu wolno, bo posiada połowę tego miasta i przyjaźni się z pastorem. – Zaciągając się papierosem i mrużąc oczy, Hunter spogląda w stronę lasu. – To już jakieś trzy tygodnie, wiedziałaś? Całe trzy tygodnie, odkąd Abi...

– Tak, wiem.

– Och, hej, chcesz coś zobaczyć? – Hunter wyciąga z wewnętrznej kieszeni kurtki kopertę. – Pożyczyłem tamtej nocy swój aparat Beth Farmer i w końcu dała mi zdjęcia, które zrobiła. Na tym jesteście ty i Abi, spójrz.

Ich twarze mają lekko nieziemski wygląd, co zdarza się często, gdy robi się zdjęcia z lampą błyskową. Abigail ma czerwone oczy, przez co wygląda jak jakiś demon, ale to one. Emma pamięta, jak Beth robiła zdjęcie. „Uśmiech, dziewczyny!”, zawołała, a Abigail objęła Emmę i cmoknęła ją w policzek. Wtedy Emmie zrobiło się z tego powodu bardzo miło, ale teraz, gdy patrzy na zdjęcie, myśli, że takie cmokanie to coś, co robi się z dzieckiem. Protekcyjny gest.

Trochę za to Abi nienawidzi. Nienawidzi też trochę Huntera za pokazanie jej tych zdjęć i zniszczenie wspomnień.

– Możesz je zatrzymać, jeśli chcesz – mówi chłopak.

– Nie, dzięki.

• • •

Siedzą na zimnym schodku dłuższą chwilę – żadne nie jest jeszcze najwyraźniej gotowe, by powiedzieć coś więcej – do momentu, gdy papieros Huntera spala się aż do palców. Chłopak przeklina i wyrzuca niedopałek. Emma milczy, wpatrując się w zdjęcie, na którym jest z Abigail. Potem nagle je podnosi i pyta:

– Czy Abi miała na sobie ten sweter, kiedy poszliście do lasu?

Hunter zerka z ukosa na zdjęcie.

– Nie wiem, nie kojarzę go. – A akurat on by kojarzył, myśli. Resztę nocy pamięta z irytującą wyrazistością.

– Jesteś pewien?

– Hm... może... Mogła go mieć na sobie. Ale jakie to ma znaczenie? To tylko sweter.

– Szeryf powiedział, że kilka dni temu w rzece w pobliżu Tall Bones znaleźli zapinany sweter. Mówił, że był cały zakrwawiony.

Hunter ma ochotę zapalić kolejnego papierosa, ale mu się skończyły.

– Widziałeś tamtej nocy w lesie kogoś jeszcze? – pyta znowu Emma.

– Ale jesteś namolna, wiesz?

– Zależy mi na Abi. Myślałam, że mówiłeś, że tobie też.

– Dobra, spoko. – Chłopak odgarnia włosy z twarzy. – Tylko że... no... na tej imprezie było mnóstwo ludzi, chyba wiesz?

– Tak, ale kiedy ty i Abi poszliście się... – Emma się krzywi – naćpać, czy co tam robiliście, to widziałeś wtedy kogoś? W lesie. Kogoś, kogo nie powinno tam być?

Hunter na chwilę przymyka oczy. *Kogoś, kogo nie powinno tam być.* Ja jestem kimś, kto był tam, gdzie nie powinien być, myśli.

Ale tego swetra też nie powinno tam być. Abigail miała go na sobie, kiedy to się stało. Pamięta wyraz jej twarzy – prawie uśmiechniętej – gdy ciemna plama rozprzestrzeniała się po tandetnej jasnej wełnie. Chryste, Abi. Ale skoro wtedy była w tym swetrze, to jak znalazł się w rzece? Mógł sam się zsunąć, może o coś zahaczył, jednak Hunter myśli tylko o jednym: Martwe dziewczyny nie zdejmują ubrań.

– Co jest? – pyta Emma. – Wyglądasz, jakbyś miał zamiar coś powiedzieć.

Hunter spogląda przez ramię na ciemne okna swojego domu.

– Był ktoś jeszcze – odzywa się cicho. – W lesie widziałem swojego ojca.

Zakopującego torbę z koką w ruinach domu Winslowów, jak się okazało, ale mógł ją z łatwością spuścić w kiblu, więc co tam robił? Ścieżka, którą szedł, gdy syn go zauważył, prowadzi do wielu innych w lesie. Hunterowi przypomina się tamten czerwcowy wieczór, sposób, w jaki ojciec położył rękę na ramieniu Abigail za przyczepą Tysonów, to, jak na nią patrzył, gdy odchodziła. Jerry Maddox rozebrałby ją wtedy, gdyby tylko mógł.

Żeby zająć czymś ręce i usta, Hunter zaczyna obgryzać paznokiec kciuka. Wzdryga się na myśl o tym, czego ojciec mógłby być świadkiem. Ale, co gorsza, teraz zastanawia się: Co jeszcze, oprócz zakopania koki, mógł zrobić?

30

O wilku mowa, myśli Emma, gdy w drodze powrotnej spostrzega Jerry'ego Maddoxa, który wbija tablicę w zeschniętą trawę przed osiedlem przyczep. Wielkie odręcznie napisane litery głoszą: TYLKO AMERYKANIE. Przez chwilę Emma znowu słyszy tamte krzyki, czuje osłaniające ją ramiona Rata, gdy oboje skulili się pod stołem, a dookoła zlatywały ze ścian fotografie i strony książek, trzaskały żarówki i przewracały się świece, z których wosk ściekał na podłogę i tam tężał. Na wspomnienie tętna w nadgarstku Rata, szybkiego i przerażonego, gdy ktoś krzyknął: „Wracaj do własnego kraju”, Emma zatrzymuje samochód.

– Hej! – Spuszcza szybę do końca i wychyla się. – Hej, nie może pan tego robić!

– Jesteś na mojej posesji.

– To nielegalne.

– To moja ziemia, mogę robić, co zechcę, młoda damo, łącznie z zastrzeleniem cię za wtargnięcie na prywatny teren, więc przekręć kluczyk w stacyjce i zjeżdżaj stąd. – Jerry pokazuje kciukiem drogę w kierunku miasta. – I skoro już się widzimy... odczep się od mojego syna.

Cofając głowę do środka, Emma mamrocze:

– To samo powiedziałaś do Abi?

– Co?

Podnosi wzrok i widzi nad sobą Jerry'ego. Gdy mężczyzna kładzie rękę na dachu jej samochodu i pochyla się, Emma myśli, że oczy ma martwe jak rekin.

– Nie powinnaś tak łązić i oskarżać ludzi o takie rzeczy. Ktoś kiedyś może mieć przez to prawdziwe kłopoty.

Gapi się na nią, nie tak jak wtedy, gdy obok niego stała żona. Teraz jest inaczej, teraz pod jego spojrzeniem Emma czuje się tak, jakby miała na sobie tylko bieliznę. Rekiny żerują, gdy są w amoku, a od Maddoxa bije jakieś szaleństwo, w powietrzu między nimi unosi się coś niepokojącego. Czy to w ten sposób patrzył na Abigail? Może Hunter rzeczywiście na coś tu wpadł.

Emma przełyka ślinę. Jej usta są wyschnięte, a głos jest cichy.

– Niech mnie pan zostawi w spokoju.

Jerry prostuje się.

– Nie, to ty zostaw w spokoju mnie, młoda damo. I trzymaj gębę na kłódkę w sprawach, o których nic nie wiesz. – Gdy kręci głową, światło odbija się od plam, gdzie jego włosy się przerzedziły. – Tak samo butna jak ojciec, a wiadomo, dokąd go to zaprowadziło.

Te słowa tak wstrząsają Emmą, jakby ktoś wylał na nią kubel zimnej wody.

– Jak ojciec? Mój? – Wpatruje się w Maddoxa ze zdumieniem. – Co ma pan na myśli?

Ale Jerry nagle wymierza kopniaka w bok samochodu, przez co ona aż podskakuje na siedzeniu.

– Już powiedziałem: jazda stąd! Nie widziałaś znaku? TYLKO AMERYKANIE. No dalej, wynocha!

• • •

Emma przygląda się nierównemu unoszeniu się i opadaniu klatki piersiowej matki i zastanawia się, czy coś jej się śni. Prawie nie chce jej budzić. Matka pachnie mydłem i lekko cebulą. Emma chwytą się swojskości tych zapachów, niepewna, czy będzie jej wolno to robić po tym, jak powie to, co musi powiedzieć.

Jasne włosy Melissy są rozsypane na poduszce. W świetle późnego poranka, delikatnie przebijającym się przez żaluzje, Emma dostrzega więcej niż kiedyś siwizny wokół skroni matki. Trochę ją to szokuje, ta oczywista oznaka starzenia się. Zawsze uważała, że wiek matki to coś niezmiennego, że zawsze będzie miała

mniej więcej czterdzieści lat, że zawsze tak było. Temu poczuciu nie pomaga fakt, że Emma nie wie nic o jej życiu przed tym, jak ona przyszła na świat. Ale przecież na tym polega cały problem, myśli.

– Em, to ty? – Melissa przekręca się na bok, powoli otwierając oczy. – Boże, czy ja zasnęłam?

– Spokojnie, jesienią zawsze lubisz sobie dłużej pospać. – Emma mówi to tak, jakby była dumna z tego, że zna ten szczegół. I jest dumna: z tego, że wie coś tak osobistego o matce. Postanawia, że te wszystkie detale będzie przechowywać jak skarby, kiedy już Melissa się na nią wścieknie, co nastąpi nieuchronnie.

– Masz taką dziwną minę, Em. Czy coś się stało?

– Muszę cię o coś zapytać. Chodzi o tatę.

– Wiesz, że nie lubię... – Melissa siada i odgarnia włosy z twarzy do tyłu. – Wolę o nim nie rozmawiać, przecież wiesz.

Emma przełyka ślinę, bierze głęboki oddech, przesączony mydlano-cebulowym zapachem matki.

– On nie oszedł tak po prostu, prawda? Coś się z nim stało.

– Och, oszedł, oszedł.

Dziewczyna ma tylko jedno wspomnienie, a nawet ono jest fragmentaryczne: krzywizna barków ojca, światło latarni ulicznej za otwartymi drzwiami, krew na jego rękach.

– Pamiętam, jak krzyczał na ciebie tej nocy, kiedy oszedł.

Melissa ugniata w palcach brzeg kołdry.

– Proszę, mamó, to ważne. Czy wiesz, gdzie tata jest teraz? Bo... no... Jerry Maddox mówił tak, jakby...

– Jerry Maddox? Po co z nim rozmawiałaś? Trzymaj się z daleka od tego człowieka, Em. On jest zepsuty do szpiku kości.

– Zawsze mi mówisz, żebym trzymała się z daleka od ludzi, ale nie chcesz powiedzieć dlaczego. Czy on coś zrobił tacie? On i szeryf Gains?

– Emma, wystarczy! – Rozlega się dźwięk rozdzierania i w dłoni matki zostają luźne nitki bawełny. – Powiedziałam, że nie chcę o tym rozmawiać. Chryste, dlaczego nie możesz tego uszanować?

– Ależ szanuję cię, mamó – rzuca cicho Emma, bo wie, że właśnie to miała na myśli matka.

– Wtykasz nos w sprawy, o których lepiej, żebyś nic nie wiedziała, uwierz mi. – Wierzchem dłoni wycierając policzek, Melissa kręci głową. – Twój ojciec oszedł i niech ci to wystarczy. Dla twojego własnego dobra.

– Ale to przecież mój ojciec.

– O tak. – Melissa śmieje się słabo. – I popatrz, jak się świetnie spisał, pomagając mi cię wychować. Cholerny ojciec roku z tego Miguela. Em, nawet by cię nie poznał, gdyby minął cię na ulicy.

– Ale, mamó...

– Och, na litość boską, Emmo, zostaw to już.

• • •

Hunter dzwoni do niej podczas lunchu.

– Dostałem twój numer od Shany. – Głos ma ochrypły, jakby palił. Emma w tle słyszy szum rozmów odbijający się echem na trybunach. – Wszystko u ciebie w porządku?

– Taaa. – Emma siada na łóżku i krzyżuje nogi. – A dlaczego pytasz?

– Ojciec wrócił, zanim wyszedłem do szkoły. Był wkurzony. Powiedział, że zakradłaś się do niego na osiedlu i zaczęłaś rzucać oskarżeniami.

– Och.

– Było tak?

– Co? Nie. To znaczy... mogłam coś wspomnieć o Abi, ale to nie było nic takiego. Serio. Za to on postawił tablicę. Widziałaś?

– Widziałem, jak sam ją pisał.

– To trochę kiepskie.

Hunter śmieje się, co zaskakuje ich oboje.

Nie czuj się zbyt pewnie, upomina się Emma w duchu. Nawet jeśli mówił prawdę o Abi, nawet jeśli się jej nie narzucał, i tak pozwalał jej ćpać. Jaki przyjaciel tak postępuje? A poza tym jest jednym z nich. Wspomnienie wieczoru, kiedy odbył się bal szkolny, nadal wywołuje rumieniec wstydu na jej twarzy. Syn pastora Lewisa i inni chłopcy z drużyny koszykówki, to, jak ją okrążyli w sali gimnastycznej, rzeczy, które mówili... Właśnie z tego świata pochodzi Hunter Maddox. Nie wolno jej o tym zapomnieć.

– Hej – rzuca Hunter, a ona, słysząc lekką niepewność w jego głosie, ma ochotę zignorować wszystko, o czym właśnie myślała. – Z tym swetrem Abigail to ty tak na serio?

– Jasne. Szeryf powiedział mi, że znaleźli go w rzece. A ty serio mówiłaś, że widziałeś ojca tamtej nocy? – Emma nawija na palec kosmyk włosów tak bardzo, że naciąga sobie skórę na głowie.

– Tak, widziałem go tam. Powiedział mi, że był w domu Winslowów, ale... no, nie wiem, teraz nie jestem tego taki pewien.

Właśnie tam widziałam światło, myśli Emma.

– Może udałoby ci się dowiedzieć czegoś więcej – mówi. – Czy twój ojciec ma jakieś miejsce, gdzie trzyma rzeczy, których wolałby, żeby inni nie widzieli?

– Nie bardzo. To znaczy... Och, kurde... jego biuro w tartaku. Kiedy byłem tam ostatnio, dziwnie się zachowywał przy swoim biurku.

– Myślisz, że mógłbyś się do niego dostać?

Hunter milczy.

– Przepraszam – rzuca Emma. – Zaczyna mnie ponosić. Trochę mi odbija przez to całe szaleństwo.

– Wiesz, że widziałem ich razem? – odzywa się w końcu chłopak. – Abi i ojca? Na osiedlu przyczep, latem.

– Co masz na myśli, mówiąc „razem”?

– Tylko rozmawiali, ale to było dziwne. On był dziwny. – Hunter stęka. – Kurde, ale to wszystko jest pokręcone! Zaczynając od tego, że ta koka, którą ty i Rat znaleźliście... była moja.

Najbardziej zaskakuje Emmę to, że jego słowa wcale jej nie szokują. Po wszystkim, czego dowiedziała się w ciągu ostatnich kilku dni, sama już nie wie, co myśleć o kimkolwiek z Whistling Ridge.

– Nie mogę się teraz w to zagłębiać – ciągnie Hunter – ale ojciec zakopał kokę w domu Winslowów... przynajmniej tak mi powiedział. I ponoć dlatego był w lesie w noc, kiedy Abi zaginęła. Nie mogę jednak przestać myśleć o tym, jak się zachowywał, kiedy z nią rozmawiał. Coś jest nie tak.

Emma słyszy w telefonie dzwonek sygnalizujący koniec przerwy na lunch.

– W niedzielę tartak jest zawsze pusty – dodaje szybko Hunter. – Gdyby pójść tam po zmroku, powinno być bezpiecznie. Pojedziesz ze mną?

– Co? Mam się włamać do biura twojego ojca?

– Może ci to poprawi nastrój po tej jego głupiej tablicy na osiedlu przyczep.

Przez otwarte drzwi sypialni Emma widzi matkę leżącą w łóżku plecami do niej. Wcześniej wstała, wzięła prysznic, ubrała się, zrobiła późne śniadanie, ale potem błąkała się jak duch, podążając jak w transie przez dom jakąś trasą, którą tylko ona rozumiała. W końcu wróciła do łóżka – w skarpetkach, makijażu i w kolczykach. Emma pomyślała, że to tak samo przykry widok jak zobaczenie jej nago.

– Pewnie – odpowiada Hunterowi. – I tak nie mam tu zbyt wiele do roboty.

– Fajnie. I chyba powinniśmy pojechać moim samochodem... w ten sposób nie będzie to wyglądało dziwnie. Przyjadę po ciebie o szóstej w następną niedzielę. Ale nikomu o tym nie mów, okej?

– Okej.

– Hej, Emma...

– Tak?

– Przykro mi z powodu mojego ojca.

Dziewczyna pada plecami na łóżko i krzywi się. O wiele trudniej nienawidzić Huntera, kiedy mówi w ten sposób. Czy to dlatego Abi postanowiła mu zaufać? Tylko dokąd ją to zaprowadziło? Nie wolno mi popełnić tego samego błędu, przestrzega się Emma.

31

W niedzielę, gdy wierni opuszczają kościół, Samuel chwyta starszego syna za ramię i każe mu zaczekać. Ludzie przechodzący obok udają, że na nich nie patrzą – na dwóch krótko ostrzyżonych mężczyzn stojących razem przy drzwiach. Noah również stara się nie patrzeć na ojca – okaleczoną stroną twarzy zwraca ku ścianie, tak by nikt nie mógł jej zobaczyć – nie wie więc, że Samuel mu się przygląda. Nie wie, że kiedy ojciec wyobraża sobie siebie, zawsze jest w wieku Noaha, wygląda tak samo jak on, a potem, gdy widzi swoje odbicie w lustrze i uświadamia sobie, że jest już właściwie starym człowiekiem, przeżywa szok. Mój syn ma całą moją młodość, a ją marnuje. Samuel myśli tak nieraz, ale czasami czuje, że nigdy nie miał żadnej młodości, o której można by mówić. Strzelił kobiecie w plecy, mając zaledwie osiemnaście lat. Jak można pozostać młodym po czymś takim?

Kiedy wszyscy już odjechali i zostaje tylko wiatr, rozwiewający po parkingu kłęby zeschniętych liści, Samuel mówi:

– Nie chciałem, żeby to zaszło aż tak daleko.

Noah tylko przygryza dolną wargę, tak jak zawsze to robi.

– Chłopcze, przestań, bo się od tego nabawisz raka. – Ojciec kręci głową. – Niektóre rzeczy, które widziałem w Wietnamie... Wiem, co to wstyd, nie myśl, że nie wiem. Pan też go zna. *Wierny jest Bóg i nie dozwolił ci kusić ponad to, co potraficie znieść, lecz zsyłając pokusę, równocześnie wskaże sposób jej pokonania abyście mogli przetrwać**. Nie ma potępienia dla tych, którzy szczerze krocą drogą Jezusa Chrystusa, po prostu o tym pamiętaj. Ale co do zasady, synu, nie sra się tam, gdzie się je. To moja świątynia, moje miejsce kultu. Dlatego nie chciałem, żeby do tego doszło.

– Tak, ojcze – odpowiada Noah.

– Jednak po tym, co zrobiłeś w biurze szeryfa w zeszłym tygodniu, po twojej akcji z tym Rumunem, nie mamy zbyt dużego wyboru.

Musimy pokazać, że coś z tym robimy, myśli Samuel. Inaczej jakim byłbym ojcem?

– Wysłuchaj pastora Lewisa. On będzie wiedział, jak ci pomóc. I pamiętaj, co mówił Izajasz: *Pan Bóg mnie wspomaga, dlatego jestem nieczuły na obelgi, dlatego uczyniłem twarz moją jak gład i wiem, że wstydu nie doznam***.

Noah wkłada ręce do kieszeni.

– Idź więc – mówi Samuel. – A ja pójdę do O’Shannona. Napisz do mnie, kiedy skończysz... przyjadę po ciebie.

– Tak, ojcze.

Samuelowi wydaje się, że słyszy w głosie syna znużenie.

• • •

– Noah. – Lewis uśmiecha się do niego. – Wejdz i usiądź.

Ogrzewanie w kościele wciąż nie zostało naprawione, ale tutaj, w biurze pastora, jest mały elektryczny termowentylator i Noah czuje, że jest mu za gorąco w grubej sztruksowej kurtce i szaliku. Siada na małym plastikowym krześle – dziecięcym, ze szkółki niedzielnej – i patrzy, jak pastor składa w wieżyczkę dłonie spoczywające na blacie biurka.

– No więc twój ojciec opowiedział mi trochę przez telefon o tym, co się z tobą dzieje. Powinieneś wiedzieć, że zawsze, kiedy jeżdżę na konferencje i spotykam się z innymi pastorami, słyszę, że w dzisiejszych czasach tego typu rzeczy są coraz powszechniejsze. Nie powinieneś całej winy przypisywać tylko sobie. Społeczeństwo, w którym żyjemy, aprobeuje... a nawet promuje... homoseksualne zachowania, a wy, biedne dzieciaki, jesteście tym zalewani z każdej strony... w tych waszych mediach społecznościowych, w telewizji. Nic więc dziwnego, że młodzi są teraz tak zdezorientowani.

Noah wierci się na małym krześle, próbując sprawić, by pod kurtkę dostało się trochę więcej powietrza. Czuje się, jakby go gotowano na wolnym ogniu.

Pastor Lewis wciąż się do niego uśmiecha.

– Znam cię od urodzenia. Wiem, że dobry z ciebie dzieciak i że na pewno nie chcesz przyprawiać zmartwień rodzicom, prawda? Nie chcesz fundować im takiego stresu, teraz, kiedy są zajęci radzeniem sobie z tym, co stało się z twoją siostrą.

– Nie, ojciec – odpowiada Noah, ale myśli: Co ty wiesz o tym, co stało się z moją siostrą?

– Dobrze to słyszeć, młody człowieku. Dobrze słyszeć. A więc tak, twój ojciec mówił, że jesteś zainteresowany terapią, którą nasz kościół ma do zaoferowania.

– Terapią? – W biurze jest tak duszno, że ubranie klei się Noahowi do ciała. To nie tak miało wyglądać. Podслуchał rozmowę rodziców, wiedział, że ojciec chce go zabrać do pastora, więc większość nocy Noah spędził na wyszukiwaniu cytatów z Księgi Kapłańskiej, Listu do Rzymian i Apokalipsy świętego Jana. Uczył się ich na pamięć jak jakichś potwornych rymowanek, każdego argumentu, jaki Lewis mógłby wysunąć, i każdego słowa Jezusa, którego mógłby użyć na odparcie argumentów. Miał to wszystko rozpracowane (i – do diabła! – żałował, że nie zrobił tego wcześniej, bo okazało się, że Jezus miał naprawdę wiele do powiedzenia o miłości; Noah zaczął się nawet czuć jeśli nie lepiej, to przynajmniej nie tak źle), ale teraz uzmysławia sobie, że on i pastor czytali dwie różne wersje Pisma, i to na długo, zanim Noah wszedł do tego biura.

– Wydajesz się strapiony, synu. Czy ojciec nie omówił tego z tobą? – Pastor kiwa głową z miną mędrca. – Rozumiem, jeśli jesteś zły z tego powodu: uczciwość to ważna rzecz w rodzinie, ale ty też musisz zrozumieć, że robiąc to, co robisz, sam postępujesz nieuczciwie. Nie tylko wobec rodziny, ale także samego siebie. – Lewis znowu się uśmiecha. – Twój ojciec chce tylko twojego dobra, chce pomóc ci zobaczyć miłość Boga i Jezusa Chrystusa.

Noah nie może uwierzyć w to, co słyszy.

– Mój ojciec? – Wyciąga szyję i odwraca głowę tak, by pastor mógł ją wyraźnie widzieć; pokazuje na gojące się stupy na policzku. – Ojciec mi to zrobił. – Odwracając się w drugą stronę, pokazuje pastorowi siniaka na szczęce. – I to. I to nie był pierwszy raz. Mój brat przychodzi tu co tydzień na złamanej nodze, a pastor nigdy nie zająknął się na ten temat nawet słowem. Teraz zaginęła moja siostra, a pastor... pastor chce rozmawiać o miłości Boga? A gdzie ona jest? Bo my, do diabła, jakoś nigdy jej nie doświadczyliśmy.

Uśmiech pastora znika.

– *Jak się lituje ojciec nad synami, tak Pan się lituje nad tymi, co się Go boją****. On swoją miłość rezerwuje dla bogobojnych, Noahu. Ale ty, jak mi się wydaje, nie jesteś już jednym z nich.

Czy to naprawdę może być miłość, jeśli Bóg musi ci najpierw grozić? Noah myśli o tym, jak miesiać temu, stojąc w ruinach domu Winslowów, ze słońcem przebijającym się przez korony drzew, zapytał Rata, czy może go pocałować. A Rat uśmiechnął się – prawdziwym uśmiechem, nie tym jego zalotnym, z językiem między zębami, żeby zwrócić na siebie uwagę ludzi – wspiął się na palce i pocałował go pierwszy. Nie było żadnego targowania się, zastraszania, żadnej z tych Bożych sztuczek. To była miłość i – co więcej – Rat okazał mu ją, nie wymagając od niego, by wyhodował sobie „kręgosłup”.

– Nie – mówi stanowczo.

Pastor Lewis mruga.

– Słucham?

– Ja... – Noah czuje, że unosi się lekko nad krzesłem, nie stoi, ale też już nie siedzi, jakby nie mógł się zdecydować, gdzie chce być. – Jeśli będę chciał zaznać strachu, pójdę do ojca. Skończyłem z bojaźnią Bożą.

– W takim razie, synu, obawiam się, że... – pastor Lewis rozkłada ręce w ten sam afektowany sposób, w jaki Noah to robi, kiedy musi powiedzieć klientom w barze, że skończyły się bajgle – nie da się ciebie uratować.

Noah wpatruje się w niego. Żaden z fragmentów, które wykuł zeszłej nocy, nie przygotował go na to.

– Jak napisano w Pierwszym Liście Jana: *Jeżeli wyznajemy nasze grzechy, [Bóg] jako wierny i sprawiedliwy odpuści je nam i oczyści nas z wszelkiej nieprawości*****. Ale Bóg nie może ci przebaczyć, Noahu, jeśli nie pokażesz Mu, że rozumiesz, co zrobiłeś źle.

– Powiedziałem już, że nie chcę Jego przebaczenia. A poza tym Jezus powiedział...

– Nie Jezus to mówi, tylko ja. Przebaczenie za grzechy można uzyskać tylko wtedy, gdy człowiek tego chce, więc dopóki nie będziesz chciał, pozostaniesz grzesznikiem. A ten kościół nie przyniesie ci większego pożytku niż twój ojciec.

• • •

– Melissa.

– Dolly.

– Co... przysłaś przynieść kolejną zapiekankę?

Coś w sposobie, w jaki Dolly to mówi, sprawia, że Melissa, idąc za nią do kuchni, trzyma się od niej w odległości kilku kroków. Od Dolly cuchnie papierosami i Melissa musi oddychać przez usta.

– Możesz ją postawić tam z boku. – Dolly łokciem wskazuje blat, już pochłonięta zapalaniem dunhilla.

– Właściwie to nic nie przyniosłam. – Melissa podnosi w górę puste ręce.

Dolly tylko przytakuje mechanicznie, po czym z ustami pełnymi dymu mówi:

– Musisz mi wybaczyć. Miałam ostatnio inne sprawy na głowie.

– Jak się trzymasz?

– A jak ci się wydaje? Nikt mi nic nie mówi. Policja nie chce mi nawet powiedzieć, czy krew na swetrze mojej córki jest jej. Przecież musieli już do tej pory dostać odpowiedź.

Ach, tak, sweter tej biednej dziewczyny.

– Takie rzeczy zajmują czas, Dolly. Zwłaszcza jeśli musieli go wysłać aż do Denver. Przypuszczam, że mają tam wiele takich spraw.

– Masz na myśli morderstwa? – Dolly kręci głową. – Im po prostu nie zależy. Nawet się specjalnie nie przejęli tym, że zaginęła. Wbili sobie do głowy, że uciekła. A teraz nie chcą mi udzielać żadnych odpowiedzi. – Opiera się o krawędź stołu i mierzy Melissę od dołu do góry. – To czego w takim razie chcesz?

– Hm... Pozwolisz, że usiądę?

– Samuel niedługo wróci, lepiej, żebyś wiedziała.

Melissa domyśla się, że to ostrzeżenie powinno ją przestraszyć, ale i tak siada, zbyt zmęczona, żeby się bać czy żeby stać. Przygląda się Dolly, zapatrzonej w okno w kuchni, niewyobrażalnie brudne na obrzeżach. W czasach, gdy Melissa przyprawiała tu Emmę, żeby pobawiła się z Abi, ten dom zawsze wydawał się miejscem, które się do człowieka przykleja i nie chce odkleić. Przy tylnych drzwiach zawsze brakowało płytek, podeszły wodą tynk za zlewem zawsze był cały w pęcherzach. Ale teraz wydaje się, że jest gorzej – może dlatego, że zaginęło dziecko, a może dlatego, że Dolly Blake wydaje się dziwnie obca, mimo że kiedyś była przyjaciółką.

– Czy twoje dzieci kiedykolwiek cię okłamują? – pyta Melissa.

– A twoje kiedykolwiek mówi ci prawdę?

Melissa uśmiecha się, bo myśli, że to może być żart.

– Aż tak źle?

– Nie zaprosiłam cię, żebyś tu siedziała i mnie oceniała.

– Ja nie...

– Boże, gdybyś ty wiedziała... – Dolly odchyła głowę; oczy ma na wpół zamknięte, pozółkłe paznokcie wystukują słaby rytm na blacie. – Nie jestem złą matką, wiesz.

– Nigdy nie twierdziłam, że jesteś.

– Ty też nie jesteś złą matką. Czasami myślę, że wszystkie matki martwią się, że są złe, ale potem myślę o swojej i... – Dolly prostuje się na tyle, na ile takie

krzywe drzewo jak ona jest w stanie. – Masz szczęście, że masz jedno dziecko. Czasami chciałabym mieć tylko jedno.

– Och.

Usta Dolly drżą, mocno zaciąga się papierosem.

– Nie chodzi o to, że ich nie kocham. Po prostu nie potrafię być dobrą matką i to mnie wkurza. Byłam dobra tylko z Abi, może dlatego, że jest dziewczynką... Sam nie jest w stanie znieść synów i mnie za to, że ich urodziłam. – Jej głos słabnie. – Moja córeczka... już jej nie ma. – Zakrywa twarz, która się zaczerwieniła.

Melissa wstaje i gładzi ją po ramieniu.

– Już w porządku, hej, już dobrze.

– Nie, nie rozumiesz. Jesteś taka dobra i myślisz, że przychodząc tu i okazując mi życzliwość, sprawisz, że też będę dobra, ale nie wiesz, co zrobiłam.

– Ludzie popełniają błędy, Dolly, to nic złego.

– Nie, nie takie jak ja.

Melissa obejmuje ją ramieniem i Dolly opiera się o nią ciężko.

– Wiesz, wcale nie uważam, że jestem dobra – odzywa się po chwili Melissa. – Powiedziałas, że myślę, że jestem taka dobra, ale ja tak nie uważam.

– Jesteś, Mel, jesteś dobrą kobietą. Nie taką jak ja. Czasami czuję się tak, jakbym była w środku cała przegniła, do tego stopnia przegniła, że gdybyś nacisnęła mnie mocniej, moja skóra po prostu by... – Wolną ręką wykonuje gest imitujący kurczenie się. – A ja byłabym pod spodem cała szara i spleśniała.

Wiem, chce odpowiedzieć Melissa. Wiem dokładnie, co masz na myśli, bo to jest poczucie winy i ja też je czuję.

– Dolly, zrobiłam kiedyś coś strasznego.

Dlaczego tu przyszłam? – zastanawia się. Może po prostu tęskniła za przyjaciółką. Nie było łatwo patrzeć, jak Samuel skraca jej smycz przez lata, narzucając ograniczenia w kwestii tego, kto może przychodzić do ich domu, ile pieniędzy Dolly może wydać, z kim i kiedy może się spotkać. „Sam naprawdę

potrzebuje mnie w domu”, powtarzała wciąż Dolly, aż w końcu Melissa zmęczyła się próbowaniem.

A może w głębi duszy pragnęła tego, by smutek tej kobiety zrobił wyłom w jej własnym smutku, wpuścił tam trochę światła.

– Ty straciłaś córkę, a ja... – mówi. – Ja obawiam się, że tracę swoją.

Dolly podnosi na nią wzrok.

– Czy coś się stało z Emmą?

– Pytała mnie ostatnio o swojego ojca. – Boże, mogłam to lepiej załatwić, myśli Melissa. – Od tamtego czasu patrzy na mnie tak, jakby mnie nie widziała. Albo jakby widziała kogoś innego. – Wpatruje się w okno, patrzy na las wkraczający na podwórko Blake’ów, na kości zwierząt wiszące na drzewach, na zeschnięte liście zbierające się w zagłębieniach. Jej córka kiedyś się tu bawiła. W tym domu zawsze będzie jakaś jej część i Melissa nagle zdaje sobie sprawę, że właśnie dlatego tu przyjechała. – Martwię się, że Emma dowie się, co się naprawdę stało.

Melissa myśli, że może przyniesie jej ulgę, jeśli Dolly zapyta ją, o co chodzi, jeśli wyciągnie z niej przeszłość jak jad po ukąszeniu węża. Ale Dolly jakby jej nie słyszała. Dłubie we włosach, łupież sypie się na przód jej swetra, a gdy się odzywa, wydaje się być zupełnie gdzieś indziej.

– Ja też kiedyś zrobiłam coś strasznego. I myślę, że może dlatego Abi odeszła.

* 1 Kor 10,13.

** Iz 50,7.

*** Ps 103,13.

**** 1J 1,9.

32

– Eleanor!

Dolly słyszy piskliwy głos Ann Traxler dochodzący z alejki obok, z mrożonkami, i zatrzymuje wózek.

– Eleanor, czy to prawda, to o synu Blake'ów?

– Naprawdę, Ann. To była prywatna rozmowa między moim mężem a jednym z jego parafian.

Od popołudniowej wizyty Melissy Dolly jest poirytowana i myśli, że mogłaby przejechać wózkiem żonę pastora, gdyby ta stała teraz przed nią.

– Ale powiedział ci, prawda? – draży Ann. – Maggie Tucker mówi, że w biurze szeryfa gadają tylko o tym, co ten chłopak zrobił. A Debbie powiedziała, że widziała, jak ten okropny Samuel Blake został z synem po nabożeństwie dziś rano.

Dolly chwyta rączkę wózka i ściska tak mocno, że wydaje jej się, że knykcie palców zaraz przebiją skórę. Niech cię szlag, Sam, powiedziałeś, że chcesz tylko porozmawiać z Noahem. „Tylko nie zabieraj go do Eda Lewisa, to nie jest jego sprawa”, poprosiłam cię, a ty na to: „Nie, my tylko porozmawiamy”.

– Cóż, brzmi mi to tak, jakbyś już wszystko wiedziała, więc co mogę dodać? – mówi Eleanor.

Tylko że ona dopiero się rozgrzewa, myśli Dolly – słyszy to w głosie Eleanor. Nakręca tłum jak mała cheerleaderka przed przyłożeniem.

– Wiem tylko tyle – kontynuuje Eleanor i Dolly zauważa, że nawet nie ma tyle przyzwoitości, żeby zniżyć głos – że chłopak był strasznie niegrzeczny wobec Eda. Nazwał go faszystą i bigotem.

– Żartujesz!

– Na szczęście Ed ma grubszą skórę niż większość ludzi w dzisiejszych czasach, ale szczerze ci powiem, że nigdy czegoś takiego nie słyszałaś.

– Nie mogę w to uwierzyć.

Ja też nie, myśli Dolly. Nie potrafi sobie wyobrazić swojego ślamazarnego, cichego Noaha nazywającego kogokolwiek faszystą.

– Wiesz, jak mówią, Ann? Niedaleko pada jabłko od jabłoni. W tym domu brakuje wychowania. Niektóre dzieci dzisiaj po prostu nie są prowadzone jak należy.

W alejce z mrożonkami Dolly czuje się tak, jakby znikąd nadleciała piłka futbolowa i trafiła ją prosto w głowę.

– Mimo wszystko – odpowiada Ann – gej... to dość dramatyczne. Ciekawe, co jego ojciec będzie miał do powiedzenia na ten temat.

– Och, wątpię, żeby coś powiedział. Myślę, że prawdopodobnie zleje chłopaka, a ja nie będę go żałować. Kto kija żałuje, ten dzieci psuje. Och, sposób, w jaki ten chłopak potraktował biednego Eda...

– Biedny Ed – przytakuje Ann.

– Wykonywał tylko swoją pracę... pracę Pana. Grzech to grzech, nieważne, w jakich czasach żyjemy. Ktoś musi się temu przeciwstawić.

Dolly wraca pamięcią do tego, co powiedziała po południu Melissie – *Nie chodzi o to, że ich nie kocham. Po prostu nie potrafię być dobrą matką...* – i uznaje, że już dość się nasłuchała. Obchodzi róg i wkracza z wózkiem do ich alejki, wyprostowana dumnie, jak kiedyś, zanim Abigail zniknęła. Kątem oka widzi, że Ann Traxler otwiera usta, ale Dolly rzuca tylko: „Dobry wieczór paniom” i idzie dalej.

Za jej plecami Eleanor mamrocze:

– No widzisz, Ann, nie powinnaś była mówić tak głośno.

• • •

Noah podjeżdża pod osiedle przyczep z kanistrem benzyny, który znalazł na pace pick-upa ojca. Przyjechałby wcześniej, ale od czasu wydarzeń w biurze szeryfa w zeszłym tygodniu czuł na sobie wzrok ojca, gdy tylko spojrzał w stronę drzwi wyjściowych. Ale po dzisiejszym spotkaniu z pastorem Lewisem przestał się tym przejmować.

Chociaż jest już wieczór, w kamperze nie pali się żadne światło i początkowo Noah zastanawia się, czy Rat w ogóle tam jest. Kiedy jednak podchodzi bliżej, czuje dochodzący ze środka zapach dymu papierosowego. Dociera do drzwi i słyszy, że coś chrzęści pod jego stopami. Podnosi nogę i widzi kawałki rozbitego szkła błyszczące w świetle księżyca.

– Hej, to ja. Jesteś tam?

Drzwi otwierają się, gdy je popycha, pojawia się pasek pomarańczowego światła i w tym momencie Noah zdaje sobie sprawę, że szyby w oknach są poklejone taśmą.

– Co tu się stało?

Rat siedzi na podłodze, tuląc do siebie gitarę babci. Meble, które nie były przybite do podłogi albo ścian, zniknęły i prawie wszystko, co było na suficie – pocztówki i wiersze, mapy rodzinnego kraju Rata – również. Gryf gitary zwisa luźno jak złamana kończyna i Rat, gładząc kciukiem jeden z kluczy, mówi:

– Kilka osób z twojego kościoła złożyło mi wizytę w zeszłym tygodniu. Nie słyszałeś?

Noah podchodzi i ujmuje jego podbródek. Pomimo jesiennej nocy skóra Rata jest gorąca, wokół oczu widać czerwone obwódki, jakby był w połowie drogi między tym, że już płakał, a tym, że zaraz znowu się rozpłacze.

– Zabrali twoje rzeczy?

– Zniszczyli. Musiałem większość wyrzucić.

– Jezu. Powinieneś być do mnie zadzwonić.

– Już i tak wpakowałem cię w kłopoty. Nie ma się czym przejmować, odpuszczą po jakimś czasie. Myślę, że zorientowali się, że nie ma mnie w domu.

Noah siada obok Rata, nagle wyczerpany po spadku adrenaliny, która trzymała go w napięciu, odkąd wyszedł z biura pastora Lewisa.

– Mówiłem ci, stary. Trzeba było wyjechać z miasta, kiedy miałeś okazję.

Rat spogląda na rozbitą gitarę.

– Właściwie to się jakoś trzymałem, ale potem usiadłem do gry i... To było wszystko, co miałem, wiesz? Wszystko, co mi zostało z przeszłości.

– Z czasów przed przyjazdem do Ameryki, to masz na myśli? – Noah przygląda mu się uważnie, czując się tak, jakby próbował nakłonić zwierzę do jedzenia mu z ręki.

Rat kręci głową.

– Właściwie nie miałem jeszcze okazji ci podziękować. Za to, że przyszedłeś do biura szeryfa.

– Nie ma o czym mówić.

– Daj spokój, Blake, wiem, ile cię to kosztowało. – Dotyka palcem jego szczęki, brązowego siniaka, który Samuel zostawił na niej w ostatni weekend. – Przykro mi.

– W końcu po prostu pomyślałem... – Noah wzdycha ciężko. – Nieźle mi namieszaleś w głowie. Ty i te twoje bluesowe gitarowe palce. To, jak czasami patrzysz na mnie... czuję się wtedy jak ktoś zupełnie inny i... nie wiem... może to jest ktoś, kim powinienem być.

– Blake.

– Słuchaj, nie wiem, jak powiedzieć to, co chcę powiedzieć, ale musisz zrozumieć, że próbuję to zrobić.

– Hej, zaraz! Skąd to wszystko tak nagle?

Noah nie może mu wyznać, co się stało rano w biurze pastora Lewisa. Nie sądzi, że kiedykolwiek będzie mógł powiedzieć o tym komukolwiek. Słowo „terapia” nadal klei się do niego jak coś oleistego, coś, czego nie można z siebie zmyć. Towarzyszą mu niejasne obrazy igieł i wymiotów i choć przypuszcza, że terapia konwersyjna już tak prawdopodobnie nie wygląda, nie potrafi wyrzucić

z głowy tych obrazów. W każdym razie nie w ten sposób. Wychodząc z biura pastora, czuł taką złość, jakby ktoś mocno wbijał paznokcie w jego głowę. Miał ochotę rozwalić wszystko na swojej drodze, a w miarę upływu dnia to uczucie, zamiast słabnąć, zamieniło się w coś ostrego, aż w końcu wiedział dokładnie, co chce zniszczyć.

– Przykro mi z powodu twojego kampera – mówi. – Z tymi ludźmi jest coś nie tak.

– Taaa... cóż... – Rat sięga w dół i trąca jedną ze strun gitary. Dźwięk jest tak smutny, że Noahowi z bólu pęka serce.

– Mogę ci to wynagrodzić – rzuca Noah.

Rat wzdycha.

– Obiecanki cacanki, Blake.

– Nie, mówię poważnie. Chcesz spalić ze mną kościół?

• • •

Radio łapie stacje i gubi je na odludnych odcinkach drogi między miastem a tartakiem, fragmenty głosów z różnych rozmów dryfują przez samochód. W pewnym momencie rozlegają się głośnie trzaski i Emma z Hunterem spoglądają na siebie, a zaraz potem słyszą stłumiony głos:

– *Będziesz zjadał owoc swego łona: ciało synów i córek, danych ci przez Pana, Boga twego...** – Strome ściany skalne, zbierające cienie zmierzchu, sprawiają, że wszystko wokół wydaje się tajemnicze. Nieużywane budynki gospodarcze, z popękаныmi deskami elewacji i przerdzewiałymi dachami z blachy falistej, zlewają się z poszyciem; na boku jednego wymalowany jest wysoki na trzy metry napis JEZUS ZBAWIA. Emmie wydaje się to nieco dziwne, że miejsce takie jak tartak, które zapewnia pracę tylu ludziom, napędzające większość handlu w okolicy, znajduje się tak daleko od miasta. Sama tak naprawdę nigdy tu wcześniej nie była. Kiedy przejeżdżają obok martwego kojota powieszzonego na płocie za ogon, dociera do niej, że nikt nie wie, że tu jest, nawet matka, która ma

wieczorny dyżur w przychodni. Jeśli coś się stanie, może minąć wiele dni, zanim ktoś mnie znajdzie, myśli.

Tartak jest skąpany w oleistej poświacie nocnego oświetlenia przemysłowego. Hunter zapewnia ją, że na zewnątrz zawsze jest włączone światło. W środku nikogo nie będzie. Parkuje za drzewem, tak żeby samochodu nie było widać z drogi, przecinają szybko podwórze i wchodzi do budynku wyjściem awaryjnym.

Skradają się obok milczących maszyn; ich ząbkowane ostrza szczerzą się chytrze w blasku latarki Huntera. Biuro jego ojca znajduje się na antresoli z widokiem na główną halę, drzwi są zamknięte.

– Potrzyj na chwilę – mówi Hunter, podając Emmie latarkę. Wyciąga zestaw kluczy i potrząsa nimi przed jej twarzą. – Ojciec nawet nie zauważył.

Dziewczyna marszczy czoło.

– Nie niepokoi cię, że to takie proste?

– Wolałabyś, żeby było trudniej? – Hunter otwiera drzwi i daje jej znak, żeby weszła. – Ty sprawdź biurko. Ja będę stał na straży.

– Myślałam, że mówiłeś, że nikt tu nie przyjdzie.

– A ty powiedziałaś, że to zbyt proste. Dodaję więc trochę dramatyzmu.

Emma przewraca oczami, oddaje mu latarkę i włącza własną, w telefonie. Biuro nie jest duże, stojące z tyłu biurko zajmuje jego większą część, ale Emma, przekopując się przez leżące na nim księgi rachunkowe, jest zawiedziona.

– Hunter, tu są tylko jakieś rejestry. Rejestry i cyferki.

– Nie, niemożliwe. Musi być coś więcej. – Po szybkim zerknięciu w dół schodów chłopak porzuca swój posterunek i szturchnięciem każe się Emmie przesunąć. – Zajrzyj do szuflad. Szukał w nich czegoś, kiedy tu byłem, mówię ci.

– Chodźmy już, tu nic nie ma. Lepiej wyjdźmy, zanim ktoś nas przyłapie.

– Spokojnie, mówiłem ci, nikogo tu nie ma. – Hunter otwiera górną szufladę i dźwięk, który temu towarzyszy, sprawia, że Emma się krzywi.

– Nie chcę kolejnej awantury z twoim ojcem.

Hunter sięga głębiej do szuflady.

– Poczekaj.

– Co to jest?

Chłopak wyciąga rękę i pokazuje małą tubkę z truskawkową pomadką do ust.

– O rany – rzuca i Emma widzi, jak przy przełykaniu śliny drga mu grdyka. –

To jej, prawda?

Na dole zapala się światło i w biurze robi się nagle jasno.

Emma wyrywa pomadkę z dłoni chłopaka i wrzuca ją z powrotem do szuflady.

– Schowajmy się – syczy. – Szybko, za biurkiem. No chodź.

Udaje jej się pociągnąć go za sobą i w tym momencie słyszą kroki na schodach.

* Pwt 28,53.

33

Dolly włącza czajnik i przygląda się, jak mąż układa porąbane polana przy tylnych drzwiach. Nagle wyobraża sobie, że rzuca w niego czajnikiem z wrzącą wodą i trafia go prosto w głowę.

– Szkoda, że nie kupiłaś nowego – mamrocze Samuel, nie patrząc w górę. – Nienawidzę tego hałasu.

Tak, myśli Dolly, trafić go w głowę i może eksplodowałby jak jedna z tych butelek po piwie, które on i Abigail zestrzeliwali z płotu na dole podwórka. Roztrzaskać mu czaszkę, tak jak on złamał jej ducha. Nie może wyrzucić z głowy tego, co powiedziały dziś wieczorem w Safewayu Ann Traxler i żona pastora: *W tym domu brakuje wychowania*. Wcześniej mogła się z tym zgodzić. Mogła pogodzić się z tym, że jest nieudolną matką, tak łatwo, jak łatwo wkłada się znajome buty, ale dzisiaj było inaczej. Najpierw Melissa przyszła do jej kuchni, stała tam, gdzie teraz kuca Samuel, jakby się go nie bała. A przecież lata temu dał jasno do zrozumienia – grzbietem dłoni i sprzączką od paska – że nie będą więcej przyjmowali gości w tym domu, że Dolly może się widywać tylko z tymi ludźmi, na których on się zgodzi. Dzisiaj jednak Melissa weszła tu śmiało jak gdyby nigdy nic. Samuela nie było, więc i tak nie mógłby jej powstrzymać. Teraz, już na samą myśl, że postąpiła wbrew życzeniom męża, Dolly czuje brawurową odwagę.

– Dlaczego to zrobiłeś? – pyta.

Samuel wstaje i wyciera ręce w dżinsy, zasypując podłogę kawałkami kory.

– Co?

– Powiedziałaś ci wczoraj wieczorem, że nie chcę, żebyś zabierał Noaha do Eda Lewisa. A dzisiaj podsłuchałam Eleanor w Safewayu. Mówiła o tym, że Noah

był u pastora.

Samuel przewraca oczami i odwraca się.

– Kobiety w tym mieście powinny nauczyć się przestać kłapać dziobami.

– Ale dlaczego to zrobiłeś? Mówiłam ci, że...

– Kaleka i ciota! To mi dałaś, Dolly. Takich właśnie synów muszę wychowywać. Niech cię szlag, kobieto, nie możesz mieć do mnie pretensji, że chcę ich naprawić.

– Ja ci dałam? Zrzuciłeś Jude'a ze schodów!

– A ty byłaś całkowicie bez winy, co? Nie miało to nic wspólnego z tym, jak ich wychowywałaś, z tym, jak wszystko wymknęło się spod kontroli? Jesteś dla nich taka pobłażliwa, jakby nic, co mówię, nie miało w tym domu znaczenia. Ja tylko próbuję im pokazać, czego chce Pan, Dolly. Myślę o wieczności... mam na względzie ich dusze.

– A więc to twoim zdaniem robisz, tak?

– Jeśli chcesz, żeby dołączyli do nas w niebie, musisz o to zadbać już teraz.

Dolly przygryza wargę. Cieszył ją wyraz twarzy Ann Traxler, gdy mijala ją w sklepie. Cieszyło ją, że stanęła po stronie syna.

– A co z twoją duszą, Sam? – pyta. – Jeśli niebo jest pełne mężczyzn, którzy biją swoje dzieci, to ja wolę trafić gdzie indziej.

– Ty...!

Minęło już trochę czasu od ostatniego razu, kiedy ją uderzył. Wgniecenia pozostawione przez jego knykcie wydają się prawie znajome. Dolly zamyka oczy, bo policzek jest tak samo ulgą dla niej, jak dla Samuela. Coś w niej jednak kipi i przez chwilę jakiś bardzo cichy głosik, brzmiący jak głos jej młodszej wersji, szepcze: Dalej, uderz mnie jeszcze raz, a może tym razem ci oddam.

– Mamo?

W drzwiach stoi Jude, wsparty na lasce. Jest blady i Dolly wie po tym, jak jego oczy wędrują w stronę ojca, że wszystko widział.

– O co chodzi? – pyta Dolly.

Samuel fuka z poirytowaniem.

– Twoja matka i ja próbujemy porozmawiać.

– Ja... ja wiem, ale...

– Wyrzuć to z siebie, dzieciaku.

Dolly widzi, jak grdyka syna podskakuje przy przełykaniu; Jude zerka na jej czerwony policzek, potem z powrotem na ojca.

– Noah nie odbiera telefonu. On po prostu... zniknął.

• • •

Rat tańczy w kościele. Noah wylewa benzynę na krzesła, dywan i podium, na którym zawsze stoi pastor Lewis, a Rat odrzuca głowę w tył i trzęsie się, udając, że zstąpił na niego Duch Święty. Od oparów benzyny Noah czuje się lekko oszołomiony.

– Daj mi zapalniczkę – mówi.

Rat wygląda nagle poważnie.

– Chyba nie zamierzasz naprawdę puścić tego z dymem, co?

– A myślałeś, że po co tu przyszliśmy?

– Nie wiem... żeby włamać się i odwalić lekką demolkę.

– Nie, bo to nic by nie dało. Zasłużyli sobie na to. Całe to miasto zasługuje na to, żeby puścić je z dymem.

– Oni cię ukrzyżują.

Noah śmieje się, ale Rat zanurza palce we włosy i szarpie za nie.

– Zabiją cię tym razem, Blake, mówię serio. Twój ojciec i ten pieprzony kaznodzieja. Zabiją cię. Nie warto.

– Więc co? Mamy nic nie robić?

– Spakujmy się i wyjedźmy, Blake. No dalej, ucieknij ze mną.

– Ty nie rozumiesz. – Noah przyciska czoło do jego czoła. – Ja muszę. Oni muszą wiedzieć, jakie to uczucie.

Oddech Rata jest gorący.

– Istnieją inne sposoby, *dragă**.

Kiedy jedna rzecz śmierdzi jak benzyna, wszystko śmierdzi jak benzyna, myśli Noah, nawet Rat, który bierze jego twarz w obie dłonie i całuje go, szybko, słodko, szepcząc: „Takie sposoby”, i znowu go całuje.

– Tak właśnie spalimy to miasto.

I podczas gdy na policzku matki Noaha ląduje dłoń jej męża, Noah przesuwa swoje dłonie po ciele, którego nauczył się na pamięć jak rymowanki w alfabecie Braille’a, i w czerwonych i niebieskich plamach witrażowego światła przyjmuje komunię na kolanach. Jego Bóg zna jego imię i z rękami rozpostartymi jak Chrystus na krzyżu wykrzykuje je na całe gardło, a ich wspólne wyznanie wiary odbija się głośnym echem w pustym budynku, który pachnie benzyną.

• • •

Samuel zabrał Jude’a, żeby pomógł mu szukać Noaha, więc to Dolly odbiera telefon od szeryfa.

– Rozumiem – odpowiada.

– Dolly, przykro mi.

– Tak, tak. Dziękuję. Dobranoc, szeryfie.

Cieszy się potem, że w domu nie ma nikogo, kto słyszałby, jak osuwa się na podłogę i zawodzi.

Czy to wszystko jej wina? Powiedziała Melissie, że kiedyś zrobiła coś strasznego. Zrobiła coś strasznego Abigail. Czy to jest właśnie wymierzona przez Boga kara – utrata jedynej córki? Chce wyrwać sobie włosy, kawałki zakrwawionej skóry głowy rozrzucić po całym salonie, żeby Samuel znalazł je, gdy wróci do domu. Jaka część tego wszystkiego to plan Boży? – zapyta go. Dlaczego Bóg zastrzelił naszą dziewczynkę?

Głośno mówi:

– Mam Cię dość. Skończyłam z Tobą.

W przedpokoju kolorowe kamienie na krzyżu mrugają do niej, jakby wiedziały coś, czego ona nie wie; na każdym radośnie tańczy światło odbijające się od ich tandetnie ciosanych krawędzi. Do momentu, aż Dolly nie podniesie czajnika i nie walnie nim w sam środek krzyża. Jej ramiona poruszają się w niezmiernym gniewie, w jej klatce piersiowej po raz kolejny płonie białym żarem kula wściekłości.

W końcu Dolly upuszcza czajnik i słyszy, jak toczy się z brzękiem po podłodze, gdy ona stoi, dysząc, otoczona kamiennymi odłamkami. Dziura w ścianie ziewa ku niej jak ciemna gardziel prowadząca w głąb czeluści domu. Dotąd nigdy nie zaglądała za krzyż, od dnia, kiedy go powiesiła, ale jest pewna, że tej kulki papieru nie było tam przed laty.

Płomień w jej piersi natychmiast gaśnie, gdy widzi pismo córki. Pociągłe pętle u wszystkich „g” i „y”, wyraźne pochylenie w prawo, małe kółeczka nad każdym „i” i „j”. Och, tak, tak, tak, myśli, przyciskając kartki do ust, zanim je jeszcze przeczyta. Nawet trochę pachną Abi. Wszystkie jeden brzeg mają poszarpany, jakby zostały skądś wyrwane, i Dolly od razu wie, że to strony z pamiętnika córki.

Powiedz mi, błaga, gdy zaczyna przebiegać wzrokiem po liniijkach, wyjaw mi swoje tajemnice, kochanie.

Powiedz mi, co się stało.

• • •

– Hunter, wiem, że tu jesteś.

Oczy chłopaka kucającego za biurkiem są wielkie i blade w ciemności.

– Wiem, że to ty zabrałaś moje klucze – mówi jego ojciec, dając kolejny ciężki krok w głąb biura. – Naprawdę sądziłaś, że tego nie zauważę?

Emma kładzie dłoń na ustach, żeby nie było słychać jej oddechu. Hunter przygryza dolną wargę.

– Nie wiem, co cię opętało, żeby tu przyjeżdżać w nocy i węszyć. – Deski podłogi jęczą, gdy Jerry wchodzi do biura jeszcze głębiej. – Ale po prostu wyjdź

i porozmawiajmy o tym jak dorośli ludzie.

Emma czuje, że chłopak ściska jej rękę; potem bezgłośnie mówi do niej: „Uciekaj”. Emma kręci głową. Biuro jest za małe, a Jerry to wielki facet: nie ma mowy, żeby go ominęła. Hunter patrzy na nią, jakby rozumiał, i zanim Emma zdąży go powstrzymać, chłopak wstaje.

– O, jesteś – rzuca Jerry. – Co ty tu robisz? Po co tu przyszedłeś?

– Tato, czy zrobiłeś coś Abigail Blake?

– Na litość boską, Hunter, ona jest nieistotna. Myślałem, że już z tym skończyliśmy.

– Była na tyle istotna, że zatrzymałeś sobie jej pomadkę do ust.

– Ach... Posłuchaj, to nie jest tak, jak myślisz. A teraz chodź, wracajmy. Matka się o ciebie niepokoi.

– Cholera, tato. Miasto będzie chciało twojej głowy, kiedy ludzie się dowiedzą.

– Dowiedzą się czego? To tylko jakiś kosmetyk, który nic nie znaczy.

– Jak możesz tak mówić? Jak możesz ciągle kłamać?

– Ach, więc teraz mój syn, diler narkotyków, złodziej broni, będzie robił mi wykłady na temat uczciwości, tak?

Na wzmiankę o broni Emmie wyrywa się sapnięcie, czuje zza biurka, że pokój zastygł w bezruchu.

– Czy ktoś tu jeszcze jest, Hunter?

– Nie.

– Chyba jednak tak.

Podłoga skrzypi, gdy Jerry mija syna i pochyla się nad biurkiem. Emma próbuje wsunąć się pod nie jeszcze bardziej, ale jest już za późno; Jerry chwytą ją za rękę i szarpnięciem pociąga w górę.

– No proszę, jaki ojciec, taka córka. – Ściska jej nadgarstek tak mocno, że Emmie wydaje się, że jej dłoń wystrzeli zaraz jak korek od шамpana.

– Tato, puść ją. Ona nic nie zrobiła.

– Myślisz, że coś wiesz? – Jerry chwyta dziewczynę za ramię i lekko nią potrząsa. – Myślisz, że wiesz coś o mnie? Poradzę sobie z tobą tak samo, jak poradziłem sobie z twoim tatuśkiem, dziewczyneczko, i nie myśl, że tego nie zrobię.

Emma nie może mówić, nie może nawet oddychać.

– Daj spokój, tato, puść ją. Nikomu nie powiemy, przysięgam. Tylko ją puść.

– Nie mieszaj się do tego, Hunter. Ci ludzie muszą się kiedyś nauczyć.

– Jezu, tato – jęczy chłopak i uderza ojca w twarz.

Jerry puszcza ją i Emma ucieka z biura, nie zatrzymując się nawet, by sprawdzić, czy Hunter idzie za nią. Wypada z budynku wyjściem awaryjnym i biegnie, dopóki nie zaczyna ją kłuć w piersi, a w ustach tak jej zasycha, że na języku czuje posmak krwi. Gałęzie czepiają się jej ubrań i włosów, gdy przedziera się przez las. Mogłaby przysiąc, że czuje, jak jej serce obija się o żebra, tak szybko bije; jest pewna, że lada chwila eksploduje.

Wie, że nie przebiegła jeszcze nawet kilometra – za wierzchołkami drzew wciąż widzi komin tartaku – ale gdy w końcu wypada na drogę i z rękami na kolanach łyka łapczywie powietrze, czuje się, jakby biegła przez wiele godzin. I wtedy zza rogu wyjeżdża pick-upem Samuel Blake, któremu udaje się wyhamować przed nią dosłownie w ostatniej chwili.

* *Dragă* – (rum.) kochany, drogi.

Przedtem

Abigail siedzi na parapecie okna swojej sypialni i dyndając wystawionymi na zewnątrz gołymi nogami, myśli o tym, że ma już szczerze dość otumaniającej monotonii lipca. Słońce zachodzące nad górami wygląda, jakby Bóg rozbił jajko nad ich szczytami, po wyźłobionych przed wiekami przez lodowce skalnych bruzdach spływają promienie w kolorze żółtka. Na drzewach poniżej pobrzękują poruszane lekką bryzą kościane dzwonki wietrzne jej ojca, a ona wbija sobie paznokcie w uda.

O wpół do dziewiątej wchodzi matka, żeby powiedzieć jej „Dobranoc”.

– Jutro szkoła, kochanie. Nie siedź za długo.

– Dobranoc, mamó.

Matka grozi jej palcem, jakby miała do czynienia z małym dzieckiem. Abigail zagryza zęby i uśmiecha się.

Chwilę później w drzwiach pojawia się Noah, pochylony, jakby nie był pewien, jak ma wypełnić sobą tę przestrzeń. Pyta, czy może pożyczyć jej puder do twarzy.

– Co zrobiłeś? – Oboje wiedzą, co ma na myśli: „Co zrobiłeś, że wkurzyłeś tatę?”.

– Wszystkie resztki z kolacji włożyłem do jednego pojemnika.

– Błąd żółtodzioba – mruczy Abigail. Ojciec nie lubi, kiedy miesza się jedzenie; ale ona to wie, bo kiedyś zapytała go o to, a on wyjaśnił (mówił coś o kolacji z indykiem i koszu na śmieci, dawno temu). Nikt nie wpajał jej tej wiedzy biciem.

Noah przymruża oczy.

– Dasz mi ten puder czy nie? Nie mogę iść jutro do pracy z taką twarzą.

– Hej! – woła za nim Abigail, kiedy Noah dostał od niej puder i odwraca się, żeby wyjść. – Kiedy zacząłeś palić?

Policzki jej brata stają się tak czerwone jak świeży siniak na jego czole.

– Ja nie palę.

– A jedzie od ciebie, jakbyś palił. – Posyła mu spojrzenie, które, jak ma nadzieję, wyraża współczucie. – Powinieneś kupić dezodorant w sprayu i cały się nim spryskiwać. I zawsze zaraz po powrocie myj zęby. Jeśli zapytają, mów, że po prostu zapaliłeś dunhilla mamy.

Noah patrzy na nią ze zdumieniem.

– Ja nie palę – rzuca w końcu ponownie i wychodzi, nie zamykając za sobą drzwi.

Abigail cieszy się, że nie zapytał, skąd ona tyle wie o tuszowaniu zapachu papierosów.

• • •

O jedenastej dostaje esemesa: *Koniec drogi*. Szybko przebiera się z piżamy w krótką czarną sukienkę z aksamitu, którą trzyma w głębi szafy. Musi ją zadrzeć na biodra, kiedy ześlizguje się po trejażu, ale dookoła jest pusto, nikt tego nie widzi. To zawsze jest pierwsza ekscytacja nocy: takie obnażanie się w ciemności wywołuje w niej lekki dreszczyk podniecenia.

Hunter czeka na nią na końcu Hickory Lane. Na desce rozdzielczej swojego samochodu dzieli metadon i każde z nich wciąga po kresce, po czym opuszczają szyby i odjeżdżają w noc, wyją jak kojoty.

– Nie powiedziałaś mi, jak poszło – mówi Abigail, kiedy prześlizgują się przez połacie czarnego lasu.

– Trochę dziwnie, szczerze mówiąc. Musiałem spotkać się z tym facetem na trzecim poziomie jakiegoś parkingu. Światło było zepsute, ciągle migało. Było jak

w horrorze.

Abigail kiwa głową, jakby chciała powiedzieć: „Tak, domyślam się. Jesteś bardzo odważny”, bo mężczyźni trzeba traktować jak dzieci, obchodzić się z nimi jak z jajkiem. Teraz już to wie.

– Ale ją dostałeś?

– Och, twój chłopak załatwił wszystko jak trzeba, bez obaw. – Hunter szczerzy się do niej. – Kosztowało mnie to kieszonkowe z kilku ostatnich miesięcy, ale się opłaciło.

Abigail nie współczuje mu; Hunter jest prawdopodobnie jedynym dzieciakiem w mieście, który co miesiąc dostaje sto dolarów kieszonkowego.

– Trzydzieści gramów koki. Tutaj u nikogo czegoś takiego nie kupisz. Nieźle na tym zarobimy. Jesteśmy ustawieni. Możemy śmiać się wszystkim w twarz, Abi.

Możemy się śmiać, mówi, chociaż żadne z nich tego nie robi.

Jadą dalej, mijając domki letniskowe i budynki gospodarcze przycupnięte w wysokiej trawie niczym szkielety dawno zmarłych zwierząt; ich światła migoczą, czemu towarzyszy szum, który Abigail słyszy nawet z wnętrza samochodu.

– Jak jest w Boulder? – pyta po dłuższej chwili.

– Byłaś tam kiedyś?

– Byłam, ale mam wrażenie, jakby to było wieki temu. – Może było.

Hunter wzdycha.

– Taaa... no wiesz, Boulder to Boulder. Zamówiłem muffinkę i dostałem bezglutenową i bez cukru. No weź, proszę cię, muffinka bez cukru! Jakby życie nie było wystarczająco rozczarowujące.

Dziewczyna się uśmiecha. Hunter potrafi czasami wywołać u niej uśmiech i to wystarczy. Żałuje, że z nim nie pojechała, ale sam widok znaku drogowego do Denver mógłby sprawić, że zapragnęłyby uciec, a wie, że nie mogą tego zrobić, wie, że muszą być w tej kwestii ostrożni.

Próbuje sobie wyobrazić, jak to będzie, gdy przekroczą granicę stanu. Zeszłej nocy sprawdzała to w internecie i ma nadzieję, że to nie jest prawda: że Kansas to

tylko kilometry niczego, puste drogi, rzędy milczącej kukurydzy i przydrożne postoje, wszystkie wyglądające tak samo. Czy naprawdę tak będzie wyglądać wolność? Ale przynajmniej nie będzie wyglądała tak jak tutaj.

Przy Tall Bones są jakieś dzieciaki. Gżą się wściekle między drzewami jak psy w rui, wciągają kreski z ramion, brzuchów i obojczyków partnerów. Kilku chłopaków trochę się ze sobą szarpie, szczerząc zęby, między którymi połyskuje krew.

Hunter wyciąga polaroida, robi zdjęcia i jak zwykle nikt nie proponuje, że zrobi zdjęcie jemu. Kiedy go to nudzi – Abigail wie, że jest znudzony, bo zaczyna pić – siada na bagażniku swojego samochodu i zaczyna sprzedawać kokę; bierze dwa razy więcej za porcję, niż kosztuje to na ulicy w Boulder. Pewnie by mu włożyły, gdyby wiedziały, że tak je oszukuje, ale większość nigdy nie była w Boulder. Większość nigdy nigdzie nie była.

Abigail woli się naćpać, niż upić. Te dzieciaki zawsze mają do picia tylko piwo i przez to cuchną jak jej ojciec. A jej podoba się, że może wciągnąć coś przez rulonik ze zwiniętego banknotu dolarowego. Czuję się wtedy tym, kim jestem: śmieciem. Jestem taką szmatą, jaką tylko można być, myśli.

Dwie kreski wciągnięte i wspina się na dach samochodu Huntera. Zaczyna na nim tańczyć, bo to tam wszyscy się gromadzą, żeby kupić kokainę, więc to właśnie tam będzie ją widać. Cole i Luke Weaverowie krzyczą do niej, żeby zdjęła sukienkę. Unosi trochę jej dół i potrząsa tyłkiem, odrzucając włosy do tyłu i przeciągając rękami po całym ciele. Bryce Long drze się, że ją kocha. Tak, myśli Abigail, jestem piękna. Jestem szmatą i jestem piękna, i wszyscy mnie pragniecie, ale to ja, ja mam kontrolę, mogę mieć, co zechcę i kiedy zechcę, tak po prostu.

• • •

– Przestań – mówi. – Nie, nie chcę... przestań.

Bryce przypiera ją do drzewa jedną ręką, a drugą wsuwa między jej nogi.

– Tak, chcesz – mamrocze. – Nie tańczyłabyś w ten sposób, gdybyś nie chciała, więc po prostu się teraz nie ruszaj.

Między gałęziami Abigail widzi światła imprezy, próbuje krzyczeć, ale on zamyka jej usta swoimi i całuje ją mocno, połykając dźwięk.

Nie, nie, nie, to nie tak miało być, myśli gorączkowo Abigail. Pragniesz mnie, bo ja chciałam, żebyś mnie pragnął, ale nie możesz mnie mieć, to nie tak powinno działać, psujesz to, wszystko rujnujesz. Zatapia zęby w jego języku, a on odrywa się od niej z krzykiem.

– Ty suko!

Abigail czuje w ustach smak jego krwi. Zamachuje się ręką, jakby chciał ją uderzyć, ale ona wbija mu kolano między nogi i ucieka, korzystając z tego, że chłopak zatacza się na sosnowych igłach.

Potem zamyka się w samochodzie i zwinięta w kłębek na siedzeniu, czeka, aż wszyscy pójdą do domu. Wpatruje się w kurz, który zebrał się w rowkach kierownicy, w brudne odciski dłoni Huntera na dziesiątej i drugiej na starej białej skórze i czuje się tak, jakby w ten sam sposób były na niej wypalone odciski dłoni Bryce'a. Może tak czuje się Noah, kiedy bije go ojciec. Gdzieś w głębi chciałyby, żeby brat był tu z nią teraz, ale zdecydowanie bardziej chciałyby, żeby była tutaj Emma, zwinięta w kłębek obok niej, mówiąca o tym, co będą robić przez resztę lata. Może pić lemoniadę z nogami w rzece albo pojadą Trail Ridge Road i będą cieszyć się ostatnim śniegiem sezonu na szczytach; wstaną wcześniej i poszukają łośi w Parku Narodowym albo wynajmą łódź nad Grand Lake. Może nawet pojechałyby do Boulder, na zakupy czy coś w tym stylu. Cokolwiek, co robią normalne dziewczyny. Abigail tęskni za delikatnością ich młodości. Emma nigdy jej nie krzywdziła. Jeśli jej dotykała, to tylko po to, żeby ją przytulić.

Zegar na desce rozdzielczej pokazuje prawie trzecią nad ranem, kiedy Hunter wsiada do samochodu. Patrzy na jej potargane włosy z wplątanymi w nie kawałkami kory, na ramiączko od stanika zwisające luźno z ramienia.

– Abi, co się stało?

Abigail podciąga nogi do góry, próbując zbić się w jak najmniejszą kulkę.

– Nie mogę się zdecydować, czy chcę się ze wszystkimi pieprzyć, czy ich pozabijać.

Hunter śmieje się, ale przestaje, gdy Abigail na niego spogląda.

– Przepraszam, ja tylko... To jest dość zabawne.

– Nie, nie jest. Czuję się, jakbym tonęła. Cały czas jestem strasznie wściekła. Wiesz, jak to jest być ciągle wkurzonym?

– Czasami.

Wie, że Hunter wie, przynajmniej trochę, więc nie draży dalej.

– Ile zarobiliśmy?

– Jakieś sto pięćdziesiąt dolarów. Nieźle jak na pierwszą noc, co?

– Nieźle – zgadza się Abigail.

– Hej, Abi. – Hunter robi się nagle bardzo dorosły i poważny, a to sprawia, że dziewczyna się spina. – Zamierzasz powiedzieć Emmie?

Abigail wbija paznokcie w kolana.

– Nie mieszaj w to Emmy. Ona ma wystarczająco dużo zmartwień. – To ja powinnam opiekować się nią, myślisz, a nie mogę tego robić, bo tonę. Poza tym, co Emma by o niej pomyślała, gdyby się dowiedziała? Co pomyśleliby inni? Mogłaby stracić jedyną prawdziwą przyjaciółkę, jaką kiedykolwiek miała.

Hunter się nie liczy. On jest środkiem do celu.

– Ale wiesz, że możesz ze mną pogadać, prawda? – pyta ją. – To znaczy... nie wiem, czy chcesz, ale możesz. Chcesz?

Spogląda na niego. Wpadający przez okno blask przygasającego ogniska zmiękcza kwadratowe rysy jego twarzy, przez co chłopak wydaje się niemal przystojny. Kiedy mówisz w ten sposób, żałuję, że czegoś do ciebie nie czuję, myślisz Abigail.

– Nie chodzi o nic, o czym byś już nie wiedział – odpowiada. Ale prawda jest taka, że choć docenia jego troskę, ma po dziurki w nosie osób pytających, czy wszystko u niej w porządku. Ciągle jej się wydaje, że powinna wiedzieć, jakich

reakcji oczekują od niej inni ludzie, więc gdy z kimś rozmawia, jest spięta, i przez to rozmowy szybko ją męczą. Czasami domyśla się źle i na przykład śmieje się, kiedy nie powinna, a wtedy ludzie wiedzą, że przez cały czas kłamała. Ta Abigail Blake, ależ z niej kłamczucha, myślą pewnie, patrząc w jej młodą uśmiechniętą twarz.

35

Teraz

Emma, ze smugami potu i brudu na twarzy, trzęsąc się w pick-upie Samuela Blake'a, nie odzywa się słowem. Jude ciągle się odwraca i na nią spogląda, ale ona tylko patrzy prosto przed siebie.

– Tato, myślę, że powinniśmy zawieźć ją do szpitala.

– Chcesz, żebym pojechał aż do Estes? – Samuel ogląda się przez ramię. – Nic jej nie będzie. Pewnie się tylko naćpała jak reszta tych obiboków. To miasto schodzi na psy, Jude, mówię ci.

Dojeżdżają do ulicy, przy której mieszka Emma; Samuel wrzuca jałowy bieg i mówi:

– No dalej, wysiadaj – rzuca i kiedy Emma powoli zaczyna odpinać pasy, krzyczy jak do psa: – Wysiadaj!

– Tato, a co z Noahem? – Jude przygląda się w lusterku wstecznym, jak sylwetka Emmy staje się coraz mniejsza, gdy odjeżdżają.

Ojciec odchrząkuje.

– Jak sobie pościelił, tak się dzisiaj wyśpi. Zamknij drzwi i go nie wpuszczaj, kiedy wrócisz do domu. Może spać na podwórku. Zajmę się nim jutro.

– Dobrze, tato – odpowiada Jude, po czym pyta: – Nie wracasz do domu?

– A czy to twoja sprawa, chłopcze? Podrzucę cię z powrotem, ktoś musi mieć oko na twoją matkę, ale ja nie mogę, mam sprawę do załatwienia.

Nie masz żadnej sprawy, nie musisz jechać do pubu O'Shannona, myśli Jude. Musisz mi pomóc znaleźć brata. Nie mogę stracić także i jego.

• • •

Emma siedzi pod prysznicem, żeby gorąca woda wypaliła wspomnienie uścisku rąk Jerry'ego Maddoxa na jej nadgarstkach i odoru potu z pick-upa Samuela Blake'a. Stara się nie myśleć o tym, co mogło się stać z Hunterem, próbuje się o niego nie martwić, bo co powiedział jego ojciec...? Hunter ukradł broń.

Rat powiedział jej o pistolecie. Tamtego popołudnia na osiedlu przyczep, po tym jak przez okno wpadły kamienie, była tak roztrzęsiona i upita tanim likierem, że zażądała odpowiedzi. Powiedział jej, że jego pistolet zaginął wiele miesięcy temu. Uznał, że to pewnie sprawka jednego z kumpli Huntera, ale teraz Emmie wydaje się, że dobrze wie, kto go ukradł.

Podczas gdy Emma zmywa brud z twarzy, Jude Blake stoi w przedpokoju zarzuconym kawałkami potłuczonych ozdobnych kamieni i znowu próbuje dodzwonić się do brata, ale po raz piąty z rzędu odpowiada tylko automatyczny głos oznajmiający, że ten numer jest obecnie niedostępny.

Dolly, leżąc na kanapie z połową tabletki diazepamem krążącą w jej krwiobiegu, słyszy, jak syn szlocha cicho w przedpokoju, nie ma jednak ochoty iść do niego ani w ogóle się ruszyć, już nigdy więcej. Trzyma w ręce pogniecione kartki z pamiętnika Abigail i myśli, że nie podniosłaby się teraz, nawet gdyby cały dom stanął w płomieniach.

Lewisowie, reagując w końcu na alert z kościelnego systemu alarmowego, przybywają do Pierwszego Kościoła Baptistycznego w Whistling Ridge i przekonują się, że cały cuchnie benzyną. Poza tym w kościele nic nie zostało zniszczone, nic nie zginęło, pastor jest tego całkiem pewien, ale znajduje coś na dywanie – pozostawiony tam przypuszczalnie z powodu pośpiechu kolczyk z wilczym kłębem.

• • •

Droga w lesie wygląda jak kręgosłup świata. Noah, który siedzi w ciemności z rękami wetkniętymi pod pachy, nie jest w stanie stwierdzić, gdzie kończą się

drzewa, a zaczynają góry.

Spali chwilę w pick-upie zaparkowanym na poboczu, opierając się o siebie nawzajem. Ale kiedy Noah się obudził, okazało się, że ich ciuchy nadal śmierdzą benzyną, ruszyli więc w górę, minęli Tall Bones i pojechali jeszcze wyżej w kierunku granicy lasu. Teraz, siedząc razem na masce, wdychają słodkie, zimne powietrze i zapach dymu unoszący się z niewidocznych domków ukrytych między drzewami poniżej.

Tu, na górze, są zwały śniegu, które nigdy nie topnieją, miejscami tak wysokie, że sięgałyby Noahowi do pasa, i to z ich powodu panuje tu taka cisza. Rat mówi, że przypomina mu to Transylwanię.

– To tam mieszkałeś? – pyta Noah.

– Tak, mieszkałem w zamku Drakuli. Obleczony w futra, wylegiwałem się na wielkim łożu i codziennie polowałem z wilkami.

– Straszny z ciebie palant, wiesz? We wszystkim.

– Transylwania to zadupie, koniec świata, ale ma trochę dobrych lasów. I miała moją babcię i jej gitarę.

Palce Rata robią się czerwone, więc Noah bierze je w dłonie i chucha na nie delikatnie.

– Czy kiedykolwiek za tym tęsknisz... za Rumunią?

– Nie bardzo. Byłem dzieckiem, więc to wszystko jest dość zamazane. Już raczej Anglia była dla mnie domem. – Oddech Rata tworzy obłoczki w mroźnym powietrzu. – Chociaż pamiętam długie nabożeństwa. Jeśli myślisz, że baptyści są do kitu, to nigdy nie byłeś na mszy prawosławnej.

– Nie wiedziałem, że chodziłeś do kościoła.

– To teraz już wiesz. – Rat cmoka, uśmiechając się do ich złączonych dłoni. – No więc, Noahu Blake, tak naprawdę to wciąż nie otrzymałem od ciebie jasnej odpowiedzi. Chcesz ze mną uciec czy nie?

Noah ściąga mu pierścionki i splata palce z palcami Rata.

– A dokąd byśmy pojechali?

– Dokądkolwiek zechcesz, byleby jak najdalej stąd, od tego miasta, od tych ludzi, wkurzonych, że Jezus nie chce im zmienić wody w wino.

Noah czuje się tak, jakby miał ściągnąć pokrowiec chroniący przed kurzem z jakiegoś starego mebla, z czegoś cennego, przechowywanego w pokoju, do którego nie wchodził od bardzo dawna.

– Zawsze chciałem pojechać do Kalifornii.

– Och? – Rat unosi ręce. – A czy w Kalifornii moglibyśmy robić to publicznie?

Noah nie jest tego pewien. Na słowo „publicznie” siniaki na jego szczęce zaczynają pulsować.

Siedzą jeszcze chwilę obok siebie, aż niebo staje się błękitne i żółte, i wiatr przegania ich z powrotem do pick-upa.

W drodze powrotnej Rat opiera stopy na desce rozdzielczej i mówi:

– Powiem ci, za czym tęsknię.

– Za czym?

– Za dźwiękiem własnego języka. Nie mam możliwości go już słyszeć, chyba że sam nim mówię.

Noah zerka na niego z ukosa.

– No to naucz mnie czegoś.

– Chcesz się nauczyć rumuńskiego?

– Dlaczego cię to tak dziwi? No dalej, naucz mnie. Jeśli to dla ciebie ważne...

Uśmiech Rata sprawia, że Noah ma wrażenie, że w jego klatce piersiowej otwierają się pączki kwiatów i przez to nie słyszy swojej komórki, która brzęczy na tylnym siedzeniu, dając znać o kolejnym nieodebranym połączeniu od brata.

• • •

W domu czuć stęchliznę, a tu i ówdzie w szparach między klepkami leżą odłamki kolorowych kamieni. Noah zauważa, że nie ma już krzyża babci, ale dziurę w ścianie ktoś zakleił kwadratem świątecznego papieru pakowego. Jest za to

wdzięczny. Myśl, że miałby ją znowu zobaczyć, nawet po tylu latach, wywołuje w nim zaskakująco silny niepokój.

– Pomyślałem, że nie będziesz chciał na to patrzeć – mówi wsparty na lasce Jude, stojący w drzwiach salonu. – Gdzie byłeś? Dzwoniłem całą noc. – Nie brzmi, jakby był zły, ale jego głos jest jakiś inny, jakby postarzał się o rok przez każdą godzinę, w której starszego brata nie było.

Noahowi się to nie podoba.

– Po prostu wyszedłem. Od kiedy cię to obchodzi?

Zamierza wyminąć brata, ale Jude rozstawia stopy, blokując mu przejście.

– Tata i ja byliśmy cię szukać.

– Musiało być miło, dobra okazja na wzmocnienie więzi między ojcem i synem.

– Gdzie byłeś? Ojciec mnie tu zostawił, żeby mógł pojechać pić. Musiałem sam poradzić sobie z mamą.

– Co masz na myśli? Co jest nie tak z mamą?

– Ona... Nie wiem. Wróciłem do domu, a ona siedziała w holu. Wyrwała sobie mnóstwo włosów.

– Hm... cała ona. Wspierająca jak zawsze w kryzysie.

– Nie, nie rozumiesz, jej się nie dawało uspokoić. Musiałem dać jej diazepam. – Jude patrzy na swoje stopy. – Nigdy czegoś takiego nie zrobiłem. Myślałem, że zwariowała.

– Bo może zwariowała. – Noah opiera się o framugę drzwi. – Wiesz, że kiedyś znalazłem ją w wannie w ubraniu? To było kilka miesięcy temu, wróciłem z pracy, a ona tam siedziała, kompletnie ubrana.

– O Boże. – Twarz Jude'a tężeje, jakby miał się rozplakać. – Co się dzieje? Dlaczego to się nam przytrafia?

– Nie gadaj tak. Wiesz, jak głupio brzmisz, kiedy tak mówisz? Jak jacyś pierwsi osadnicy, ojcowie pielgrzymi czy coś takiego, jakbyś się martwił, że żniwa się nie udadzą.

Jude przełyka ślinę.

– Bóg nie...

– To nie ma nic wspólnego z Bogiem, ty idioto. Bóg nic nie robi, on tylko szepcze ludziom do ucha, że są gównem warci, a oni modlą się i modlą w nadziei, że przestanie, ale Bóg nie przestaje i w końcu po prostu wariują. To wszystko, co Bóg robi: doprowadza ludzi do szaleństwa. Więc wbij to sobie do głowy i dorośnij!

Jude wpatruje się w brata; jego oczy robią się czerwone i szkliste i Noaha natychmiast ogarnia poczucie winy. A może czuł się winny przez cały czas, odkąd kilka zdjęć w jego komputerze doprowadziło do tego, że jego mały braciszek został zrzucony ze schodów. Może tak bardzo bolała go utrata Kalifornii, że łatwiej mu było być złym na Jude'a – na jego widok, poruszającego się o lasce, przypominający mu codziennie, że to jego niedyskrecja legła u podstaw tego wszystkiego – niż przyznać, że brat również wiele stracił.

Nagle Jude wciska mu coś do ręki. Jego głos jest oziębły – znowu dziwnie dorosły – kiedy mówi:

– To ty musisz dorosnąć.

Noah spogląda w dół, na zdjęcie z polaroida, na Rata, pijanego, spoconego i obejmującego nonszalancko Abigail w sukience, której Noah nigdy nie widział. Para patrzy znudzona w aparat i przez chwilę – dłuższą, niż chciałby się do tego przyznać – Noah myśli: O Boże, dlaczego nam się to przytrafia?

36

Eli Gains pamięta, jak stracił palce. W stalowej pułapce podczas polowania z bratem, w czasach, kiedy jeszcze niektórzy mówili do niego Eli. Brat, Abel, jedna z tych osób, zmarł rok później na raka jelit. Drugą była szalona Bonnie Harris, której wystarczyło zatrzepotać rzęsami, żeby urywał się z akademii policyjnej, by palić z nią trawkę w jej obskurnym mieszkaniu w Denver. Oświadczył się jej przed wypadkiem, ale potem, kiedy przyszło do wybierania obrączki dla niego, Bonnie powiedziała: „Hm... nie wiem, na który palec ją założysz”, i to było tak, jakby zatrzęsnęła mu drzwi przed nosem. Zerwali dwa miesiące później. Bonnie krzywiła się za każdym razem, gdy dotykał jej tą ręką.

Potem, pewnego popołudnia, wiele lat później, tę samą dłoń położył na plecach Abigail Blake, a ona się nie wzdrygnęła. Eli nie żałuje tego, nawet teraz. Przez chwilę znów czuł się sobą, znów normalny, po raz pierwszy od tak dawna, i pamięta swoją przelotną myśl: Są jeszcze na świecie ludzie, dla których nie jesteśmy tylko sumą złych rzeczy, które nam się przytrafiły.

– Szeryfie, słucha mnie pan?

Gains spogląda w górę. Pastor Lewis stuka palcami w oparcie plastikowego krzesła.

– Tak, pastorze. Mówił pastor o benzynie. – Czuć ją nadal w powietrzu wokół.

– Będziemy musieli całe to miejsce porządnie wyczyścić.

– I nie ma pan pojęcia, kto to mógł zrobić?

– O nie, to tylko jedna z tych rzeczy. Jedna z tych tajemnic. Ale pomyśleliśmy, że lepiej to zgłosić, mimo wszystko.

Pastor kręci głową i to pewnie tylko złudzenie – prawdopodobnie z powodu tego, że Gains nie spał, rozmyślając o żalnym głosie Dolly Blake w telefonie – ale wydaje mu się, że widzi, jak usta Lewisa unoszą się w kącikach, jakby w uśmiechu, który usiłuje nie być uśmiechem. Od tego widoku Gainsa przechodzi zimny dreszcz.

– Jestem pewien, że macie w biurze szeryfa wystarczająco dużo na głowie... zwłaszcza że ta sprawa z zaginioną dziewczyną nadal jest otwarta. – Pastor odchyła się na oparcie fotela i wsuwa kciuki w szlufki spodni. – Jakież postępy w tej sprawie, szeryfie? Pytam, bo jak to w mojej profesji bywa, ludzie zwierają mi się i muszę powiedzieć, że wielu w mieście zaczyna się martwić. Minął już ponad miesiąc, nie myślę się, odkąd to biedne dziecko zniknęło?

– To prawda, pastorze. Ale nie jestem upoważniony do omawiania toczącego się śledztwa, pastor rozumie?

– Och, tak, oczywiście. Nie próbowałem wtykać nosa w nie swoje sprawy. Ale... cóż, wie szeryf, jacy potrafią być tu ludzie, kiedy zaczyna ich pilić, żeby kogoś obwinić. Biedny stary Miguel Alvarez na pewno to wiedział, a i tak na koniec nie przyniosło mu to wiele dobrego. Ludzie chcą, żeby to się już skończyło, szeryfie, rozumie pan, prawda? Chcą mieć na kogo zrzucić winę.

Lewis jest niższy od Gainsa, ale gdy mówi, zadziera podbródek, jakby chciał pokazać, że ma rozmówcę za kogoś mniej ważnego. Gains próbuje rozluźnić spięte ramiona.

– Hm... chyba nie jestem pewien, czy pastora rozumiem.

Ed Lewis uśmiecha się.

– Eli, myślę, że jednak rozumiesz.

• • •

– Wyglądasz, jakbyś przychodził ze złymi wieściami – mówi Rat, zeskakując z dachu kampera.

Noah wytrąca mu papierosa z ręki.

– Co zrobiłeś mojej siostrze?

– Twojej siostrze? Blake, o czym ty mówisz? – Rat rozgląda się, ale między rzędami zardzewiałego metalu i przegniłych desek nikogo nie ma. – No co ty, Blake, ja jej przecież prawie nie znałem. Ledwo miałem pojęcie o jej istnieniu.

– Mówisz o niej w czasie przeszłym.

Wszyscy tak mówią, Noah to wie. Kiedy tylko pojawiły się ulotki, wszyscy zaczęli się zachowywać, jakby Abi już nie żyła. Po prostu kolejny bezwartościowy dzieciak Blake'ów. I skoro nawet pastor nie zdobył się na to, by przejąć się tym, co się im przytrafiło, dlaczego ktokolwiek inny miałby się przejmować? Ale Rat się przejmował – przynajmniej Noahem – i teraz myśl, że przez cały czas mógł kłamać, że mógł mieć coś wspólnego z krwią, którą znaleziono na swetrze siostry Noaha, z jego matką zwiniętą rano na kanapie jak martwe zwierzę... Rat mógł przecież wrócić pod Tall Bones tamtej nocy, po tym, jak Noah go zostawił. To nie było niemożliwe. Noah czuje się tak, jakby oczy miały mu zaraz wyskoczyć z głowy.

– Słuchaj – Rat bierze się pod boki – jeśli masz mi coś do powiedzenia, to śmiało, wal prosto z mostu.

Noah zgrzyta zębami tak mocno, że boli go szczęka, ale nie może wydobyć z siebie słowa, a przynajmniej nie może wydobyć z siebie nic mądrego, więc rzuca w pierś Rata zdjęciem z polaroida.

Rat spogląda w dół i jego oczy nagle stają się okrągłe.

– Nie pamiętam...

– Och, daruj sobie.

– Przysięgam na kości mojej babki, Blake, nie pamiętam tego.

Noah widzi teraz, w świetle dnia, szare kręgi pod jego oczami.

– Hunter Maddox robił kiedyś takie zdjęcia – mówi Rat. – Czasami się spotykaliśmy... my wszyscy, z przyczep, i on... jakby nie miał nic lepszego do roboty. Robił te zdjęcia. Ale ja zawsze byłem naćpany jak świnia, Blake, daję słowo. Pamiętam co najwyżej jedną trzecią tych imprez.

– Dlaczego w ogóle zadajesz się z nastoletnimi dziewczynami? Widziałem alkohol, który kupowałeś Emmie Alvarez. Co z ciebie za człowiek, do cholery?!

– Taki, którego przyczepa zostaje zdemolowana przez pół miasta, Blake. Zaprzyjaźniam się z każdym, kto tylko ma na to ochotę. – Rat wydyma dolną wargę. – I tak dla jasności, między mną a Emmą nigdy nic nie było. To samotny dzieciak, chciała tylko, żeby ktoś poświęcił jej trochę uwagi... I wiesz co? Może nie ona jedna.

– Ty za to ściągasz na siebie uwagę wszystkich, to jest twój cały problem!

Rat przyciska dłoń do czoła.

– Więc co? Myślisz, że bzykałem twoją siostrę? Myślisz, że ją zamordowałem? Byłem z tobą tamtej nocy, pamiętasz? Więc, o co ci tak właściwie chodzi?

– Ja nie... – Noah zatapia zęby w dolnej wardze. – Czy ty w ogóle jesteś gejem?

– Co?!

– Może kręcisz się przy nastoletnich dziewczynach, licząc, że... wiesz, że one nie będą cię o nic podejrzewały, bo sądzą, że jesteś gejem. Czy byłem tylko wygodnym alibi?

– Blake. – Głos Rata jest spokojny, ale jest to spokój kogoś, komu skończyły się argumenty. – Chciałbym, żebyś sobie poszedł.

Noah wybałusza na niego oczy, ale Rat krzyżuje ręce na piersi i przechyla głowę.

– Czy ja mówię po rumuńsku? Powiedziałem: wynoś się stąd, idź. Zanim powiem coś, co naprawdę zrani twoje uczucia.

Przedtem

Czy to prawda, Dolly? Czy to, co powiedział mi ten chłopiec, to prawda? Ty nic niewarta mała dziwko...

Jude patrzy na matkę, która śpi z plamami zaschniętej krwi na włosach, i przypomina sobie, jak ojciec krzyczał to do niej tamtej ostatniej nocy marca, kiedy na ziemi wciąż jeszcze leżał śnieg. Pewnie nie miał tego usłyszeć, bo było to po zgaszeniu światła, a rodzice zwykle zapominali wtedy o swoich dzieciach. Rozległ się stłumiony łoskot, odgłos wielu drobiazgów spadających na podłogę, plask skórzanego paska uderzającego w gołą skórę, a następnie cichy jęk, który Jude rozpoznał jako jęk matki, bo to nie był pierwszy raz, kiedy go słyszał.

– Ty głupia, tępa suko. Naprawdę myślałaś, że mogłabyś to przede mną ukryć?

Ojciec dyszał jak wielki wilk i Jude wyobraził sobie pianę i krwawą plwocinę tryskające z jego ust.

– Sam, ja nigdy, przysięgam...

– Na miłość boską, nie patrz na mnie w ten sposób! Czuję się jak śmieć, kiedy tak na mnie patrzysz. Wstawaj! Przez ciebie zawsze czuję się tylko jak śmieć.

Tuż za drzwiami pokoju Jude'a zaskrzypiała podłoga i chłopiec usiadł. Drzwi otworzyły się i z korytarza wsączył się wąski pasek światła, a za nim pojawiła się Abigail.

– Jude? Nie śpisz?

Nie odważył się włączyć lampki, bo bał się, że ojciec to zobaczy, ale poczuł ciężar Abigail w nogach materaca.

– Nie śpię.

– On ją bije. Słyszysz?

Jude zastanawiał się, dlaczego Abigail do niego przyszła – na pewno nie tylko po to, żeby mu o tym powiedzieć. Teraz myśli, że może czuła się winna. Może wiedziała, że chodzi o nią.

– Boisz się?

– Nie – skłamał.

– A ja tak – powiedziała, a on jej uwierzył. – Ciągłe myślę, że to się znowu stanie... no, że on znowu odleci, wiesz, co mam na myśli?

Poczuł, że jego noga drga pod kołdrą.

– Tak – odpowiedział, bo doskonale wiedział, co siostra miała na myśli.

Rano matka siedziała sztywno przy stole. Na szczęście miała dużego żółto-szarego siniaka i do płatków zamiast mleka nalała sobie soku pomarańczowego. Dzieci Blake'ów wymieniły się spojrzeniami i zrozumiały – w ten niewypowiedziany sposób, w jaki rodzeństwo czasami się rozumie – że każde z nich czuje, że jest to logiczna puenta życia ich matki: ojciec w końcu doprowadzi ją do szaleństwa. Jude wiedział też, że prawdopodobnie tylko on przejmuje się tym, czy tak się stanie, czy nie.

Później jednak, gdy Noah i ojciec wyszli do pracy, a on czekał na siostrę w przedpokoju, starając się nie patrzeć na skrzący się w wiosennym słońcu wielki krzyż z ozdobnymi kamieniami, usłyszał dobiegające z kuchni głosy Abigail i matki.

– Mamo, naprawdę muszę z tobą o czymś porozmawiać.

– Nie teraz, kochanie.

Usłyszał brzęk sztućców, bo były zbierane rzeczy po śniadaniu.

– Wiem, mamo, ale...

Mówiły zbyt cicho, by mógł zrozumieć resztę, ale potem usłyszał krzyk matki i coś roztrzaskało się na podłodze. Chwilę później Abigail wyszła na korytarz i jeden policzek miała czerwony.

– Uderzyła cię?

Siostra zarzuciła szkolny plecak na ramię i szarpnięciem otworzyła drzwi wyjściowe.

– Dlaczego to zrobiła? O czym chciałaś z nią porozmawiać?

– Po prostu chodźmy. – Abigail wytarła twarz rękawem. – Sama to jakoś załatwię.

Teraz

Jerry Maddox trzyma głowę w dłoniach, gdy dzwoni telefon na biurku. Boże, co za noc. Hunter i ta głupia dziewczyna, zakradający się tutaj, jakby to wszystko było tylko jakąś zabawą, a oni odgrywali w niej rolę detektywów. Czego jeszcze trzeba, żeby syn zrozumiał, o co toczy się gra? – zastanawia się. Nieczęsto zdarza mu się podnosić rękę na tego chłopaka. „Jeśli zbyt często kopiesz psa, któregoś dnia odwinie się i cię dziabnie”, tak mawiał ojciec Jerry’ego, ale ostatniej nocy, kiedy zobaczył Huntera stojącego przy otwartej szufladzie, wpadł w panikę.

Pomadka do ust Abigail Blake nadal tam leży. Sprawdził to. W ogóle nie powinna była się tam znaleźć, teraz to rozumie. Powinien był ją wyrzucić.

Telefon wciąż dzwoni, a jego kusi, by wyrwać kabel i zrzucić to cholerstwo ze schodów. Ale wtedy co? Wszyscy w hali by to zobaczyli i jak by to wyglądało? „Jerry’emu odbiło”, powiedzieliby, a on musi sprawiać wrażenie, że nad sobą panuje, teraz bardziej niż kiedykolwiek.

– Tartak Maddoxa – rzuca, trąc mocno oczy. – Jerry Maddox przy telefonie.

– Jerry, cieszę się, że cię złapałem – mówi pastor Lewis, zdecydowanie za energicznie jak na poniedziałkowy poranek. – Wszystko u ciebie w porządku? Sądząc po głosie, wydajesz się trochę zmęczony.

– Nie, nie, wszystko jest w porządku. A u ciebie?

– Cóż... no właśnie, Jerry. Mamy tu pewien kłopot.

Słucha, jak pastor trajkocze o alarmach bezpieczeństwa, cenie za pranie dywanu i o czymś, co ma związek z jakimś kolczykiem, który znaleźli na podłodze. Jerry opiera się na łokciu i stara się nie odpłynąć. W końcu okazuje się, że

wszystko sprowadza się do tego, że tego wieczoru w kościele odbędzie się specjalne nabożeństwo. Dlaczego Ed Lewis nie mógł powiedzieć tego od razu – to przekracza pojęcie Jerry’ego, ale ten człowiek najwyraźniej lubi dźwięk własnego głosu.

– Tu chodzi o dzieło na rzecz Pana, Jerry. To będzie coś naprawdę dużego i muszę wiedzieć, czy mogę liczyć na twoje wsparcie.

Jerry wzdycha mimowolnie.

– Możesz, Ed.

– Mam nadzieję, że traktujesz to poważnie. Z tym trzeba coś zrobić, jak z Miguelem Alvarezem. Za wszelkiego rodzaju wykroczenia staną przed Bogiem. – Pastor używa swojego kościelnego głosu, donośnego, wzniosłego i nieco maniakalnego. – Pomogłem ci z Alvarezem, Jerry. To zwykła sprawa z gatunku tych „wet za wet”.

Jerry przeciąga dłonią po twarzy. Alvarez to ostatnie, o czym chce teraz myśleć. Najpierw ta jego węsząca córunia, a teraz Ed Lewis... Dlaczego ludzie nie mogą po prostu pewnych rzeczy zostawić w przeszłości, tam gdzie ich miejsce?

– Jest wśród nas coś nieczystego – kontynuuje pastor. – Nadszedł czas, aby położyć kres temu bałaganowi. Ludzie w tym mieście są przerażeni, tak jak zresztą powinni. Ale liczą na ciebie tak samo jak na mnie. Ty jesteś ich szefem, ich gospodarzem, słuchają cię i tego właśnie będę potrzebował dziś wieczorem... Hej, Jerry, jesteś tam jeszcze? Co się z tobą dzisiaj dzieje?

Oczy Jerry’ego po raz kolejny wędrują do szuflady biurka. Prawdopodobnie byłoby rozsądniej, gdyby Ed nie dowiedział się o tej pomadce do ust. Lepiej na razie robić to, o co prosi. W końcu będę chciał go mieć po swojej stronie, jeśli to wszystko wyjdzie na jaw, myśli.

• • •

Emma obciąga rękaw, żeby zakryć siniaka na nadgarstku. Nie jest wyraźny, ale nie chce, żeby ktoś go zauważył, gdy będzie szła przez miasto. Podświadomie ma

nadzieję, że jeśli go zasłoni, zapomni, że tam jest: ślady po palcach w miejscu, gdzie ojciec Huntera ścisnął jej rękę tak, jakby chciał ją złamać. Nigdy wcześniej żaden mężczyzna jej tak nie dotykał. Gest, w którym było tyle przemocy, sugestii, że mógłby zrobić coś gorszego, jeśli miałby taką ochotę. Myśl o tym sprawia, że ręce trzęsą się jej nawet teraz, gdy sięga do klamki drzwi jadalni Aurora.

– Emma. – Chrissy Dukes uśmiecha się do niej przy wtórze brzęczenia dzwonka nad drzwiami. – A ty wciąż na wakacjach, co? Szczęściara z ciebie.

Emma mamrocze coś, rozglądając się, ale to poniedziałek i jak na razie jest jedynym klientem.

– Noah jest?

– Wziął sobie wolne. Robi tak czasami... no wiesz, kiedy nie chce, żebyśmy zobaczyli... – Chrissy dotyka swojego policzka, pokazując, gdzie, zaledwie przedwczoraj, na twarzy Noaha pojawiły się nowe siniaki. – Nie lubię go o to męczyć.

Chrissy sprawia wrażenie szczerze zasmuconej i Emma zastanawia się, czy Noah wie, że ma w tym barze kogoś, komu na nim naprawdę zależy.

Dzwonek nad drzwiami znowu się odzywa i do środka wchodzi Hunter. Kiwa Chrissy głową.

– Czy nikt z was nie chodzi już do szkoły? – dziwi się dziewczyna.

– Mam ważniejsze rzeczy do roboty, no nie? – Hunter mruga do Chrissy, a ona przewraca oczami.

Emma nie proponuje, żeby usiedli przy tym samym stoliku co zawsze – tym przy oknie, na widoku matki w przychodni po drugiej stronie ulicy – tylko wsuwa się do boksu na tyłach, gdzie wysokie oparcia siedzeń odgradzają ich od reszty lokalu.

– Ale Chrissy ma rację – zwraca się do chłopaka. – Dlaczego nie jesteś w szkole?

Hunter wzrusza ramionami.

– Byłem, ale napisałaś, że musimy porozmawiać.

– Tak, ale miałam na myśli później. Nie musiałeś przychodzić od razu.

– Może się o ciebie martwiłem. No wiesz... po wczorajszej nocy.

Emma pociera nadgarstek przez sweter.

– Nic mi nie jest.

– To była moja wina. Nie powinniśmy byli tam jechać. Pomyślałem jednak, że skoro ojciec zawsze tak chronił dostępu do swojego biura, to może coś się tam znajdzie.

– I coś znalazłeś.

Chłopak śmieje się słabo.

– Taaa, nie da się ukryć.

– Nic ci się nie stało? Ja po prostu uciekałam... nie wiedziałam, czy idziesz za mną, czy... – Dopiero teraz zauważa, że Hunter nie siedzi normalnie. – Zrobił ci coś?

Hunter odchrząkuje i podnosi brzeg koszykarskiej bluzy, żeby pokazać smugę czerwieni, która prawdopodobnie wkrótce zsinieje. Jerry Maddox nie jest Samuelem Blakiem – przez coś takiego chłopak nie wyląduje w szpitalu – ale Emma i tak krzywi się ze współczuciem.

– Jezu, Hunter, tak mi przykro.

– Nieważne. Lepiej, żeby zrobił to mnie niż tobie, nie?

Lepiej, żeby nie robił tego nikomu. Emma chce sięgnąć przez stół i dotknąć Huntera. Abigail mówiła, że tak właśnie robią czasem w kościele, kiedy ktoś potrzebuje wspomóc się siłą całego zgromadzenia. Chcę nałożyć moje siniaki na twoje, myśli i wyobraża sobie, że skóra Huntera byłaby ciepła.

– Więc o czym chciałaś porozmawiać? – pyta chłopak.

– Och... – Nie spodziewała się, że pojawi się z tymi ranami bitewnymi, z tym obrazowym przypomnieniem, że naraził się dla niej na bolesne konsekwencje. – To nic takiego.

– No dalej, mów, o co chodzi?

Emma postanawia nie wspominać o broni. Jeszcze nie teraz. Nie byłoby w porządku oskarżać go o coś zaraz po tym, jak zebrał za nią cięgi. Poza tym nawet jeśli naprawdę ukradł pistolet Rata, to nie znaczy jeszcze, że z niego strzelał. Nie pomagały mi, gdyby tak było, prawda?

– Może patrzymy na to w niewłaściwy sposób – mówi. – Może powinniśmy skupić się na tym, co zrobiła Abi, a nie na tym, co ktoś zrobił jej.

– Czyli co? Dlaczego mój ojciec miałby jej pomadkę do ust, gdyby jej nie zabrał? To wszystko jest strasznie pokręcone, serio.

– Zgadzam się, ale ta pomadka to prawdopodobnie za mało dla szeryfa. Ona mogła ją upuścić, a twój ojciec mógł ją podnieść. Potrzebujemy czegoś bardziej przekonującego. – Emma pociera nadgarstek. – Musimy się skupić na Abi, dowiedzieć się, jakie były jej ostatnie ruchy. Może to nam coś wyjaśni. Co robiliście po wejściu do lasu? Dałeś jej trochę koki i co potem?

Hunter drapie się po grzbiecie dłoni.

– Nie wiem, byłem na haju. W pewnym momencie chyba się rozdzieliliśmy. Ja poszedłem do domu i obejrzałem końcówkę meczu Buffalo.

– Więc nie masz pojęcia, dokąd mogła pójść potem?

– Zawsze lubiła kręcić się przy Tall Bones. Może po prostu tam została. Mawiała, że te skały to szkielety jakiegoś wielkiego starego stwora, że zanim w lesie pojawili się pierwsi ludzie, pełno w nim było...

– ...olbrzymich zwierząt. Taaa... – Emma się uśmiecha. – Mnie też to mówiła. Szeryf powiedział, że przeczesali całą okolicę, ale myślę, że nie zaszkodzi sprawdzić jeszcze raz. Chodzi mi o to, że jeśli wiemy, że szukamy czegoś związanego z twoim ojcem, to dzięki temu mamy większe szanse coś znaleźć niż policja.

Hunter drapie się po dłoni nieco mocniej.

– Mam z tobą iść? Bardziej prawdopodobne, że coś znajdziemy, jeśli będziemy szukać razem.

– Naprawdę mógłbyś?

Przez chwilę Emma myśli o Racie, o tym, jak rozbił butelkę whiskey i powiedział: „Trzymaj się od lasu z daleka, *drǎgutǎ*”, tylko po to, żeby nie wydały się jego tajemnice. Ale Hunter chce pomóc – do diabła, w zasadzie sam to proponuje, chociaż równie dobrze mógłby odwrócić się na pięcie i ją olać, tak jak robią to inni chłopcy w mieście. Kiedyś myślała, że jest taki sam jak oni, i teraz wydaje jej się to dziwne.

– Jasne – rzuca Hunter. – Przecież jesteśmy drużyną. – Opiera łokcie na stole i uśmiecha się do niej.

Pistolet. Musisz go zapytać o pistolet. Ale podoba jej się to, jak łączą swoje rany – te same wspólne blizny po stracie Abigail. Emma ma przecież dopiero siedemnaście lat i nigdy nie знаła chłopaka, który uśmiechałby się do niej tak, jak robi to teraz Hunter Maddox.

Przedtem

– Mamo, naprawdę muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Dolly pamięta, jak córka stała w kuchni tego pierwszego kwietniowego poranka, a jej wydawało się, że Abigail jest umalowana mocniej niż zwykle. Nie przyszło jej wtedy do głowy, że dziewczyna mogła próbować coś zamaskować.

– Nie teraz, kochanie. – Odcisk paska Samuela na plecach Dolly wciąż szczypał, a od siniaka na szczęce bolała ją cała twarz. Wszystko, od porannego światła po brzęk naczyń śniadaniowych, tylko pogarszało sprawę.

– Wiem, mamo, ale... – Abigail zniżyła głos i rzucając ostrożne spojrzenie w stronę korytarza, pochyliła się nad stołem. – Mamo, możesz mnie zawieźć do przychodni?

Dolly zatrzymała się ze stosem brudnych misek w rękach, z rozmokniętymi płatkami napierającymi na jej kciuk.

– Do przychodni? Po co chcesz tam jechać?

– Potrzebuję... – Córka unikała jej wzroku. – Myślę, że muszę...

– Abi, o co chodzi?

Pamięta, że wyraźnie widziała, jak z twarzy dziewczyny znika cały kolor. O tabletkę „dzień po”, odpowiedziała Abi. A Dolly ją spoliczkowała.

Teraz myśli, że zrobiła to, bo wciąż była przybita po awanturze z mężem. „Dzień po”? Kiedy ona była bita, jej córka wymykała się i pakowała w kłopoty. To o to w tym chodziło? Dolly nie mogła tego znieść. Głupie, głupie dziecko. Samuel nigdy by jej nie wybaczył, gdyby się dowiedział; był dziwny w sprawach seksu, a to oznaczało, że Bóg jest dziwny w sprawach seksu, co czyniło to problemem wszystkich. Samuel nie pobiłby Abigail, nie swoją drogocenną Abi, ale Dolly... Powiedziałby, że to dziecko to jej odpowiedzialność, i miałby rację. Tylko jak Abigail mogła być tak bezmyślna? Czy naprawdę tak mało ją obchodziło, co stanie się z jej matką?

Dolly patrzyła za córką, jak ta wybiega do przedpokoju, gdzie czekał Jude. Nie słyszała, co do siebie mówią, ledwo mogła się skupić na czymkolwiek poza nagłym piekącym bólem dłoni. Żeby o nim zapomnieć, potrzebowała dwóch papierosów, i jeszcze jednego, by wyciszyć gniew na córkę, i pałac, myślała: Tak przez cały czas musi się czuć Samuel.

Miesiące później nie mogła powiedzieć policji, że uderzyła własną córkę. Nie mogła znieść myśli, że ludzie wiedzieliby, że jest w jakikolwiek sposób podobna do męża, więc szeryf Gains nie dowiedział się też o tabletkę.

To będzie coś, co zostanie z nią przez lata. Coś strasznego. Gdyby tylko coś wtedy powiedziała, gdyby zapytała Abigail, zamiast pogrążyć się w uzalaniu nad sobą, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej.

Przedtem

Pod koniec kwietnia jest już wystarczająco ciepło, by uczniowie liceum Whistling Ridge mogli spędzać przerwę na lunch na dworze. To właśnie w jedno z takich popołudni Hunter zaczepia Abigail, która machając nogami, siedzi na murku trybun z zeszytem na kolanach.

– Piszesz coś? – pyta, a ona wie, że to on, zanim jeszcze chłopak zdąży się odezwać; poznaje go po szerokim cieniu, jaki rzuca jego potężna sylwetka, i po bijącym od niego smrodzie szatni.

Emma mówi, że takich chłopaków jak on najlepiej po prostu ignorować, ale dzisiaj jej nie ma, jest chora i została w domu, a Abigail ma o dwóch braci za dużo, żeby bać się chłopców, więc podnosi rękę i spławia go.

Hunter cmoka i śmieje się.

– To nie było zbyt przyjazne. Myślałem, że jesteś miłą, pobożną dziewczynką.

Nie zgrywaj mi tu chojraka, myśli Abigail. Chodzimy do tego samego kościoła. Jak wszyscy stąd. Ale nagle zaczyna być bardzo świadoma pokrytych rosą czerwonych plam na swoich kolanach i próbuje zmienić położenie notatnika tak, by je zasłonić. Ten ruch musiał zwrócić uwagę Huntera, bo chłopak pochyła się i wyrywa jej notatnik z rąk.

– Hej! – protestuje Abigail.

– Co ty tu tak piszesz? Jakąś powieść? Poczytajmy więc ten szajs wart Nagrody Pulitzera.

Zaczyna wertować strony, a ona czuje się tak, jakby próbowała krzyknąć we śnie, ale zamiast krzyku, który oddawałby całą głębię jej przerażenia, po przebudzeniu przekonuje się, że tylko dyszy samotnie w ciemności.

– Oddaj to. Oddawaj, natychmiast.

On już jednak znalazł tę stronę. Abigail wie, że tak jest, bo słyszy oddech Huntera, widzi, jak jego oczy przeskakują tam i z powrotem, jakby wciąż na nowo odczytywał te wersy, tak jak ona.

Oddaj to, błaga go w myślach, wie jednak, że to na nic. Już to zobaczył. Już wie. Gdy uświadamia sobie, co to oznacza, oczy zaczynają ją piec i mętnieją od łez. Teraz powie wszystkim, co napisałam, myśli, a potem jeszcze doda, że płakałam.

Kłamanie nie jest proste. Żyje z kłamstwem jak z wiszącym nad nią ciężarem albo jak z łańcuchem ciągnącym się za jej stopą. Takie kłamstwo jak to jest wyłącznie obciążeniem i Abigail nie chce nikogo nim obarczać, a już na pewno nie kogoś, kogo kocha. Ale wie, że nie będzie w stanie ukrywać tego wiecznie. Chce jej się płakać, ponieważ w pewien sposób odczuwa ulgę, że teraz ktoś inny wie. Nawet jeśli tym kimś jest Hunter Maddox.

Nie spodziewa się tego, co następuje później. Hunter kładzie pamiętnik obok niej, na ciepłym metalu ławki, a potem, po wzięciu głębokiego oddechu, sam też siada. Jak ona spuszcza nogi i oboje kołyszą się razem przez chwilę, owiewani miękką wiosenną bryzą, pachnącą świeżością wód roztopowych spływających z Gór Skalistych. Na parkingu asfalt jest biały od poszatkowanych kwiatostanów jarzębiny, wgniecionych w niego przez setki stóp i opon. Szpaki wydziobują resztki frytek z porzuconych styropianowych pojemników ze stołówki, a z otwartych okien sali gimnastycznej niosą się odgłosy treningu cheerleaderek. Abigail jest zadowolona, że Hunter nie ma nic do powiedzenia, bo wie, że gdyby miał, byłoby to na pewno coś głupiego, a ona chce chłonąć te wszystkie dźwięki i zapachy, dopóki jeszcze mogą.

Uzmysławia sobie, że teraz wszystko się zmieni. Wszystko się zmieni, bo ktoś wie, co się jej przytrafiło.

Teraz

Wibracje telefonu komórkowego w końcu budzą Dolly. Co ten Jude jej znowu dał? Wszystkie kolory w pokoju wydają się zbyt głośne. A dom jest zbyt cichy. To tak jakby, kiedy spała, Bóg podniósł go i umieścił na szczycie góry. Nie ma nic – ani śpiewu ptaków na zewnątrz, ani stukania świerków w okna, ani świszczenia wiatru przez szparę pod drzwiami. Dolly czuje się tak, jakby znalazła się w oku cyklonu.

Tylko ten przeklęty telefon nie przestaje brzęczeć. Szuka go po omacku w fałdach kołdry, aż znajduje, tylko że jej palce nie nadążają za tym, co chce zrobić mózg, więc w końcu naciska ODBIERZ zamiast ODRZUĆ. Prawie mówi „O cholera”, potem jednak cieszy się, że tego nie zrobiła, bo na drugim końcu słyszy piskliwy głos Ann Traxler.

– Dolly, hej, jesteś tam? To Ann, z kościoła.

– Tak, wiem.

– Brzmisz, jakbyś była zaspana. Zdrzemnęłaś się? Ja czasami też lubię uciąć sobie drzemkę w środku dnia. Ale nie obudziłam cię, prawda?

Dolly przygryza wewnętrzną stronę policzka.

– Czegoś ode mnie potrzebujesz?

– Po prostu nie wiedziałam, czy ktoś inny zadzwonił. A pomyślałam, że powinnaś wiedzieć, że dziś wieczorem będzie specjalne nabożeństwo. Chyba o szóstej, tak mówiła Eleanor. Naprawdę ważna rzecz, wiesz. Wszyscy mają być.

– Och. – Dolly wydaje się to dziwne, że reszta świata wciąż myśli, że jest tą samą osobą, którą była wczoraj.

Nie mają pojęcia. Ann Traxler, która wczoraj w Safewayu powiedziała: „...w biurze szeryfa gadają tylko o tym, co ten chłopak zrobił”, nie ma pojęcia. Dzwoni do Dolly, jakby wszystko było absolutnie cacy (i, prawdę mówiąc, kim ona jest, żeby mówić o jej Noahu w taki sposób, jakby nie była tą małą gówniarą, która w pierwszej klasie gimnazjum obrzuciła papierem toaletowym ich dom?).

Zdaniem Dolly Ann jest taka, jaka jest, prawdopodobnie z powodu kobiety, która zmarła w jej salonie fryzjerskim kilka lat temu. Wyzionęła ducha podczas mycia głowy, a Ann powiedziała, że nawet nie zdawała sobie sprawy, dopóki nie splukwała odżywki. Dolly pamięta, że pomyślała wtedy, że jest coś zdecydowanie groteskowego w myciu głowy martwej kobiecie, i rozumiała, że Ann chciała rozmawiać o tym z każdym, kto był gotowy słuchać, bo chyba próbowała nadać temu jakiś sens. I od tamtej pory mówiła o wszystkim, jakby śmierć tej kobiety przerwała jakąś tamę w jej gardle.

– No to jak, Dolly, przyjdiesz? – pyta Ann. – Byłoby naprawdę miło cię zobaczyć.

– Nie wiem. Nie sędzę.

– Posłuchaj, jeśli chodzi o to, co mogłaś usłyszeć w Safewayu, to ja i Eleanor nie...

Dolly rozłącza się i wpycha telefon pod poduszkę. Po raz pierwszy myśli, że dla kobiety, która zmarła w salonie fryzjerskim, nie mogło być przyjemne to, że ostatnią rzeczą, jakiej musiała słuchać na sam koniec życia, był piskliwy głos Ann Traxler.

Podnosi się ciężko z łóżka i uświadamia sobie – z poczuciem pewnego przerażenia, które, jest o tym przekonana, należy do jej matki – że wciąż ma na sobie wczorajsze ubranie. Nikt nie powinien kłaść się do łóżka w skarpetkach. To dobre dla ludzi z podagrą czy czymś takim. Czuje się z tego powodu staromodna, a nawet po prostu stara.

Z westchnieniem idzie do okna i przyciskając do niego czoło, patrzy, jak jej oddech powoli zaparowuje szybę. Noah i Jude są na podwórku. Przypomina jej się mgliście, że jest poniedziałek i Jude powinien być w szkole, a Noah w pracy, ale nie ma energii, by się tym zbytnio przejmować. Noah grabi liście przed szopą, której ściany są tak zbutwiałe i pokrzywione, że wygląda, jakby powoli się zapadała. Jude siedzi na gołej ziemi i wpatruje się w drzwi szopy, kołyszące się w podmuchach wiatru.

Ma ponurą minę, ten jej cierpliwy mały Jude. Obaj chłopcy takie mają i przez chwilę Dolly zastanawia się, czy wiedzą. Ale potem wkłada rękę do kieszeni, dotyka pogniecionego papieru stron z pamiętnika córki i uspokaja się: Nie, nie mogą wiedzieć. Tylko ja to przeczytałam.

Teraz jest już prawie pewna, że Abigail nie żyje. Nawet gdyby zeszłego wieczoru szeryf nie powiedział jej o krwi na swetrze – „Nadal nie możemy być pewni, czy postrzał był śmiertelny, wyjaśniał. Bez ciała nie możemy być pewni niczego” – to jeśli to, co wyczytała na stronach pamiętnika, jest prawdą, słowa Gainsa nie miałyby większego znaczenia. Jeśli Abigail pisała prawdę, to była martwa na długo przed tym, jak zginęła tamtej nocy.

Takie mroczne puste słowo: martwa. Z rodzaju tych, które mogą zwalić człowieka z nóg, jeśli im się na to pozwoli, ale Dolly wie, że nie wolno jej na to pozwolić, jeszcze nie teraz. Otworzy się na nie później, kiedy już wymyśli, co należy zrobić ze skrawkami pamiętnika córki. A zanim to nastąpi, musi upakować ściśle te uczucia i schować je do pudełka na później. Jej synowie to takie dziwne istoty, są twardsi od niej pod wieloma względami, ale tak delikatni pod innymi. Będą teraz potrzebowali jej siły.

Nie taką matkę widziała w sobie, kiedy zaraz po porodzie położyła Noaha w jej ramiona. Strach przed mężem, przed jego knykciem i wyciem doprowadził do tego, że przedkładała jego szczęście nad własne i swoich dzieci. Ale co to za miłość, jeśli najpierw trzeba cię zastraszyć? I co jest nie tak z tym Samuelem, że chce być kochany w taki sposób? Jaką nędzną kreaturą stała się jako żona... Miłość teraz wydaje jej się mrzonką, czymś, na co na pewno nie zasługuje. Lecz widzi również, że to nie Samuel nie odbierał tyle razy telefonów od Melissy Alvarez, nie on zrezygnował z członkostwa w Komitecie Kościelnym Kobiet, nie on odmawiał synom objęć, które mogłyby ich pocieszyć. Ona to robiła. Przez Samuela była tak spętana wstydem, że zaczęła się izolować z własnej woli.

A teraz myśli, że z powodu tego wszystkiego jej córka prawdopodobnie nie żyje. Musi powiedzieć o tym synom. Kiedyś będzie musiała powiedzieć wszystkim, żeby nikt nie mógł podkraść się do niej w Safewayu i zaskoczyć

pytaniem: „Hej, Dolly, jakieś wieści o Abigail?”. Ale jak powiedzieć ludziom, że twoje dziecko nie żyje? Już to sobie wyobraża: będą chcieli, żeby była nieszczęśliwa, bo tego właśnie oczekują i z tym będą się czuli komfortowo. Jeśli spróbuje być inna, odstręczy ludzi, nie będą jej współczuć. Problem w tym, że Dolly jeszcze nawet nie wie, co czuje.

Powinna istnieć taka usługa, myśli, obserwując synów na podwórku, którzy wyglądają tak, jakby unikali patrzenia na siebie nawzajem. Usługa czy ktoś, kto robi takie rzeczy za ludzi. Numer, pod który można zadzwonić, i ktoś inny powiadomi wszystkich w twoim imieniu, że masz martwe dziecko, więc prosimy, żadnych dalszych pytań.

• • •

Emma, kołysząc lekko biodrami, idzie w stronę domu główną ulicą. Hunter, który stoi przed barem i odprowadza ją wzrokiem, zastanawia się, czym się tak denerwował, i nie wie. Kiedy wcześniej zobaczył esemesa od Emmy, poczuł ten okropny, mdlący ucisk w żołądku: ta dziewczyna zadaje tak wiele pytań, i to jest miłe, naprawdę, ma tak dużo energii, na co nigdy wcześniej nie zwrócił uwagi, ale nie zawsze daje mu czas na wymyślenie odpowiedzi. A on potrzebuje czasu na niektóre rzeczy, o które Emma pyta.

Telefon brzęczy mu w dłoni. Nieznany rozmówca, ale Hunter i tak odbiera – nadal kilku osobom ze szkoły i z przyczep zdarza się dzwonić do niego w sprawie koki.

– Śmiało, mówi Hunter – rzuca do mikrofonu.

Na linii panuje cisza.

– Halo?

Nic.

Przełyka ślinę. Rozgląda się, ale ulica jest stosunkowo pusta. Osłania usta dłonią i szepcze:

– Abi?

Nie rozpoznaje głosu, który odpowiada. To może być mężczyzna, ale głos brzmi dziwnie, jakby ktoś mówił przez poduszkę.

– Wiesz, co mogę ci zrobić?

– Kto mówi?

– Wiesz, co mogę ci zrobić, jeśli powiesz.

Hunter zastyga. Jego gardło jest boleśnie suche, ale zmusza się do powiedzenia:

– Nikomu nic nie mówiłem. Przysięgam.

– Nie rozmawiaj więcej z tą Alvarez. Wiesz też, co jej mogę zrobić.

39

Jude żałuje, że pokazał Noahowi zdjęcie. Brat krąży po podwórku w butach z metalowymi noskami – spadek po ojcu – i łypie wściekle na kłody drewna i zeschnięte liście. Jego twarz, ponura jak niebo nad nimi, jest jednocześnie rozpalona i blada. Popołudnie należy do tych wywołujących ból głowy, kiedy światło wydaje się wnikać do środka przez obrzeża gałek ocznych i dźgać mózg. Jude chce wracać do domu. Od siedzenia na ziemi jest mu zimno, ale nie podoba mu się myśl, że miałby zostawić Noaha samego, gdy ten jest w takim stanie.

To z Abi i Rumunem pewnie nie było niczym poważnym. Ten chłopak naprawdę lubi Noaha; Jude domyślił się tego, widząc, jak wtedy w sklepie spożywczym Rumun patrzył za jego bratem z taką miną, jakby Noah właśnie go znokautował. Ale Jude sam poczuł się podobnie, kiedy Noah wrócił rano do domu i powiedział: *To nie ma nic wspólnego z Bogiem, ty idioto...Więc wbij to sobie do głowy i dorośnij!* Noah nie bije tak jak ojciec, mimo to ma swoje sposoby na zwalenie człowieka z nóg.

*Lecz jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi**. Jude wrywa kilka źdźbeł trawy i patrzy, jak wiatr wymiata mu je z ręki. Ma nadzieję, że nie przestanie wierzyć w Boga. Bóg jest jak ta laska, na której się wspiera. Na sesjach fizjoterapeutycznych mówią mu, że może pewnego dnia będzie mógł stać bez niej, i ten dzień wydaje mu się niemal przerażająco bliski, mimo że zarazem nie może się go doczekać. Ale gdyby teraz ktoś zabrał mu laskę, przewróciłby się. Może powinien też wyczekiwać dnia, kiedy będzie mógł stać bez Boga, choć na razie to wydaje się o wiele bardziej odległe.

Wiatr się wzmaga i rozsypuje stos liści, które Noah zdążył już zgrabić. Noah wykrzykuje coś w niebo i w tym samym momencie drzwi szopy zatrzasują się z hukiem. Ten dźwięk sprawia, że Jude siada prosto. Nigdy nie lubił tej szopy. Ojciec trzyma w niej stare truchła – szopów, skunksów, czasami saren, których skóry sprzedaje sklepom w mieście, a kości zostawia do dekoracji – ale Jude w ciągu ostatnich kilku miesięcy znieubił szopę jeszcze bardziej. To tam pewnej nocy, kiedy na ziemi leżał jeszcze śnieg, zobaczył tę złą rzecz, na której opisanie nie potrafi znaleźć słów. Wiatr się uspokaja, drzwi otwierają się i Jude musi odwrócić wzrok, na wypadek gdyby znów miał zobaczyć tę złą rzecz.

Słyszy, że burczy mu w brzuchu, i uświadamia sobie, że jest głodny. Na śniadanie zjadł kawałek grzanki (zaniósł też matce, ale ona wciąż odsypiała diazepam), ale pora lunchu przyszła i minęła, a on jest prawie pewien, że brat nie jadł nic przez cały dzień.

– Powinniśmy pojechać do sklepu – mówi.

Noah opiera się na grabiach i przeczesuje ręką włosy.

– I pewnie chcesz, żebym cię podwiózł? – pyta.

– Mogę spróbować zrobić grillowany ser, jeśli masz ochotę. – Jude wystarczająco wiele razy widział, jak brat to robił w te wieczory, kiedy rodzice byli zbyt zajęci lub w zbyt złym nastroju, by ich nakarmić. Wtedy wydawało się to prawie normalne: ich trójka siedząca na wyłysiałym dywanie w salonie, pijąca zimną herbatę z cytryną i śmiejąca się z długich wąsów roztopionego sera. Często ojciec walił w sufit nad ich głowami i wrzeszczał, żeby się uciszeli, a wtedy Noah pochmurniał i uciekał do swojego pokoju. Ale przez chwilę, od czasu do czasu, bawili się w bycie takimi jak wszyscy inni.

Noah wzdycha i przyciska czoło do trzonka grabi, jakby chciał je przewiercić na wylot.

– Taaa, może być – odzywa się w końcu. – Idź do pick-upa.

Jude podciąga się na nogi, wspierając się na lasce, ale jeszcze chwilę zostaje i przygląda się, jak brat wyciera twarz w rękaw. Czy Noah płakał? Jude nie zdawał

sobie sprawy. Chce, żeby brat wiedział, że jest mu przykro. Przykro mu, że pokazał Noahowi to zdjęcie, a może po prostu dlatego, że ono w ogóle istnieje. Może przypomniało mu o innych, sprzed lat, i o kłopotach, które spowodowały. Bóg cię za to nie nienawidzi, myśli, mając nadzieję, że brat zdoła wchłonąć to przesłanie z powietrza. Bóg nikogo nie nienawidzi: na tym polega Jego istota.

– Powiedziałem ci, żebyś poszedł do pick-upa – rzuca Noah. – Chcesz jechać do sklepu czy nie?

I Jude uzmysławia sobie, że brat nie usłyszał ani słowa z tego, co on pomyślał.

Przez chwilę, gdy się odwraca, odnosi wrażenie, że w oknie na piętrze widzi twarz matki. Chce z nią porozmawiać, ale ona wydaje się być zawsze daleko; obserwuje ich z nieosiągalnej odległości. Spuszcza głowę i już więcej nie patrząc w górę, kuśtyka szybko przez podwórko. Nie może być pewien, ale wydaje mu się, że matka też patrzyła na szopę.

Proszę, Panie, myśli Jude, powiedz, co mam robić? Co mam zrobić, jeśli wiem coś, czego nie powinienem wiedzieć?

• • •

Emma nie pije od tygodnia. Całe siedem dni. Tak naprawdę nie myślała o tym wcześniej, dopiero teraz przyszło jej to do głowy, kiedy ona i matka mijają w Safewayu dział z alkoholem i Emma czuje, że to pragnienie wciąż gdzieś tam w niej jest. Rodzaj głodu czającego się w trzewiach, ale już łagodniejszego, mniej dokuczliwego, bardziej jak wspomnienie, które w połowie się zatarło.

Nie próbuje się oszukiwać, że już po wszystkim. Naiwnie myślała tak w zeszłym tygodniu, dopóki nie poszła do przyczepy Rata i nie wzięła do ręki butelki z likierem brzoskwiniowym. Głód wtedy znów się pojawił, gniotąc ją w dołku tak, że miała ochotę wyrwać sobie żołądek. Kiedy przyszli ludzie i rzucali kamieniami w okna, a Rat osłaniał ją pod stołem, to wszystko wydawało jej się tak nierealne, że dopiero trzaskające pod jej stopami szkło, kiedy szła przez osiedle, upewniło ją, że to się naprawdę wydarzyło. Potem chciała tylko pozbyć się tego

wspomnienia. Zwymiotowała, wypła tyle wody, ile tylko dała radę bez zwracania, a później poszła spać i spała aż do rana.

Gdy obudziła się, czuła, że jakaś granica została przekroczona, że w jakiś sposób temu, co się stało w kamperze Rata, można było zapobiec, gdyby była trzeźwa. Nic tego dnia nie piła – ale poszła porozmawiać z Hunterem i ta rozmowa dała jej wiele do myślenia, więc nie piła też następnego dnia, ani następnego i minął już cały tydzień. Hunter jest pod tym względem w porządku. Nie upaja jej alkoholem i nie mówi, żeby nie zadawała pytań, tak jak to robił Rat. Hunter jest inny. Chce jej pomóc.

– Co to za uśmiech? – Matka szturcha ją lekko, gdy idą po dziale z pieczywem.

– Po prostu mam dobry dzień. – Emma obejmuje matkę w pasie, przytula się do niej i wdycha jej zapach: mydła i cebuli. Ma przy tym uczucie, jakby ktoś w jej klatce piersiowej nadmuchiwał balon i że w każdej chwili może odlecieć.

– Och, synowie Dolly – rzuca nagle matka i dziewczyna musi wrócić na ziemię.

Braci Blake'ów zawsze otacza aura melancholii, lecz tego popołudnia wydają się szczególnie ponurzy.

– Noah, jak się miewa twoja mama? – pyta Melissa. – Wydawała się trochę zdenerwowana, kiedy do niej wczoraj dzwoniłam.

Emma myśli, że matka stara się być uprzejma: Dolly Blake zawsze jest zdenerwowana.

Noah ściska w ręce torbę z pieczywem tostowym – *Idealne na grzanki*, głosi napis na boku – jakby to było koło ratunkowe na środku jeziora, a kiedy Melissa wspomina jego matkę, palce na torbie zaciska jeszcze mocniej.

– Mama jest ostatnio po prostu zmęczona – odpowiada. – Ta cała sytuacja z Abi... To już prawie miesiąc.

– Miesiąc i jeden dzień – dodaje Jude. – Siedemset czterdzieści cztery godziny.

Emmie wydaje się, że to chyba za mało.

– Biedna ta wasza mama. Bardzo jej współczuję – mówi Melissa. – Wiecie co? Jeśli ma problemy ze snem lub czymkolwiek, przyślijcie ją do przychodni. Mamy

nowy...

– Nie – przerywa jej Noah. – Nie ma żadnych problemów ze snem. Ale dziękuję.

Jude w tym czasie odszedł do stołu z ciastami, lecz wpatruje się w Emmę. Ta zostawia matkę, która trochę nieporadnie uśmiecha się do Noaha, i podchodzi do chłopca w sposób, w jaki podchodzi się do sarny w lesie.

– Hej, wszystko w porządku?

Jude stuka palcem w rączkę laski.

– Co robiłaś na drodze wczoraj w nocy?

– Och. – Udawało jej się o tym nie myśleć, odkąd zostawiła Huntera w barze, ale teraz czuje, że wspomnienie osiada na niej jak sieć. – Tylko czegoś szukałam.

– Czegoś związanego z Abi?

– A skąd taki pomysł?

– Nie próbujesz tego wyjaśnić? Bo policja to się raczej nie stara. Już prawie nie dzwonią. Nie chcą nam nawet powiedzieć, co według nich się z nią stało. Szeryf powiedział, że została uznana za osobę zaginioną, ale... – Jude ma w oczach lekko szalone spojrzenie swojej matki. Zaciska usta i stuka w laskę, nie przestaje się jednak wpatrywać w Emmę.

– Jude, czy ty o czymś wiesz?

Przestaje stukać.

– Co wiesz?

Chłopiec ogląda się przez ramię, na brata ściskającego torbę z pieczywem. Noah woła do niego, nie niezycliwie: „Chodź, mały, idziemy!” i Jude odchodzi, patrząc wszędzie, tylko nie na Emmę.

– Biedni chłopcy – szepcze Melissa, kiedy wraz z córką odprowadza wzrokiem braci znikających za rogiem. – Dziwni jak wszyscy diabli... nie zrozum mnie źle, ale jednak. Przez co oni muszą przechodzić...

– Taaa... – Emma kiwa głową. – Dziwni.

• • •

Rozmowa z Jude'em wszystko przywróciła, więc po powrocie do domu Emma próbuje dodzwonić się do Huntera.

Złodziej broni. Tak powiedział jego ojciec. Jerry Maddox przydybał ich w swoim biurze i nazwał syna złodziejem broni.

Emma o kulach i balistyce wie tylko tyle, ile usłyszała w telewizji, ale domyśla się, że szeryf i jego ludzie prawdopodobnie nie zgarnęliby Rata, gdyby jego broń nie pasowała do łuski, którą znaleźli. Wie, że Rat nie miał z tym nic wspólnego, bo był zajęty z Noahem Blakiem, ale tamtej nocy ktoś strzelał. Ktoś rozbryzgał krew na swetrze Abigail, ale to nie mógł być Hunter. Nie mógł. Przecież jej pomaga. Zebrał za nią manto od ojca. Tu dzieje się coś innego, jest tego pewna. Musi tylko porozmawiać z Hunterem.

• • •

Ale Hunter nie odbiera. Ani za pierwszym razem, ani za drugim. Włącza się poczta głosowa, a Hunter, siedząc samotnie w swoim pokoju, z papierosem w drżących palcach, patrzy na dzwoniący telefon i nie ma odwagi odebrać.

* Mt 5,39.

Przedtem

– My możemy siebie nie znać, ale Bóg na nas patrzy – mówi pastor Lewis. Z Biblią w ręce jest pozbawioną twarzy ciemną postacią, podświetloną światłem lata wpadającym przez okno za nim. – Pan wie, co kryje się w sercu każdego z was. Widzi grzech, ale widzi również świadomy wybór, jaki każde z was podjęło, by tu dzisiaj przyjść, do Jego domu, aby oddać cześć Jego chwale i kiedy nadejdzie pora, oddzielić owce od kozłów. Ci, którzy postępowali sprawiedliwie w imię Pańskie, nadal pozostaną sprawiedliwi. Bóg nas widzi, moi bracia i siostry, i dlatego nas zna, ale... czy wy znacie Jego?

Abigail zastanawia się.

Blake'owie zawsze jako pierwsi wychodzą z kościoła, bo siedzą najbliżej drzwi, z tyłu, i wszyscy wydają się zgadzać co do tego, że tam jest ich miejsce. Zresztą nigdy nawet nie próbowali siadać gdzie indziej. Teraz, ocierając zroszone potem czoło, gdy wychodzą na parking, matka Abigail mówi:

– Chciałabym przed powrotem do domu wejść do sklepu.

Samuel kręci głową.

– Kobieto, przecież byłaś w sklepie wczoraj. Czy ty myślisz, że ja śpię na pieniądzach?

Abigail przenosi ciężar z jednej nogi na drugą, czując ciepło betonu przez cienkie podeszwy butów.

– Pójdę z tobą, mamo.

– Sam, chcesz coś?

Samuel spogląda na żonę i córkę, po czym spluwa na ziemię.

– Sześciopak lone stara.

Dolly prowadzi córkę i młodszego syna przez parking, podczas gdy inni wierni wyłaniają się z kościoła, mrugając w świetle południa, jakby właśnie obudzili się z długiego snu.

– Noah, idziesz?! – woła Dolly przez ramię.

– Idę się przejechać.

Abigail odprowadza brata wzrokiem, gdy ten odchodzi w przeciwną stronę, z wysoko uniesionymi ramionami i rękami głęboko w kieszeniach, niemal arogancki w swojej tajemniczości. Jedzie do lasu. Abi wie, bo już kiedyś za nim tam pojechała.

• • •

Otoczony zwęglonymi ruinami starego domu Winslowów, Noah przyciska Rata do kruszącej się ściany i całuje go, z zębami przy jego szyi. Pieprzy go, aż przestaje mówić po angielsku, a potem padają obaj na wznak na miękkie paprocie, a górską bryza osusza pot z ich spoconych ciał. W tej chwili nie są tylko dwójką właściwie obcych sobie ludzi, leżących na ziemi, są czymś zdecydowanie subtelniejszym: starymi listami miłosnymi, poezją Oscara Wilde’a, wargami delikatnie muskającymi grzbiet dłoni – są kochankami. Sprężyste ramię Rata dotyka policzka Noaha i ten wie, że gdyby tylko trochę obrócił głowę, mógłby to ramię pocałować.

Zamiast tego mówi:

– Myślę, że robię to źle.

– Zaufaj mi, chłopcze, dajesz radę.

– Nie nazywaj mnie tak. I wiesz, że nie to mam na myśli.

Rat podpira się na łokciu i wyszczerza się w tym swoim półuśmiechu; gałęzie topoli nad nimi obramowują jego głowę niczym pogańska korona.

– No to dawaj, Blake, wyjaśnij mi, co masz na myśli.

– Ja nie... – Noah przygryza niecierpliwie dolną wargę, sfrustrowany, że słowa nie wychodzą tak, jak tego chce. – Nie jestem taki jak ty. Nie wiem, jak to się robi. Nie jestem częścią „tej społeczności” jak ty.

– A kto powiedział, że ja jestem? – prychnął Rat. – Słuchaj, Blake, jeśli mówisz o społeczności gejowskiej czy jakoś tak, to nie jest to jakiś ekskluzywny klub, do którego musisz wstąpić po to, by uprawomocnić to, co czujesz. – Rat fuka i zakłada włosy za ucho. – Przypuszczam, że nie chodzisz na wszystkie imprezy składkowe, przedstawienia szkolne czy folkowe potańcówki z idiotycznymi konkursami, które odbywają się w Whistling Ridge, a mimo to nadal jesteś częścią tego durnego miasteczka, nie? Społeczność jest po to, żeby wspierać swoich ludzi, i to wszystko. To nie jakaś organizacja, do której musisz należeć.

– Nie wydaje mi się, żebym miał tu jakichś swoich ludzi.

– Pewnie, że masz. – Rat przeciąga kciukiem po złamanej linii jego nosa. – Masz mnie, prawda?

Noah pozwala, by się nad nim pochylił i go pocałował. Jednocześnie myśli: *My możemy siebie nie znać, ale Bóg na nas patrzy.* Na twarz Rata pada popołudniowe słońce i spowija ją ciepłym, zielonym światłem. Noah spogląda mu głęboko w oczy, a on mu się odwzajemnia.

• • •

W Safewayu Abigail i Jude stoją w dziale produktów świeżych, aby ochlapała ich woda z rozpylacza zraszającego niektóre warzywa. Zbyt to nie ochładza, ale Jude się śmieje, a Abigail uwielbia go za to – za to, że się śmieje. Nikt inny w domu nie jest do tego zdolny.

– Nie róbcie tak – karci ich matka. – Zniszczycie ubrania do kościoła.

W sklepie jest pełno turystów. Abigail nie widzi ich oczu za wielkimi okularami przeciwsłonecznymi; jako dziecko zastanawiała się, czy w ogóle mają oczy. Nienawidzi ich, bo jej nie pomogą. Tyle razy od tamtej nocy, kiedy ojciec wybił dziurę w ścianie, pragnęła podbiec do któregoś i powiedzieć: „Proszę,

proszę, pomóż mi, zabierz mnie stąd, tu się dzieje coś złego”, ale nigdy tego nie robi. Pomyśleliby, że jest wariatką, i może mieliby rację.

– Abi, kochanie, chcesz truskawek? – Matka trzyma w górze opakowanie, a dziewczyna widzi, że owoce są przejrzałe, zbyt czerwone i miękkie, jak krew i wnętrzności.

– Nie, dziękuję, mamu. Zgniją, zanim wrócimy do domu.

– Nie są drogie.

– Nie będą się nadawały do jedzenia. Zwyczajnie się zmarnują.

Dolly wzrusza ramionami i wkłada truskawki do wózka.

– Nie, mamu, naprawdę.

– Może później zmienisz zdanie.

Abigail nachodzi nagła chęć, żeby zacząć krzyczeć. Chce walić knykciami w rączkę wózka, aż wszystkie jej palce będą czerwone i lepkie jak te owoce. Nie, myśli. Mamu, powiedziałam NIE. Dlaczego mnie nie słuchasz? Dlaczego nikt nigdy mnie nie słucha?

Jude kładzie rękę na jej ramieniu.

– Abi, wszystko w porządku?

– Muszę iść do łazienki.

Gdy Abigail idzie szybko przez sklep, słyszy pastora Lewisa, mówiącego: *Pan wie, co kryje się w sercu każdego z was. Widzi grzech.* W kabinie wyciąga całą garść papieru toaletowego i upycha go pod spódnicą, między gołymi udami, tak że w końcu nie ma tam nawet milimetra wolnego miejsca. *Widzi wasz grzech.* Opiera głowę o chłodne kafelki łazienki i biorąc głębokie i nierówno oddechy, wdycha wilgotne, przesiąknięte odorem środków dezynfekujących powietrze.

Nie. Powiedziała NIE. Kiedy to słowo straciło swoje znaczenie?

Teraz

Kiedy Noah i Jude wracają do domu ze sklepu, ich matka, oparta o blat kuchenny, pali w zamyśleniu papierosa. W domu zawsze śmierdziało papierosami, ale dzisiaj Noah chyba po raz pierwszy uzmysławia sobie, że naprawdę nie lubi tego zapachu. Może za bardzo przypomina mu kogoś innego. Wie tylko, że musi stąd wyjść, idzie więc na podwórko, by dokończyć grabienie liści.

Wydaje mu się, że chyba teraz już rozumie – tę potrzebę matki, by mieć czymś zajęte ręce lub tak naprawdę ogólnie kończyny. Od spotkania w biurze pastora Lewisa Noah czuje się jak marionetka, która nagle uwolniła się ze sznurków, wstała i po prostu odeszła. Tyle że teraz, bez Rata, nie wie, gdzie ma się podziać. Nie wie, co robić.

Wyciąga telefon. Na ekranie widzi informację, że ma na poczcie głosowej nieodebraną wiadomość, i cieszy się, że nie może widzieć własnej twarzy, kiedy ją odtwarza.

„Hej, Blake, to ja. Posłuchaj, wynoszę się stąd. Trochę czasu zajmie mi przygotowanie kampera, ale powinienem być gotowy do drogi przed szóstą. Nie kłamałem... wiesz... o zdjęciu ani o niczym innym. Będę na ciebie czekał. Godzinę. A jeśli się nie pojawisz... Mam nadzieję, że przyjedziesz, Noah”.

41

– *Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w owczej skórze*
– pastor wyrzuca w górę ręce z Biblią – *a wewnątrz są drapieżnymi wilkami**.

Dalton Lewis stoi ramię w ramię z Bryce'em Longiem, Cole'em Weaverem i innymi chłopakami z drużyny koszykówki i słucha ojca wygłaszającego kazanie z małego podium. Wciąż czuje zapach benzyny, teraz nieco przykryty dusznym zapachem ludzi, którzy przyszedli do kościoła po całym dniu pracy. Matka kazała mu po szkole paść na kolana i szorować dywan, aż do zderzenia skóry na knykciach, i teraz, zginając zaczerwienione palce, Dalton myśli, że bardzo go to cieszy, że ten Rumun zgubił kolczyk. Och, jak go to cieszy.

– Ten nieznajomy przyjeżdża do miasta ze swoim głośnym motocyklem i długimi włosami i niektórzy z nas dają się nabrać na jego gładką mowę, jego tak zwany liberalny idealizm. Niektórzy w dobrej wierze okazują mu gościnność, zapraszają, by dołączył do naszej szacownej społeczności, a on za naszymi plecami deprawuje nam dzieci narkotykami i homoseksualną dewiacją.

Kiedy ojciec Daltona wspomina o gościnności w dobrej wierze, potężny Jerry Maddox kiwa głową energicznie i patrzy wyczekująco na osoby stojące wokół niego, aż w końcu i one zaczynają kiwać głowami.

– W Biblii, kiedy Mateusz mówi o wilku w owczej skórze, ma na myśli właśnie takiego rodzaju zręcznego manipulanta, ale wy, moi bracia i siostry, będziecie wiedzieć, kiedy jesteście prowadzeni na manowce, ponieważ ci ludzie nie są wierni naukom Jezusa Chrystusa. To powinno być jasne dla nas wszystkich: żaden dobry chrześcijanin nie próbowałby nakłaniać członka naszego kościoła do popełnienia grzechu sodomii. Żaden dobry chrześcijanin nie próbowałby odurzać nieletnich

nielegalnymi substancjami uzależniającymi. I żaden dobry chrześcijanin nie próbowałby spalić miejsca kultu Bożego!

Z ławek dobiegają odgłosy sapania, tłum zaczyna się nerwowo wiercić, jakby był kopcem mrówek, który ojciec Daltona zburzył i wystawił jego mieszkańców na światło dzienne.

– Ale ja... – Lewis, trzymając rękę na sercu, kręci głową z wyrazem tak głębokiego smutku na twarzy, że syn prawie mu wierzy. – Ja również muszę wziąć na siebie część odpowiedzialności, jak my wszyscy. Tylko wtedy, gdy naprawdę postępujemy zgodnie ze Słowem Bożym, kiedy żyjemy i oddychamy Bożym przesłaniem i głosimy je na każdym kroku... tylko wtedy jesteśmy w stanie rozpoznać wilka, kiedy pojawi się między nami. I, och, moi bracia i siostry, jakiegoż to wilka myśmy między nas wpuścili!

Tutaj pastor sięga do kieszeni, wyjmując kolczyk tego Cygana i gdy trzyma go w górze, kięł połyskuje złowieszczo w żółtym świetle.

– W dzisiejszych czasach nazywają nas nietolerancyjnymi, kiedy próbujemy bronić naszych praw jako moralni obywatele świata i, co najważniejsze, jako chrześcijanie. Ja jednak twierdę, że byliśmy tak tolerancyjni, jak tylko mogliśmy być, nie sądzicie? W Księdze Wyjścia jest wyraźnie powiedziane, że jeśli dojdzie do szkody, dasz życie za życie, oko za oko, ząb za ząb, rękę za rękę, nogę za nogę... oparzenie za oparzenie, moi bracia, oparzenie za oparzenie!

I to właśnie te słowa skandują zgromadzeni, kiedy wylewają się z kościoła, pakują do swoich samochodów osobowych i pick-upów i jadą w konwoju w góry, w kierunku osiedla przyczep. Dalton z innymi chłopakami z drużyny idzie do Safeway, żeby w dziale przemysłowym kupić pochodnie. Przy kasie krzyczy o sprawiedliwości i moralności, a kiedy wychodzą, dołącza do nich kilku chłopaków z działu garmażerii. Dalton wyobraża sobie przez chwilę, że tak właśnie musi się czuć jego ojciec, gdy staje przed wiernymi, i podoba mu się to uczucie. Wyjąc głośno jak stado kojotów, młodzi chłopcy wymachują prowizorycznymi zagwiami przed twarzą nadchodzącej nocy.

• • •

Dolly drży i kurczy się. Podświetlany szyld przychodni jest włączony – trochę migocze, lecz i tak dokłada się do chóru szumów, które nocą tworzą miejską Amerykę – a jednak w środku nie ma nikogo. Dolly biczuje się w myślach za to, że nie przyszła wcześniej, kiedy Melissa na pewno była jeszcze na dyżurze. Ona wiedziałaby, co zrobić z tymi stronami z pamiętnika; byłaby w stanie pomóc. Ale teraz cała Siedemnasta Ulica jest dziwnie opustoszała. Mokną ziemię zalewa neonowe światło, słychać znajome dźwięki *Best of Irish Fiddle* puszczone z płyty w pubie O’Shannona przecnicę dalej, tylko ludzi nie ma. Dolly wydaje się to dziwne, nawet jak na poniedziałkowy wieczór.

Podskakuje, gdy słyszy kroki w alejce po drugiej stronie ulicy. Ale są zbyt szybkie i lekkie, by to mógł być mężczyzna, i kiedy mała Chrissy Dukes pojawia się na chodniku, Dolly oddycha z ulgą. Podnosi rękę, by pomachać, lecz Chrissy spieszy do drzwi jadalni Aurora, dysząc, jakby całą drogę tutaj biegła, i po krótkiej walce z kluczami kończy, uderzając płaską dłonią w szybę.

– Tato! Hej, tato! – Cofa się i woła w stronę okna na piętrze: – Tato, musisz szybko przyjść. Chodzi o Beau, zabrał pick-upa!

Ale w środku jest ciemno i nikt nie odpowiada.

Dolly znowu macha.

– Halo? Czy wszystko w porządku?

– Och, pani Blake! – Chrissy przyciska rękę do piersi. – Ale mnie pani wystraszyła.

Dziewczyna jest zbyt niska, ma zbyt duży biust, a jej włosy są zbyt proste, by mogła być Abigail, niemniej Dolly zaskakuje samą siebie, mówiąc:

– Co się stało, kochanie?

– Mój brat poszedł na to głupie kazanie. Boże, pani Blake, przysięgam, że oni wszyscy pojechali zlinczować tego biedaka.

– Jakiego biedaka?

– No wie pani, tego chłopaka! Tego, o którym wszyscy mówią... – Dziewczyna spuszcza na chwilę wzrok na buty Dolly, a kiedy go podnosi, jej policzki są mocno czerwone. – Przychodził tu czasami i tak się składa, że wiem, że Noah go bardzo lubił...

– Chwileczkę, chodzi o tego Cygana?

Chrissy zagryza wargę i kiwa głową.

– Tak się martwię o Beau... wie pani, o mojego brata. Ci chłopcy, z którymi się zadaje, potrafią być tacy podli, a on tak łatwo daje się we wszystko wciągać. Nie chcę, żeby zrobił coś, czego będzie żałował.

Miło z jej strony, że tak się martwi o brata, myśli Dolly.

– Posłuchaj mnie, kochanie, pójdziemy razem do biura szeryfa i o wszystkim powiemy.

– Och, nie, nie możemy! Na nabożeństwie byli zastępcy szeryfa... Widziałam ich. Oni po prostu zamierzają pozwolić, żeby to się stało, wiem to.

Dolly obserwuje chmurę pary rosnącą z każdym krótkim i nerwowym oddechem Chrissy i stara się zebrać myśli, ale jedyne, co przychodzi jej do głowy, to obraz twarzy tego cygańskiego chłopca. Pamięta go stojącego w biurze szeryfa z wąłkiem we włosach, to, jak patrzył na Noaha.

Dopiero teraz, gdy obie zamilkły, uświadamia sobie, że nie słyszy już muzyki dobiegającej z pubu. Razem z Chrissy zaczynają wsłuchiwać się w noc i choć Dolly nie wie, czego właściwie nasłuchują, jest prawie pewna, że słyszy odległy dźwięk wielu silników zmierzających w kierunku drogi prowadzącej w góry.

* Mt 7,15.

42

Przedtem

– Do lasu nie chodzi się po to, żeby odnaleźć w nim siebie – mówi Samuel córce, gdy ta ma trzynaście lat. – Chodzi się po to, żeby siebie w nim zgubić. I trzeba to zrobić, inaczej las będzie wiedział, że nie jesteś jego częścią, i cię odrzuci.

Wędrują wzdłuż wspomnienia starego szlaku, teraz zarzuconego szarymi truchłami powalonych drzew. Gdzieś w górze Samuel słyszy wodospad, ale dźwięk inaczej przenosi się w lesie i trudno jeszcze ocenić odległość. Wyjaśnia to Abigail, a ona przytakuje i jej cierpliwa twarz łśni potem.

– Jeśli kiedykolwiek się zgubisz, szukaj rzeki – tłumaczy Samuel. – Big Thompson płynie na wschód i przepływa przez miasto, więc podążając za nią, znajdziesz drogę powrotną.

– Ale ja się nie zgubię, prawda? Mam ciebie. – Córka szturcha go lekko, a on oddaje jej szturchańca.

– No pewnie, mała, nie pozwolę, żeby coś ci się stało, jeśli tylko będę mógł temu zapobiec. Ale tak to już jest z dziką naturą... nie zawsze jest się w stanie wszystkiemu zapobiec.

Natrafiają na pozostałości starego płotu, zielonego od mchu i do połowy zapadniętego w ziemię. Przechodząc przez niego, Abigail zaczepia stopą o kawałek drutu kolczastego, który mocno kaleczy jej kostkę.

– Nic się nie stało, nic się nie stało. – Samuel sadza córkę na sprężystych igłach sosnowych, zdejmując kamizelkę i obwiązuje nią ranę, aby zatamować krew. – No już, trzymaj to mocno, Abi. Słuchaj mnie, musisz robić to, co mówię.

Widzi, jak córka, wpatrując się w materiał na kostce, przez który zaczynają przesiąkać plamy głębokiej czerwieni, mocno mruga.

– Co zawsze mówię twojemu bratu? Czym się kończy płacz?

– Spuchniętą szczęką.

– Tak jest. A teraz trzymaj mocno, przyciskaj naprawdę z całej siły, a krew przestanie lecieć, rozumiesz?

Kładzie córce rękę na głowie; jej włosy są miękkie i ciepłe, a on na moment przenosi się z powrotem do dżungli. Jego dłoń jest zanurzona głęboko we włosach Alexa Majora, przytrzymuje go, gdy ten drga na spieczonej słońcem ziemi, wykrwawiając się, nieważne, jak mocno Samuel naciska na dziurę w jego brzuchu.

„Powiedz mojej matce, że nie mogłem temu zapobiec – wycharczał Alex. Był w wieku Samuela, miał tylko osiemnaście lat. – Umieraniu w takim miejscu jak to”.

Samuel patrzy teraz na córkę, prawie się niewzdrygającą, gdy naciska na ranę, mocno zaciskającą szczękę, jakby wiedziała, że ma zadanie i musi je wykonać bez słowa skargi.

– Zuch dziewczyna – chwali ją. Zawsze, gdy może córkę czegoś nauczyć, nadaje to jakieś znaczenie całej reszcie.

Z zakrwawioną kamizelką obwiązaną ciasno wokół kostki Abigail idą w stronę wodospadu. Samuel wie, że jest południe, bo ich cienie są krótsze. Pora na przekąskę. Kładą się więc na gładkich obok rzeki, jedzą batony energetyczne, które Dolly dla nich spakowała, i słuchają wody.

– Ze wszystkich dźwięków ten lubię najbardziej – zwierza się Abigail. – Pomaga mi wyciszyć wszystko inne.

– Wiem, o czym mówisz, mała. – Słońce pali skałę pod dłońmi Samuela, a on stara się nie przywoływać w pamięci obrazu młodego Alexa Majora.

Gdyby Alex przeżył, skończyłby tego lata pięćdziesiąt osiem lat. Tak samo jak on. To nie była dobra śmierć, nie powinno się tak umierać, myśli, ale czasami zastanawia się, czy takie życie jak jego jest cokolwiek warte. Stale bolą go ciągle

strzykające stawy; czasami na dźwięk wystrzału wpada w euforię, a innym razem nawet najmniejszy hałas sprawia, że ma ochotę oderwać sobie uszy. A kiedy zamyka oczy – nawet teraz, tutaj w Kolorado, w ten słoneczny dzień – cienie dżungli zawsze mu towarzyszą, jakby ktoś przylutował mu jej obraz do wewnętrznej strony powiek.

Ale gdy otwiera oczy, widzi rozciągniętą na gładzie Abigail, z jej piegowatymi smukłymi ramionami podłożonymi pod głowę, z rudymi włosami błyszczącymi jak latarnia morska. Tym właśnie jest dla niego córka. Kiedy zatracą się w przygnębiających, mrocznych wspomnieniach, zawsze może znaleźć drogę powrotną do niej, do swojego światła przewodniego. I chociaż nigdy nikomu nie przyznałby się do tego, czasami łatwiej jest mu odnaleźć córkę niż Boga.

Woda pieni się i podskakuje, jakby była żywa. Jesienią zabiorę Abi do ujścia rzeki, na połów łososi, kiedy będą wędrowały na tarło, myśli Samuel. Pokażę jej, jak się robi wabik, i złowimy sobie kolację, którą zjemy pod gwiazdami. Tylko że siedząc tu teraz z córką, pośród tych cichych drzew, słuchając szumu rzeki, Samuel nie wie jeszcze, że to ich ostatnia wspólna wyprawa do lasu. Za dwa tygodnie pobije jej brata do krwi z powodu kilku zdjęć na jego komputerze, a potem Abigail, jego Abigail, nie będzie chciała więcej zostawać z nim sama.

Na razie jednak po prostu uśmiecha się do niej i mówi:

– Hej, mała, ściągaj buty. Nauczę cię dzisiaj czegoś nowego.

Córka wykonuje jego prośbę, marszcząc czoło, gdy odkleja z kostki lepki materiał.

– Chyba przestało już krwawić.

– Mówiłem ci, że tak będzie. A teraz podejdź tu. Pamiętasz, jak ci opowiadałem, że czasem musieliśmy ukrywać się przed żółtkami pod wodą?

Abi mruży oczy przed słońcem.

– Co będziemy robili?

Samuel spogląda na rzekę kłębiącą się od nieustającego biczowania wodospadów.

– Nauczysz się, jak wstrzymać oddech.

Teraz

– Gdzie jest twoja matka?

Samuel stoi w przedpokoju, wpatrując się w miejsce na ścianie, gdzie dotąd wisiał krzyż z kolorowych kamieni. Kontur nadal jest widoczny, tam gdzie wokół krzyża wyblakła farba, ale dziurę zasłania kawałek świątecznego papieru pakowego, na który Jude patrzy ze zrezygnowaniem. Przyklejony do papieru brokat, przechwytyjąc blask lampy, migocze, jakby kpił sobie z nich obu.

– Pytałem, gdzie matka?

– Wyszła, nie powiedziała, dokąd jedzie. Tato, ona była dziwna przez cały dzień. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale...

– Byłem w tartaku, nie wiesz? W nocy załatwiałem sprawy, a dziś od rana pracowałem, czego nie mogę powiedzieć o tobie, chłopcze. Dlaczego dostałem telefon, że nie było cię dzisiaj w szkole?

– Musiałem zostać z mamą.

– Twój brat powinien był o to zadbać. Gdzie on jest?

– Powiedział, że jedzie po benzynę. – Jude, stukając palcem w laskę, zerka na zegar.

Samuel ruchem głowy wskazuje świąteczny papier.

– Kiedy to się stało?

– Nie wiem, tato. To znaczy... ja to przykleiłem, ale krzyża już nie było, kiedy wróciłem wczoraj wieczorem.

– I matka nic o tym nie mówiła?

– Nie. Wzięła diazepam, a potem spała cały dzień.

Samuel kiwa głową i rozluźnia nieco spięte plecy.

– Twoja matka... czasami jej trochę odbija. Wiesz o tym, prawda? Nie ma do końca równo pod sufitem.

Chłopiec znowu zerka na papier na ścianie i zaciska usta.

– Powiniennem pojechać jej poszukać – rzuca Samuel. – Niedobrze, żeby kobieta łąziła po nocy, kiedy jest w takim stanie.

– Tak, tato.

Samuel przeciera oczy, a potem, mijając syna, zaskakuje sam siebie myślą: Dobry chłopak z tego Jude’a. W kuchni nalewa sobie szklanekę wody i oparty o zlew, wsłuchuje się w stukot laski syna, gdy ten zbliża się do drzwi. Gdyby nie ta laska, może nawet udałoby mi się coś z niego wykrzesać, myśli Samuel. Jude’owi brak żarliwości Abi, ale całkiem chętnie wykonuje rozkazy, jak mały żołnierz. Szkoda, naprawdę szkoda. Teraz dzieli ich już zbyt wiele lat – pięćdziesiąt, skoro już liczy – a to więcej, niż przeżyła większość jego kolegów. Przychodzi mu do głowy, że może powinien powiedzieć to synowi, to lub coś w tym stylu, albo przynajmniej że jest dobrym dzieciakiem. Tylko jaki miałyby to teraz sens?

Unosi ręce nad głowę i pociąga za łokieć, by nastawić sobie bark, jęcząc przy tym głośno. Stojący w drzwiach Jude patrzy na niego dziwnie, jakby dopiero teraz go zobaczył.

• • •

Telefon odzywa się w momencie, gdy Emma siada z matką do kolacji.

– Nie odbierzesz? – pyta Melissa.

– Mamo, prawie nigdy nie jemy razem. Zadzwońią jeszcze raz albo napiszą, jeśli to coś ważnego.

– No tak... A kto dzwoni?

Emma zerka na wyświetlacz.

– Och, dziwne, to Jude.

– Jude Blake? Chyba powinnaś odebrać. Może chodzić o jego mamę.

– Emma? – Głos Jude’a brzmi wyraźnie, ale towarzyszy mu lekki pogłos, jakby chłopiec przysłał mikrofon ręką. – Cześć, Emma, możesz rozmawiać? Bo muszę ci coś powiedzieć.

– Co się stało?

– Nie mogę się skontaktować z mamą ani z Noahem, ale musisz... To znaczy, jeśli naprawdę próbujesz się dowiedzieć, co się stało z Abi, to jest coś, co powinnaś wiedzieć. To było pod koniec marca, chyba widziałem...

Rozlega się brzęk, a potem połączenie się urywa.

43

Kiedy Noah dociera na miejsce, kamper już płonie. Wysiadając z pick-upa, czuje żar na twarzy, widzi dym unoszący się nad drzewami, zanim jeszcze zobaczy płomienie, ale jakimś sposobem wie już, co się pali.

Gdy wychodził z domu, było wpół do szóstej.

– Mam końcówkę paliwa – powiedział. – Jadę na stację. Powiedz mamie, kiedy wróci.

– Możesz po drodze wpaść do sklepu po pastę do zębów? – poprosił Jude. – Zapomniałem wcześniej kupić.

Noah odparł, że może, a potem wrzucił na tył pick-upa walizkę i opuścił dom ojca. *Będę na ciebie czekał*, napisał Rat. *Godzinę*. Noah pomyślał o tym, jak Rat patrzył na niego tamtego popołudnia w lesie, wiele miesięcy temu, i o tym, jak patrzył dziś rano, kiedy kazał mu się wynosić, i dodał mocno gazu.

Teraz gna przez osiedle, mijając mieszkańców, którzy, żeby mieć lepszy widok, stoją na dachach przyczep, biegnie po wypełnionych błotem zagłębieniach w trawie, obok mnóstwa samochodów osobowych i pick-upów, przebija się przez tłum ludzi, upiornie eleganckich w kościelnych ubraniach, wyjących jak stado kojotów.

Ogień takiej skali nie posiada określonego kształtu. To tylko jedna wielka masa płomieni i dymu buchająca z wybitych okien, jaskrawopomarańczowa na tle nocnego nieba. Drzwi, czarne i płonące, odrywają się, gdy cały kamper zaczyna się zapadać. Jakikolwiek widok na wewnątrz blokuje ściana gęstego dymu, który śmierdzi topiącym się metalem, pozostawiając na języku dziwnie słodkawy posmak.

Gorąc jest jak bryła, którą Noah musi rozdzielić gołymi rękami; ktoś chwyta go od tyłu i próbuje powstrzymać. Kątem oka dostrzega postać pastora Lewisa, upiornie bladą w ciemności i z powodu żaru, który zniekształca wszystko, na co Noah patrzy, wydającą się iskrzyć na konturach.

– Ogień to narzędzie w rękach Pana, narzędzie oczyszczenia! – woła pastor z podniesionymi ramionami. – Krzywda zostanie odpłacona, ogień za ogień!

Noah nie będzie pamiętał, co w tym momencie mówi, jeśli w ogóle coś mówi, bo to wtedy rozlega się krzyk. W tłumie są chłopcy – jego koledzy, których znał całe życie. Wiwatują, nad osmolonymi twarzami wymachując rozżarzonymi pochodniami. Ludzie, jak się okazuje, nie płoną w jakiś szczególny sposób. Gdy się palą, wyją jak zwierzęta i ani wiwatujący chłopcy, ani wrzeszczący kaznodzieja, ani nawet sam ogień, grzmiący jak silnik wielkiej ciężarówki, nie są w stanie całkowicie zagłuszyć tego dźwięku.

Z całej siły odpycha od siebie krępujące go spocone ciało i gdy czuje, że trzymające go ręce poluzowują uścisk, wrywa się, po czym łokciem uderza w zęby innego mężczyznę, gdy ten próbuje pochwycić go z boku. Ktoś uderza go czymś ciężkim w plecy i Noah zatacza się, ale nie upada. Nie przewraca się, bo przynajmniej tego nauczył go ojciec.

W ostatniej chwili wydaje mu się, że ponad skowytami mężczyzn i kobiet, ponad rykiem płomieni słyszy wołającą go matkę. Ale Rat znowu krzyczy, a potem jest już tylko ogień.

• • •

Dolly, która przyjeżdża akurat w chwili, gdy Noah znika w płonącym kamperze, przypomina się tamten poranek, sprzed osiemnastu lat, kiedy wróciła do domu i znalazła syna w szafie w sypialni. *Okropnie cuchniesz*, powiedziała do tego małego chłopca, który stał przed nią i chciał tylko, żeby ktoś go przytulił. Teraz przez jej głowę przelatuje myśl: Czy to moja wina, czy to ja go do tego popchnęłam?

Wykrzykuje imię syna aż do zderzenia strun głosowych i żona pastora musi ją powstrzymać, inaczej wbiegłaby za Noahem w ogień.

• • •

– Nie żyje? – pyta ktoś.

Dolly patrzy, jak jej syn wyłania się z kampera i słaniając się, upuszcza na trawę ciało tego biednego chłopca, po czym, plując kłębamii dymu, osuwa się na kolana obok niego.

Dolly rusza w ich stronę.

– Noah!

W tłumie czuć poruszenie, niektórzy uciekają do samochodów, inni przepychają się do przodu, żeby lepiej widzieć.

– Co się dzieje?

– Co się stało z synem Blake'ów?

– Wezwijcie straż pożarną, zanim cały las spłonie! – krzyczy ktoś.

Osmolona twarz Noaha wykrzywia się, gdy chłopak spogląda w dół na postać leżącą w jego ramionach.

– Ocknij się. Rat, proszę, ocknij się... – Jego głos brzmi tak bezradnie, tak młodo.

– Nie bój się, jestem przy tobie – mówi Dolly.

Kuca na ziemi obok syna i przyciska palec do szyi Rata. Powierzchnia skóry nie jest taka, jak powinna być. Głowa opada mu na bok, ale chłopak się nie rusza.

– Cholera, Ed, on chyba naprawdę nie żyje – mówi ktoś.

– Jezu Chryste...

Ann Traxler jest na tyle blisko, że Dolly słyszy jej znajomy głos, gdy ta mówi do pastora:

– Pozwoliłeś, żeby to się wymknęło spod kontroli.

– Karetka! – krzyczy Dolly. – Niech ktoś wezwie karetkę, wyczuwam puls.

To Ann w końcu dzwoni na pogotowie, choć Dolly dowie się o tym dopiero później i wtedy spojrzą na siebie inaczej.

Noah, z policzkami pokrytymi smugami pozostawionymi przez łyzy, próbuje zetrzeć brud z twarzy Rata; jego palce trą skórę gorączkowo.

– Proszę, proszę... – szepcze.

Dolly zamyka dłonie na dłoniach syna. Skóra nieprzytomnego chłopca jest w dotyku gruzełkowata, jak płatanina lin, i Dolly sądzi, że lepiej, żeby Noah nie zobaczył, co kryje się pod brudem.

Za plecami słyszy, jak pastor Lewis mówi:

– Zostawcie go. To jest wola Boża. – Wyciąga rękę, która zdaje się lśnić w blasku ognia. – Wróć z nami do miasta, Noah, a my pomożemy ci się oczyścić. Wróć na drogę prowadzącą do Boga.

Dolly odpycha rękę pastora i dźwiga się na nogi. Tyle lat patrzyłeś na siniaki na twarzy mojego syna i dopiero teraz mówisz o pomocy?

– Trzymaj się z daleka od Noaha – rzuca.

– Och, dajże spokój, Dolly. – Płomienie strzelają, silniki odjeżdżających samochodów wyją, a roztapiający się kamper jęczy, jednak pastor nadal wydaje się zupełnie spokojny. – Pan mówi jasno w Księdze Wyjścia, Dolly. Jeśli dojdzie do szkody, dasz życie za życie, oko za oko, a ten chłopiec chciał wyrządzić krzywdę naszemu kościołowi.

– Ale... – Dolly staje na szeroko rozstawionych nogach i jakaś głęboko pogrzebana część niej śmieje się gorzko, gdyż wie, że jeśli ktoś się tu zamachnie, to ona potrafi przyjąć cios – ale co z Kazaniem na górze? Co z: *Słyszeliście, że powiedziano: Oko za oko i ząb za ząb! A Ja wam powiadam: (...) jeśli cię kto uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi**. No co z tym? Odsuń się, Edzie Lewis, i to już, albo Bóg mi świadkiem, uderzę cię, i to tak, że będzie bolało.

Zobaczymy wtedy, jak ci się spodoba modlenie się w tej intencji.

Gdy przyjeżdżają służby ratownicze, ogień nie płonie już tak intensywnie, a skóra na poparzonej dłoni Rata, którą Dolly trzyma, jest zimna. Dolly bierze też

za rękę syna i trwają we troje w tej pozie, trochę jak w modlitwie, dopóki sanitariusze nie załadują Rata na tył karetki. Wtedy Noah opiera się o nią ciężko i choć dusi ją zapach benzyny i spalenizny, które przyłgnęły do jego ubrania i skóry, Dolly przytula szlochającego w jej włosy syna.

– Och – szepcze, głaszcząc go po głowie. – Och, mój chłopcze.

* Mt 5,38–39.

– Nie pozwalają mi zobaczyć swojej twarzy. – Rat leży na boku, wpatrując się pusto w Noaha jednym widocznym okiem; cała prawa strona jego twarzy jest zakryta dwoma dużymi kwadratami gazy.

Zeszłej nocy Noah nie chciał słuchać tego, co mówili lekarze, zepchnął ich słowa na tył głowy, w głębi serca przekonany, że to na pewno pomyłka. Sformułowania takie jak „poważne oparzenia górnej części ciała”, „tymczasowa ślepota”, „trwałe blizny” nie mogły się odnosić do kogoś, kogo znał. Po prostu nie mogły.

Noah porusza szyją, próbując pozbyć się z niej sztywności – skutku spania w pozycji pionowej na krześle.

– Pewnie ci pozwolą, kiedy już odzyskasz wzrok w drugim oku.

Lekarz powiedział, że Rat ma coś, co nazywa się ostrym atakiem jaskry pod wpływem zamknięcia kąta przesączania, które zostało wywołane zbyt dużym i nagłym ciśnieniem, i kazał mu rzucić palenie.

Zaraz po tym, jak dotarli do szpitala w Estes Park, Noah został zabrany przez lekarzkę do małego pomieszczenia. Kazała mu zdjąć koszulę, żeby mogła osłuchać jego płuca zimnym stetoskopem. Zabandażowała drobne oparzenia na przedramionach, a potem dała mu ściereczkę i powiedziała, że może skorzystać ze zlewu, by umyć twarz. Prosta uprzejmość nieznanego kobiety w środku nocy sprawiła, że oczy zaszły mu łzami.

Matka czekała na niego, gdy wyszedł. Położyła chłodną dłoń na jego czole, tak jak to robiła, kiedy był dzieckiem i udawał chorego, żeby nie iść do szkoły.

– Sądzą, że przeżyje – powiedziała mu, a on zastanawiał się, czy tylko udaje przejętą.

Już wyszła ze szpitala, bo miała mnóstwo nieodebranych połączeń od Jude'a. Noah jest właściwie zadowolony, obawiał się bowiem, że jeśli zostałyby dłużej, to czułość, którą zaczęła mu nagle okazywać, mogłaby się jej znudzić. Nadal nie wie, co ma o tym sądzić, ale uznał, że pomyśli o tym później. Rat potrzebuje jego uwagi, nawet jeśli tego nie mówi.

Noah patrzy na niego, leżącego w szpitalnym łóżku, i do głowy przychodzi mu słowo „wiszący”. Coś w Racie przypomina mu dzwonki wietrzne, które jego ojciec robi z kości zwierząt; w bezwietrzne dni po prostu wiszą na drzewie, niepewne swojego przeznaczenia.

Dłonie Rata są prawie w całości zabandażowane, widać tylko czubki palców. To właśnie dłonie ma najbardziej poparzone – tak twierdzi lekarz. Prawdopodobnie próbował ugasić płomień. Noah chce przycisnąć do nich usta i obiecać: „Wygoją się i będą jeszcze twardsze, a ja kupię ci nową gitarę, żeby skóra na palcach szybciej się zregenerowała, i nowe książki, żebyś, przewracając strony, odbudował sobie w nich czucie. Chce się pochylić i powiedzieć to Ratowi, i całować go, i całować, ale kiedy patrzy ponownie, skręca mu się żołądek. Nic nie może na to poradzić: Rat nie ma paznokci.

– Przykro mi – szepcze, a Rat odwraca wzrok.

– Jestem brzydki.

– Nie jesteś.

– Wolałbym, żebyś... – Jego głos jest słaby, chropowaty. Podnosi rękę, obraca ją w jedną stronę, potem w drugą i obaj wpatrują się w galaretowate opuszki palców. Jego dłoń również wydaje się wisieć, zanim opada ciężko na łóżko.

Okolo południa przychodzi pielęgniarka, żeby obejrzeć twarz pacjenta. Podnosi gazę za pomocą pęsety i Noah dostrzega skórę pod spodem, czerwoną i łuszczącą się.

– Postaraj się myśleć pozytywnie – mówi pielęgniarka przed wyjściem, a Noah nie jest pewien, do którego z nich to kieruje. Wkłada ręce do kieszeni; źle się czuje, trzymając je na widoku.

– Hej – rzuca cicho, jakby się bał, że jego głos może zająć zbyt dużo miejsca i spłoszyć Rata. – Czy jest ktoś, do kogo powinienem zadzwonić w twoim imieniu? To znaczy... czy twoi rodzice wiedzą, gdzie jesteś?

– Moi rodzice?

– Tak... albo jacyś inni krewni? Nie wiem. Nie masz nikogo?

Rat wpatruje się w podłogę.

– Nie mam.

Noah nie wie, co powiedzieć, więc tylko przygryza dolną wargę i próbuje wymyślić, w jaki sposób mógłby być użyteczny. Bo od tego bezczynnego siedzenia ma ochotę wyrwać paznokcie sobie. Musi być ktoś jeszcze w mieście, komu zależy na Racie, ktoś, kto choćby trochę przejąłby się tym, że chłopak ma spaloną połowę twarzy. Noah przygląda mu się – zabandażowanej ręce zasłaniającej usta, mocno zaciśniętym oczom, jakby Rat nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział, że płacze. Nie mogą być jedyną osobą, która uwielbia to, w jaki sposób twoje usta unoszą się z jednej strony bardziej niż z drugiej, kiedy się uśmiechasz, myśli Noah. Nie mogą być jedynym, który uwielbia układ żył na twoich nadgarstkach albo widok mokrych śladów twoich stóp na podłodze po tym, jak wzięłeś prysznic. Wątpi, żeby dzieciaki z przyczep specjalnie przejęły się tym, co stało się z Ratem; niektóre były tam zeszłej nocy i wymachiwały pochodniami. Ale Emma Alvarez – jej kiedyś na nim zależało, jeszcze nie tak dawno temu... chyba.

– Zbiegnę na chwilę na dół, żeby zadzwonić – mówi Noah. – Zaraz wracam, dobrze?

Kiedy wychodzi, zaciąga dużą niebieską zasłonę, żeby Rat mógł płakać, nie będąc przez nikogo widzianym.

Rozpacz ma charakter falowy. Noah uzmysławia to sobie, gdy schodzi na parter. W jednej chwili może siedzieć przy Racie i zapewniać go, że wszystko

będzie dobrze, i w to wierzyć, a to, że Rat potrzebuje takich zapewnień, daje mu poczucie, że powinien tak mówić; potem jednak Noah nagle jest kompletnie przygnieciony potwornością tego wszystkiego. Co, do diabła? Jak ludzie mogą robić coś takiego człowiekowi? I to ludzie, których znał całe życie. Pojechali do Rata i po prostu go podpalili, jakby to była jedna z tych ich składkowych imprez.

– Nie oczekuj, że biuro szeryfa coś z tym zrobi – powiedziała matka wczoraj wieczorem. – Byli tam niektórzy z zastępców i nie kiwnęli palcem. Nie możemy im ufać, Noah. Nie możemy ufać nikomu, tylko sobie nawzajem, rozumiesz?

Ale sądząc po tym, jak na niego patrzyła tymi swoimi wielkimi szalonymi oczami, Noah wiedział, że chodzi o coś więcej niż tylko podpalenie.

• • •

Dolly zatrzymuje się na Siedemnastej Ulicy, wyłącza silnik i na chwilę opiera głowę na zagłówku, próbując zebrać myśli. Całą drogę powrotną z Estes Park walczyła ze sobą, żeby nie zasnąć, wciąż jednak musi wymyślić, co zrobić ze stronami z pamiętnika Abigail.

Biuro szeryfa zrezygnowało z poszukiwań jej córki, czuje to. Kiedy ostatni raz słyszała, żeby przesłuchiwali świadka? Krew na swetrze była dla nich wystarczającą zachętą, żeby odpuścić sobie sprawę, która okazała się zbyt trudna. Nawet ludzie w mieście przestaną interesować się Abigail po tym, co stało się zeszłej nocy. Nie zanieś teraz pamiętnika do biura szeryfa – zwłaszcza po tym, jak zobaczyła zastępców bezwstydnie stojących w tłumie w mundurach, kiedy płonął kamper – ale musi go komuś pokazać. Komuś, kto pomoże jej zdecydować, co powinna robić dalej.

Przez szybę samochodu spogląda na przychodnię. Melissa to rozsądna kobieta, dobra matka. Zawsze domyślała się, co się dzieje, kiedy jeszcze do nich przychodziła. Czowała, że Dolly jest nieszczęśliwa, a Samuel dziwny, nawet jeśli miała na tyle rozsądku, żeby nie próbować się wtrącać. I Melissa rozumie błędy, które mogą popełniać matki – a to najważniejsze, biorąc pod uwagę, co jest w pamiętniku. Ona będzie wiedziała, co zrobić.

Nagle ktoś puka w szybę i Dolly wzdryga się. Na chodniku stoi Ann Traxler i marszcząc czoło, zagląda do środka samochodu.

Dolly opuszcza szybę.

– W czym mogę pomóc?

– Dolly – mówi Ann. – Nie uwierzysz, co mi się przytrafiło dziś rano. Nigdy nie widziałam czegoś takiego.

– Czy to nie może poczekać? Muszę porozmawiać z lekarką.

– Rozumiem, ale musisz mnie posłuchać. Twój mąż będzie się musiał nieźle tłumaczyć.

Dolly przetyka ślinę.

– Co znowu zrobił?

– Nic, poza tym, że prawie odstrzelił mi głowę! Chciałam zapytać o tego Cygana, chciałam się dowiedzieć, co mu się stało, więc zajechałam do ciebie, tylko oczywiście nie zastałam cię w domu, bo byłaś w szpitalu. Nie przyszło mi to jednak do głowy, dopóki nie zauważyłam, że nie ma twojego samochodu, ale zdążyłam już zadzwonić. A twój mąż otworzył drzwi i ze strzelbą wycelowaną w moją twarz kazał mi mówić, gdzie ty, do cholery, jesteś. Groził, że mnie zastrzeli, jeśli mu nie powiem...

Ann musi przerwać, by nabrać powietrza.

– Powiedziałaś mi, że jestem w szpitalu? – pyta Dolly, uruchamiając silnik.

– Oczywiście, że tak.

– Och, do diabła, Ann! Widziałaś Jude'a?

– Co?

– Kiedy byłaś u mnie, widziałaś, czy był tam Jude?

– Wierz lub nie, Dolly, ale bardziej przejmowałam się strzelbą wycelowaną w moją twarz. Naprawdę z tym twoim mężem jest coś bardzo nie tak.

Jakbym o tym nie wiedziała, myśli Dolly i wciska pedał gazu.

• • •

Kiedy dociera do domu, nie ma w nim śladu po mężu ani po młodszym synu. Doświadcza okropnego déjà vu, chodząc po pokojach, wołając Jude'a, i tym razem sprawdza wszystkie szafy i schowki, jednak jej dziecka nigdzie nie ma.

Wybiega na podwórko i woła syna, dopóki wiatr nie wepchnie jej powietrza z powrotem do gardła. A potem, gdy stoi, wbijając paznokcie w skórę głowy, słyszy tępe dudnienie; coś ciężkiego wali o drewno. Idzie za tym dźwiękiem, obiega dom i widzi szopę i jej drzwi, które trzęsą się we framudze, jakby ktoś uderzał w nie od wewnątrz.

– Jude, Jude, to ja!

– Mamo!

Drzwi są zamknięte na wielką kłódkę i nie ma śladu klucza. Dolly krąży wokół szopy, sprawdzając, czy na zewnątrz nie leżą jakieś narzędzia, coś, czego mogłaby użyć do przecięcia kłódki, ale są tam tylko odłamki kości i poroża porzucone w wysokiej trawie.

– Słyszysz mnie, Jude? – Przyciska palce do wąskiej szpary między drzwiami a framugą. – Nie wiem, co robić.

Czuje, że syn wsuwa w szparę palce. Są zimne.

– Myślałem, że on cię zabije, mamo. Miał swój stary karabin i czekał przy drzwiach. Myślałem, że cię zastrzeli.

– Nic ci nie jest? Nie skrzywdził cię?

Chłopiec nie odzywa się i w tej ciszy Dolly przychodzi do głowy pewien pomysł.

– Zabrał ze sobą karabin?

– Nie wiem. Zamknął mnie tutaj, więc nie widziałem. Słyszałem tylko, że odjechał.

– Racja. – Dolly się prostuje. – Trzymaj się tam. Zaraz wracam.

Znajduje stary M16 w przedpokoju, oparty o ścianę i zasłonięty wiszącymi tam kurtkami. Obawiała się, że Samuel mógł zabrać broń do szpitala, ale jej mąż jest wściekły, a nie głupi: nie zaryzykowałby wniesienia karabinu do budynku

z uzbrojonymi ochroniarzami – zastrzeliliby go na miejscu. Dolly znajduje też pudełko z nabojami, ale broń jest już naładowana. Samuel naprawdę nie blefował, kiedy groził, że zastrzeli Ann Traxler, myśli Dolly. Albo mnie.

Na początku próbuje rozbić kłódkę kolbą, ale nie ma takiej siły jak jej mąż i ledwo udaje jej się zrobić lekkie wgniecenie w metalu.

– No dobrze. – Dawno już nie strzelała. Samuel próbował ją nauczyć kilka razy, zanim się pobrali, ale nigdy nie miała do tego takiej smykałki jak on czy ich córka.

– W porządku, Jude. Stań jak najdalej od drzwi.

– Co chcesz zrobić?

– Po prostu rób, co mówię.

Dopiero po pięciu chaotycznych strzałach udaje jej się roztrzaskać kłódkę na tyle, że syn może otworzyć drzwi. Jest na czworakach, jego laska, złamana na pół, leży za nim w rogu szopy. Dolly nie musi pytać, kto to zrobił, gdy klęka w trawie i obejmuje chłopca. Jude wydaje się trochę usztywniony, ale to może też być jej wina. Zajmie im trochę czasu, zanim nauczą się, jak się do siebie dopasować.

– Jude, tak mi przykro, że zostawiłam cię z nim samego. Noah miał kłopoty... po prostu nie pomyślałam. Próbowałam pomóc twojemu bratu, ale... wygląda na to, że nie jestem w stanie pomóc żadnemu z was. – Obejmuje syna mocniej. – Chryste, nie mogłam pomóc żadnemu z was.

– Mamo. – Jude odsuwa się i jego twarz wydaje się nagle starsza. – Czy ty wiesz?

– Co wiem?

Chłopiec spogląda za siebie, na mroczne wnętrze szopy, dokładnie w momencie, gdy jej drzwi się zatrząskują.

– Czy ty wiesz?

45

Podczas gdy Dolly rozmawia z Ann Traxler na ulicy, Emma przyjeżdża do szpitala Estes Park. Waha się, z ręką zaciśniętą na brzegu otaczającej łożko dużej niebieskiej zasłony; boi się, że źle zareaguje na osobę po drugiej stronie. Nigdy wcześniej nie widziała nikogo tak poparzonego.

– Jest bardzo wyczulony na punkcie tego, jak wygląda – powiedział jej Noah przez telefon. – To znaczy... oczywiście jest wściekły na wszystko... ale wiesz, jaki on jest. Przydałby mu się przyjaciel.

Świetnie w teorii, ale co będzie, jeśli poczuje obrzydzenie i tylko pogorszy sprawę?

Noah odsuwa zasłonę, zanim Emma ma szansę odwrócić się i odejść tą samą drogą, którą przyszła.

– Hej, Rat, zobacz, kto przyszedł.

Postać siedząca w łożku podnosi owiniętą w biel rękę, która wygląda jak część dziecięcego kostiumu na Halloween. Człowiek w łożku ma tylko połowę twarzy Rata, tylko jedno z jego przenikliwych niebieskich oczu, resztę zakrywa opatrunek. Skórę, którą można zobaczyć poniżej szyi, pokrywają czerwone grube pręgi, a wszystko pomiędzy nimi jest obrzmiałe jak u świeżo oskubanego kurczaka.

– *Drǎgutǎ* – mówi Rat słabo, ale Emma słyszy i czuje, że zaraz się rozpłacze.

– Cześć, jak leci? – Siada na brzegu łożka.

Instynkt każe jej objąć Rata, lecz Emma obawia się, że jego część może się odkleić i odejść od ciała wraz z nią, gdy będzie się odsuwała. Podpalenie nie miało z nią nic wspólnego, wie o tym, mimo to patrząc na Rata, nie może pozbyć się

poczucia winy, które jest jak gorąca tkanina przyklejona do jej twarzy. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi i to się stało na naszej warcie. Tak jak z Abi.

– Bywało lepiej – odpowiada Rat.

– Wyglądasz świetnie. To znaczy... nadal bym się z tobą umówiła, gdybyś nie był gejem. I dilerem narkotyków.

Emma uśmiecha się i widzi, że usta Rata drgają lekko w kącikach.

Siedzą przez chwilę we troje, próbując zapomnieć, że istnieje coś więcej na świecie niż ta przestrzeń ograniczona zasłoną zaciągniętą wokół nich. Rat, o czym się Emma przekonuje, szybko się męczy po lekach przeciwbólowych i w końcu odpływa. Dziewczyna obserwuje Noaha, który mu się przygląda, i pyta:

– Co mówią lekarze? Wyjdzie z tego?

Nie odrywając oczu od Rata, Noah kiwa głową.

– Mówią o przeszczepie skóry na rękach. Brzmi okropnie, ale podobno potrzeba tylko kilku tygodni, żeby się zagoiło. Liczą, że będzie mógł stąd wyjść najpóźniej za miesiąc.

– Noah, to, co mówiłeś przez telefon... o tym, co ci ludzie zrobili... tak mi przykro.

– Wiesz, że moja mama...? – Noah przeciera oczy. – Jechała za karetką całą drogę tutaj. Moja mama. Możesz w to uwierzyć? Była taka dziwna i miła, powiedziała, że zadzwoni do naszych ubezpieczycieli i spróbuje coś załatwić dla Rata. Byłem na nią zły... trochę.

Emmie do tej pory nie przyszło do głowy, że Noah może nie lubić matki tak jak ojca. Zawsze patrzyła na Dolly Blake z perspektywy kobiety i współczuła jej, że wyszła za takiego mężczyznę. Nigdy nie zastanawiała się, jak musieli czuć się jej synowie, kiedy ojciec traktował ich w ten sposób, a ona tylko stała i na to patrzyła.

– Myślę, że nie ma nic złego w tym, że czasami jesteś na nią zły... trochę.

Noah kręci głową.

– Nic dobrego nigdy nie wynika z tego, że się na nią wkurzam. Albo obrywam ją, albo ona, albo oboje, a potem... Nie wiem. To nic nie daje.

– Jak to nie daje? Co masz na myśli?

– No wiesz... na przykład to, że kiedyś próbowałem doprowadzić do tego, że ojciec będzie na nią zły. Myślałem, że może gdyby wiedziała, jak to jest, toby coś zrobiła. Ten jeden raz... – Noah spogląda na Emmę.

– Mów dalej.

– Nie, nieważne. – Przygryza dolną wargę. – Jude opowiadał mi wczoraj o twoich próbach odkrycia, co się stało z Abi.

Emma zaczyna skubać luźną nitkę przy swojej dżinsowej kurtce.

– Szczerze mówiąc, teraz jestem bardziej zdezorientowana, niż kiedy zaczynałam.

– Taaa... cała Abi.

– Ale skoro wspomniałeś o bracie... miałam wczoraj od niego bardzo dziwny telefon. Powiedział, że musi mi coś powiedzieć o Abi, a potem połączenie po prostu się zerwało.

Noah unosi brwi.

– Próbowalaś do niego oddzwonić?

– Jasne, ale włączała się poczta głosowa. Tylko że ostatnio często mi się to przytrafia, więc nie wiem... Chłopcy...

Przedtem

Ostatniego dnia marca śnieg nadal pokrywa grubą warstwą Góry Skaliste, a mieszkańcy Whistling Ridge od świtu odśnieżają podjazdy i posypują piaskiem zamarzniętą na drogach i chodnikach breję z poprzedniego dnia.

Noah i jego ojciec sami odśnieżają Hickory Lane, ponieważ nikt inny tego nie robi. W promieniach wschodzącego słońca śnieg ma brzoskwiniowy odcień i Noahowi przypomina się, jak kiedyś, gdy on i jego rodzeństwo byli dużo młodszy, nabierał śnieg na łyżkę do lodów i serwował bratu i siostrze. Za kilka miesięcy miną cztery lata od czasu, gdy w ścianie powstała dziura. Noah nieraz tęskni za

Jude'em, za tym, jak kiedyś trzymali się razem. Udawał wtedy – tylko przed sobą – że dużo młodszy brat jest jego synem, i był niezwykle z siebie dumny, że opiekuje się nim lepiej niż ich ojciec. Z Abigail jest jednak inaczej. Może kiedyś wyrosną z tej urazy – Noah ma nadzieję, że tak się stanie, bo bycie obrażonym jest czasami wyczerpujące. Ale trudno tak naprawdę tęsknić za kimś, o kim ciągle ci przypominają, podając go za wzór.

– Powinienem ściągnąć tu twoją siostrę – mówi ojciec. – Odśnieżałaby sto razy szybciej od ciebie.

Więc dlaczego tego nie zrobisz? – myśli Noah. Chce zwinąć się z powrotem w łóżku, gdzie ogrzeje sobie ręce i stopy i będzie mógł zatopić się w lekturze, aż zapomni o siostrze, o ojcu, o nich wszystkich.

– Jak się z tym czujesz, chłopcze? Ze świadomością, że dziewczyna może wykonywać męską robotę lepiej niż ty?

– Ona nawet nie jest twoja – mamrocze Noah.

Samuel zatrzymuje się i patrzy na niego z zaskoczeniem.

– Co ty powiedziałaś?!

Ośmielony wahaniem ojca, Noah powtarza głośniej:

– Abi nie jest nawet twoją córką. Mama miała romans.

– Uważaj, co mówisz o matce.

– Wtedy, przed laty, gdy uciekła do Longmont.

– Zamknij gębę!

Noah cofa się o krok, by nie być w zasięgu rąk ojca.

– Powiedziała mi.

– Kłamiesz... Okłamujesz mnie, chłopcze, a fałszywy świadek nie uniknie kary.

Opętany przez nagłą myśl, by uderzyć ojca, Noah wzmacnia uścisk na trzonku łopaty, ale wtedy Samuel, wydmuchując w powietrze obłok ciężkiego białego oddechu, nagle się na niego rzuca. Noah puszcza łopatę i biegnie w górę ulicy; gonią go tłumione przez śnieg wrzaski ojca.

Do dziś nie wie, dlaczego to powiedział. Chciał zranić ojca, ale dlaczego akurat to? Matka kiedyś uciekła do Longmont, to prawda. W czasach, kiedy matka piła litrami gin, bo bardzo nie chciała być w ciąży z Jude'em, opowiadała Noahowi wiele tego rodzaju dziwnych historii. Powiedziała mu, że w Longmont spotkała miłego człowieka, który pomógł jej wnieść walizkę i postawił drinka w pobliskim barze, ale nie było tam nikogo, kto zaciągnąłby ją do łóżka. Noah pamięta, bo chwilę później musiał przytrzymać jej włosy, gdy wymiotowała, i pomyślał, że mężczyzna, który chciałby się zbliżyć do jego matki, musiałby być szalony.

Ale tego ranka, gdy odśnieżał Hickory Lane, wiedział, że nie mógłby powiedzieć ojcu nic gorszego; Samuel Blake był przecież taki dumny z córki, nawet bardziej niż ze służby w Wietnamie czy z tego, że krzyczał „Alleluja” głośniejsz niż ktokolwiek inny w kościele. A tymczasem Noahowi nie wolno było być dumnym z niczego.

Ojciec, mówiąc o fałszywym świadku i karze, oczywiście miał rację: ani Noah, ani jego matka jej nie uniknęli. Samuel ściągnął pas i zbił starszego syna i żonę sprzączką, która pozostawiła głębokie pręgi na ich ramionach. Najsmutniejsze było to, że matka przyznała się do wszystkiego – a przynajmniej do tego, że zatrzymała się w motelu w Longmont – jakby myślała, że to powstrzyma męża, nawet wtedy, gdy sprzączka, zataczając koło, trafiła ją w szczękę. Tego wieczoru straciła ząb, mimo to nigdy nie domagała się od Noaha wyjaśnień. Pewnie była zakłopotana, że syn pamiętał tę historię z motelem i że przytrzymywał jej włosy, kiedy wymiotowała; tak przynajmniej sobie to tłumaczył.

To, że poniosą karę, było czymś oczywistym. Noah wiedział o tym już od chwili, gdy otworzył usta, ale potrzeba odegrania się na ojcu była zbyt silna. Nie przyszło mu jednak do głowy, że Abigail też może zostać za to ukarana.

Teraz

Emma, wychodząc ze szpitala, nie zauważyła stojącego w holu na parterze ojca Noaha.

– Hej, ty! – przywołuje ją Samuel Blake. – Dlaczego ciągle na ciebie wpadam?

Jego widok zawsze wzbudza w niej odrazę, ale dziś ten człowiek wygląda szczególnie niechlujnie, jakby przez ostatnie kilka dni spał w ubraniu na gołej ziemi.

– Mówię do ciebie, dziewczyno. Widziałaś moją żonę? Jest tutaj?

– Wydaje mi się, że pojechała do domu.

Emma nie chce patrzeć mu w oczy, więc wpatruje się w jego dłonie – Samuel dłubie przy skórkach paznokci, jakby to był jakiś tik. Wtedy właśnie dziewczyna zauważa bransoletkę – kilka zmatowiałych łusek nawleczonych na skórzany rzemień, dokładnie coś takiego, co według niej może nosić mężczyzna pokroju Samuela Blake’a. Tylko że ta bransoletka jest dla niego o wiele za mała; wrzyna się w nadgarstek, pozostawiając na skórze czerwoną bruzdę.

Samuel patrzy na nią, potem na bransoletkę, a następnie odwraca się i wychodzi ze szpitala.

– Hej, proszę zaczekać! Skąd pan...?

Samuel idzie szybko na swoich długich nogach, znacznie szybciej niż ona, i Emma dociera do drzwi frontowych, gdy jego pick-up rusza już z parkingu i prawie wpada na inny przy wyjeździe.

Biegając do swojego samochodu, Emma próbuje połączyć się z Hunterem. Chłopak nie odbiera, więc w końcu tylko zostawia mu wiadomość.

– Słuchaj, czy masz jeszcze te zdjęcia z tamtej nocy przy Tall Bones? Chodzi mi o to ze mną i z Abi. Jadę do ciebie. Muszę coś sprawdzić.

Nie może oprzeć się wrażeniu, że już widziała tę bransoletkę.

Przedtem

Po wypluciu do umywalki zęba wraz z całą masą krwi Dolly bierze połówkę diazepamu i idzie do łóżka. Jude zakrada się do łazienki i długo wpatruje w ząb, zafascynowany tym, jak krew spływa powoli w kierunku odpływu, czerwona na tle białej porcelany, jak laska cukrowa. W końcu Noah odsuwa go, bo chce wziąć z szafki jakieś środki przeciwbólowe, a potem obaj wracają do swoich pokoi.

Później Jude leży w łóżku i wsłuchując się w cichnące odgłosy domu, myśli, że czuje się jak ta krew w umywalce – on też osuwa się ku czemuś.

Kwadrans po północy budzi go odgłos kroków na schodach; ktoś idzie na dół. Kiedy chłopiec słyszy trzask tylnych drzwi, przeczołguje się na koniec łóżka, by wyjrzeć przez okno. Wszystko jest oświetlone blaskiem księżyca połyskującym na śniegu, widzi więc wyraźnie, jak ojciec ciągnie przez podwórko szamoczącą się Abigail, trzymając rękę na jej ustach.

Jude nic nie rozumie; przecież tata nigdy jej nie krzywdzi. Sam nie wie, po co schodzi na dół, ale z jakiegoś powodu czuje, że musi to zrobić. Nie mógł pomóc Noahowi ani matce, ale może tym razem... Idąc po schodach i wychodząc na zewnątrz przez kuchnię, wmawia sobie, że kiedyś nadejdzie taki moment, że wkroczy i to wszystko zatrzyma.

W szopie pali się światło, które wysącza się w noc przez szpary między deskami. Jude podkrada się bliżej i zagląda przez jedną z nich. Widzi, jak ojciec zdejmuje pasek – jednym szybkim i ostrym ruchem – i dostrzega strach na twarzy siostry, skurzonej przy przeciwległej ścianie. Jude pamięta, że tego wieczoru ojciec pobił tym pasem Noaha i matkę; pamięta, że matka wyglądała na tak samo

przerażoną jak teraz siostra; pamięta, jak kłamra zostawiała mokre i czerwone ślady na plecach brata. Ale Jude ma dopiero dwanaście lat i nie chce tego znowu oglądać, dlatego wkłada sobie knykcie do ust i kuśtyka z powrotem w stronę domu.

Tylko że kiedy idzie, nie słyszy dźwięku skóry uderzającej o skórę. Zamiast tego przyływa do niego nagły krzyk siostry i dziwny, bolesny jęk ojca. Z tego, czego naprawdę był świadkiem, zdaje sobie sprawę dopiero miesiące później, tego dnia w lesie, kiedy widzi, jak Noah takim samym płynnym ruchem wyciąga ze szlufek pasek.

Teraz

W drodze powrotnej do Whistling Ridge Emma traci z oczu pick-upa Samuela Blake'a. Może chcąc uniknąć wzmożonego ruchu, wybrał boczną drogę, a może naprawdę jedzie tak szybko; tak czy inaczej, gdy dziewczyna dostrzega znajomą iglicę kościoła, nie jest w stanie powiedzieć, gdzie może być Samuel.

Ponownie próbuje dodzwonić się do Huntera, ale on nadal nie odbiera. Kiedy podjeżdża pod dom Maddoxów, na zewnątrz stoi tylko jego samochód, nie ma śladu po jego rodzicach, ale drzwi wejściowe są szeroko otwarte.

Podchodzi powoli i odchrząkuje.

– Halo?

Na framudze drzwi widnieje czerwony odcisk dłoni. Emma czuje, że włoski na jej rękach stają dęba, jakby miała w skórze setki małych haczyków próbujących oderwać skórę od kości. Instykt podpowiada jej, żeby wracała do samochodu, lecz dziewczyna bierze głęboki oddech, a potem słyszy dochodzący z wnętrza domu słaby znajomy głos:

– Hej... czy ktoś tam jest? Proszę...

– Hunter?

Znajduje go w przedpokoju, leżącego na plecach; krew spływająca z rąk i ubrania chłopaka powoli wsiąka w dywan wokół niego. Koszula jest rozdarta.

Rana w brzuchu wygląda jak drugie usta, a kiedy Hunter próbuje się poruszyć, otwiera się i na dłonie Emmy, która niepewnie dotyka brzucha, wylewa się jeszcze więcej krwi.

– Och, Boże, och, Jezu, Hunter! Co się stało?

Jego głowa przechyla się na jedną stronę.

– Dźgnął mnie... Podszedłem do drzwi, a on mnie dźgnął.

– Kto? Kto cię dźgnął?

– Po tym, co jej zrobił... co zrobił Abi, musiałem jej pomóc... – Powieki Huntera trzepoczą, jakby nie mógł utrzymać ich otwartych.

– Och, nie, nie, proszę, patrz na mnie. – Emma chwyta go za twarz i potrząsa nim tak mocno, jak tylko starcza jej odwagi. – Hunter, no już, patrz na mnie, patrz.

Coś, co zatamuje krwawienie, tego potrzebuje. To właśnie jest to, co zawsze robią w telewizji.

– Trzymaj się, zaraz wracam.

– Nie, nie zostawiaj mnie...

– Nic ci nie będzie, będzie dobrze, naprawdę. Wiesz, co mówią? Umieranie z powodu rany brzucha trwa wieki. – Emma śmieje się tylko dlatego, że musi w jakiś sposób pozbyć się napięcia, i do wyboru ma albo to, albo wybuch płaczu.

W kuchni jest ręcznik ze wzorkiem w małe dziecięcy, więc zabiera go do przedpokoju i przykłada do rany, starając się wywrzeć jak największy nacisk, chociaż martwi się, że może robić Hunterowi jeszcze większą krzywdę.

– Hej, Hunter, masz to zdjęcie? To ze mną i z Abi przy Tall Bones?

Chłopak mruga ciężko i jego głowa znowu opada na bok.

– Wiem, Hunter, ale to naprawdę ważne, ważne dla Abi.

– Na górze... w szufladzie...

– Pójdę po nie, dobrze? A ty musisz... Masz. – Emma bierze jego ręce i kładzie je na ręczniku. – Jezu... Musisz trzymać to najmocniej, jak potrafisz, dobrze? Ja zaraz wracam.

Nigdy wcześniej nie musiała dzwonić pod 911 i potrzebuje do tego kilku prób, tak zakrwawione są jej palce. Cała ta sytuacja jest do tego stopnia surrealistyczna, że dziewczyna czuje coś w rodzaju podekscytowania, gdy wybiera numer, biegnąc po schodach do pokoju Huntera z komórką między ramieniem a podbródkiem.

Mężczyzna, który odbiera, jej zdaniem brzmi zbyt spokojnie. Każe jej podać adres i mówi, żeby się nie rozłączała. Zapewnia, że wyślą kogoś tak szybko, jak to możliwe, ale przejazd z Estes Park do tej części Whistling Ridge jest utrudniony; górskie drogi są dość trudne do pokonania dla karetki.

– A co z policją? – pyta Emma, klękając przy szafce nocnej Huntera i wyciągając szufladę. – Mój kolega został ugodzony nożem. Czy oni też nie powinni tu być?

– Proszę pani, czy uważa pani, że napastnik nadal znajduje się na terenie domu?

– Nie, ale ja... – Spogląda w dół na zdjęcie z polaroida, na twarze, swoją i Abi, pokryte teraz krwawymi spiralami odcisków jej palców. Ramię Abigail otacza jej plecy, dłoń jest tuż przy brzegu kadru, a na nadgarstku widać bransoletkę ze starych naboju, tę samą, którą miał dzisiaj Samuel Blake. – Wiem, kim on jest.

On zna te lasy lepiej niż ktokolwiek inny. Mógł wybrać jakąś sobie tylko znaną drogę powrotną ze szpitala, co znaczy, że Emma nie miała szansy go zobaczyć.

– Proszę, musi się pan skontaktować z szeryfem Gainsem z biura szeryfa w Whistling Ridge. Niech mu pan powie... niech pan powie, że wiemy, co się stało z Abigail Blake.

Zupełnie jak w telewizji, mówi do siebie w duchu Emma, i może to przez adrenalinę, ale dokładnie wie, co musi zrobić w następnej kolejności.

Schodzi na dół i znów przyciska ręcznik do brzucha Huntera, usiłując ignorować ciepło krwi między palcami, jej posmak w powietrzu, jakby w ustach trzymała monetę.

– Poczekam do przyjazdu karetki.

– Emma, nie odchodź...

– Zostanę, dopóki nie przyjedzie, obiecuję. Tylko się trzymaj, dobrze? Ale potem muszę ostrzec rodzinę Abi. Nie mogę dopuścić, żeby im też to zrobił.

Przedtem

To zwykła noc w małym miasteczku – choć w Whistling Ridge będzie ostatnią taką na wiele lat, mimo że nikt jeszcze o tym nie wie.

Noah Blake stara się nie patrzeć na plamy błota na swoich dżinsach, gdy wyjeżdża z polnej drogi w pobliżu domu Winslowów. Twarz mu płonie, kiedy w lusterku wstecznym obserwuje malejącą postać Rata z podświetlonymi płomieniem zapalniczki wyraźnymi kośćmi policzkowymi.

Dolly siedzi na najniższym stopniu schodów i wpatrzona w krzyż na ścianie, zastanawia się, czy to jest ta noc. Może dziś wieczorem jej syn po prostu nie wróci do domu. I co ona wtedy powie?

W dużym drewnianym domu Maddoxów Jerry wymienia niespokojne spojrzenie z żoną, pakując do starej foliowej torebki z Safewaya dwadzieścia gramów kokainy.

Na skraju lasu Emma Alvarez wzrusza ramionami i mówi: „To do jutra, mam nadzieję”, po czym odchodzi, spowita mrokiem otaczającym Tall Bones. Abigail patrzy za przyjaciółką do momentu, aż ta nie zniknie jej z pola widzenia, w klatce piersiowej czuje ból, jakby przygniatało ją coś ciężkiego. Ognisko huczy, a dzieciaki z przyczep wyją do księżyca. Po drugiej stronie polany pojawia się Rat. Zaciągając się tkwiącym w ustach papierosem, widzi, jak Abigail wchodzi między drzewa.

• • •

– Jesteś pewna?

Hunter opuszcza trochę latarkę tak, by nie świeciła Abigail prosto w oczy, mimo to widzi, jak jej brwi schodzą się razem, gdy dziewczyna mówi:

– W zeszłym tygodniu wyrwał strony z mojego pamiętnika... wiem, że to był on. Nic nie powiedział, ale odłożył pamiętnik z powrotem, jakby chciał, żebym go znalazła. On wszystko wie, Hunter. I wie, że miałam się dzisiaj z tobą spotkać. Kończy nam się czas, musimy iść już teraz.

– Ale co z pieniędzmi? Moi starzy znaleźli kokę.

– Słuchaj, nie musisz ze mną iść, jeśli nie chcesz, ale ja nie wracam.

Las skrzypi wokół nich, kruche sosny wyginają się na wietrze. Hunter sięga do Abigail w ciemności, czuje nabrzmiałe żyły na jej dłoni. Dziewczyna nie patrzy mu w oczy, ale w końcu chwyta jego rękę.

– Chodź – rzuca. – Jeśli pójdziemy pod prąd rzeki, będziemy wiedzieli, że idziemy we właściwym kierunku.

– A co z Emmą? Pożegnałyście się?

– Mówiłam ci, że ona ma wystarczająco dużo na głowie. – Idzie przodem, ciągnąc go za sobą. Gałęzie czepiają się ich, jakby próbowały ich zatrzymać. – Tak będzie lepiej.

Hunter nie widzi twarzy Abigail, ale słyszy to w jej głosie: ona nie wierzy w to, co mówi.

– Jeśli będziemy trzymać się planu, dotrzemy do Estes Park przed wschodem słońca i złapiemy pierwszy autobus do Denver. Nie będzie samochodu, nie będzie śladów, nie będzie niczego. – Po chwili Abigail pyta: – Zabrałeś przynajmniej pistolet? Ten, który ukradłeś z kampera Rata?

Chłopak stara się zignorować tę małą uszczypliwość kryjącą się za słowem „przynajmniej” i odpowiada, że tak, oczywiście, że zabrał.

– Ale... no nie wiem. Nigdy wcześniej nie strzelałem z pistoletu. Nie rozumiem, dlaczego nie mogliśmy wziąć jednej ze strzelb myśliwskich mojego ojca.

– Zauważyłyby, że zniknęła.

– No tak.

– I lepiej, żebym to ja miała przy sobie broń. Ty nie strzelasz najlepiej.

– Ale chyba nie sądzisz, że będzie nam potrzebny, co?

W świetle latarki chłopak widzi wyraz twarzy Abigail, gdy wręcza jej pistolet.

– Hunter, jesteśmy teraz w dzikim lesie.

• • •

Samuel parkuje pick-upa między drzewami, wyłącza światła i przednią szybę okłada gałęziami, żeby nie odbijał się od niej blask ogniska płonącego po drugiej stronie polany. Dzieciaki tańczą pośród głazów sterczących z ziemi jak szpony diabła. Widzi Abigail – jej rude włosy lśnią w blasku ogniska, kiedy dziewczyna zanurza się w las – więc trzymając się granicy drzew, Samuel okrąża Tall Bones i idzie za nią. Wtyka palec w jeden ze śladów stóp Abigail – ziemia jest wciąż wilgotna od wieczornego deszczu. To nie pierwszy raz, kiedy Samuel musi tropić kogoś, nie będąc widzianym; łatwo mu wpaść w dawny rytm.

Zatrzymują się w punkcie, gdzie drzewa ustępują miejsca skałom, na krawędzi wysokiego na cztery metry stromego zbocza, tam gdzie rzeka wypłukała ziemię. Nawet bez latarki syna Maddoxów Samuel wie, że poniżej są rwące potoki, których wody z hukiem przelewają się przez wąwóz i rozlewają po lesie. Spomiędzy sosen obserwuje, jak tropiona przez niego dwójka dzieciaków opiera się o duży głaz, by złapać oddech. Chłopak wygląda tylko na zmęczonego, ale u Abigail Samuel rozpoznaje ten rodzaj wyczerpania, które bierze się z nadmiernie wyostrejzonej czujności. Dziewczyna spina się na każdy dźwięk wydawany przez las. Gdy z pobliskiego drzewa podrywa się ptak, Abigail podskakuje i Hunter musi ją objąć. Jeszcze chwilę jest sztywna, w końcu jednak, wsparta o niego, odpręża się.

– Nie ratujesz mnie, wiesz to, prawda? – pyta. – Nie ratujesz mnie, tylko mi pomagasz. To różnica.

W tym momencie – dopóki jeszcze córka się nie pilnuje – Samuel wkracza na polanę z wyszczerzonymi zębami. Abigail wzdryga się i zaczyna szukać czegoś

w torebce; jej twarz robi się biała jak księżyc. Syn Maddoxów staje przed nią z podniesionymi rękami, ale w tym geście, w jego zaciśniętych pięściach nie ma przekonania; chłopak pudłuje przy pierwszym ciosie. Samuel łapie go za koszulę i odpycha na bok, dodając kopniaka w kostkę, po którym Hunter pada na twarz.

– Abigail!

Wyciągnęła broń, lecz Samuel chwyta ją za nadgarstek i wrywa jej pistolet, przy okazji zrywając z ręki dziewczyny bransoletkę z łusek.

– Przestań, Abi, słyszysz mnie? No już, daj spokój, wracaj do domu.

Córka wije się w jego uścisku, a potem odchyła głowę i pluje mu w twarz. Puszczą ją, tylko na sekundę, by wytrzeć oczy, ale Abigail rzuca się do ucieczki w kierunku skał.

– Nie uciekaj ode mnie, dziewczyno! Nie waż się ode mnie odwracać!

W tym momencie Samuel nie jest już w lesie w Kolorado, ale z powrotem na polanie w Sơn Tinh, z karabinem w ręce, ze śmiechem z baru wsiąkającym w noc. Widzi białka oczu Hoa, gdy ta odrywa się od niego i biegnie, miażdżąc bosymi stopami zeschnięte liście. „Hej – krzyczy do niej – nie uciekaj ode mnie!” W tej ostatniej sekundzie, zanim pociągnie za spust, Hoa ogląda się przez ramię, a Samuel widzi strach, tak oczywisty, że on czuje go w ustach, mógłby przysiąc. Jest gorzki i ostry, jakby lizał cytrynę, mając rozcięte usta. Hoa pada i leży w kurzu, a on wciąż widzi jej oczy. W grupach wsparcia będzie potem przez lata wysłuchiwał, jak mężczyźni mówią, że nie mogli znieść właśnie oczu: te oczy zawsze potem coś do nich mówiły. Samuel nie miał takiego objawienia – w nieruchomym, milczącym spojrzeniu Hoa nie było nic: ani gniewu, ani oskarżenia, ani przebaczenia. Ale Bóg mu przecież przebaczył. Bóg zrozumiał. Samuel musiał pozbyć się dowodów, musiał... Co by powiedziała jego matka?

Kiedy spogląda ponownie, Wietnamki już nie ma, ale Abigail ścisną się za ramię i pod jej dłonią rozprzestrzenia się ciemna plama.

Samuel wydaje taki dźwięk, jakby ktoś przebił mu płuca. Córka patrzy na niego, a potem na syna Maddoxów; jej oczy są przerażająco wielkie, ale w tej

ostatniej chwili, kiedy znów wraca wzrokiem do Samuela, wydaje mu się, że dostrzega cień uśmiechu w kącikach jej ust. A może to jedynie złudzenie wywołane światłem księżyca. Sekundę później już jej nie ma, znika za krawędzią skał, przepada w odmętach wody poniżej.

• • •

Nie ma pojęcia, jak długo kuca na tych skałach i woła ją, uderzany zimnym powietrzem bijącym od rzeki w dole. Wydaje mu się, że długo. Jego kolana najwyraźniej też tak uważają, sądząc po tym, jak strzykają, gdy w końcu Samuel się podnosi. Kiedy się odwraca, syn Maddoxów wciąż tam jest; siedzi oparty plecami o pień sosny, z nogami przyciągniętymi do piersi, i wpatruje się w miejsce, w którym wcześniej stała Abigail, zbyt wstrząśnięty lub zbyt głupi, by uciec.

Samuel nabiera powoli powietrza, rozważając swoje opcje. Mógłby zastrzelić również chłopaka. Z pewnością mógłby to zrobić. Ale wtedy automatycznie stałby się jedynym podejrzanym, którego policja mogłaby z tym powiązać. Zakładając, że w ogóle dotrą tak daleko – ta banda kozojebców z biura szeryfa – ale jednak. Nigdy nie zaszkodzi mieć plan awaryjny, a z tym dzieciakiem łatwo sobie poradzi.

Opróżnia magazynek z pozostałych naboji i wyrzuca je do rzeki; wyciera pistolet rękawem i przechodząc obok Huntera, rzuca mu go na kolana.

– Masz. Teraz to ty ją zastrzeliłeś.

Chłopak sztywnieje, jakby wręczono mu właśnie odbezpieczony granat. Chwyta pistolet i wpatruje się w niego z rozdziawionymi ustami.

– Ale ja jej nie zastrzeliłem, nigdy bym...

– Jestem jedyną osobą, która o tym wie.

Syn Maddoxów znowu tylko się na niego gapi, a Samuel myśli, że gdyby to nie był syn jego szefa, już dawno przywaliłby w tę kwadratową szczękę i wybił mu te zbyt proste zęby.

– Chcesz się wyrwać z tego miasta, prawda, chłopcze? Chcesz iść na studia? Nie zrobisz tego, kiblując w celi, a wiem, co się dzieje z takimi chłopcami jak ty

w więzieniu. Uwierz mi, żadna, nawet największa kasa tatusia ci tam nie pomoże.

Hunter przeciąga nerwowo ręką po włosach, zagarniając je do tyłu.

– Boże... O cholera.

– Piśniesz o tym komukolwiek, a przez następne szesnaście lat będziesz się uczył, jak się robi kosę ze szczoteczki do zębów.

– Ale co z tym? Co mam zrobić? – Hunter podnosi pistolet; palec trzyma na spuście, myślał, że da się jeszcze z tego strzelić. Dla Samuela wygląda jak palant ściskający w rękach własnego sflaczałego kutasa.

– Ty go przyniosłeś. To nie mój problem.

– Nie, pan musi...

– Nic nie muszę, chłopcze. Ale jeśli zrobisz to, co mówię, i będziesz trzymał gębę na kłódkę, to może ja też będę milczał.

Teraz

Dolly o mało nie strzela do Noaha, gdy ten wchodzi przez frontowe drzwi.

– Mamo, Jezu Chryste!

Opuszcza karabin i jej ciało wiotczeje z ulgi. Kiedy usłyszała pick-upa na podjeździe, była przekonana, że to Samuel wraca do domu.

– Co ty tu robisz? Próbowалам dzwonić na twoją komórkę, myślałam, że jesteś w szpitalu.

– Byłem. – Noah nadal wpatruje się w karabin. – Ale potem Emma powiedziała mi o dziwnym telefonie od Jude’a i pomyślałem... Hej, a gdzie Jude? Wszystko z nim w porządku?

Minęło dużo czasu, odkąd Noah pytał o brata z takim niepokojem w głosie. Gdyby to były inne okoliczności, Dolly mogłaby się nawet z tego ucieszyć.

– Jest w salonie. Ojciec złamał mu jego laskę.

– A ojciec gdzie?

Dolly przyciska do piersi karabin jak jakąś cenną pamiątkę.

– Spodziewam się, że wkrótce tu będzie.

Jude, który siedzi nieporadnie na kanapie, pyta z salonu:

– Chyba nie zamierzasz go zastrzelić?

Jego matka myśli o tym, co jej powiedział: o tym, co wydarzyło się w jej szopie na narzędzia, na jej własnym podwórku. O tym, co Abigail napisała na wydartych kartkach.

– Mamo, powinniśmy zadzwonić na policję.

– Z jakimi dowodami? Z kilkoma kartkami z pamiętnika? Z tym, co wydawało ci się, że widziałeś, kiedy było ciemno?

– Nie wydawało mi się. Ja to widziałem.

– To nie będzie miało dla nich większego znaczenia, nie bez... – Bez ciała Abigail. Bez biednego ciała jej córki. Nie wystarczy, że sama to wszystko opisała (własnymi kochanymi małymi rączkami!), nie będą usatysfakcjonowani, dopóki nie będą mieli ciała, które będą mogli rozkroić, żeby w nim grzebać.

– Sądzę, że ci z biura szeryfa będą to mieli gdzieś – odzywa się Noah, a kiedy Dolly spogląda na starszego syna, widzi na jego twarzy prawdziwy chłód. Nie powinna być tym zaskoczona, nie po tym, przez co przeszedł, a jednak jest. Zawsze powtarzała to, że kiedy Noah ma to twarde spojrzenie w oczach, przypomina ojca.

Dolly zaciska szczękę. Och, dzieci, co ja z was zrobiłam? Ale to nie czas na użalanie się nad sobą. Na razie musi się uspokoić, uzbroić w tę zimną stalową trzeźwość umysłu, którą przynosi ze sobą wściekłość.

• • •

Samuel przyjeżdża niedługo potem. Czekają na niego w salonie, a on wchodzi z wyciągniętym nożem myśliwskim i zakrwawionymi dłońmi, jakby miał na nich czerwone rękawice.

– No proszę, ja was szukam po całych górach, a wy wszyscy jesteście tutaj.

– Odłóż nóż – rzuca Dolly, poruszając lufą karabinu.

Noah wpatruje się w jego ręce.

– Czyja to krew? – pyta.

Ojciec spogląda w dół, jakby dopiero teraz to zauważył, ale już po chwili odwraca się do żony. Dolly mocniej zaciska ręce na kolbie.

– Nie zasłużyłaś na to, by go nosić – mówi Samuel. – Odłóż go, zanim coś zniszczysz.

– Nie będziesz tak do mnie mówić, już nigdy więcej.

– Jesteś zdenerwowana, Dolly, widzę to.

– Już nie. To coś więcej niż złość. A teraz odłóż nóż.

Na jego twarzy pojawia się dziwny wyraz, prawie jakby się uśmiechał, po czym teatralnym gestem kładzie nóż u swoich stóp i unosi rękę.

Wyprowadzić go na zewnątrz. Tak właśnie postanowiła. Zabrać na dwór, żeby chłopcy nie musieli patrzeć. Dość się już napatrzyli.

– Wasz ojciec i ja wyjdziemy teraz na podwórko. – Dolly nie spuszcza oczu z męża. – Są pewne sprawy, o których musimy porozmawiać na osobności.

– Mamo – odzywa się Jude. – Chyba lepiej...

– Chcę, żebyście, ty i brat, zostali w środku, rozumiesz? Czekać tutaj, w tym pokoju, dopóki nie powiem inaczej.

Tego, jak torują sobie drogę przez kuchnię do drzwi na podwórze, nie można nazwać zwykłym wyjściem: ona, idąca wolno z tyłu, z karabinem wspartym na biodrze, i Samuel, zerkający przez ramię z tym kpiącym spojrzeniem, które sprawia, że świerzbą ją palce. Dolly uważa, żeby iść w odpowiedniej odległości; nie ma wątpliwości, że Samuel wie, jak rozbroić kogoś stojącego wystarczająco blisko. Gdy są już na zewnątrz, kieruje lufę karabinu w stronę szopy.

– Powiedz mi, co się stało z Abigail, w szopie – żąda. – Najpierw muszę usłyszeć, jak to mówisz.

– Najpierw? – prychnął Samuel. – A potem co? Zastrzelisz mnie? Naprawdę?

Dolly zgrzyta zębami.

– Już wystarczająco długo korzystałeś z milczenia swoich dzieci. Jeśli Jude musiał przejść przez horror powtarzania mi tego, to ty tym bardziej powinienes.

– Dolly, nie rozumiesz.

– Była twoją córką, Sam.

– Nie, nie... ona była twoja. Ty skurwiłaś się z jakimś obcym facetem, a potem podrzuciłaś to kukułcze jajo do mojego gniazda.

– Miała twoje włosy, Sam, paznokcie w kształcie twoich... a także twoją zjadliwość. Aż tak byłeś na mnie zły, że nie widziałeś nawet tego? W Longmont do niczego nie doszło. Chciałam tylko od ciebie uciec, tak jak Abi. – Dolly ścisnęła

kolbę karabinu tkwiącą pod jej pachą. – Gdzie ona jest? Wiem, że ją zabiłeś. Wiedziałam, jak tylko przeczytałam, co napisała w pamiętniku. Gdzie jest ciało naszej córki?

– Nie ma jej. Rzeka ją zabrała.

– Nie wierzę ci. Chryste, Sam, ty... Swoje własne dziecko! Przynajmniej w tym nie odzieraj jej z godności, pozwól jej spocząć w trumnie, niech ma chociaż nagrobek.

Samuel kręci głową, jego twarz czerwienieje.

– Nie. Musiałem ją uratować. Oddalała się ode mnie, a ja nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, dopóki Noah nie powiedział mi, co zrobiłaś. Wtedy to nabrało sensu. Ta dziewczyna była wszystkim, co miałem, Dolly. Była czymś jedynym dobrym w moim życiu, a potem okazało się, że nawet nie była moja. Musiałem wprowadzić ją z powrotem do rodziny, nie rozumiesz tego? Nie rozumiesz? Nie, oczywiście, że nie. Nigdy nic nie rozumiałaś, jeśli chodziło o mnie... ale Abi... Tylko dzięki niej było mi trochę lżej. Abi mi wybaczyła, zawsze to robiła.

– Abigail była człowiekiem, Sam! Nie była czymś, co twoja matka ci podarowała, żebyś robił to, co ci kazała, nie istniała tylko po to, żeby ulżyć twojemu poczuciu winy. Była naszą córką, naszą jedyną córką, i nie może ci wybaczyć, Sam, bo nie żyje. Bo ją zabiłeś.

Samuel podnosi ręce, kierując ich wnętrze w górę.

– Bóg mi wybacza. – Na jego oblepionym zasychającą krwią nadgarstku siada mucha i zaczyna pocierać przednimi odnóżami o siebie. – Jestem taki, jakim stworzył mnie Pan. On rozumie, dlaczego robiłem to, co robiłem. I jeśli On może mi udzielić przebaczenia, to ty też możesz.

– Nie wyskakuj mi tu z tymi bredniami. – Dolly podnosi karabin. – Bóg jest zawsze pod ręką, kiedy mężczyźni chcą, żeby wybaczył im to, co robią kobietom. Ale kobiety i tak muszą najpierw przez to przejść.

– Co się stało, to się nie odstanie, Dolly. Stało się i koniec, a ja teraz żądam tylko, by moja żona wypełniła nałożony na nią przez Boga obowiązek i zamknęła gębę. – Samuel drapie się po brodzie, zostawiając na niej smugę krwi. – No już, kobieto. Odłóż tę broń, zanim zrobisz sobie krzywdę.

• • •

Na początku Noah i Jude nie reagują. Dźwięk jest bardzo podobny do tego, jaki wydaje siekiera, kiedy ojciec rąbie drewno. Potem Jude jęczy „O Boże” i Noah pomaga mu podejść do okna w kuchni. Ich matka stoi na podwórzu z karabinem, nie rusza się, jej ciało jest jedną sztywną linią. Ojciec leży na ziemi, z dziurą w twarzy. Nie zdając sobie nawet sprawy, że to robi, Noah przyciąga brata do piersi, żeby Jude nie musiał tego oglądać.

Zawsze była w nim jakaś mała cząstka, która widząc, jak ojciec krzyczy w niebo i wymachuje Biblią, zakładała, że Samuel Blake jest samym Bogiem. Tego, czego Samuel nienawidził, Bóg również nienawidził, bo byli jednym i tym samym; pewność, z jaką ojciec ich karał, mogła być jedynie gniewem samego Pana. Teraz, patrząc na krew i strzępy ciała, Noah wreszcie pojmuje.

Ojciec był przez cały czas tylko człowiekiem.

49

Emma opiera się o swój samochód, stojący na żwirowym podjeździe; jej rękawy nasiąknięte są krwią Huntera Maddoxa. Patrzy, jak światła pojazdów służb ratunkowych, bardziej jaskrawe teraz, w zapadającym zmierzchu, obmywają dom Blake'ów na niebiesko i czerwono, podczas gdy zastępcy szeryfa kręcą się po podwórku.

Blake'owie stoją przed domem. Dolly ma koc na ramionach, co podobno ma pomóc na szok. Ludzie z karetki próbowali dać jeden Emmie, kiedy zabierali Huntera, ale odmówiła. Teraz żałuje, że go nie przyjęła.

– Rzucił się na mnie z nożem – opowiada Dolly Gainsowi. – Miałam szczęście, że zdążyłam w porę chwycić karabin. Nie chciałam go zastrzelić, przysięgam, ale wpadłam w panikę i po prostu strzeliłam.

Szeryf powoli kiwa głową, zapisując wszystko w notatniku.

– A pani synowie? Widzieli, jak to się stało?

Dolly podnosi wzrok, twardy jak stal, i Emma jest pewna, że patrzy na nią.

– Tak, panie szeryfie – odpowiada Noah.

– Jezu – mamrocze Gains i powtarza to kilka razy, czytając garść zmiętych kartek, które dostał od Dolly. Później mówi coś o tym, że wkrótce przyśle do Jude'a kogoś, kto z nim porozmawia, a Dolly przez cały czas tylko wpatruje się w ziemię. Szeryf dotyka jej ramienia. – Bardzo mi przykro z powodu pani straty, pani Blake.

Emma widzi, że Noah klepie brata po ramieniu, a potem odłącza się od rodziny i podchodzi do niej. Jego dolna warga jest prawie sina od przygryzania, ale poza tym, mimo znużenia, bije od niego coś w rodzaju lekkości.

– Boże, Noah.

– Taaa...

– Nie wiem, co powiedzieć.

Emma myśli o tym, co szeptał do niej Hunter, gdy leżał, wykrwawiając się na dywanie, zanim przyjechała karetka. O tym, co wydarzyło się w lesie.

– Czy twój ojciec mówił coś o Abi, zanim...? Przepraszam, to chyba bardzo niedelikatne z mojej strony.

Noah rzuca okiem na szeryfa, który rozmawia z jednym z zastępców.

– Wyślę ci coś na komórkę – rzuca, zniżając głos. – Abi zapisała kilka rzeczy, a ja zdążyłem zrobić kilka zdjęć telefonem, zanim mama zauważyła. To jest naprawdę pokręcone i nie wiem, czy odpowie na któreś z twoich pytań, ale Jude i ja uzgodniliśmy, że jeśli chcesz, to powinnaś zobaczyć, co napisała. Wiesz, skoro jesteś jedyną osobą, której zależało na niej na tyle, żeby w ogóle zadawać pytania.

Emma sięga po telefon, wciąż pokryty krwawymi odciskami, ale Noah łapie ją za rękę.

– Nie tutaj. Przeczytaj to, kiedy będziesz sama.

– Czy to prawda, co oni mówią? Ojciec cię zaatakował?

Noah wygląda tak, jakby próbował przełknąć coś wielkiego.

– Mnóstwo razy.

Przy drzwiach Dolly otacza Jude'a ramieniem, a on zamyka oczy i opiera się o matkę. Oboje wyglądają tak, jakby w końcu wypuścili długo wstrzymywane powietrze. Gains uchyla kapelusza i mówi:

– Będziemy w kontakcie.

Emma w milczeniu chowa telefon do kurtki.

• • •

Trzy dni później Emma jedzie do Estes Park, żeby odwiedzić Huntera w szpitalu.

– Musieli mi zrobić transfuzję krwi – opowiada chłopak. – Hardkor, mówię ci.

– A jak się czujesz?

– Och, wolałbym umrzeć, to pewne. Jestem na diecie z bananów i tostów... wiesz, dopóki bebechy mi się nie zagoją... i lekarz zakazał mi tykać papierosy i kawę. No, kaplica. Wyprute flaki to nic fajnego. Nie polecam.

Emma uśmiecha się i siada na brzegu łóżka.

– Miałam do ciebie napisać, ale potem uzmysłowiłam sobie, że nie masz tu telefonu. Słyszałeś, co się stało z Samuelem Blakiem?

Zamglone słońce chowa się za chmurą; jego jaskrawe promienie już nie rażą i dzięki temu Emma wyraźniej widzi twarz chłopaka, która jest prawie szara.

– Słyszałem, że został postrzelony – odpowiada Hunter i dodaje: – Wczoraj byli u mnie rodzice. Sprzedali policji jakąś historyjkę o tym, że Samuel był wściekły na ojca z powodu pracy czy coś takiego... I dlatego przyszedł do nas do domu i mnie poszatkował. Sprytny wybieg, żeby uniknąć niezręcznych pytań o Abi, tak by ojciec wypadł dobrze. *Jerry Maddox, niedoszła ofiara brutalnego nożownika, rozpacza z powodu syna, który walczy o życie na intensywnej terapii.*

– Chwytiliwe.

– I to jak. – Hunter wzdycha ciężko i opiera głowę na dużej poduszce, którą ma podłożoną pod plecy. – Ale przynajmniej ta gnida nie żyje. Wolno mi tak mówić? Co tam! Powiem to: Cieszę się, że odstrzelili mu tę parszywą gębę.

– Tak – zgadza się z nim Emma. A po krótkiej ciszy, która brzmi tak, jakby poprzedzała coś ważnego, pyta: – Dlaczego mi pomogłeś? To znaczy... wiedziałeś, że to Samuel ją postrzelił, więc dlaczego pomagałeś mi dopaść swojego ojca?

– Jezu... mój ojciec – jęczy Hunter. – Nie kłamałem, naprawdę widziałem go w lesie tamtej nocy. No i zatrzymał sobie tę jej pomadkę do ust, na litość boską. Był naprawdę dziwny wobec Abi, a potem, kiedy powiedziałaś, że znaleziono jej sweter, a ja wiedziałem, że miała go na sobie, kiedy... Chyba pomyślałem, że może przeżyła, a potem napatoczył się mój stary i... no wiesz... wykończył ją. – Uderza słabo pięścią w materac. – Sam nie wiem. To, co się z nią stało, jest takie popieprzone... Chyba po prostu chciałem ci pomóc.

Emma dłubie przy suwaku swojej kurtki. Myśli o zdjęciach pogniecionych kartek, które przysłał jej Noah, i o tym, że kiedy to przeczytała, wygrzebała ostatni album klasowy z liceum i włożyła między jego strony wszystkie fotografie i pamiątki po Abigail, jakby to były kwiaty polne. Na koniec schowała album pod łóżko. Taki mały pogrzeb, w którym nikt inny nie uczestniczył. Jedyna trumna, jaką Abigail będzie kiedykolwiek miała.

– Szkoda, że nie powiedziałeś mi, co naprawdę się działo.

– Abi przez cały czas się o ciebie martwiła. Mówiła, że masz wystarczająco dużo własnych problemów... no wiesz.

Hunter przygląda się jej jakoś intensywniej i Emma nagle zaczyna czuć się nieswojo, z powodu, którego nie potrafi w pełni zrozumieć.

– Nie prosiłam jej, żeby była moim wybawcą – mówi.

– Nie sądzę, żeby tak o tym myślała. Chyba po prostu się o ciebie troszczyła.

– Ale ja byłam jej przyjaciółką... to ja powinnam była opiekować się nią. Jezu, jak to możliwe, że zaufała tobie, a nie mnie?

– Szczerze? Myślę, że się wstydziła. Nie chciała, żeby ktokolwiek patrzył na nią inaczej, zwłaszcza ty. Ona cię kochała. I na jej obronę powiem ci, że wcale mi nie ufała... w każdym razie nie na początku. Byłem tylko jakimś tam dupkiem, który przeczytał jej pamiętnik. – Hunter wzdycha i wbija puste spojrzenie w rurkę sterczącą z jego ramienia. – Ufała ci, uwierz mi. Po prostu uznała, że masz dość własnych kłopotów, i nie chciała cię wciągać w swoje.

Emma myśli o tym, co powiedział jej syn pastora na balu maturalnym, o tym, jak Andie Maddox patrzyła na nią tamtej nocy w swoim domu, o jej mężu ustawiającym przed osiedlem przyczep tablicę TYLKO AMERYKANIE... Całe życie słów i spojrzeń, przez które czuła się czasami jak pająk uwięziony w szklanym terrarium, obserwujący znajdującą się na zewnątrz Abigail, żyjącą bez strachu. Ale myśleć o sobie w ten sposób to zupełnie coś innego niż zdać sobie sprawę, że inni też mogą cię tak postrzegać. Jeśli Abigail wolała cierpieć

w milczeniu, bo myślała, że jej najlepsza przyjaciółka jest zbyt przytłoczona tym, że ludzie ją dręczą, to była w tym litość. I Emma znowu czuje się winna.

Czy musiałabym być kimś innym, żeby ją uratować? – zastanawia się.

• • •

Wychodząc ze szpitala, zahacza paskiem torebki o klamkę i czuje gwałtowne szarpnięcie, które ciągnie ją do tyłu. Być może gdyby nie zaklęła tak głośno, ludzie w recepcji nie spojrzeliby w górę i Jerry Maddox by jej nie zauważył.

– Co ty tu robisz?! – Gdy przechodzi przez hol, ludzie odwracają za nim głowy, jakby widzieli gniew unoszący się wokół niego. – Nie dość kłopotów przysporzyłaś mojemu synowi?!

Emma oddycha głęboko, gorączkowo próbując odczepić torebkę. Nie teraz, myśli, proszę, nie teraz, nie, kiedy Abi jest... Ale pasek zaplątał się na klamce i nie może go ściągnąć.

– To przez twoje wybryki Hunter tu wylądował, mam nadzieję, że o tym wiesz – ciągnie Jerry. – Teraz zostanie odsunięty od gry w rozgrywkach stanowych i być może już nigdy nie będzie mógł grać... Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Emma czuje się tak, jakby nagle skurczyła jej się skóra na głowie i nie mogła pomieścić tego, co znajduje się w środku.

– Masz zostawić mojego syna w spokoju, Alvarez, albo skończysz jak twój ojciec.

W reakcji na te słowa Emma podnosi wzrok, spogląda Jerry'emu Maddoxowi prosto w oczy i widzi w nich coś na kształt radości. Na ten widok chce się rzucić do ucieczki.

– Co pan zrobił mojemu tacie?

– Ja tylko zwracam ci uwagę na to, co może spotkać takich jak ty, gdy wtykają nos w nie swoje sprawy. Ale może powinnaś zapytać o to matkę. Sam zawsze się zastanawiałem, gdzie on zniknął.

Jerry prostuje się i nagle jego postać wydaje się zajmować dwa razy więcej miejsca niż przed chwilą. Uciekaj! – mówi sobie Emma.

– Nigdy więcej nie chcę cię widzieć kręcącej się koło mojego syna. Zniszczyłaś mu życie, rozumiesz? Jeśli jeszcze raz cię tu zobaczę, to...

Uciekaj! I tak robi. Zrywając pasek torebki, wybiega na parking.

• • •

Kiedy Melissa podjeżdża, Dolly jest na podwórku; taszczy rzeczy męża z szopy, żeby wrzucić je do ogniska płonącego w dalekim końcu podjazdu.

– Jezusa też palisz? – pyta Melissa.

– Nie tylko jego. Wszystko to musi zniknąć. – Plastikowe usta objętego płomieniami Jezusa rozciągają się coraz szerzej i szerzej. – I tak go nie lubiłam – dodaje Dolly i wyciera ręce o uda. – Przyjechałaś zobaczyć miejsce tragedii? W ostatnich dniach musiało przejechać tędy co najmniej pół miasta.

Spojrzenie, które posyła jej Melissa, jest niemal czułe.

– Przyjechałam zobaczyć ciebie – odpowiada. – Jak się trzymasz?

– Nie wiem. Pewnie powinnam wiedzieć, ale nie wiem.

– A jak ze snem? Dobrze sypiasz?

– Przyjechałaś tu jako lekarka?

– Nie. Moja przyjaciółka w obronie własnej zastrzeliła właśnie męża. Martwię się o nią, to wszystko.

Dolly kiwa głową.

– Jak ma się Emma? Słyszałam o tym, co się stało, jej i synowi Maddoxów. A potem przyjechała tutaj, wiesz, po Samuela. To dużo przeżyć jak na jeden dzień.

Przypomina sobie, że Emma miała krew na rękawach i że zaskoczyło ją to, że dłonie dziewczyny były czyste. Prawdopodobnie ratownicy wytarli je w karetkę, nikt jednak nie mógł nic zaradzić na plamy na materiale. Dolly wyobraża sobie, jak jej matka próbuje sprać tę krew, tak jak ona musiała kiedyś zmywać krew synów z podłogi w przedpokoju, tej nocy, kiedy znaleźli zdjęcia na komputerze Noaha.

Nawet jeśli naszym dzieciom udaje się przeżyć, to wszyscy, w ten czy inny sposób, kończymy z ich krwią na rękach, myśli.

– Emma ma się chyba dobrze – odpowiada Melissa, a Dolly robi się jej żal, bo sama tak odpowiada, gdy ludzie pytają ją o chłopców.

Pociera mocno powieki.

– To przez ogień – wyjaśnia. Płonący plastik powoduje, że łzawią jej oczy. Zdaje sobie sprawę, że prawdopodobnie powinna zaprosić Melissę do środka, ale ten dom jest jak gigantyczna część garderoby nieleżąca na niej dobrze, a ona jeszcze się nie zdecydowała, czy będzie ją przerabiać, czy zostawi, jak jest. Zależy jej jednak na Melissie, wie, że powinna z nią porozmawiać, inaczej znowu ją straci.
– To było przyjemne – odzywa się po chwili. – Zastrzelenie go.

– Boże, Dolly.

– Bóg nie ma z tym nic wspólnego.

Melissa niespodziewanie wybucha śmiechem i Dolly po chwili do niej dołącza; obie są zadowolone, że mogą w jakiś sposób rozładować napięcie zaciskające im gardła.

– Słyszałam, co ludzie opowiadają o Abigail – mówi Melissa, kiedy przestają się śmiać. – Trochę, w każdym razie. O tym, co... on zrobił.

Dolly domyśla się, że plotkę musiał rozpuścić któryś z zastępców szeryfa. Nie zdziwiłoby jej to po tym, jak zobaczyli, co napisała Abigail. Jak można przeczytać coś takiego i nie mieć nic do powiedzenia? Albo to była żona Billa Tuckera, Maggie, odpowiedzialna za catering na posterunku. Pewnie wszyscy tam plotkują, tak jak wtedy, gdy Noah pojawił się, żeby dać alibi Ratowi. Może nawet nie robią tego nieżycziwie. Po prostu, jeśli coś takiego nie dotyczy kogoś osobiście, staje się to tylko jedną z wielu historii, a historie czynią życie łatwiejszym do zniesienia, Dolly to rozumie.

– Co ludzie opowiadają? – pyta.

– Że on... – Melissa z trudem przełyka ślinę. – A potem ją zastrzelił. W górach, w lesie, tam gdzie znaleźli łuskę.

Dolly kiwa głową.

– To nie twoja wina, Dolly. Nie mogłaś wiedzieć.

– Abi próbowała mi kiedyś powiedzieć. Myślę, że to było właśnie to. Pewnego ranka poprosiła mnie, żebym pomogła jej zdobyć pigułkę „dzień po”, a ja... I to jest najstraszniejsze... nie chciałam o tym słyszeć, więc ją spoliczkowałam.

Nie miała zamiaru o tym mówić. Melissa sprawia wrażenie zakłopotanej i Dolly czuje, że między nimi zaczyna rodzić się skrępowanie, coś namacalnego, co znowu je od siebie odsunie, nie może się jednak powstrzymać, teraz kiedy już zaczęła. Zupełnie jak Ann Traxler z tą kobietą, która umarła w jej salonie fryzjerskim.

– Noah mnie nienawidzi. Był taki wspaniały w trakcie tego wszystkiego, ale mnie nienawidzi. Wiesz, co od niego usłyszałam wczoraj w szpitalu? Powiedziałam mu, że załatwiłam ubezpieczenie dla jego chłopaka, a on zapytał: „A gdzie byłaś, kiedy tata próbował zaciągnąć mnie na terapię konwersyjną?”. – Dolly wzdryga się. – Och, to było straszne. Wyrzucił mi to, ot tak, w obecności pielęgniarki. Próbowałam się tłumaczyć, wyjaśniałam, że o tym nie wiedziałam... bo nie wiedziałam... a on na to: „Zawsze dokładnie wiedziałaś, co on zamierza zrobić, ale nigdy nie reagowałaś, pozwalałaś mu na to”.

– Nie powinien był tak mówić.

– Ale on miał rację!

I to właśnie tym Dolly jest naprawdę przybita. Aż do wczoraj, do chwili, gdy Noah nakrzyczał na nią przy pielęgniarce i tym biednym poparzonym chłopcu, myślała, że to, co zrobiła z Samuelem, wystarczy. Że teraz wszyscy zgodnie uznają, że mogą zacząć od nowa, z czystym kontem. Ale to ona strzeliła, to ona wyładowała cały nagromadzony gniew na Samuelu, a nie jej synowie. A gniew musi się gdzieś podziąć, musi gdzieś ujść.

– Zniszczyłam swoje dzieci, Mel. Przez tyle czasu spotykały je te okropne rzeczy, a ja o tym wiedziałam albo nie wiedziałam, albo nie chciałam wiedzieć... to bez różnicy. I tak były krzywdzone, a ja nic nie robiłam.

Przez chwilę patrzą na siebie i Dolly próbuje zgadnąć, co Melissa o niej myśli.

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co stało się z Abigail – odzywa się w końcu Melissa. – Ale Noah wciąż tu jest, i Jude. Proces zdrowienia to wykopywanie trupów, czasami niekoniecznie swoich. Myślę, że z ojcem, którego mieli, twoi synowie dorobili się całkiem sporych własnych cmentarzy. I być może od czasu do czasu będziesz musiała się po nich przejść, może czasem oni cię przez nie przeciągną siłą, ale to nie znaczy, że wszystko jest stracone na zawsze. Dopóki twoi chłopcy wiedzą, że mają kogoś, kto stanie z nimi na tych cmentarzach, dopóty nie powinnaś się martwić, że to już koniec. Tak sędzę.

Dolly wzdycha i odchyła głowę, żeby popatrzeć w niebo, które jest bladoniebieskie.

– Chodzę do kościoła od tak dawna, że potrafię rozpoznać poczucie winy, kiedy je słyszę. Czyjego trupa ty wykopujesz?

Uśmiecha się, ale kiedy znów spogląda w dół, widzi, że Melissa wpatruje się w ogień i jej twarz wydaje się nagle o wiele starsza.

– Mojego męża.

50

Emma nie przejmuje się tym, że jest pijana, kiedy matka wraca do domu. Odchyła się na oparcie fotela i unosi butelkę z whiskey, którą tym razem udało jej się wynieść z monopolowego pana Wena. Wszystko w pokoju zdaje się wirować, ale nie matka. Melissa stoi przed nią nieruchomo, z rękami złożonymi przed sobą, jakoś tak dziwnie, trochę jakby się modliła.

– Abi nie żyje – bełkocze Emma.

Jej matka, której przyjaciele wciąż żyją, odpowiada:

– Wiem, przykro mi.

– Nie chciała mi mówić, co się z nią dzieje, bo najwyraźniej miałam zbyt wiele własnych problemów. Wiedziałaś o tym, mamó? Wiedziałaś o wszystkich moich problemach?

Melissa zaciska na chwilę wargi, lecz córka nie ufa jej spokojowi. Ukradłam ten alkohol, mamó, myśli. Okłamałam cię. Gdybym była na twoim miejscu, byłabym wściekła, chciałabym krzyczeć.

Matka jednak nie krzyczy.

– Myślę, że Abigail przechodziła przez coś, czego tak naprawdę nikt z nas nie mógł zrozumieć – mówi i dodaje: – Daj mi tę butelkę, Em, proszę. Nie musimy teraz rozmawiać o tym, skąd ją masz, ale proszę, oddaj mi ją.

Och, usiłuje być delikatna, jakbym była szalona, myśli Emma i dla kontrastu ma ochotę być niedelikatna.

– Wiem, że wiesz coś o tacie i mi tego nie mówisz.

– Tylko nie znowu to samo, Em. Myślałam, że już z tym skończyłyśmy.

– Mam dość ludzi, którzy nie mówią mi o różnych rzeczach. Tobie to nie przeszkadza, musiałaś być kimś, zanim wyszłaś za ojca, ale ja od zawsze miałam tylko to, że go nie było!

– Emma...

– Przez całe moje życie ludzie w tym mieście traktowali mnie inaczej, bo jestem Latynoską, a jedyna osoba, która mogłaby mi to wytłumaczyć, która mogła mi pomóc, po prostu zniknęła. Wiem, że coś się z nim stało. Coś się stało, a ty mi nie chcesz powiedzieć.

Melissa pociera łokieć.

– Powiedziałaś ci, Emmo. On odszedł.

– Ludzie nie mogą tak po prostu... Nie mogą mnie tak po prostu zostawiać. To nie jest w porządku. Co się z nim stało tamtej nocy, mamo? Co mu zrobił Jerry Maddox? Co ty mu zrobiłaś?

Kiedy Emma to mówi, jej matka siada. Naprawdę siada, jakby Emma przeszła przez pokój i pchnęła ją na kanapę.

– Em... – Melissa opuszcza głowę w dłonie. – To nie tak miało być. Myślałam, że pomagam... nie chciałam cię skrzywdzić. – Matka wpatruje się w jakiś odległy punkt na dywanie, potem kładzie dłonie płasko na kolanach i bierze głęboki oddech. – Był cały pokrwawiony, kiedy wrócił do domu... twój ojciec. Tak go pocięli, Jerry Maddox i inni. W dłoniach wciąż miał kawałki szkła, musiałam je wyciągać pęsetą do brwi.

– Mamo...

Emma siada u jej stóp. Czuje się przez to jak małe dziecko, ale kiedy spogląda na twarz matki i widzi na niej blade zmarszczki, przypomina sobie, że obie są już starsze. Zamyka dłonie na pobielających kostkach palców matki.

– Twój tata pracował wtedy w tartaku i sytuacja w firmie nie wyglądała najlepiej. Wielu ludzi było niezadowolonych, bo musieli się zgodzić na obniżkę pensji, i zaczęli plotkować, że Jerry Maddox ich okrada. Miguel potraktował te plotki na poważnie i zaczął węszyć. I chyba coś nawet odkrył, bo zaangażował w to

Gainsa, który nie był jeszcze szeryfem, tylko zastępcą od czegoś tam... Gains poszedł z tym do szeryfa, którym był wtedy Ringer, a ten doniósł o wszystkim Maddoxowi, bo ten zaoferował mu pomoc we wspięciu się wyżej. Słyszałam ostatnio, że załatwił mu jakąś fuchę w ratuszu w Denver. Gains pewnie myślał, że postępuje słusznie, ale w takim mieście jak to... powinien był wiedzieć lepiej. Gdyby siedział cicho...

Melissa wzdycha ciężko, a Emma nie jest pewna, czy podoba jej się sposób, w jaki matka na nią patrzy.

– Wiesz, co zrobili temu rumuńskiemu chłopcu? Widzisz, Jerry Maddox zawsze kumplował się z pastorem i w tamtych czasach nakłaniał go do mówienia najokropniejszych rzeczy w kościele. Ludzie co niedziela słuchali Eda Lewisa i w końcu wbili sobie do głów, że migrujący robotnicy są prawdziwym powodem, dla którego nie zarabiają tyle co wcześniej. A Miguel nawet nie był migrantem, pochodził z Nowego Meksyku, z Albuquerque, ale ci ludzie nie potrafili tego rozróżnić albo mieli to gdzieś. No i pewnej nocy twój ojciec wrócił do domu cały zakrwawiony, powiedział, że napadła na niego banda chłopaków z tartaku, i...

Oczy Melissy zaczynają wilgotnieć, choć nie płacze, jeszcze nie.

– Chciał, żebyśmy wyjechali. Chciał, żebyśmy wyjechali w środku nocy, twierdził, że tutaj nigdy nie będzie czuł się bezpiecznie. Ale, widzisz, ja dopiero zrobiłam dyplom. Tak ciężko pracowałam i tak wiele mnie to kosztowało finansowo. Miałam zostać lekarzem, to było moje marzenie. Sama na to zapracowałam i nie zamierzałam z tego rezygnować. Pobraliśmy się tak młodo i, Boże, Emmo... Twój ojciec... chciał cię ze sobą zabrać. Nie chciał zostawiać swojej małej córeczki. Mówił, że nie ma znaczenia, jak bardzo ja jestem biała, tobie nigdy nie będzie tu łatwo. Usłyszałaś nasze krzyki, zeszłaś na dół i zobaczyłaś go w takim stanie, z krwią na rękach... byłaś taka przerażona. Och, Em, tak się bałaś, że nie chciałaś z nim iść, tylko trzymałaś się mnie i płakałaś, a ja trzymałam cię i nie chciałam cię puścić.

Zszokowana Emma wpatruje się w matkę. Po policzkach Melissy płyną łzy przemieszane z tuszem do rzęs.

– Kochałam twojego ojca, naprawdę, tylko że... myślałam... – Głos jej się załamuje, wyciera oczy. – Myślałam, że jeśli uda mi się utrzymać w tajemnicy, co zrobili mu ci dranie, nie będziesz musiała dorastać ze świadomością, że niektórzy ludzie potrafią być nikczemni. Sądziłam, że skoro masz mnie, zostawią cię w spokoju. I wstydziłam się tego, co zrobiłam, tego, że pozwoliłam mu odejść, chociaż nie miał nikogo innego. Wmawiałam sobie, że ci pomagam, ale skończyło się tym, że dorastałaś z przekonaniem, że ojciec cię nie kochał, że nikt nigdy cię nie kochał. A to nie jest prawda, Em, to nigdy nie było prawdą.

Melissa zakrywa twarz dłońmi i pochyla się tak bardzo, że Emmie, klęczącej u jej stóp, wydaje się, że zaraz się na nią osunie. Otacza matkę ramionami i przyciąga do siebie tak blisko, jak tylko może, jakby próbowała ją w siebie wchłonąć.

– Och, Boże, Em, przepraszam cię.

Emma sama przepraszała tak wiele razy w ciągu ostatniego miesiąca, że wie, co matka powinna usłyszeć.

– Wszystko jest w porządku, mamó – mówi w imieniu ich obu. – To nie twoja wina.

• • •

Po nijakiej kolacji – z krakersów i banana – Hunter podnosi wzrok i widzi stojącego w nogach łóżka ojca, który niedawno ufarbował siwe pasma we włosach i jest pod krawatem.

– Nie musiałeś się tak dla mnie stroić, tato.

Jerry Maddox wygląda nieistniejące zagniecenia na swojej koszuli.

– Z Boulder przyjechała dziennikarka, chce napisać artykuł o napaści. To poważna sprawa, Hunter. Zrobili nam zdjęcie, twojej matce i mnie.

– Fajnie... chyba. Moje też chcą?

– Już mają, zrobili, kiedy byłeś nieprzytomny po znieczuleniu. Twierdzili, że to wzbudzi większe współczucie.

Hunter wydaje cichy gwizd i opada z powrotem na poduszkę.

– Więc rozumiem, że nadal jesteś na mnie zły za to włamanie do twojego biura?

– Mogę usiąść?

Materac ugina się, kiedy ojciec przysiadła na skraju łóżka. Wygląda, jakby chciał założyć nogę na nogę, ale po chwili rezygnuje z tego pomysłu.

– Hunter, obawiam się, że wtedy w nocy mogłeś odnieść mylne wrażenie. Ta szminka... czy cokolwiek to było... nie zatrzymałem jej, bo... Widzisz, córka Blake'ów ją upuściła... to było wieki temu... Ta dziewczyna była czymś naćpana, więc dałem jej trochę wody i chwilę porozmawialiśmy, a potem, kiedy odchodziła, upuściła tę szminkę. No i tak. – Jerry podnosi rękę. – Przyznaję, że nie powinienem był jej zatrzymać, to było po prostu głupie, ale musisz zrozumieć: nigdy nie tknąłem córki Blake'ów. To nie było nic zdrożnego... tylko docenienie ładnej dziewczyny. Chyba potrafisz to zrozumieć, prawda?

– A mama wie o twoim uznaniu dla ładnych dziewczyn?

– Daj spokój, nie rób problemów.

– Hm... ktoś musi.

– Wiesz, nie potrafię cię rozgryźć. Samuel Blake nie przyszedł i nie wypruł ci flaków bez powodu. Jeśli wplątałeś się w coś z jego córką, mogłeś mi powiedzieć. Pomógłbym ci. Do cholery, robię wszystko, co mogę, żeby nie łączyli cię z tą sprawą... Myślisz, że po co ta dziennikarka? Ale straciłeś szansę na mistrzostwa stanowe, z taką kontuzją możesz na zawsze pożegnać się z uprawianiem sportu wyczynowego, a ty wyglądasz, jakbyś się tym nie przejmował.

– Bo się nie przejmuję. Tato, to ty chciałeś, żebym grał w kosza, ponieważ sam grałeś w liceum. Mnie nikt nigdy nie pytał, czego chcę.

– To czego ty chcesz?

Hunter wzdycha i odwraca głowę.

– Nie chcę skończyć jak ty. – Czuje, że materac się kołysze, kiedy ojciec wstaje.

– Ta dziennikarka, która przyjechała zrobić z nami wywiad... Jeśli cię odwiedzi, byłbym wdzięczny, gdybyś nie wspomniał o tej szmince. Wiesz, jacy oni tam są w tym Boulder. Ta kobieta ma bardzo liberalne poglądy. – Przy drzwiach Jerry Maddox się zatrzymuje. – I matce. Jej też o tym nie mów.

Hunter zamyka oczy i kiwa głową. Cokolwiek zechcesz, jak zawsze, tato. Ale może przynajmniej tyle jest mu winien. Tak bardzo chciał wierzyć, że Abigail mogła przeżyć tamten upadek – wierzyć, że to, co się z nią stało na koniec, mogło być winą kogoś innego – że gotów był oskarżyć własnego ojca. Na podstawie czego? Podsluchanej rozmowy za przyczepą Tysonów? Bo widział go w lesie, gdy wracał tamtej nocy do domu?

To pewnie wzburzone wody rzeki zerwały z niej ten sweter, myśli. A jednak, kiedy teraz zaciska oczy, wyraźnie pamięta dziwny grymas ust Abigail, gdy znikwała za skałami. Pamięta jej słowa. *Nie ratujesz mnie, tylko mi pomagasz. To różnica.*

• • •

Jerry Maddox jedzie do domu z włączonym radiem, żeby za dużo nie myśleć. Zwalnia dopiero wtedy, gdy widzi samochód dziennikarki skręcający z Elkstone Bend. Podjeżdża, żeby ją zatrzymać.

– Ma pani wszystko, czego pani potrzebuje? – pyta po opuszczeniu szyby.

– O tak – zapewnia kobieta z uśmiechem. – To będzie wspaniała historia, panie Maddox.

Jerry wzdycha z ulgą, nie przejmując się, że ona to widzi.

– Powodzenia! – woła, machając do niej, gdy dziennikarka rusza w stronę miasta. Ta nie odmachuje mu. Dzisiejsze kobiety, myśli Jerry. Ten feminizm nowej fali nie zastąpi manier.

Parkuje w statycznych późnopołudniowych cieniach ścielących się po podwórku, ale jeszcze przez chwilę trzyma ręce na kierownicy, nawet po zgaszeniu silnika. Nie jestem złym mężem, дума. Nie jestem złym ojcem. Jestem mężczyzną i Pan nie stworzyłby mnie takim, gdyby miał z tym jakiś problem.

Siedząc w samochodzie, widzi, że niektóre topole w pobliżu ganku wymagają przycięcia; będzie musiał się tym zająć przed zimą. Plandeka na dachu garażu poluzowała się i powiewa na wietrze, niosącym ze sobą mocny zapach dymu drzewnego. To też trzeba będzie naprawić, i tę obłuzowaną deskę na podeście, o którą Andie tak go ciągle nagabuje. Jerry odchyła się na oparcie siedzenia i zamyka oczy. Życie będzie toczyć się dalej. Hunterowi wróci rozum.

Dopiero gdy wysiada z pick-upa, widzi napis na drzwiach wejściowych. Przez jedną straszną chwilę myśli, że to może być krew, i zaczyna się krztusić, bo przypomina mu się szpital i wielka dziura w brzuchu Huntera. Po bliższym przyjrzeniu się stwierdza jednak, że to tylko czerwona farba w sprayu, ale myśli, że mało by go to obchodziło, czego ktoś użył, gdyby tylko ta dziennikarka nie zobaczyła tych wielkich drukowanych liter na jego drzwiach, głoszących: RASISTA JERRY LUBI MŁODE DZIEWCZYNKI.

• • •

Melissa podtrzymuje włosy córki, gdy ta wymiotuje jackiem danielsem.

– Mamo. – Głos Emmy niesie się lekkim echem w muszli klozetowej. – Ja chyba potrzebuję pomocy.

– Przynieść ci trochę wody lub czegoś innego?

– Nie, mam na myśli, no... mam na myśli pomoc profesjonalną.

Melissa na moment drętwieje, przytłoczona słowem „profesjonalna”. Jakby to, co sama ma do zaoferowania, nie było wystarczająco dobre. Jakby to, co dawała Emmie przez ten cały czas, nigdy nie było wystarczająco dobre, i dlatego właśnie skończyły tutaj. Jeśli jej córka wymaga profesjonalnej pomocy, to co ludzie pomyślą o niej jako o matce?

Nagle jednak przychodzi jej na myśl Dolly – biedna Dolly, która powiedziała to samo. Przez jedną straszną chwilę Melissa wyobraża sobie Abigail leżącą gdzieś w lesie, bladą i milczącą, z sinymi ustami, zesklonymi oczami, ze zgniłymi liśćmi wplątanymi we włosy. A potem to Emma leży tam zamiast niej.

Melissa potrząsa głową i pociera ramiona córki, by upewnić się, że jej mała dziewczynka wciąż tu jest.

– Cokolwiek potrzebujesz – mówi. – Poradzimy sobie z tym.

• • •

Kiedy dzwoni telefon, tulą się do siebie na kanapie. Emma trzyma głowę na kolanach matki, Melissa głaszcze ją po włosach. Trochę śmierdzą wymiocinami, ale dla niej nie ma to żadnego znaczenia, najważniejsze jest to, że jej córka żyje.

Komórka Emmy nie przestaje wibrować w jej torebce i w końcu, zmęczona tym dźwiękiem, Melissa podnosi torebkę z podłogi i spomiędzy gumek do włosów, tamponów i puszki czerwonej farby w sprayu wygrzebuje telefon. Nie rozpoznaje numeru, ale i tak odbiera, sądząc, że to może być ten kolega Emmy ze szpitala. Na początku nie słyszy nic, potem jednak dociera do niej cichy szmer czyjegoś oddechu.

– Halo, kto dzwoni? – pyta. – Chcesz rozmawiać z Emmą?

Teraz słychać już tylko słabe trzaski.

– Halo?

Połączenie się urywa.

51

Dzień po Halloween, kiedy dynie wciąż szczerzą się z każdego ganku, a na chodnikach szeleszczą targane wiatrem z gór papierki po cukierkach, przed cmentarzem w Whistling Ridge gromadzi się tłum, by zobaczyć, jak rodzina Blake'ów składa do grobu Samuela.

Ludzie szepczą między sobą, przytrzymując szaliki na szyjach i przytupując, żeby ogrzać stopy. Z przodu jest Dolly, cała w czerni. Obcasy jej najlepszych butów nadal są nierówno wytarte, ale stoi bardziej wyprostowana. Jedną ręką obejmuje młodszego syna, który trzyma głowę wysoko i każdemu, kto ośmiela się zbyt długo gapić, rzuca wyzywające spojrzenie. Obok Noaha, którego usta są nadal popękane, a nos złamany, stoi Rat; zdejmuje parę dużych ciemnych okularów i obraca lekko głowę, by poczuć blask słońca na pomarszczonej stronie twarzy.

Ludzie patrzą na Rata. Patrzą też na pastora Lewisa, kiedy recytuje formułki ceremonii pogrzebowej. Dolly, przyglądając się, jak na brzeg trumny męża sfruwa opakowanie po czekoladkach, myśli, że w powietrzu czuć niechęć. Ludzie mają za złe Edowi Lewisowi, że podjudził ich do zrobienia tego, co zrobili tamtej nocy na osiedlu przyczep. Czują się winni, lecz nie mogą winić siebie, więc obwiniają jego. Tydzień później zaczną pytać, kiedy ostatni raz ktokolwiek widział Lewisów.

*– W pocie więc oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie, póki nie wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty; bo prochem jesteś i w proch się obrócisz!**

Dolly nie jest pewna, czego się spodziewała – być może jakiegoś rodzaju domknięcia – na widok Samuela opuszczanego do ziemi. Wie jednak, że to nie takie proste. Zamknięcie przychodzi wraz ze zrozumieniem, a ona nigdy tak

naprawdę nie zrozumie, dlaczego jej mąż był taki, jaki był. Na przestrzeni lat różni ludzie, kiwając mądrze głowami, będą twierdzili, że to przez Wietnam albo dlatego, że miał jakieś inklinacje, psychopatyczne czy inne, a ona będzie odpowiadała: „Tak, może macie rację”, lecz to nie będzie oznaczało, że rozumie cokolwiek lepiej. W tym sensie Samuel nie dał jej szansy pochować nie tylko Abigail.

Może jedynie spalić jego plastikowe anioły i kościane dzwonki wietrzne i zlecić komuś zatynkowanie dziury w ścianie, i to będzie musiało na razie wystarczyć.

• • •

– Idź już, mamó. Zobaczymy się w domu – mówi Noah po pogrzebie.

Staje przy grobie z rękami wetkniętymi pod pachy, podczas gdy wszyscy inni odchodzą powoli, jak gdyby jakaś część nich nie do końca chciała, żeby to się już skończyło. Noah to rozumie. Przełomowe chwile, takie jak ta, dają nadzieję, że następnym razem wszystko może potoczyć się inaczej. Ale jeśli tak naprawdę nic się nie zmieni?

Rat opiera się o pobliski nagrobek i wyciąga paczkę papierosów tak pogniecioną, że Noah nie wie nawet, co to jest, dopóki nie usłyszy kliknięcia zapalniczki.

– Hej, zostaw to.

– Blake, dobijasz mnie. Tylko jeden. Nikomu nie powiem, jeśli ty nie powiesz.

– Wiesz, co lekarz mówił o twoim oku.

– Moje oko ma się świetnie. – Rat opuszcza okulary i porusza w górę i w dół swoją jedyną brwią.

Noah wystawia nogę i czubkiem buta stuka w mały plastikowy krzyż, tymczasowo wyznaczający miejsce pochówku jego ojca.

– Chodź. Przejdźmy się – proponuje Rat.

Cmentarz jest teraz pusty, więc spacerują między grobami, podczas gdy zimowy wiatr podrywa im włosy do góry i łopocze połami kurtek.

– Czy ty masz jakiś kontakt z rodzicami? Rozmawiasz z nimi? – pyta nagle Noah.

– Nie rozmawiałem z nimi, odkąd skończyłem... osiemnaście lat? Chyba tak.

– I co, tak jest lepiej?

– Och, rozumiem. Chodzi o twoją matkę, prawda?

Noah szturcha go łokciem.

– Nie zmieniaj tematu.

Rat odwzajemnia szturchnięcie.

– Jesteś zły, bo ona nie chce się z tobą kłócić, co? Myślę, że chyba po prostu będziesz musiał zaakceptować to, że jest jej przykro.

– Jasne, tylko że to nie takie proste. Bo ona naprawdę nawaliła. Uważasz, że powinno się jej to wybaczyć?

Rat marszczy brew, co teraz, gdy jedna strona jego twarzy przypomina starą pogniecioną gazetę, zawsze sprawia, że wygląda to bardziej surowo, niż ma wyglądać w jego zamierzeniu.

– A twoim zdaniem, jak inaczej można to załatwić? – pyta. – Jesteś zły na kogoś i już ma tak zostać? Wiem, że wszyscy mamy fantazje, żebyśmy tym, którzy nas skrzywdzili, mogli kiedyś powiedzieć, jak bardzo nas to bolało, ale im najczęściej nie jest nawet przykro. I wtedy co? Będziesz chodził wściekły do końca życia?

– Ale czy ty nie jesteś wciąż wściekły? Za podpalenie.

– I kto tu zmienia temat? – Rat obraca głowę tak, że Noah widzi teraz tylko niepoparzoną stronę, zatrzymuje się i zaczyna rozkopywać kopczyk zeschniętych liści; brudzi sobie przy tym czubki lakierków, które gdy wyszedł ze szpitala, ku wielkiemu zaskoczeniu Noaha, kupiła mu Dolly.

– Nigdy nie mówisz o swojej matce – zauważa cicho Noah.

– Mieszkam w kamperze na zupełnie innym kontynencie, więc wydawało mi się, że to mówi samo za siebie.

– Racja.

– Blake, posłuchaj mnie, kogoś, kto nie ma dosłownie nic: pewnego dnia będziesz chciał mieć matkę. Przyjęcie jej przeprosin nie oznacza, że uważasz, że to, co zrobiła, było w porządku. To tylko oznacza, że teraz wszystko się zmieni. Czy nie tego właśnie chcesz? – Noah przygląda się, jak Rata układa włosy tak, by zakryć zniekształcone ucho. – I tak dla jasności, oczywiście, że wciąż jestem wściekły o to podpalenie. Ale co mi przyjdzie z wściekłości? Nie mogę być i brzydki, i nieszczęśliwy, bo nawet ty będziesz miał mnie w końcu dość.

Zaczyna odchodzić, lecz Noah chwyta go za łokieć i ujmuje jego pokryty bliznami podbródek.

– Nie mów tak.

– Jest, jak jest, Blake.

– To, co jest między nami... To nie tak, że spojrzałem na chłopaka i pomyślałem, że mi się podoba. Kiedy ja spojrzałem na ciebie, ty odwzajemniłeś spojrzenie. Zobaczyłeś mnie. Wcześniej czułem się tak, jakby nikt nigdy mnie nie widział. A teraz ja też ciebie widzę, po prostu. I nie przestanę widzieć.

Noah całuje Rata w czubek głowy i myśli, że podoba mu się to, jak pachną teraz jego włosy, bardziej szamponem niż papierosami. Otacza go ramieniem.

– A tak przy okazji... już nigdy więcej nie będziesz mógł mówić, że nic nie masz.

• • •

Nie jest to właściwie stypa, raczej spotkanie garstki osób, które nie chciały, żeby rodzina była sama. Melissa przynosi zapiekankę, a Ann Traxler czekoladowe ciasteczka, które sama upiekła. „To nie te wesołe”, powtarza ciągle, a Dolly myśli, że to najbardziej absurdalna rzecz, jaką można sobie wyobrazić – Ann piekąca ciasteczka z marihuaną – i trochę żałuje, że te nie są „wesołe”. Samuel byłby wściekły.

Kiedy słyszy warkot motocykla Rata na podjeździe i widzi Noaha zsiadającego z siodła z tyłu, ma silne przeczucie, że między nią i synem spadło właśnie coś jak

ostrze gilotyny. Jego powrót tutaj, na stypę, to tylko formalność: w głębi duszy podjął już decyzję, Dolly to wie. Jej syn jest już daleko stąd.

A ona ma mu tak wiele do powiedzenia. W końcu jednak wszystko, co jest w stanie zrobić, to odgarnąć jasne włosy z jego twarzy i powiedzieć cicho:

– Kalifornia jest bardzo daleko. Będę za tobą tęsknić.

Noah ze wzrokiem wbitym w buty kiwa głową.

– Jude będzie mógł cię w końcu nauczyć, jak prowadzić rozmowy wideo.

– No tak.

Nie chodzi tylko o jego odejście, chodzi o wszystko: wspomnienie ciężaru karabinu w jej rękach, koszmary, w których przekręca się na bok i widzi leżącego obok Samuela, i o fakt – okropny i wyniszczający – że jej córka naprawdę nie żyje.

– Mamo...

Noah waha się i Dolly przez chwilę nie jest pewna, czy syn to zrobi. Ale potem nagle trzyma ją w ramionach, które teraz są takie duże i silne, a ona, wtulona w niego, jest taka mała. Noah już nie jest tym dzieckiem, przez które mąż ją znienawidził. Nie jest nim już od dłuższego czasu.

– Obiecuj, że zadzwonisz – prosi. – Jak będziesz miał czas. Ale obiecuj.

Puszcza syna i patrzy na Rata, który właśnie pozwala Emmie Alvarez przymierzyć swoje okulary przeciwsłoneczne.

– To miły chłopak.

– Taaa... miły.

Noah mówi to ostrożnie, jakby podejrzewał, że to jakiś podstęp, a Dolly nie może oprzeć się myśli: Ja mu to zrobiłam. I ta myśl będzie do niej wracała, co jakiś czas, przez całe życie obu jej synów. Będą pijackie telefony w dziwnych godzinach nocnych, telefony pełne gniewu i telefony, które będą się kończyły łzawymi „Kocham cię”. Będzie Święto Dziękczynienia, kiedy Noah pojedzie na grób ojca i rozbije na nim butelkę, lecz będzie znacznie więcej świąt, które nie zakończą się w ten sposób, a potem będą walentynki, kiedy Jude ogłosi, że się rozwodzi, i Boże Narodzenie, gdy Noah w ogóle odmówi przyjazdu do domu. Za każdym razem

Dolly będzie myślała: Tak, to ja im to zrobiłam. Ale chociaż żaden z nich nigdy nie powie tego na głos, Jude i Noah nigdy nie będą obwiniać matki.

• • •

Wieczór skradający się nad górami zastaje Emmę i Huntera przy Tall Bones. Siedzą na bagażniku jej samochodu, a pierwszy tej jesieni śnieg osadza się cienką i niepewną warstwą na ich włosach i ramionach. Porośnięty zaroślami kawałek ziemi na skraju lasu, gdzie ostatni raz widziała Abigail, już zniknął pod bielą.

Emma zawsze uważała, że są niesamowite – te wysokie, blade skały – ale teraz wydają jej się lustrem wszystkiego: w połowie zakopane w ziemi, w połowie sięgające nieba, są miejscem spotkania dwóch światów – tego, co stałe i niezmienne, i tego, co możliwe, przeszłości i przyszłości.

Mogłaby tu zostać. Mogłaby poczekać, aż trawa wokół jej kostek urośnie i ją też tu przytwierdzi. Zawsze jakaś część niej – teraz to rozumie – pozostanie tu, gdzie jest jej matka, gdzie była Abigail. Ale gdzieś tam jest jej ojciec. Po raz pierwszy, od kiedy miała cztery lata, czuje, że sięga w jego stronę.

Dziwne jest to poczucie zawieszenia pomiędzy dwoma stanami, jakie wywołuje w niej to miejsce. Wyobraża sobie, że widzi wszystkich swoich przyjaciół – jej przyjaciele, jak to brzmi! – widzi życie każdego pnące się w górę, jakby życie każdego z nich było skałą w tym kręgu. Pewnego dnia (jest tego pewna, chociaż nie potrafi powiedzieć dlaczego), jadąc z Kalifornii, Noah i Rat zatrzymają się na jakiejś stacji benzynowej na odludziu po drugiej stronie Gór Skalistych. I Rat, czekając w kolejce, by kupić plastry nikotynowe, zobaczy rudowłosą kobietę, która uśmiechnie się do niego, jakby go pamiętała, z innego miejsca, z innego życia. W mętym świetle dnia, z zapachem żywicy sosnowej przywołującym ich do domu, będzie patrzył, jak ta kobieta wsiada do samochodu z mężczyzną, który całuje ją w czubek głowy, z dziećmi, które ciągną ją za rude włosy i ją rozśmieszają. A kiedy Noah, który już nie przygryza dolnej wargi i nie chodzi z pochylonymi ramionami, zapyta: „Kto to?”, Rat będzie po prostu patrzył, jak samochód odjeżdża, pozostawiając za sobą na asfalcie ślady rozgniecionych

owadów. Zaczeka, aż kurz opadnie, zanim odpowie: „Nikt, *dragă*”. I kto miałby prawo twierdzić, że to nie będzie prawda?

– Em, ty drżysz. Masz, proszę. – Hunter zdejmuje kurtkę i podaje ją jej niezgrabnie.

Emma uśmiecha się i kręci głową. Kurtka pachnie stęchlizną i za bardzo przypomina jej tę, którą kiedyś dał jej Rat, tutaj, przy Tall Bones, gdy jeszcze byli zupełnie innymi ludźmi. Bierze dłoń Huntera i gładzi ją delikatnie kciukiem, bo chce mu powiedzieć, chce, by wiedział, że ona wie: Jesteśmy teraz zupełnie inni.

– Możemy wracać... – mówi chłopak. – Wiesz, jeśli ci zimno.

– Za chwilę. Jeszcze tylko minutkę.

Zawsze uwielbiała, jak pada śnieg, tak miękko i bezszelestnie, wypełniając sobą wszystkie zagłębienia w ziemi. To jest to, czego teraz potrzebują, tej chwili ciszy, tylko dla siebie, zanim ruszą dalej.

Podziękowania

Chciałabym podziękować moim redaktorkom, Kirsty Dunseath z Wielkiej Brytanii i Kaitlin Olson z USA, za ich zaangażowanie i za to, że praca z nimi przyniosła mi tyle radości. Dziękuję Alison Barrow za pełną oddania promocję i wszystkim w Transworld, tak ciężko pracującym nad tym, by ta powieść została wydana. Ogromne wyrazy wdzięczności dla mojej wspaniałej agentki Alice Lutyens za jej inteligentne rady, zarówno te dotyczące pisania, jak i życia, i dla Sophii MacAskill z Curtis Brown, przede wszystkim za przeczytanie tej książki.

Dziękuję Annie Davis i Jackowi Hadleyowi z Curtis Brown Creative, wszystkim uczestnikom internetowego kursu pisania powieści w CBC za ich mądre słowa oraz mojej nauczycielce Lisie O'Donnell za to, że dała mi poczucie pewności w kwestii mojego pisarstwa.

Dziękuję Aude Claret za wszystkie spostrzeżenia i życzliwą zachętę. Lucy i Johnowi za ich cierpliwość i entuzjizm. I Jane Bailey za jej niezachwiane wsparcie, bez którego ta powieść w ogóle by nie powstała.

Wreszcie dziękuję wszystkim osobom między Teksasem a Kolorado, które opowiedziały mi swoje historie, w kraju tak podzielonym. Swoim istnieniem wzbogacie ten naród.

* Rdz 3,19.